

# Weldon Fay

## Mężczyźni

*Błyskotliwy handlarz dzieł sztuki, Clifford Wexford, pracuje dla jednej z największych londyńskich galerii. Gdy poznaje Helen, obdarza ją płomiennym uczuciem. Ale wówczas o utracone względy Clifforda rozpoczyna walkę jego dawna kochanka, południowoafrykańska milionerka, zmieniając miłość młodych małżonków w piekło...*

## ***Początki***

Drogi Czytelniku, opowiem ci historię Clifforda, Helen i małej Neli. Helen i Clifford chcieli dać Neli wszystko, chcieli tego tak bardzo, że ich córka o mały włos nie wylądowała z niczym. Cudem uszła z życiem. To zupełnie naturalne, że chcąc dużo dla siebie, chcemy jeszcze więcej dla naszych dzieci. Niestety, nie zawsze udaje się pogodzić jedno z drugim.

Miłość od pierwszego wejrzenia — stara historia! Helen i Clifford spojrzeli na siebie podczas przyjęcia — a było to w odległych latach sześćdziesiątych — coś zadrżało w powietrzu i poczęła się Neli, na dobre czy na złe. Duch stworzył ciało, ciało z ich ciała, miłość z ich miłości, właściwie na dobre, choć nie była to zasługa ani Clifforda, ani Helen. No i wygadałam się!

Wiecie już, że ta opowieść dobrze się kończy. Czemu nie? Jest przecież Boże Narodzenie.

W odległych latach sześćdziesiątych! Cóż to były za czasy! Wszyscy pragnęli wszystkiego, uważali, że mogą to zdobyć, a co więcej, że im się to należy.

Małżeństwo bez zobowiązań. Seks bez dzieci. Rewolucja bez biedy. Kariery bez egoizmu. Dzieła sztuki bez męki tworzenia. Wiedza bez uczenia się. Jednym słowem — pyszny obiad bez zmywania naczyń.

Wspaniałe to były czasy! W eterze rozbrzmiewali Beatlesi, spoglądałaś w dół i okazywało się, że zamiast brązowej papierowej torby trzymasz w ręku kwiecistą reklamówkę, a zamiast czarnych półbutów, w których człapałaś od lat, masz na nogach różowe pantofelki. Dziewczyna brała rano pigułkę, żeby być przygotowaną na każdą erotyczną ewentualność, jaką podsunie

dzień, nastolatek zapalał papierosa nie myśląc o raku płuc i brał dziewczynę do łóżka nie bojąc się najgorszego. *Boeufen daube* pływał w śmietanie, nikt nie słyszał o niskokalorycznej, nisko-proteinowej diecie i nikomu się nawet nie śniło, by pokazywać głodujące dzieci w telewizji. Mnóstwo przyjemności i żadnych niemiłych konsekwencji.

Te lata, kiedy świat zapomniał o powadze, były zabawne dla Clifforda i Helen i o wiele mniej zabawne dla małej Neli. Aniołowie powagi i rozwagi powinni strzec kołyski noworodka, zwłaszcza gdy ten noworodek, zamiast w praktyczną białą poczciwą bawełnę, spowity jest w jaskrawy, psychodeliczny jedwab. Obawiam się jednak, że tacy aniołowie nie byli wtedy osiągalni — znajdowali się w innych rejonach świata: tkwili w pełnym zgrozy osłupieniu nad Wietnamem, Biafrą albo Wzgórzami Golan — nawet gdyby Clifford i Helen nie zapomnieli wysłać zaproszeń.

Ludzie tacy jak Clifford i Helen kochają się i sieją zło w każdej dekadzie, w każdym stuleciu, w każdym zakątku świata, a dzieci kochanków równie dobrze mogą być sierotami.

Lata sześćdziesiąte! Neli urodziła się w pierwszej połowie szóstego dziesięciolecia dwudziestego wieku. Na przyjęciu u Leonarda, gdzie Clifford po raz pierwszy zobaczył Helen i gdzie poczęła się Neli, podawano kawior i wędzonego łososia. Leonardo jest firmą pokrewną Sotheby's i Christie's, kupuje i sprzedaje dzieła sztuki, wie, co jest co, a kiedy chodzi o Rembrandta albo Petera Blake'a, wie to bardzo dobrze. Potrafi odróżnić krzesło zrobione przez Chippendale'a od krzesła, które zrobił florencki rzemieślnik podszywający się pod Chippendale'a. W przeciwieństwie do Sotheby' s i Christie' s Leonardo ma własne sale wystawowe, gdzie — częściowo dla zysku i przyjemności, częściowo dla dobra ogółu — organizuje imprezy artystyczne. Otrzymał nawet na ten cel, *via* Rada Kultury, lwią część subsydiów na propagowanie sztuki (niektórzy mówią, że za dużo, inni, że za mało, ale tak to już jest). Jeżeli znasz trochę Londyn, Czytelniku, znasz z całą pewnością Leonarda, tę miniaturkę Pałacu Buckingham, na rogu Grosvenor Square i Elliton Place. Dziś ma filie we wszystkich znaczących miastach świata; w latach sześćdziesiątych londyński Leonardo stal dumny, ważny i samotny, a przyjęcie, o którym mowa, otwierało jego pierwszą wielką

imprezę — wystawę prac Hieronima Boscha. Ściągnięcie dzieł mistrza z muzeów i domów prywatnych kosztowało przerażającą sumę pieniędzy i sir Larry Patt, którego młodym genialnym asystentem był Clifford Wexford, niepokoił się o powodzenie przedsięwzięcia.

Zupełnie niepotrzebnie. Były przecież lata sześćdziesiąte. Wszystko co nowe znajdowało poklask.

Podawano szampana, panie miały ulizane fryzury (choć parę koków nadal trącało żyrandole) i zadziwiająco krótkie spódniczki. Awangardowi panowie paradowali w bardzo finezyjnych koszulach i długich włosach. Na ścianach wiły się umęczone postaci z artystycznych wizji: w piekle czy w akcie kopulacji, jeden diabeł. Poniżej kłębili się wielcy, sławni i utalentowani, dziennikarze z kolumn towarzyskich robili notatki. Kultura-śmura! To było wspaniałe przyjęcie, zapewniam was. Podatnicy płacili i nikt nie kwestionował rachunku. Byłam tam z pierwszym mężem.

Clifford miał trzydzieści pięć lat, kiedy poznał Helen. Należał już do grona wielkich i sławnych, nie mówiąc o utalentowanych, pięknych i wartych grzechu. Właśnie doszedł do wniosku, że powinien zmienić stan cywilny. Szukał żony. To znaczy, czuł, że znalazł się na tym etapie kariery, kiedy należy wydawać przyjęcia i imponować wpływowym osobnikom. Do tego człowiekowi potrzebna żona.

Kamerdyner jest może i szykowny, ale żona gwarantuje solidność firmy. Tak, potrzebował żony. Uważał, że Angie, dziedziczka południowoafrykańskiej fortuny, jest niezłą kandydatką. W nieco chaotyczny sposób ubiegał się nawet o biedaczkę. Przyszedł na przyjęcie — tak naprawdę swoje własne — z Angie u boku, a wyszedł z Helen. Bardzo nieładnie!

Helen miała dwadzieścia dwa lata, kiedy poznała Clifforda. Nawet teraz, jako kobieta blisko pięćdziesięcioletnia, jest wystarczająco piękna, by wprowadzić zamęt w serce i życie mężczyzny. (Choć mam nadzieję, że docenia korzyści, jakie płyną z faktu nie-czynienia tego.) Ale wtedy! Powinniście widzieć ją wtedy.

— Kto to jest? — spytał Clifford Angie, patrząc na Helen ponad tłumem gości.

Biedna Angie!

Helen daleko było do idealnej piękności lat sześćdziesiątych. Nie miała okrągłej lalkowatej twarzyczki i płonących dzikich

oczu Carmen, ale i tak była pierwszorzędną babeczką ze strzechą brązowych kręconych włosów, jej zdaniem myszowatych. Uważała je za przekleństwo swojego życia i przez wiele lat farbowała, rozjaśniała, słowem maltretowała na wszelkie sposoby, dopóki na rynku nie pojawiła się henna i nie rozwiązała jej problemów. Oczy miała jasne i inteligentne. Wyglądała na dziewczynę delikatną, wrażliwą, prowokującą i niedotykalską, wszystko naraz. Była osobą niezależną, nie próbowała zadowalać innych ani na jotę bardziej niż Clifford, po prostu zadowalała, jakby mimochodem, samym swoim istnieniem. Tak już wyposażyła ją natura. Nigdy nie krzyczała na służbę i nie wyżywała się na fryzjerkach — choć w czasach, o których mowa, rzadko miała po temu okazję. Była biedna jak mysz kościelna.

— To? — zapytała Angie. — Nikt w szczególności, zdaje się. Zresztą kimkolwiek jest, ubiera się fatalnie.

Helen miała na sobie bardzo cieniutką, bardzo prostą, bardzo spraną bawełnianą sukienkę w kolorze rozmytego różu, o płynnym miękkim kroju, który wszedł w modę pięć lat później. Jej piersi pod miękkim materiałem wydawały się nagie, małe i bezbronne. Była drobna, giętka i smukła.

Co się tyczy Angie — milionerki! — jej sztywna suknia ze złotej lamy miała na plecach kokardę z czerwonej satyny, a absurdalnie niska talia podkreślała brak biustu. Angie wyglądała jak gwiazdkowy prezent atrapa pod sklepową choinką. Trzy kolejne krawcowe oblały suknię łzami i wszystkie trzy straciły pracę, co nie zmieniało faktu, że suknia była katastrofalną pomyłką.

Biedna Angie! Angie kochała Clifforda. Jej ojciec posiadał sześć kopalń złota, uważała więc, że Clifford powinien odwzajemnić jej miłość. Ale co właściwie mogła mu zaofiarować poza błyskotliwym umysłem, pięcioma milionami dolarów i swoją trzydziestodwuletnią, ciągle niezamężną osobą? Miała drobne suche ciało, matową cerę (ładna cera potrafi dodać uroku najmniej atrakcyjnej dziewczynie, ale Angie brakowało wewnętrznego światła, niestety) i ojca, który dał jej wszystko, czego pragnęła, z wyjątkiem miłości. Była zachłanna, nietaktowna i drażliwa i wiedziała, że taka jest, choć nic na to nie mogła poradzić. Clifford ze swej strony zdawał sobie sprawę — jak wielu mężczyzn przed nim — że ożenek

z Angie byłby posunięciem praktycznym, a Clifford był człowiekiem praktycznym. Ale jakoś nie chciało mu się żenić z Angie, zupełnie jak jego poprzednikom. Tych nielicznych, którzy się oświadczyli — jako że każda bogata młoda kobieta znajdzie swojego amatora — Angie odtrącała z pogardą. „Ktoś, kto może mnie kochać, nie jest wart mojej miłości”, wykalkulowała sobie jej podświadomość. Angie zafundowała sobie, jak widzicie, niezły pasztet emocjonalny. Teraz pragnęła Clifforda, i im bardziej on nie chciał jej, tym bardziej ona chciała jego.

— Angie — powiedział Clifford — muszę wiedzieć dokładnie, kim ona jest. I dacie wiarę, że Angie naprawdę poszła sprawdzić?! Powinna spoliczkować Clifforda, ale wtedy ta historia w ogóle by się nie wydarzyła. Fakt, że Angie puściła Cliffordowi płazem jego zachowanie, był małym żółędziem, z którego wyrósł wielki dąb późniejszych zdarzeń. Ale przecież świat pełen jest takich „gdyby tylko”, prawda?

Może powinnam opisać wam Clifforda. Nadal kręci się po londyńskiej scenie, a jego zdjęcie pojawia się od czasu do czasu w „Art World” i „Connoisseur”, choć nie tak często jak niegdyś, jako że dramaty i skandale blakną z czasem. Ale zdjęcie nadal przyciąga wzrok, a to, co Clifford ma do powiedzenia o sztuce konceptualnej i postrealistycznej, pozostaje interesujące, choć już nie wywrotowe. Jest wysokim masywnym mężczyzną o szerokim nosie, mocno zarysowanej szczęce, szerokiej twarzy i uśmiechu (pytanie, czy śmieje się do ciebie czy z ciebie?), który rozjaśnia oczy równie niebieskie jak oczy Harolda Wilsona (a ten ma oczy bardzo, bardzo niebieskie, wiem, bo w nie patrzyłam). Ma szerokie ramiona i wąskie biodra, a gęste proste włosy tak jasne, że niemal białe. Choć dobiega już sześćdziesiątki, zachował bujną czuprynę. Jego wrogowie (tych mu nie brak) twierdzą, że trzyma na strychu swojego sobowtóra, który z każdym dniem robi się bardziej łysy i tłusty. Clifford zawsze był energiczny, wesoły, dowcipny, uroczy... i taki pozostał. Nic dziwnego, że Angie chciała wydać się za Clifforda. Kto by nie chciał?

Kariere Clifforda Wexforda można porównać nie tyle do rozpadzonego meteorytu — meteoryty, zdaje się, spadają, a nie wznoszą się? — co do pocisku Polaris wystrzelonego z dna mo-

rza. Choć może powinnam wyrazić to inaczej — Clifford Wexford krążył wokół swego szefa, sir Larry'ego Patta, jak pszczoła zdecydowana dobrać się do miodu. Wystawa Boscha była duchowym dzieckiem Clifforda. Jeżeli okaże się sukcesem, Clifford zbierze pochwały, jeżeli zrobi klapę, odpowiedzialność spadnie na Leonarda i sir Larry'ego Patta, oni też dostaną po kieszeni. Tak właśnie działał Clifford, wtedy i teraz. Znał, w przeciwieństwie do ludzi z pokolenia sir Larry'ego, siłę *public relations*, wiedział, że odpowiednia oprawa i gwar wokół dzieła sztuki znaczą tyle samo, jeśli nie więcej, co jego rzeczywista wartość, że trzeba wydać pieniądze, żeby je zarobić, że obiektywna wartość obrazu nie ma znaczenia. Jeżeli nikt nie wie, że jest dobry, może równie dobrze być zły. Clifford przepchnął Leonarda z pierwszej połowy dwudziestego wieku w drugą i zrobił to brutalnie. Był kluczem do sukcesu Leonarda przez następne dwadzieścia pięć lat. Sir Larry zrozumiał to na otwarciu wystawy Boscha, choć nie przypadło mu to do gustu. Angie przebiła się z powrotem do Clifforda przez połyskliwy rozbrzęczany tłum, który spijał darmowy koktajl (łycha cukru, sok pomarańczowy, szampan, brandy) pod umęczonymi postaciami Boscha, i powiedziała:

— Ma na imię Helen. Córka jakiegoś ramiarza.

Angie miała nadzieję, że to załatwi sprawę. Ramiarze byli zapewne czymś w rodzaju ciurów świata sztuki, kompletnym zerem. Angie zakładała, że kiedy przyjdzie co do czego, znaczy się — do ożenku, Clifford weźmie pod uwagę nie tyle urodę kandydatki, ile jej pochodzenie i majątek. I tu się pomyliła. Clifford, jak wszyscy ludzie, szukał prawdziwej miłości. Szczerze mówiąc, usilnie próbował pokochać Angie, ale nie robił żadnych postępów. Nie bawiła go ani jej afektacja, ani snobizm. Doszedł do wniosku, że bycie jej mężem może okazać się pod wieloma względami nie do zniesienia. Angie będzie wrzeszczała na służbę i zachowywała się dziecinnie złośliwie wobec kobiet, które on zechce wielbić, będzie robiła potworne sceny o to, tamto czy siamto.

— Przez Jakiegoś ramiarza" — powiedział Clifford — rozumiesz zapewne Johna Lally'ego? Facet jest geniuszem. Zatrudniłem go do zaaranżowania tej wystawy.

I biedna Angie zrozumiała, że po raz kolejny wykazała się ignorancją, chlapaną głupstwo. Ramiarzy należało podziwiać i szanować. Część kłopotów Angie w obcowaniu z Cliffordem brała się stąd, że był zmienny — przynajmniej w jej pojęciu — w swoich upodobaniach. Sukces, który ona przypisywała jedynie bogatym i/lub pięknym, i/lub sławnym, Clifford przypisywał różnym dziwnym osobnikom: biednym, nie znanym nikomu poetom, starym pisarzom z bokobrodami i rozlatanymi dłońmi, malarkom w obrzydliwych fartuchach — ludziom, których Angie nigdy w życiu nie zaprosiłaby na niedzielny obiad.

— Co jest takiego wyjątkowego w ramiarach? — zapytała.

— Docenią ich potomni — powiedział po prostu. Skąd mógł to wiedzieć? Ale najwyraźniej wiedział.

Jeżeli Angie chciała zadowolić Clifforda, musiała najpierw myśleć, dopiero potem mówić. Miała w sobie spontaniczność martwej kaczki i wiedziała o tym, a jednak pragnęła Clifforda: na śniadanie, lunch, podwieczorek i kolację. To właśnie jest miłość! Biedna Angie! Nie była miła, ale możemy jej współczuć. Możemy współczuć każdej kobiecie zakochanej w mężczyźnie, który jej nie kocha, ale zastanawia się, czy jej nie poślubić, nie spieszy się z podjęciem decyzji, za to poddaje kandydatkę coraz to nowym niemiłym próbom.

— Proszę, proszę — powiedział Clifford. — Córka Johna Lally'ego!

Po czym ku oburzeniu i zaskoczeniu Angie po prostu zostawił ją i podszedł do Helen.

John Lally nie wiedział, co się święci, i tym lepiej dla niego. Tkwił w barze z oszalałym wzrokiem i rozwianym włosom, z grymasem gniewu i buntu wykrzywiającym usta, posepny i przeznaczony do celów wyższych. Istotnie w ciągu następnych dwudziestu lat stał się czołowym malarzem angielskim, choć na przyjęciu u Leonarda nikt (z wyjątkiem Clifforda) o tym nie wiedział. Ja miałam przecucie. Posiadam mały rysunek pędzla Lally'ego, przedstawiający sowę zjadającą jeża. Kupiłam go za dziesięć szylingów — straszne pieniądze. Teraz wart jest tysiąc funtów i jego cena rośnie.

Helen podniosła wzrok na Clifforda i zobaczyła, że na nią patrzy. Barwa jego oczu zdawała się pogłębiać, ilekroć był ożywo-



ny, a bywał ożywiony robiąc wspaniały interes — kupując coś dla Leonarda, powiedzmy maskę Tutenchamona albo zaginiony Marmur Elgina. Teraz były naprawdę niebieskie.

Jakie on ma niebieskie oczy! — pomyślała Helen. — Zupełnie jak namalowane. A potem w ogóle przestała myśleć. Była przestraszona. Stała bezbronna (albo tylko na taką wyglądała) i samotna pośród trajkoczących eleganckich ludzi, na ogół dużo od niej starszych, którzy świetnie wiedzieli, co należy myśleć, czuć i czynić. Spojrzała w te niebieskie, bardzo niebieskie oczy, ujrzała swoją przyszłość i dreszcz przeleciał jej po plecach.

A może ujrzała przyszłość Neli. Miłość od pierwszego wejrzenia jest dość powszechnym zjawiskiem. Zdarza się, i to między ludźmi zupełnie do siebie niepodobnymi. Moim zdaniem Clifford i Helen wcale nie odgrywali pierwszoplanowych ról w dramacie Neli, grali ogony, choć wydawało im się, że jest inaczej. I jak już mówiłam, wierzę, że Neli narodziła się w momencie, gdy Helen i Clifford stali i patrzyli sobie w oczy, Helen przestraszona, Clifford zdeterminowany, i oboje znali swoje przeznaczenie. Którym było kochać się i nienawidzić do końca życia. Późniejsze zjednoczenie ciał, choćby nie wiadomo jak emocjonujące, było na swój sposób niematerialne. Neli zaistniała dzięki miłości, ale zamiana bezcielesnego w cielesne musi dokonać się poprzez ciemny, mglisty akt, który nazywamy seksem. Helen i Clifford nie zdawali sobie sprawy z zaistniałego cudu. Patrząc sobie w oczy wiedzieli tylko, że im prędzej znajdą się w łóżku i w swoich ramionach, tym lepiej. Szczęściarze! Ale życie nie jest aż tak proste, nawet dla Clifforda, który nie dość, że dokładnie wie, czego chce, to zazwyczaj to dostaje. Tym razem jednak musiał złożyć haracz konwenansom i przyzwoitości.

— Podobno jesteś córką Johna Lally'ego — powiedział. — Wiesz, kim ja jestem? — Nie — odparła.

Drogi Czytelniku, skłamała. Oczywiście, że wiedziała, kim on jest. Wystarczająco często widywała w prasie zdjęcie Clifforda Wexforda. Oglądała go w telewizji — nadzieję brytyjskiego świata Sztuki w opinii jednych, żalony symptom jego upadku według drugich. Co więcej, wyrosła przy akompaniamencie

pomstowań ojca na Clifforda Wexforda rozbrzmiewających od strychu po piwnice. Wexford był pracodawcą i mentorem malarza. (Niektórzy twierdzą, że nienawiść Johna Lally'ego do Clifforda Wexforda graniczy z paranoją, inni mówią: nie, jego uczucia, zważywszy na okoliczności, są całkowicie uzasadnione.) Helen powiedziała „nie”, ponieważ zirytowało ją zarozumiałstwo Clifforda, choć jego wygląd wprowadził ją w trans. Powiedziała „nie”, ponieważ, drogi Czytelniku, obawiam się, kłamała, ilekroć kłamstwo mogło jej przynieść korzyść. Powiedziała „nie”, ponieważ przestała się bać i chciała wzniecić między nimi iskrę emocji — jego irytację, swoje zniecierpliwienie — i dlatego że zainteresowanie Clifforda wprowadziło ją w uniesienie, a euforia sprawia, że człowiek mówi byle co. Jedno wiem na pewno, nie kierowała się poczuciem lojalności wobec ojca.

— Powiem ci to przy kolacji — oznajmił Clifford.

Helen wywarła na nim takie wrażenie, że naprawdę to zrobił, zaprosił ją na kolację, choć był umówiony w „Savoyu” z sir Larrym Pattern i jego żoną Roweną oraz innymi ważnymi, wpływowymi gośćmi.

— Przy kolacji?! — zawołała, wyraźnie zaskoczona.

— Chyba że zrezygnujemy z jedzenia — powiedział Clifford i uśmiechnął się tak znacząco, że aluzja była zupełnie przejrzysta.

— Z przyjemnością zjem kolację — odparła Helen udając, że nie rozumie. — Powiem tylko mamie.

— Dziecko! — skarcił ją Clifford.

— Nigdy nie denerwuję matki, jeżeli mogę tego uniknąć — powiedziała Helen. — I bez tego ma dość denerwujące życie.

Tak oto Helen, sama niewinność — no cóż, prawie sama niewinność — podeszła do swojej matki Evelyn i zwróciła się do niej imieniem, jakie nadano pani Lally'owej na chrzcie świętym. Lally'owie byli nowoczesną rodziną, należeli do bohemy artystycznej.

— Evelyn — powiedziała. — Zgadnij, co mi się przydarzyło?! Clifford Wexford zaprosił mnie na kolację.

— Nie idź! — zawołała przerażona Evelyn. — Proszę cię, nie idź! Co będzie, jak ojciec się dowie?!

— Wymyślisz jakieś kłamstwo! — stwierdziła Helen.

W domu Lally'ego, Applecore Cottage w Gloucestershire, kłamano i to kłamano często. Nie było innego wyjścia. John Lally tracił panowanie nad sobą z byle powodu, a tych powodów pojawiało się coraz więcej. Jego żona i córka próbowały zapewnić mu spokój i szczęście, choćby kosztem przeinaczenia obrazu świata i zachodzących w nim zjawisk. Innymi słowy, kłamały.

Evelyn zamrugwała, co robiła często, jakby rzeczywistość przerastała jej zdolność pojmowania. Była przystojną kobietą

— jak inaczej mogłaby być matką Helen? — ale lata spędzone z Johnem Lallym zmęczyły ją i w pewien sposób ogłupiły. Teraz zamrugwała, ponieważ Clifford Wexford nie był człowiekiem, którego pragnęłaby widzieć u boku swojej młodej córki, a poza tym wiedziała, że Clifforda oczekiwano na kolacji w „Savoyu”, skąd więc pomysł randki z Helen? Niepokoilią się również kolacją w „Savoyu”. John Lally trzykrotnie odrzucił zaproszenie i czekał na czwarte, żeby wyrazić zgodę, co pozostawiło jego żonie niewiele czasu na uszycie nowej sukni. W rezultacie wystąpiła w niebieskiej bawełnianej, którą wkładała na specjalne okazje od dwunastu lat, i musiała zadowolić się tym, że wygląda schludnie, lecz z całą pewnością nie szykownie. A tak pragnęła choć raz w życiu wyglądać szykownie.

Helen od najwcześniejszych lat uznawała mrugnięcie matki za zgodę. W rzeczywistości nie oznaczało ono zupełnie nic. Było co najwyżej błaganiem o pomoc, jak próba samobójcza. Evelyn błagała w ten sposób, by uwolnić ją od konieczności podjęcia decyzji, która sprowadzi na nią mężowski gniew.

— Clifford poszedł po mój płaszcz — powiedziała Helen.

— Muszę iść.

— Clifford Wexford — powtórzyła Evelyn słabym głosem

— poszedł po twój płaszcz...

Faktycznie to zrobił. Helen ruszyła za nim, pozostawiając matkę na pastwę losu.

Angie nosiła białe norki (cóż by innego?), które Clifford podziwiał uprzejmie tego wieczora i które teraz wisiały tuż obok brązowego prochowca Helen. Clifford podszedł do wieszaków i wyciągnął go za kołnierz.

— To twoje — powiedział do Helen.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ jesteś kopciuszkim — zauważył. — A to jest łachman.

— Zupełnie się z tobą nie zgadzam — odparła Helen stanowczo. — Podoba mi się materiał, podoba mi się fason, nie lubię jaskrawych kolorów, wolę wyblakłe, piórę go w rękę w bardzo gorącej wodzie, suszę na słońcu. Jest dokładnie taki, jaki ma być.

Przemówienie to Helen wygłaszała często. Co najmniej raz w tygodniu do swojej matki, ponieważ przynajmniej raz w tygodniu Evelyn groziła, że wyrzuci płaszcz na śmietnik. Na Cliffordzie zrobiło duże wrażenie. Norki Angie, sztywne skóry nieszczęsnych zwierząt, wydały mu się zarazem straszne i pretensjonalne. Spojrzał na Helen, śliczną, otuloną raczej niż ubraną — pamiętajmy, że moda na wszystko co stare, wyblakłe, wyświechtane, jednym słowem niechlujne, jeszcze nie nadeszła — i musiał przyznać jej rację. Już nigdy nie wypowiedział żadnej krytycznej uwagi pod adresem tego, co Helen zdecydowała się nosić lub nie nosić.

Kiedy chodziło o stroje, Helen naprawdę wiedziała, w czym rzecz, a Clifford miał talent, wielki talent, mówię to bez sarkazmu, odróżniania prawdy od fałszu, oryginału od imitacji, tego, co kryje w sobie siłę, od tego, co jest pretensjonalne, i miał odwagę o tym mówić. Dlatego w tak młodym wieku został asystentem Larry'ego Patta. W świecie Sztuki (musimy używać tego określenia, z braku lepszego) chodzi przecież właśnie o to, by odróżnić arcydzieło od kiczu, i lwią część zasobów tego świata poświęcana jest właśnie na ten cel. Narody, które nie mają religii, zastępują ją Sztuką, ona bowiem ustanawia porządek, piękno i symetrię nad chaosem...

### ***Poznajmy się***

No, dość o tym! Clifford zabrał Helen do „The Garden”, orientalnej restauracji, modnej w latach sześćdziesiątych, tuż za Covent Garden. Morele podawano tu z jagnięciem, gruszki z cie-

lęciną, śliwki z wołowiną. Clifford uważał, że Helen ma niewyrobiały gust kulinarny i lubi słodkie, powinno jej więc smakować. Smakowało, trochę. Jadła jagnię w morelach pod czujnym okiem Clifforda. Miała drobne równe ząbki. Clifford obserwował ją z napięciem.

— Jak ci smakuje? — zapytał.

W jego oczach była czułość, ponieważ tak bardzo chciał usłyszeć właściwą odpowiedź, i chłód, ponieważ wiedział, że musi poddać ją paru próbom, aby zyskać pewność. Miłość potrafi pozbawić człowieka zdrowego rozsądku.

— Przypuszczam — odparła Helen cicho — że to danie jest znakomite w Nepalu czy jakimś innym miejscu, skąd pochodzi.

Odpowiedź była bezbłędna. Dowodziła dobrego serca, wnikliwości i wiedzy, wszystkiego za jednym zamachem.

— Clifford! — powiedziała Helen tak cicho i łagodnie, że musiał się pochylić, żeby usłyszeć. Na szyi miała złoty łańcuszek, a na nim mały medalionik, połyskujący na białej skórze i Wprowadzający go w trans. — To nie jest egzamin. Przyszliśmy tu na kolację i nikt nikomu nie musi imponować.

Był zupełnie zbity z tropu. Nie czuł się z tym dobrze.

— Powiniennem jeść teraz kolację w „Savoyu” — powiedział, żeby zrozumiała, ile dla niej poświęcił.

— Nie sądzę, żeby ojciec mi wybaczył — powiedziała, żeby rozumiał, ile poświęciła ona. — Nie jesteś jego ulubieńcem.. Choć oczywiście nie może wtrącać się do mojego życia

— dodała.

Skoro już o tym mowa, Helen ani trochę nie bała się ojca, znała go od najlepszej strony, podczas gdy Evelyn od najgorszej. Ataki furii Lally'ego bawiły ją raczej. Matka brała je poważnie, czuła się zagrożona i bezradna, kiedy mąż grzmiał przeciwko kłamliwej propagandzie dobrobytu, głupocie oszukiwanych wyborców, filisterstwu ludzi kupujących dzieła sztuki. W jakiś sposób czuła się za to wszystko odpowiedzialna.

— Kłamałaś mówiąc, że nie wiesz, kim jestem. Dlaczego?

— zapytał Clifford, ale Helen tylko się roześmiała.

Jej bladuróżowa sukienka połyskiwała w świetle świec. Helen wiedziała, że będzie połyskiwała; skromna w ostrych reflektorach galerii, pełna uroku tutaj. Dlatego ją włożyła. Brodawki

odznaczały się dyskretnie tam, gdzie w latach sześćdziesiątych brodawki odznaczać się nie miały prawa. Nie wstydziła się swojego ciała. Czemu miałyby się wstydzić? Było piękne.

— Nigdy więcej mi nie kłam — powiedział on.

— Nie będę — odparła ona, wiedząc, że kłamie.

Poszli do niego do domu na Goodge Street 5, przy Coffee Place. Był to wąski dom wciśnięty między sklepy, ale w świetnym, wręcz idealnym punkcie. Clifford mógł chodzić do pracy pieszo. Pokoje były pomalowane na biało, umeblowanie proste i funkcjonalne. Gdziekolwiek spojrzęła, wisiały obrazy jej ojca.

— Za parę lat będą warte miliony — powiedział. — Nie jesteś dumna?

— Z czego? Z tego, że pewnego dnia będą warte majątek, czy z tego, że jest dobrym malarzem? — zapytała. — I dlaczego „dumna”? To złe słowo. Równie dobrze mogłabym być dumna ze słońca albo księżyca.

Jest córką swego ojca, uznał Clifford, i zapisał to na jej korzyść. Spierała się o wszystko, niczego nie deprecjonując. Dziewczęta w rodzaju Angie przydają sobie wyjątkowości wyszydając wszystko wokół siebie. Cóż innego im pozostaje?! Clifford pokazał Helen sypialnię na strychu pod krokwiemi. Łóżko okazało się ogromnym materacem z gąbki (wtedy zupełna nowość). Leżała na nim futrzana narzuta, a na ścianach wisiały kolejne obrazy Lally'ego. Meduza i młody Adonis, satyrowie obłapiający nimfy.

— Nie był to najszcześniejszy okres w życiu mojego ojca. Drogi Czytelniku, niezręcznie mi to mówić, ale tego wieczora

Clifford i Helen poszli ze sobą do łóżka, co w połowie lat sześćdziesiątych nie było znów takie powszechne. Nadal przestrzegano rytuału zalotów, a zwłokę uważano nie tylko za przyzwoitą, ale i roztropną. Czyż mężczyzna nie pogardza dziewczyną, która oddaje mu się zbyt szybko? Opinia publiczna skłaniała się ku pogładowi, że tak. To prawda, że pójdzie z mężczyzną do łóżka na pierwszej randce może prowadzić i często prowadzi do odrzucenia kobiety, która oddała całą siebie i zapragnęła wzajemności. Jest to bolesne i demoralizujące. Ale moim zdaniem rzecz sprowadza się do tego, że związek dwojga ludzi, zamiast dojrzewać przez miesiące czy lata, podlega sztucznemu przyspieszeniu,

kończy się po paru godzinach i to mężczyzna, nie kobieta, dowiaduje się o tym pierwszy.

Zadzwoń do ciebie jutro, mówi i oczywiście nie dzwoni. No cóż, skończyło się. Ale czasem, tylko czasem, układ gwiazd jest właściwy i związek umacnia się, trwa. To właśnie przydarzyło się Cliffordowi i Helen. Dziewczynie po prostu nie przyszło na myśl, że Clifford może pogardzać nią za to, że powiedziała „tak”; Cliffordowi nie powstało w głowie, żeby myśleć o niej jak najgorzej, dlatego że to zrobiła. Przez okna strychu wpadało światło księżycy, futrzana narzuta była zarazem szorstka i jedwabista pod ich nagimi ciałami. Drogi Czytelniku, ta noc zdarzyła się dwadzieścia trzy lata temu, ale Clifford i Helen nigdy jej nie zapomnieli.

### ***Konsekwencje***

Nagle wyjście Clifforda i Helen z przyjęcia wywołało ogromne poruszenie. Jakby goście wyczuli znaczenie tego faktu, zrozumieli, że wpłynie on na życie wielu ludzi. Jeżeli przyjrzymy się biografii uczestników przyjęcia, okaże się, że tej nocy miały miejsce inne niezwykle wydarzenia — zyskano paru partnerów w interesach, wyznano miłość, wyrażono nienawiść, rozpoczęto i zakończono wendetę, wymieniono ciosy, zapoczątkowano parę skandali, zdobyto pracę i zaprzepaszczone karierę, poczęto nawet dziecko w szatni, pod norkami Angie — ale Clifford i Helen stali się niekwestionowanymi bohaterami wieczoru. Była to bardzo udana impreza. Czasami jest tak, jakby sam Los dowiedział się o przyjęciu i postanowił zaszczyścić je swoją obecnością. Ale tamte wydarzenia nie interesują nas w tej chwili. Interesuje nas natomiast to, że po zakończeniu imprezy Angie znalazła się bez swojego kawalera. Biedna Angie!

— Gdzie jest Clifford? — Młody Harry Blast, telewizyjny krytyk artystyczny, był na tyle nietaktowny, by ją o to zapytać. Chciałabym móc napisać, że z czasem nabrał ogłady, ale niestety, nie nabrał.

— Wyszedł — odparła Angie zwięźle.

— Z kim?

— Z dziewczyną.

— Jaką dziewczyną?

— Tą ubraną w coś w rodzaju koszuli nocnej — powiedziała Angie.

Była pewna, że Harry Blast zaproponuje jej odwiezienie do domu, ale nie zrobił tego.

— Och, z tą! — powiedział tylko. Miał okrągłą niewinną twarzą dziecka, szatańsko wielki nochal i świeżutki dyplom oksfordzki. — Trudno mu się dziwić.

W tym momencie Angie przysięgła sobie w duchu, że Harry Blast nie zajdzie daleko, jeżeli ona będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Okazało się, że nie ma. Niektórzy ludzie prą naprzód jak buldożer, nic nie jest w stanie ich zatrzymać, kwestia siły przebicia czy może tępoty. (Harry Blast — z nosem przerobionym przez chirurga plastycznego — prowadzi obecnie popularny program telewizyjny *W świecie dzieł sztuki*.)

Angie odwróciła się na pięcie, zahaczyła czerwoną kokardą o klamkę i popsowała swoje wyjście. Jednym szarpnięciem oderwała kokardę, rozdzierając przy okazji sukienkę i kładąc kres istnieniu lamy wartej sto dwadzieścia jeden funtów (ceny z roku 1965), ale cóż ją to mogło obchodzić? Miała kieszonkowe w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy funtów rocznie i powoli zaczynała się gubić w posiadanych papierach wartościowych, obligacjach i kapitałach, nie wspominając udziałów w Leonardzie i schedy po ojcu. Sześć kopalń złota wraz z robotnikami — na początek! Ale na co jej to wszystko, skoro nie może mieć Clifforda? Uznała, że jej życie jest tragedią, i zastanawiała się, kogo za to obwinić. Zmusiła portiera do otwarcia gabinetu sir Larry'ego Patta i zadzwoniła do ojca do Południowej Afryki. W ten sposób nawet Sam Wellbrook, na drugim końcu świata, odczuł na własnej skórze skutki poczynań Clifforda i Helen. Szloch jego córki dotarł do niego poprzez morza i kontynenty. (Działo się to przed wynalezieniem komunikacji satelitarnej, ale szloch pozostaje szloch, nawet gdy wypaczy go podła aparatura.)

— Zniszczyłeś mi życie! — wy szlochała Angie. — Nikt mnie nie chce. Nikt mnie nie kocha. Tatusiu, co jest ze mną nie w porządku?



Sam Wellbrook siedział pod prażącym słońcem w bujnym tropikalnym ogrodzie. Był bogaty, był wpływowy, kobiety wszystkich ras i kolorów przewijały się przez jego łóżko, uważał, że mógłby być szczęśliwy, gdyby nie miał córki. Ojcostwo potrafi być czymś strasznym, nawet dla milionera.

„Nie można kupić miłości”, śpiewali Beatlesi w czasach, o których mowa. Tylko częściowo mieli rację. Mężczyźni potrafią ją kupić, kobiety nie. Świat jest taki niesprawiedliwy!

— To wszystko twoja wina! — zawołała Angie, zanim zdążył jej powiedzieć, co jest z nią nie w porządku. Że nie jest kochana, ponieważ nie nadaje się do kochania, i że to nie on sprawił, że się nie nadaje, taka już się urodziła.

— Co nowego? — jęknął i czarny kamerdyner Toby dolał mu ginu z tonikiem.

— Powiem ci, co nowego! — warknęła Angie, biorąc się błyskawicznie w garść, jak zawsze gdy w grę wchodziły pieniądze. — Leonardo spada na łeb na szyję, musimy wycofać nasze pieniądze, póki jeszcze czas.

— Ktoś cię zdenerwował?

— Nic osobistego. Po prostu sir Larry Patt jest zmurszałym głupcem, a Clifford Wexford idiotą, który nie potrafi odróżnić Boule'a od Braque'a...

— Hę...?

— Bądź cicho, tato, i zostaw ten artystyczny interes mnie. Jesteś filistrem i prowincjuszem. Chodzi o to, że wyrzucili miliony na tę wystawę. Nikt nie przyjdzie oglądać dusz smażących się w piekle, starzy mistrzowie się przeżyli, nastali moderniści. Jeżeli Leonardo ma przetrwać, musi przerzucić się na sztukę współczesną, ale kto z nich ma jaja i blade pojęcie o sztuce?!

— Clifford Wexford! — odparł Sam Wellbrook. Miał dobry system wywiadowczy. Nie inwestował pieniędzy w ciemno.

— Zrobisz to, co ci każe! — wrzasnęła jego córka. — Chcesz się zrujnować?

Nie przejmowała się kosztami rozmowy. W końcu był to telefon Leonarda. Nie miała zamiaru zapłacić rachunku.

Zostawmy Angie na moment, choć należałoby może dodać, że odmówiła zapłacenia szatniarce, pod pozorem że jej norki zostały źle powieszzone i na rękawie zrobiły się zagnioty. Nikt

z wyjątkiem Angie nie był w stanie ich zobaczyć. Była bogata i miała zamiar pozostać bogata.

Zachowanie Clifforda rozgniewało sir Larry'ego Patta. Był zbity z tropu odkryciem, że jego asystent nie pojawił się w „Savoyu”, by pomóc mu nakarmić i napoić gromadę krajowych i zagranicznych VIP-ów.

— Arogancki szczeniak — powiedział sir Lany Patt do Marka Chiversa z Rady Kultury. Znali się jeszcze ze szkoły.

— Wygląda na to, że recenzje będą dobre — odparł Chivers. Miał kozią bródkę i chytre szare oczka w twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka. — Przyczynił się do tego w równym stopniu koktajl z szampana co Hieronim Bosch. Myślę, że możemy wybaczyć Cliffordowi. Wie, jak poruszać się w nowym świecie. My tego nie wiemy, Larry! Jesteśmy dżentelmenami. On nie. Potrzebujemy go.

Larry Patt miał różową, dobrotliwą twarz człowieka, który walczył przez całe życie o dobro publiczne. Szczęśliwym trafem pokrywało się ono z jego własnym.

— Przypuszczam, że masz rację — westchnął. — Ale wolałbym, żeby było inaczej. Lady Rowena była również rozczarowana. Liczyła na to, że podchwyci przy kolacji spojrzenie niebieskich oczu Clifforda, może nawet zatopi w nich swoje własne, brązowe i niewinne. Rowena była piętnaście lat młodsza od męża, miała równie słodki wyraz twarzy i o połowę mniej zmarszczek. Skończyła historię sztuki i pisała książki o cesarstwie bizantyjskim. Dwie trzecie czasu, który zdaniem sir Larry'ego poświęcała pracy w British Museum, spędzała w łózkach jego współpracowników. Sir Larry, jak tylu mężów z jego pokolenia, uważał, że seks zdarza się jedynie nocą, i nie obawiał się popołudni. Życie jest krótkie — myślała lady Rowena, to ciemne, drobne chytre stworzonko z pięćdziesięciocentymetrową talią — a sir Larry milutki, ale nudny. Była równie niezadowolona jak Angie, widząc Clifforda z Helen. Jej romans z Cliffordem wygasł pięć lat temu. I co z tego? Żadna kobieta w średnim wieku nie lubi patrzeć, jak dwudziestolatka dokonuje łatwego podboju. To takie niesprawiedliwe, że młodość i uroda liczą się bardziej niż dowcip, styl, inteligencja i doświadczenie. Angie to co innego. Clifford może jej towarzy-

szyc, gdzie tylko zechce. Motywem jego postępowania mogą być tylko pieniądze, myślała Rowena — a kto nie rozumie motywacji pieniądza? Ale Helen, córka ramiarza! To już przesada. Rowena podniosła swoje brązowe oczy na krępego Herr Bousera, który wiedział więcej o Hieronimie Boschu niż ktokolwiek na świecie — może z wyjątkiem Clifforda Wexforda, który już deptał mu po piętach — i powiedziała:

— Herr Bouser, spodziewam się, że usiądzie pan przy mnie. Bardzo chciałabym się czegoś więcej o panu dowiedzieć.

Frau Bouser, która to usłyszała, wcale nie była zachwycona. Mówię wam, co to było za przyjęcie!

Ale najbardziej zdenerwował się ojciec Helen, John Lally.

— Idiotko, dlaczego jej nie zatrzymałaś? — zawołał do żony.

John Lally miał narośl na czubku łysiejącej głowy i nie ufał nikomu. Jego palce były krótkie i grube. Malował nimi delikatne i subtelne obrazy na zdecydowanie niepopularne tematy: świętego Piotra u bram Nieba (nikt nigdy nie kupuje świętego Piotra. Ma to coś wspólnego z podzwaniającymi kluczami, z uczuciem, że się zostało niespodziewanie obnażonym w miejscu publicznym!), więdące kwiaty, lisy z okrwawionymi gęsiami w zębach. Jeżeli istniał obraz, którego nikt nie chciałby widzieć na ścianie salonu, John Lally z pewnością go namalował. Był, o czym Clifford wiedział, jednym z najlepszych, a w każdym razie jednym z najtrudniej sprzedających się malarzy w kraju. Clifford skupował Lally'ego bardzo tanio do swoich prywatnych zbiorów, a jednocześnie zatrudnił borykającego się z losem artystę, żeby robił ramy do obrazów Leonarda, i wykorzystywał go, niegodziwie i nieodpłatnie, do aranżowania wystaw (co jest sztuką samą w sobie, choć rzadko docenianą). Z tych, jak również innych powodów wynikających z charakteru administratorów Sztuki w ogóle, a handlarzy dziełami sztuki w szczególności (nikogo bardziej w szczególności niż Clifforda Wexforda), John Lally żywił pogardę i nienawiść do człowieka, który otulił białe ramiona jego córki brązowym prochowcem i wprowadził ją w nieznane.

Eyelyn ucierpiała również. W gruncie rzeczy ucierpiała najbardziej. Nie odpowiedziała mężowi tak, jak powinna: „Ponieważ nasza córka jest wolna, pełnoletnia i biała.” Albo: „Ponieważ

Clifford jej się spodobał." Albo: „Dlaczego miałabym ją zatrzymać?" Nie. Przez lata małżeństwa przyjęła światopogląd Johna Lally'ego. Nabrała zwyczaju — niedobrego w każdych okolicznościach — patrzenia na świat oczami swojego męża. — Przepraszam — bąknęła.

Obcowanie z mężem wpędziło ją w nałóg obwiniania się za wszystko. Czuła się odpowiedzialna nawet za złą pogodę. „Przepraszam, że pada", powiedziała kiedyś do gości. Oto co pozycie z geniuszem może uczynić z kobiety. Evelyn umarła jakiś czas temu i nie sądzę, żeby żyła pełnią życia. Powinna była częściej przeciwstawić się Lally'emu. Zaakceptowałyby to, może nawet byłby szczęśliwszy. Jeżeli mężczyźni są dużymi dziećmi, jak utrzymuje spora część kobiet, powinni być zadowoleni z tego, że ktoś zmusza ich do posłuszeństwa. Evelyn powinna była wykazać więcej odwagi. Żyłaby dłużej.

— Masz za co przepraszać — powiedział John Lally, po czym dodał: — Wstrętne dziewczuszyisko, zrobiła to, żeby mnie zdenerwować!

I on również ruszył w noc, zostawiając żonę samą, by mogła złożyć, ile zechce żenujących wyjaśnień i dotrzeć do „Savoyu" na własną rękę. John Lally uważał, że Evelyn na nic więcej nie zasługuje. Tak go zawiodła! O ile byłby szczęśliwszy, gdyby swego czasu ożenił się z inną kobietą! Tej nocy John Lally zaczął nowy obraz, gwałt dokonany nie na Sabinkach, lecz przez Sabinki. To one zniewoliły bezbronnych rzymskich żołnierzy. John Lally nie zawsze był taki niemądry i nieprzyjemny, wpadał po prostu w nastroje, które jego żona nazywała „humorami". To był właśnie jeden z takich humorów. Zdenerwowało go zachowanie córki, które w jego oczach dowodziło braku lojalności. No i wypił sporo szampana. Alkohol jest takim znakomitym usprawiedliwieniem wszelkich wyskoków! Wiele bym dała, aby móc napisać, iż tej nocy Evelyn zaszalała sobie, powiedzmy z Adamem Adamsem z „Sunday Timesa", ale nie zrobiła tego. Żyła tylko dla swojego męża, pochłaniał jej myśli tak dokładnie, że rzadko postrzegana była przez świat zewnętrzny jako odrębna istota ludzka. To prawda, że jedynym lekarstwem na mężczyznę jest inny mężczyzna, ale jak go zdobyć w sytuacji, gdy ten pierwszy pożera żywcem serce i duszę kobiety? Evelyn wróciła samotnie

do domu. Taki jest los zaniedbywanych, cichych żon, porzuconych w środku przyjęcia.

### ***Ranki po upojnych nocach***

Kiedy nastał pierwszy ranek i promień słońca, a nie księżycyca padł na skotłowane łóżko, i Clifford musiał iść do pracy, Helen stwierdziła, że warto wstać chyba tylko po to, by zrobić kawę dla nich obojga, wziąć prysznic i wykonać parę telefonów.

Było oczywiste, gdzie spędzi następną noc. W łóżku Clifforda.

Clifford cierpiał fizycznie opuszczając Helen tego pierwszego ranka. Zachłysnął się, kiedy wyszedł na rześkie poranne powietrze, ale tego zachłyśnięcia nie wywołał chłód, lecz świadomość, że nie może już dotykać, czuć, chłonać ciała Helen. Czuł ból w sercu, ale był to taki miły ból, więc zlekceważył go i ruszył pogwizdując do biura. Sekretarki wymieniły spojrzenia. Niemożliwe, żeby była to sprawka Angie! Clifford zadzwonił do Helen, ledwo znalazł się w pobliżu telefonu.

— Co robisz? — zapytał. — Chcę wiedzieć dokładnie.

— Wstałam, wyprałam sukienkę i wywiesiłam ją w oknie, żeby wyschła, i nakarmiłam kotkę. Myślę, że ma pchły, bidula się drapie. Kupię jej obrózkę przeciw pchłom, mogę?

— Rób, co chcesz. Wszystko, na co masz ochotę — powiedział i sam się zdumiał.

Ale fakt pozostawał faktem. Jakimś cudem Helen pozbawiła go, przynajmniej chwilowo, zdolności krytycznego patrzenia na świat. Po czternastu godzinach znajomości powierzył jej swoje ciało, życie, kotkę. Miał nadzieję, że nie odbije się to na jego pracy. Przejrzał gazety. Dział *public relations* — w osobie Clifforda Wexforda przez parę godzin tygodniowo — spisał się wyjątkowo dobrze. Relacje z przyjęcia i wystawy zajmowały parę kolumn na środkowych stronach.

Lada chwila nastąpi bezprecedensowe wydarzenie (pamiętajmy, że mamy lata sześćdziesiąte) i przed drzwiami Leonarda ustawi się tłum amatorów artystycznych wrażeń. Pospółstwo,

przepraszam, publiczność będzie czekała w kolejce do Hieronima Boscha, żeby zobaczyć to, co Clifford opisał jako genialną wizję przyszłości. Świadomość, że fantasmagoryczna wizja Boscha dotyczyła jego własnej teraźniejszości, a nie przyszłości świata, niepokoiła go trochę, ale tylko trochę. Lepiej, żeby obrazy spodobały się publiczności. Kolorowy, ulotny przebłysk fantazji jest o niebo ciekawszy od bolesnego, nudnego neoimpresjonizmu. Nagięcie prawdy dla dobra Sztuki nie może zasługiwać na szczególne potępienie.

Tej pierwszej nocy poczęta została Neli. Przynajmniej tak twierdzi Helen. Przysięga, że to czuła, że to było tak, jakby słońce i księżyc nagle się w niej zjednoczyły.

Drugiej nocy udało im się oderwać od siebie na dość długo, by porozmawiać. Clifford opowiedział Helen o sprawach, o których nie mówił dotychczas nikomu, o niedolach swojego dzieciństwa, o tym, jak rodzice odesłali go na wieś, żeby uchronić od hitlerowskich bomb, i pozostawili go tam samotnego i przerażonego, sami zaś zajęli się ratowaniem świata. Helen zabrała Clifforda na pobieżną — jako że mocno skróconą — turę po byłych kochankach. Przerwał jej pocałunkami dość prędko.

— Twoje życie zaczyna się w tej chwili — powiedział. — Nie wydarzyło się w nim dotychczas nic, co miałoby jakieś znaczenie.

Tak oto, drogi Czytelniku, Clifford poznał Helen i w ogniu niepohamowanej, dzikiej namiętności poczęła się Neli. Cofam to, co powiedziałam wcześniej, że powstała z miłości. Uczucie łączące Clifforda i Helen było o wiele za gwałtowne na miłość. Ale z drugiej strony nie ma na to innego określenia. Niech więc będzie miłość.

Trzeciej nocy rozległo się łomotanie do drzwi, silne uderzenie rozszarpało drewno, zamek ustąpił i w progu stanął John Lally. Przybył w nadziei, że złapie swoją córkę Helen oraz swojego mentora i wroga Clifforda Wexforda, jak to mówią, *flagrante delicto*.

### *Stosunki rodzinne*

Na szczęście Clifford i Helen spali jak niewiniątka, kiedy do sypialni wtargnął John Lally. Leżeli wycieńczeni na skotłowanym łóżku, owłosione ramię tu, nieowłosiona noga tam, jej głowa na jego piersi, pozycja mało wygodna dla postronnego obserwatora, idealna dla kochanków, to znaczy prawdziwych kochanków, nie dla tych, którzy muszą umykać przed nadejściem pory śniadania. Prawdziwi kochankowie śpią mocno, wiedząc, że świt niczego nie zakończy. Ta pewność ubarwia im sny, wywołuje uśmiech na twarzy.

Trzask rozłupywanego drewna wdarł się w sen Clifforda i Helen i został przekształcony: w pisk puchatego pisklęcia wykluwającego się ze skorupki, którą Helen trzymała w ręku, w świst nart Clifforda, który sunął lekko i pewnie w dół ośnieżonego zbocza. Widok uśmiechniętej, uspionej córki i uśmiechniętego, uspionego wroga, który skradł mu ostatni skarb, jeszcze bardziej rozwścieczył Johna Lally'ego. Ryknął jak ranny byk. Clifford zmarszczył brwi, pod jego nogami otwarła się przepaść. Helen poruszyła się niespokojnie. Filuterne popiskiwanie kurczątka zmieniło się w zawodzenie. Usiadła. Zobaczyła ojca i naciągnęła prześcieradło na piersi. Siniaków nie było jeszcze widać.

— Jak się dowiedziałeś, że tu jestem?

Było to pytanie urodzonego spiskowca, który nie czuje się winny, ale któremu pokrzyżowano plany. Lally nie raczył odpowiedzieć, ale ja wam powiem.

Pech prześladowający kochanków sprawił, że zniknięcie Clifforda i Helen z wystawy Boscha zostało odnotowane na kolumnie towarzyskiej, którą czytywał niejaki Harry Stephens, bywalec „Appletree Pub” w Dolnym Appleby. Harry miał kuzyna w Sotheby's, gdzie Helen pracowała na pół etatu przy konserwacji starych garnków. Przeprowadził drobne śledztwo i w ten sposób Gloucestershire obiegła wieść, że Helen Lally weszła do domu Clifforda Wexforda, ale z niego nie wyszła.

— Niezły numer z tej twojej córeczki! — powiedział Harry Stephens.

John Lally nie cieszył się sympatią sąsiadów. Dolne Appleby wybaczyło mu ekscentryczność, długi zaniedbany sad, ale nie wybaczyło mu tego, w jaki sposób on, cudzoziemiec, pił w pubie jabłecznik i jak traktował żonę. Gdyby nie to, sprawa jego córki w ogóle by nie wypłynęła, została by taktownie przemilczana. Nie została jednak przemilczana i John Lally dopił swój jabłecznik, wsiadł w wysłużonego volkswagena — osiągał szybkość 25 mil na godzinę — i ruszył do Londynu poprzez noc, poprzez świt, nie tyle by ocalić córkę, lecz żeby stłuc Clifforda Wexforda na kwaśne jabłko.

— Dziwka! — wrzasnął, wyciągając Helen z łóżka, ponieważ była najbliżej.

— No wiesz, tato! — powiedziała wyslizgując się z jego uścisku i poprawiając prześcieradło na piersiach, po czym zwróciła się do półprzytomnego Clifforda:

— Przepraszam, to mój ojciec.

Przejęła nawyk matki ciągłego przeproszania. Nigdy się go nie pozbyła. Jedyna różnica polegała na tym, że podczas gdy Evelyn używała zwrotu „przepraszam”, w nadziei że powstrzyma lawinę obelg, Helen zdawała się napominać w ten sposób los, lekko unosząc delikatnie zarysowane brwi. Clifford usiadł, przerażony.

John Lally potoczył wzrokiem po ścianach sypialni, po obrazach, które stanowiły dorobek pięciu lat pracy i życia: robaczy wa figa na gałęzi, tęcza wykoślawiona przez ropuchę, sznur prania w paszczy jaskini. Wiem, że to brzmi strasznie, ale, Czytelniku, te obrazy wcale nie są straszne. Wiszą dzisiaj w najznakomitszych galeriach świata i nikt się nie wzdryga na ich widok. Kolory są mocne, ostre, nawarstwione, jakby rzeczywistość została naklejona na całą serię poprzednich. Potem spojrział na swoją córkę, która to śmiała się, to płakała, zażenowana, rozgniewana i podniecona, wszystko naraz, i na mocne nagie ciało Clifforda, z meszkiem jasnych, niemal białych włosów porastających opalone ramiona i nogi (Clifford i Angie wrócili niedawno z wakacji w Brazylii, gdzie mieszkali w pałacu kolekcjonera sztuki — były tam marmurowe posadzki, złote krany i cała reszta, tintoretty na ścianach i gorące, gorące słońce), i z powrotem na zmiętą rozgrzaną pościel.



Bez wątpienia oburzenie hipokryty dało Johnowi Lally'emu siłę dziesięciu chłopów. Chwył Clifford Wexforda, bezczelnego szczeniaka albo nadzieję Sztuki, zależy jak na to spojrzeć, za nagie ramię i gołą nogę i bez wysiłku, jakby młody mężczyzna był kukłą, uniósł z łóżka. Helen wrzasnęła. Kukła ożyła nagle i wolną nogą wymierzyła kopniaka w krocze Johna Lally'ego, trafiając dokładnie tam, gdzie boli najbardziej. Tym razem wrzasnął John Lally. Kot, który spędził ciepłą, choć niespokojną noc w nogach piankowego łoża, stwierdził, że ma dość, i opuścił posłanie w ostatniej chwili. Sekundę później zwał się na jego miejsce Clifford, którego John Lally po prostu wypuścił z rąk. Clifford zerwał się błyskawicznie, zaczepił młodą, giętką stopę o sztywną kostkę Johna Lally'ego i szarpnął ku sobie. Ojciec ukochanej zwał się na podłogę, rozkwaszając sobie nos. Clifford, muskułarny, nagi i młody, stał dumnie nad pokonanym wrogiem. (Nie wstydził się swojego ciała ani trochę bardziej niż Helen. W obecności jej ojca czuł jedynie lekkie zażenowanie swoją nagością, choć gdyby na miejscu Lally'ego była Evelyn, z pewnością naciągnąłby slipy.)

— Ale nudziarz z tego twojego ojca — powiedział Clifford do Helen. John Lally leżał twarzą do podłogi i wpijał się wzrokiem w kelimski dywan. Dywan był w pasy, w tonacji przyćmionych żółci i stonowanych czerwieni, które to barwy pojawiły się później na jednym z jego najbardziej znanych obrazów — *Biczowanie świętej Idy*. (Malarze, podobnie jak pisarze, mają tendencje do przelewania na płótno czy papier najbardziej pożałowania godnych, ekstremalnych wydarzeń ze swego życia. Wszystko dla dobra Sztuki.) W dzisiejszych czasach dywany takie jak ten na podłodze strychu Clifforda są rzadkością i kosztują tysiące funtów w Liberty. W latach sześćdziesiątych można je było kupić za pięć funtów w każdym sklepie ze starzyzną. Clifford już wtedy znał ich wartość i nabył tuzin najpiękniejszych okazów.

John Lally nie potrafiłby powiedzieć, co jest gorsze, ból czy upokorzenie. W miarę jak ból ustępował, rosło upokorzenie. Oczy mu łzawiły, nos krwawił, pachwina bolała. Zacisnął dłonie w pięści. Malował jak furia przez dwadzieścia osiem lat, jak dotąd bez żadnego praktycznego czy komercyjnego pożytku. Płótna zawały jego studio, garaż. Jedynym człowiekiem, który zdawał

się je doceniać, był Clifford Wexford. Co gorsza, ten jasnowłosy szczeniak, ze swoim fałszywym widzeniem świata, swoim szczęściem do kobiet, pieniędzmi i stosunkami, wiedział, jak pielęgnować talent Johna Lally'ego. Wystarczyło słowo zachęty, moralny klaps, uniesienie brwi, kiedy podczas swych okresowych wizytacji przerzucał płótna na strychu, w garażu, w szopie ogrodowej. „Tak, to interesujące. Nie, nie, zacząłeś dobrze, ale coś ci nie wyszło, prawda? Och, to jest to!...” I młody Wexford wybierał te obrazy, o których malarz wiedział, że są najlepsze, a więc z pewnością wzbudzą pogardę — dziś chciał już, żeby tak było, bo to pozwalało mu nienawidzić świata.

Otrzymywał pięć funtów, akurat tyle, by zakupić farby i pędzle, nie dość na wymianę szafek w kuchni — ale tym niech się martwi Evelyn — a potem przychodził czek od Leonarda, nieoczekiwany i nie chciany. John Lally był rozdarty wewnątrz. Trawiła go wściekłość, trawił go ból. Niepohamowany gniew, złość — pomyślał, leżąc twarzą do podłogi, krwawiąc w kelimski dywan — może wyrządzić mi prawdziwą szkodę, sparaliżować moją zdolność twórczą. Uspokoił się. Przestał jęczeć i pochlipywać i leżał nieruchomo.

— Skoro już przestałeś robić z siebie durnia — powiedział Clifford — wstań i wyjdź stąd, zanim się zdenerwuję i skopię cię na śmierć.

John Lally nie poruszył się. Clifford trącił stopą skręcone ciało przeciwnika.

— Nie! — powiedziała Helen.

— Zrobię, co będę chciał — odparł Clifford. — Spójrz, co zrobił z drzwiami!

I zamachnął się nogą, jakby chciał kopnąć Lally'ego. Był wściekły, nie tylko dlatego że uszkodzono mu drzwi, naruszono jego prywatność i zelżono Helen. Zazdrościł Johnowi Lally'emu, który potrafił malować bosko. Clifford Wexford naprawdę pragnął w życiu tylko jednego — malować bosko. Ponieważ nie potrafił, wszystko inne wydawało mu się nieważne: pieniądze, ambicje, pogoń za pozycją — zwykłe namiastki, surogaty. Chciał skopać Johna Lally'ego na śmierć, taka była prawda.

— Proszę, nie! — powiedziała Helen. — On jest trochę szalony. Nie panuje nad sobą.

John Lally spojrział na córkę i stwierdził, że wcale jej nie lubi. Protekcyjna dziewczyna, zepsuta przez Evelyn, przez świat, wybrakowany z niej towar, ani talentu, ani wychowania. Dźwignął się na nogi.

— Dziewka! — rzucił. — Co mnie to obchodzi, w którym łóżku sypiasz?!

Podniósł się w samą porę. Clifford wymierzył kopniaka, ale nie trafił.

— Rób, co chcesz — powiedział John Lally do Helen. — Tylko nie zbliżaj się do mnie ani do swojej matki.

W ten sposób, drogi Czytelniku, Helen poznała Clifforda i porzuciła dla niego swoją rodzinę.

Nie wątpiła, że pobiorą się z Cliffordem. Byli dla siebie stworzeni, jak dwie połowy całości. Mówiło im o tym wszystko, choćby sposób, w jaki ich ciała zlewały się w jedno. Co też pierwsza miłość potrafi zrobić z człowiekiem!

### *Spoglądając w przeszłość*

Clifford był równie dumny i szczęśliwy z odkrycia Helen, jak ona była szczęśliwa i wdzięczna, że odnalazła Clifforda. Spoglądał ze zdumieniem na swoje życie przed pojawieniem się w nim Helen: jednoczesne przygody miłosne pod hasłem: „Nie dzwoń do mnie. Ja zadzwonię do ciebie” (oczywiście nie dzwonił, stwierdziwszy, że osłabł jego zapal i zainteresowanie); poronione próby znalezienia w miarę przyzwoitej kandydatki na żonę, częste i przerażająco nudne randki z niewłaściwymi osobami we właściwych restauracjach. Dlaczego się na to godził?! Z przykrością muszę stwierdzić, że patrząc wstecz, Clifford nie zastanawiał się, ile kobiet zranił. Pamiętał jedynie własną samotność i znudzenie.

Jeżeli chodzi o Helen, wydawało się jej, że dotychczas żyła w cieniu. Za to teraz! Słońce opromieniało jej dni i nasycalo blaskiem noc. Jej oczy lśniły, twarz promieniała, dziewczyna potrząsała głową i brązowe loki podskakiwały jak na sprężynach,

jakby im też dodano życia. Od czasu do czasu szła do malutkiej pracowni w Sotheby's i wracała nie do swojego mieszkania, ale do domu i łóżka Clifforda. W Sotheby's płacono jej za godziny — niewiele, ale odpowiadał jej niezobowiązujący charakter tej pracy. Nuciała wykonując swoją robotę, jej specjalnością było sklejanie garnków (większość konserwatorów woli ostre krawędzie i żywe kolory ceramiki. Helen lubiła złudną płynną miękkość dzbanów i mis). Zapomniała o istnieniu przyjaciół i konkurentów, pozostawiła współlokatorce zapłacenie czynszu i złożenie wyjaśnień. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś pieniądze, reputacja i przyjaciele cokolwiek dla niej znaczyli. Była zakochana. Byli zakochani. Clifford był bogaty. Clifford ją ochroni. On zajmie się szczegółami: furią ojca i rozpaczą matki, niezadowolaniem jej pracodawców, którzy podliczali godziny, jakie spędzała w pracy, i porównywali je z kosztem utrzymania jej pracowni. Clifford stał się dla niej rodziną, przyjaciółmi, wszystkim, czego potrzebowała, był dachem nad jej głową, ubraniem na grzbiecie, słońcem na jej niebie.

Niestety, miłość nie może uleczyć wszystkiego. Czasem jawi mi się jako rodzaj maści, którą aplikujemy na zranioną miłość własną. Prawdziwe lekarstwo musimy odnaleźć w sobie, ucząc się rozumieć siebie, z zaciśniętymi zębami pokonując nudę i irytację, uśmiechając się do mleczarza i płacąc czynsz, wycierając dzieciom nosy i nie pokazując po sobie bólu, zmęczenia czy zniecierpliwienia. Helen nie miała o tym wszystkim pojęcia, Czytelniku. Była młoda, była piękna, świat stał przed nią otworem. Wiedziała o tym. Pozwoliła, aby miłość zbiła ją z nóg i pochłonęła. Stać ją było tylko na to, by unieść śliczne białe ramiona ku niebu i powiedzieć: „Nic na to nie poradzę! To jest silniejsze ode mnie!”

### *Nóż w plecy*

Rankiem, po pojedynku z Johnem Lallym, Clifford zjawił się w biurze z obolałą ręką i w złym humorze.

Miał spotkanie z Harrym Blastem, nierycerskim prezenterem telewizyjnym, który nie odprowadził Angie Wellbrook do domu z wystawy Boscha. Był to pierwszy wywiad w życiu Harry'ego, ostatnia pozycja programu zatytułowanego „Monitor”. Harry był zdenerwowany i bezbronny. Clifford wiedział o tym.

Rozmowa miała się odbyć w paradnym gabinecie sir Larry'ego Patta, z widokiem na Tamizę. Kamery BBC były wielkie i nieporęczne, podłogę pokrywała sieć kabli. Sir Larry Part denerwował się nie mniej niż Harry Blast. Clifford, rozgrzany ciepłem Helen i zwycięstwem nad wrakiem malarza, emanował pewnością siebie. Nikt by nie zgadł, że on również występuje przed kamerami po raz pierwszy w życiu. To właśnie wywiad z Harrym Blastem pchnął Clifforda ku gwiazdorstwu. Clifford Wexford powiedział to, Wex powiedział tamto, zacytuj wielkiego Clifforda Wexforda i jesteś w domu, jeśli masz dość odwagi, by go w ogóle o coś zapytać, zaryzykować reprimendę albo pochwałę, szybkie spojrzenie niebieskich oczu, które oszacują, czy jesteś godny wysłuchania, czy należysz do światowego grona maluczkich. Clifford miał regularne rysy twarzy — kamera lubi takie — oraz inteligencję, dzięki której obnażał hipokryzję i pretensjonalność, choć sam nie był od nich całkowicie wolny... wręcz przeciwnie.

— Proszę pana — powiedział Harry Blast z desperacją, kiedy operator przestał podziwiać boazerię z czasów Jakuba I, County Hall po drugiej stronie rzeki, Gainsborougha wiszącego nad szerokim georgiańskim kominkiem i skierował obiektyw na dziennikarza, który najwyraźniej przygotował sobie pytanie zawczasu.

— Słysząc głosy, że Rada Kultury — przez którą rozumiemy oczywiście nieszczęsnego podatnika — uznała koszty wystawy Boscha za wygórowane.

Sugeruje się również, że Leonardo zagarnął dla siebie zbyt wielki procent zysku. Co pan na to, panie Wexford?

— To pan to sugeruje — odparł Clifford. — Dlaczego nie powie pan tego wprost? Leonardo doi podatnika...

— No cóż — bąknął Harry Blast, czerwieniejąc. Wielki nochał z każdą chwilą różował bardziej, jak zwykle gdy jego właściciela dopadał stres. Szczęście, że nie wynaleziono jeszcze kolorowej telewizji, inaczej kariera Blasta skończyłaby się

w gabinecie sir Larry'ego Patta. Stres jest częścią życia dziennikarza telewizyjnego! — Według jakich kryteriów mamy to wartościować? — zapytał Clifford. — Gdzie szukać zysku, jeśli w grę wchodzi sztuka? Skoro Leonardo zapewnia wygłodzonemu społeczeństwu kontakt ze sztuką, a nie udało się to państwu, należy nam się chyba jeżeli nie zysk, to przynajmniej mała zachęta? Widział pan kolejki przed galerią. Mam nadzieję, że raczył pan skierować na nie swoje kamery. Zapewniam pana, że ludzie w tym kraju są złąknieni piękna. Dziwnym zbiegiem okoliczności Harry Blast nie sfilmował kolejki przed galerią. Clifford wiedział o tym.

— A jeżeli chodzi o proporcje między dotacją a nakładami, to sądzę, że są one mniej więcej jednakowe. Mam rację, sir Larry? Sir Larry jest naszym królem finansów. I kamera zjechała z Clifforda na sir Larry'ego Patta, który musiałby pogrzebać w papierach, żeby odpowiedzieć na pytanie. Wymamrotał coś bez związku, zamiast przyznać się do niewiedzy głośno i otwarcie, co uczyniłby zapewne, gdyby ktoś udzielił mu dobrej rady. Sir Larry nie był osobowością telewizyjną. Jego twarz była za stara, a piętno zużycia wyryte na niej zbyt wyraźnie. Obwisłe policzki i wargi znamionowały jednak zadowolenie z siebie! On również miał za sobą denerwujący ranek. Został wyrwany ze snu o brzasku przez telefon Frau Bouser z Amsterdamu. — Co to za kraj, ta Anglia! — zawołała oważ dama. — Co się tam u was dzieje?! Mąż jest uwodzony pod nosem żony, a mąż kobiety, która uwodzi, w ogóle nie zwraca na to uwagi!

— Madam! — powiedział sir Larry Patt. — Nie mam bladego pojęcia, o czym pani mówi.

I faktycznie nie miał. Uznał żonę za mało atrakcyjną i nie przyszło mu do głowy, że ktoś może mieć na ten temat odmienne zdanie. Sir Larry należał do pokolenia mężczyzn, które nie lubiło kobiet. On sam poślubił dziewczynę w miarę możliwości najbardziej przypominającą chłopca (Clifford wytknął to Rowenie, czym doprowadził ją do łez). Nie był człowiekiem prozaicznym, tyUco ograniczonym, zachowywał swoją namiętność dla sztuki, nie dla kobiety, dla obrazów, nie dla seksu. I był to już wystar-

czający powód do samozadowolenia dla kogoś, kto tak jak on pochodził z rodziny szcycącej się swoim filisterstwem. Można uznać, że wykazał dużo samozaparcia. Wiedział, że może być zadowolony z siebie.

Słuchawka ogłuchła nagle, jakby wyrwana siłą z rąk Frau Bouser. Wcale go to nie zdziwiło. Kobieta histeryzowała. Ona tak często to robią. Poszedł do sypialni Roweny i stwierdził, że śpi spokojnie, swoim zwyczajem rozplaszczona na brzuchu. Nie obudził jej, z obawy że ona też zacznie histeryzować. Nie był dziś w najlepszej formie.

Harry Blast zrozumiał, że sir Larry należy do przeszłości. Nie mogło inaczej być, skoro Clifford należał do przyszłości, a telewizja wierzy w biegunowość. Dobre, złe, stare, nowe, lewo, prawo, śmieszne, tragiczne. Patt wychodzi, Wexford wchodzi. W ten oto sposób wywiad stał się początkiem upadku sir Larry'ego, początkiem długiego, łagodnego zjazdu, i to właśnie Clifford ustawił go na pochylni, całkiem świadomie. Sir Larry nawet tego nie zauważył. Clifford spojrział w przyszłość i ujrzał możliwość stworzenia dynastii. Aby uczynić Helen swoją królową, musiał zostać królem. To oznaczało, że musi przejąć Leonarda, a sam Leonardo będzie musiał się rozrosnąć i zmienić, stać się jednym z tych intrygujących konglomeratów władzy, które opanowały świat. Dokona tego ukradkiem, bawiąc się w politykę, działając tak, jak zawsze działali monarchowie. Będzie żądał lojalności i ściągał lenno, nie zaufa nikomu, będzie wygrywał jednych faworytów przeciwko drugim, zachowa dla siebie prawo życia i śmierci, i będzie go używał (poprzez zatrudnianie i zwalnianie, współczesny odpowiednik powyższego), będzie rozdawał niespodziewane łaski i wymierzał równie niespodziewane kary. Stanie się Wexfordem Leonarda. On, niepokorny, niesforny syn swojego wielkiego ojca, nie będzie outsiderem, nie będzie księżycem krążącym wokół słońca, sam stanie się słońcem. Dla Helen przewróci świat do góry nogami.

Westchnął i przeciągnął się, czuł się taki potężny! Kamery Harry'ego Blasta uchwyciły i to westchnienie, i ten ruch ramion. Zrobiono zdjęcie, które poszło na czołówkę programu i które stało się ulubioną fotką twórców programów o świecie Sztuki. Było coś w tym zdjęciu, atmosfera — ośmielę się powiedzieć

— koronacji, tej chwili tak ważnej, kiedy arcybiskup kładzie koronę na głowę nowego monarchy. To właśnie uchwyciły kamery Harry'ego Blasta.

### ***Matka i córka***

Podczas gdy Clifford Wexford planował swoją przyszłość i legalizował, a nawet uświęcał to, co dotychczas było jedynie ledwo uświadomioną ambicją, dziewczyna jego marzeń, Helen Lally, siedziała z matką w „Crank's”, nowej restauracji ekologicznej na Carnaby Street i popijała herbatę ziołową. „Crank's” była prototypem miliona podobnych restauracji, które wyrosły na całym świecie jak grzyby po deszczu. Zdrowa żywność i ziołowa herbata równa się zdrowie fizyczne i duchowe. Było to rewolucyjne hasło i Evelyn sączyła swoją herbatę z żywokostu trochę podejrzliwie. (Żywotost stosowało się dotychczas jedynie zewnętrznie, z obawy, że może być rakotwórczy, niechęć Evelyn była więc uzasadniona.)

— Herbata cię wzmocni — powiedziała Helen z nadzieją. Evelyn wyglądała na kogoś, kto bardzo potrzebuje czegoś

na wzmocnienie. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Była blada, smętna i stara. Niezbyt szczęśliwa kombinacja. John Lally po powrocie z Coffee Place 5 poinformował żonę, że jej córka Helen nie będzie mile widziana w Applecore Cottage, że jedynym wytłumaczeniem jej zachowania jest to, że nie jest jego dzieckiem — po czym zamknął się w garażu. Prawdopodobnie malował tam teraz jak oszalały. Evelyn co jakiś czas stawiała na parapecie tacę z jedzeniem i picciem. Jedzenie było przyjmowane — okno otwierało się szybko i zatrząskiwało z hukiem — napoje pozostawały nie tknięte. W garażu przechowywała wino domowej roboty i nim się widocznie raczył. Nienawiść zdawała się sączyć spod garażowych drzwi niby trujący gaz.

— To niesprawiedliwe — powiedziała Evelyn do córki, jakby to ona była dzieckiem, nie matką. — To niesprawiedliwe.



Oczywiście, że niesprawiedliwe. Żeby tak ją traktować, ją, która tyle uczyniła dla swego męża, poświęciła mu całe życie!

— Zawsze próbowałam ukryć przed tobą, jak mnie to rozstają — powiedziała — ale teraz jesteś już dorosła i takie jest życie.

— Tylko wtedy, gdy mu na to pozwolić — odparła Helen, uzbrojona w swoją nową miłość i pewność, że będzie żyła szczęśliwie aż do śmierci.

— Mogłabyś wykazać więcej taktu — Evelyn nigdy jeszcze nie wygłosiła uwagi tak zbliżonej do reprimendy. — Nie masz pojęcia, jak postępować z ojcem.

— No cóż! — powiedziała Helen. — Przepraszam. Zdaje się, że to wszystko moja wina. Ale on się zawsze zamyka. Jak nie na strychu, to w garażu. Nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejmujesz. To nic nowego. Gdybyś się tak nie denerwowała, prawdopodobnie w ogóle by tego nie robił.

Próbowała zachować powagę, ale osiągnęła tylko tyle, że matka uznała, iż jest niefrasobliwa. Nie była to wina Helen. Kochała Clifforda Wexforda. Co z tego, że ojciec zazłości się na śmierć, wpędzając matkę przedwcześnie do grobu?! Ona, Helen, kocha Clifforda Wexforda i ma za sobą młodość, siłę, przyszłość, zdrowy rozsądek.

Evelyn opanowała się i rozejrzała po restauracji urządzonej w stylu wiejskiej chałupy. Zgodziła się z córką, że sytuacja nie zmieniła się od dwudziestu pięciu lat. Spodziewa się, że nie zmieni się jeszcze przez jakiś czas. Helen ma rację. Nie ma powodu do zmartwienia, musi tylko wziąć się w garść.

— Wielkie nieba! — powiedziała Evelyn, biorąc się w garść. — Twoje włosy wyglądają pięknie. Są takie kręcone! Są takie kręcone!

I Helen, która mogła sobie pozwolić na wielkoduszność, nie przygładziła instynktownie włosów nad uszami, lecz potrząsnęła głową i roztrzepała loki, tak jak lubiła Evelyn. Helen wolała proste, jedwabiste i gładkie włosy na długo przed tym, zanim stały się modne.

— Jestem zakochana — powiedziała Helen. — To pewnie dlatego.

Evelyn popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Jakim cudem ktoś, kto mieszkał w Applecore Cottage tyle lat, może być aż tak naiwny?

\_ Cóż — powiedziała. — Nie chciałabym, żebyś zrobiła coś bez zastanowienia, tylko dlatego że życie w domu było straszne.

— Och, mam, nigdy nie było tak naprawdę straszne — zaprotestowała Helen, chociaż czasami naprawdę było.

Applecore Cottage miał w sobie dużo uroku, ale często humory ojca sączyły się jak trujące wyziewy przez wszystkie szczeliny, nawet wtedy gdy John Lally się zamykał, dla dobra rodziny (żeby chronić ją przed sobą) i własnego (żeby uciec przed kobiecą małostkowością i ogólną perfidią). Oczy matki były zaczerwienione od łez, choć i tak przyćmiewały blask miedzianych garnków, które wisiały w kuchni odbijając światło. Zawsze wtedy Helen pragnęła, bardzo pragnęła odejść. Czasem jednak byli sobie bliscy, dzielili myśli, uczucia, aspiracje. Obie kobiety, bezwzględnie lojalne wobec geniuszu Johna Lally'ego, z radością godziły się na nędzę i niedostatek, rozumiejąc, że temperament malarza zatruwa życie nie tylko im, ale i jemu. Helen poszła na Akademię Sztuk Pięknych, a potem zaczęła prowadzić osnute tajemnicą życie w Londynie i Evelyn musiała przyjąć na siebie pełny impet nie tyle męzowskiej uwagi, bo tej skąpił, co jego gniewnej, rozedrganej energii. Zrozumiała, że choć on przetrwa i przetrwają jego obrazy, ona, Evelyn, ma na to niewielkie szanse. Czuli się o wiele starsza i bardziej zmęczona, niż rzeczywiście była. Wiedziała aż za dobrze, że gdyby John Lally musiał wybierać między swoją sztuką a swoją żoną, bez wątpienia wybrałby sztukę. Jeśli nawet ją kochał, powiedziała kiedyś córce w niezwykłym u niej ataku złości, to tak, jak człowiek z drewnianą nogą kocha tę nogę. Nie może się bez niej obejść, choć bardzo by tego chciał.

Teraz uśmiechnęła się słodko do Helen, poklepała dużą miękką dłonią twardą rękę córki i powiedziała:

— Miło, że to mówisz.

— Zawsze robiłaś, co w twojej mocy — powiedziała Helen, po czym zawołała z przerażeniem: — Dlaczego mówisz tak, jakbyśmy się żegnały?

— Ponieważ jeżeli zostaniesz z Cliffordem Wexfordem, będzie to pożegnanie.

— On nie powinien napadać na nas w ten sposób. Przykro mi, że Clifford go uderzył, ale został sprowokowany.

— Tu chodzi o coś więcej — powiedziała Evelyn.

— Przejdzie mu.

— Nie. Musisz dokonać wyboru.

I Helen pomyślała: na co jej ojciec, skoro ma Clifforda kochanka.

— Dlaczego go nie zostawisz razem z jego geniuszem? — zapytała matkę. — Nie widzisz, że to absurd żyć z mężczyzną, który zamyka się w garażu i chce, żeby mu ustawiać jedzenie na parapecie?

— Ale, kochanie — powiedziała Evelyn. — On maluje!

I Helen zrozumiała, że jej namowy nie odniosą skutku, i prawdę mówiąc, wcale sobie tego nie życzyła. Co innego poradzić rodzicom, by się rozstali, a co innego, gdy naprawdę posłuchają rady.

— Będzie chyba najlepiej — powiedziała Evelyn córce — jeżeli zejdiesz mu z oczu na jakiś czas.

I Helen jeszcze raz podziękowała Losowi za Clifforda, ponieważ myśl, że go posiada, pozwoliła jej zdławić nagły ból i strach. Przez chwilę miała wrażenie, że matka ją porzuca. Nonsens! Zjadły na spółkę pszeniczne herbatniki z miodem, zapłaciły do spółki rachunek, pocałowały się z uśmiechem i poszły każda w swoją stronę, Evelyn utraciwszy córkę, Helen utraciwszy matkę.

### ***Ochrona prawna***

— Dobry Boże! — zawołał Clifford, kiedy Helen powtórzyła mu rozmowę z Evelyn. — Nie wolno ci namawiać matki, żeby opuściła dom!

Jedli kolację w łóżku, próbując nie upaćkać czarnej pościeli sałatką, którą Clifford przyrządził sam — z sałaty, kawioru, soku z cytryny i śmietanki — co wychodziło taniej niż kupowanie gotowej w sklepie. Nawet miłość nie zdołała wyleczyć Clifforda z nałogu oszczędzania — niektórzy nazywają to skąpstwem, ale dlaczego nie użyć łagodniejszego określenia? Clifford upierał się przy życiu na odpowiedniej stopie, ale czerpał przyjemność z faktu, że nigdy nie wydał ani pensa więcej, niż było to konieczne.

— Dlaczego nie, Cliffordzie?

Czasem Helen nie rozumiała Clifforda. Przytrafiało się to również Angie, ale Helen była bystra i nie wahała się pytać. W przeciwieństwie do Angie nie była uparta i uczyła się szybko. Ślicznie wyglądała tego wieczora: uroczo! Miętko zarysowane nagie ramiona, jedwabna koszulka ledwo zakrywająca nabrzmiałe piersi. Drobnymi równymi ząbkami skubała ostrożnie sałatę, ostrożnie, żeby sos, który Clifford zrobił odrobineczkę za rzadki, nie skapnął na pościel.

— Ponieważ twoja matka jest natchnieniem twojego ojca

— powiedział Clifford. — Nie przeczę, że ma pecha, ale sztuka wymaga poświęceń. Sztuka jest ważniejsza od jednostki, nawet od artysty, który ją tworzy. Twój ojciec sam by to przyznał, choć jest potworem. Co więcej, malarz potrzebuje swojego *gestaltu*

— specyficznych okoliczności, które pozwalają mu wyrazić wizję świata. Na *gestalt* twojego ojca składa się Applecore Cottage, twoja matka, kłótnie z sąsiadami, paranoja na tle artystycznego świata w ogóle, a mnie w szczególności. Aż do tej chwili również ty do tego należałaś. Zostałaś mu skradziona. To dla niego szok. Schronił się w garażu. Kiedy się z niego wyłoni, przy odrobinie szczęścia ujrzymy zmianę stylu. Miejmy tylko nadzieję, że nowy Lally będzie łatwiejszy do sprzedania niż stary.

Ostrożnie wyjął jej z ręki sałatę, odłożył na bok i ucałował jej słone usta.

— Chyba nie wzięłaś mnie do siebie tylko po to, żeby łatwiej sprzedać obrazy ojca?

— Roześmiała się, ale upłynęła chwila, zanim Clifford jej zawtórował, jakby sam się nad tym zastanawiał.

Ludzie sukcesu kierują się często instynktem, nie muszą planować, knuć intryg.

Mają nosa, a życie pochyla przed nimi głowę. Clifford kochał Helen. Oczywiście, że kochał. Ale była córką Johna Lally'ego. A Johnowi Lally'emu potrzebny był wstrząs...

Szybko jednak o tym zapomnieli. Clifford zapomniał również napomknąć, że zadzwonił do niego z Johannesburga ojciec Angie Wellbrook.

— Chyba powinienem pana ostrzec—ryknął smutny, donośny głos. — Moja córka wkroczyła na ścieżkę wojenną.

— Z jakiego powodu? — zapytał lekko Clifford.

— Bóg raczy wiedzieć. Nie lubi starych mistrzów. Mówi, że przyszłość należy do modernistów. Mówi, że Leonard wyrzuca

pieniądze w bioto. Co pan zrobił? Porzucił ją czy co? Nie, proszę mi nie mówić. Nie chcę wiedzieć. Proszę tylko pamiętać, że chociaż głównym udziałowcem jestem ja, ona ma moje pełnomocnictwo na teren Wielkiej Brytanii i nic jej nie powstrzyma. Może dać się panu porządnie we znaki.

Clifford podziękował i obiecał przesłać do Johannesburga doskonałe recenzje z wystawy Boscha i relacje prasowe z kolejki przed galerią. Zapewnił Wellbrooka, że jego inwestycja jest dobrze chroniona oraz że wspieranie sztuki współczesnej jest największą troską Leonarda, słowem, że Angie słyszy, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele. Potem zatelefonował do Angie i zaprosił ją na lunch. O tym również zapomniał powiedzieć Helen. Ale zostawił ją w łóżku w stanie letargu zmysłowego i nie przypuszczał, żeby ocknęła się przed jego powrotem.

Angie i Clifford umówili się w „Claridges”. Minispódniczki dopiero wchodziły w modę i Angie pojawiła się w spodniach z miękkiego beżowego zamszu. Kazała się zaprowadzić do stolika Clifforda. Spędziła rano w salonie piękności, ale dziewczynie, która przyklejała jej sztuczne rzęsy, drgnęła ręka i Angie miała czerwone oko. Musiała włożyć ciemne okulary, których Clifford nie aprobował, chyba że na stoku narciarskim. Wszystko razem wprawiło Angie w zły humor.

— Bardzo mi przykro — powiedział nierozważnie szef sali. — Nie wpuszczamy pań w spodniach do „Grand Restaurant”.

— Doprawdy? — zapytała Angie. Jej humor jeszcze się pogorszył.

— Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do „Luncheon Bar”...

— Nie — powiedziała Angie. — Proszę po prostu zabrać spodnie.

Zdjęła spodnie, wręczyła je kelnerowi i ruszyła przez salę w samej górze od spodniemu. Jaka szkoda, pomyślał Clifford, że nie ma odrobinę lepszych nóg. Psuły cały efekt. Mimo to był pod wrażeniem. Podobnie jak wielu innych gości. Angie otrzymała huczne brawa.

— Wiem, że jestem draniem — powiedział Clifford przy jajkach przepiórczych. — Wiem, że cię zawiodłem, wiem, że jestem chamem i łobuzem, ale widzisz, zakochałem się. — Tu podniósł

na nią niebieskie oczy, a ponieważ swoje miała zakryte, bezceremonialnie zsunął jej z nosa okulary.

— Masz zaczerwienione oko — zauważył. — To przykre. Coś w ruchu jego ręki, w dotyku, w słowach kazało jej sądzić, że może on i jest zakochany w kimś innym, ale to nie załatwia spraw między nimi. Miała rację.

— Na czym stoimy? — spytała, zakrywając jedną ręką feler-ne oko, drugą zeskrobując odrobinę tuczącego majonezu z jajka.

Clifford powiedział, że i tak jest za chuda. W jego łóżku okrywała się starannie czarnym prześcieradłem i miała po temu powody. (Szcupła sylwetka nie weszła jeszcze w modę. Wzór żeber widoczny pod skórą był nader szpetny.) Helen, całkowicie pewna swego ciała, mogła odsłonić dowolną jego część, w dowolnej pozycji. Jednak powściągliwość Angie nie była pozbawiona uroku.

— Co powiesz na przyjaźń? — zapytał.

— To znaczy, nie chcesz, żeby mój ojciec wycofał swoje miliony z Leonarda.

— Jak dobrze mnie znasz! — powiedział i roześmiał się, patrząc jej prosto w twarz jasnymi mądrymi oczami. Tym razem odsunął rękę, którą zakrywała oko, a jej serce fiknęło koziołka, tylko co z tego?

— To będą kiedyś moje miliony — powiedziała Angie. — Nie podoba mi się, że są ulokowane w Leonardzie. Sztuka to bardzo ryzykowny interes.

— Już nie — odparł Clifford Wexford. — Nie teraz, kiedy ja jestem u steru.

— Cliffordzie, nie jesteś.

— Będę — powiedział Clifford.

Uwierzyła mu. Przed drzwiami „Claridges” kłębił się teraz dum fotoreporterów. Spróbowali uwiecznić gołe nogi Angie, a kiedy im się to nie udało, przerażonego szefa sali; kelnerzy zastąpili im drogę. Clifford był pod wrażeniem. Rozgłos zawsze tak na niego działał.

Angie została wynagrodzona. Cóż, pomyślała, tylko patrzeć, jak Clifford znudzi się nową zdobyczą. Helen nie ciągnie za sobą ogona paparazzich, a ja tak. Helen, córka ramiarza. Ot, jeszcze jedna ładna buzia! Bez pieniędzy, bez władzy, bez własnego miejsca na świecie. Clifford wkrótce się znudzi. Czy powinna

powiedzieć coś jadowitego, paskudnego o swojej rywalce? Nie. Clifford był zbyt bystry. Przejrzy ją. Musi obrać inną drogę.

— To słodka, śliczna dziewczyna — powiedziała — jakby dla ciebie stworzona. Choć musisz popracować nad jej stylem ubierania. Nie powinna pokazywać się w aż tak siermiężnych sukienkach. Ale poddaję się. Zostanę waszą przyjaciółką.

Recenzje z wystawy Boscha były naprawdę doskonałe, Cliffordzie. Przyznaję, że mogłam się mylić. Zadzwoń do taty i go uspokoję.

Clifford wstał, obszedł stół, ujął w dłonie jej bladą twarz z czerwonym okiem i pocałował ją mocno w usta. To była jej nagroda. Niewiele, ale zawsze coś. Resztę, wszystko to, co jej się należy, co zostało jej przyrzeczone, odbierze później, w stosownym czasie. Uznała, że nie musi się spieszyć. Poczekaj — parę dziesiątków lat, jeżeli będzie trzeba.

Podczas gdy Angie jadła lunch z Cliffordem, Evelyn zadzwoniła do Helen.

— Och, mamo! — zawołała Helen z wdzięcznością. — Myślałam, że się mnie wyrzekłaś.

— Pomyślałam sobie, że powinnaś wiedzieć, w jakim stanie jest twój ojciec.

Wyszedł z garażu i jest teraz na strychu, tnie obrazy ogrodowymi nożycami. *Lis plus kawałki kurczaka* jest w strzępach. Zrzucił ze schodów część *Zdechłego wieloryba i szakala*. Będzie taki wściekły, kiedy się uspokoi i zrozumie, co zrobił. Wieloryba malował dwa lata. Pamiętasz, Helen? Przez pierwsze dwa lata twoich studiów.

— Myślę, że powinnaś iść do sąsiadów, mamo, poczekać, aż on się uspokoi.

— Sąsiedzi nie mogą już na mnie patrzeć.

— Nonsens, na pewno mogą.

— Twojemu ojcu nie wolno się denerwować.

— Mamo, nie rozumiesz, że jestem tylko pretekstem dla jego zdenerwowania, nie jego przyczyną?

— Nie, Helen. Obawiam się, że nie potrafię tak na to spojrzeć. O trzeciej piętnaście Helen zatelefonowała, cała we łzach, do

Leonarda i zostawiła wiadomość dla Clifforda, żeby natychmiast zadzwonił do domu. Ale Clifford wrócił do biura dopiero o piątej. Drogi Czytelniku, nie chcę wnikać w to, co robił między drugą a piątą. Naprawdę sobie tego nie zaplanował.

Powiem tylko,

że Angie wynajmowała apartament w „Claridges”, że przydawał się bardzo, kiedy robiła zakupy na Bond Street — jej dom w Belgravii był zbyt oddalony od centrum wydarzeń, a kamerdyner śledził jej poczynania z nadmierną gorliwością — oraz że cztery piąte miłosnych schadzek ma miejsce tylko dlatego, że nadarzyła się po temu okazja. Clifford czuł, że powinien wynagrodzić Angie poniesione straty, poza tym hordy fotoreporterów deptające jej po piętach zrobiły na nim większe wrażenie niż kiedykolwiek miliony jej ojca. I był zakochany od tak niedawna, że miłość nie zdołała jeszcze wykorzenić starego nawyku dogadzania sobie, kiedy nadarzy się po temu okazja.

O piątej trzydzięci zareagował jednak żywo, nie tyle na łzy Helen, co jej relację z wydarzeń w domu. *Lis plus kawałki kurczaka* był drugorzędnym płótnem, natomiast *Zdechły wieloryb i szakal*, choć odrażający z racji poruszanego tematu — gnijące mięso rozciągnięte w połyskliwych pasmach przez całą szerokość płótna — był arcydziełem i Clifford nie miał zamiaru dopuścić, by stał się obiektem zniszczenia. W ciągu godziny jego prawnicy dopadli sędziego Percibara — elokwentny Percibar był wieloletnim przyjacielem Ottona Wexforda, ojca Clifforda — i uzyskali papier zakazujący Johnowi Lally'emu niszczenia własności Leonarda. Okazało się, że artysta pobrał zaliczkę od wspomnianej instytucji. Następnego ranka pod Applecore Cottage zajechał wóz policyjny i ciężarówka. Siedem płócien Johna Lally'ego zostało przewiezionych do piwnic Leonarda — w tym także skrawki *Lisa* odnalezione w ogrodzie — i skatalogowanych jak następuje:

- 1) *Zdechły wieloryb i szakal* — zniszczony
- 2) *Masakra żółwi* — w doskonałym stanie
- 3) *Święty Piotr i kulawy u bram niebios* — zadrapany
- 4) *Uczta dla oczu* — poplamiony (kawa?)
- 5) *Kociak z ręką* — poplamiony (ptasie odchody?)
- 6) *Martwy kwiat* — w doskonałym stanie
- 7) *Pejzaż kości* — pocięty
- 8) *Lis plus kawałki kurczaka* — resztki

Obrazy wyniesiono, gdy John Lally odsypiał efekty wstrząsu nerwowego, przepracowania, furii i domowego wina. Evelyn



próbowała go obudzić, kiedy ekipa Leonarda wędrowała tam i z powrotem po wąskich schodach na strych, manewrując wielkimi płótnami, ale Lally spał jak kamień. Zostawiła mu kartkę i poszła do sąsiadów.

Drogi Czytelniku, jeżeli znasz jakiegoś artystę, choćby amatora, lub jeśli sam możesz farbami po płótnie, wiesz, jak strasznie przeżywa malarz rozstanie z obrazem, cierpi zupełnie tak samo, jak matka rozstająca się z dzieckiem. To stawia malarza przed wielkim dylematem. Jeżeli nie sprzedaje, nie tylko nie je, ale zamienia dom w składowisko obrazów. Istnieje bowiem ogromny, praktyczny problem przestrzeni — gdzie trzymać obrazy? Jeżeli sprzedaje, a tym samym zapewnia sobie przestrzeń, czuje się tak, jakby odrywano mu rękę albo nogę. A ten niepokój duchowy? Do jakiego domu trafi obraz? Czy kupiono go dlatego, że się naprawdę podoba, czy dlatego, że harmonizuje z tapetą? Rzecz jasna John Lally nie miał podobnych problemów. Nikt nigdy nie kupił jego obrazu dlatego, że do czegoś pasował. Lally jest tak zwanym malarzem muzealnym, należy go wystawiać na połaciach nagich ścian w miejscach publicznych, gdzie ciche okrzyki grozy, wstrętu i niesmaku zostają szybko zdławione przez ciepłe, miękkie duszne opary muzealnych sal. („Jaki los czeka moje obrazy!” — grzmiał John Lally. *Kociak z ręką* — palce zakończone szczękami, łapy z paznokciami — zawisł między dwoma sosnami w ogrodzie Applecore Cottage. Lepiej, żeby podziwiały go ptaki niż pełzające po ziemi istoty ludzkie, niezdolne docenić arcydzieła.) Co się tyczy prywatnych galerii, to był zdania, że są one dołami kloacznymi świata artystycznego, a prowadzą je niewybredni hultaje, którzy każą sobie płacić pięćdziesiąt procent prowizji. Wystarczy pójść na pierwsze lepsze otwarcie, by spotkać farbowanych znawców demonstracyjnie wypisujących czeki. Z dwójga złego John Lally wolał już oddawać swoje obrazy przyjaciołom za darmo. Wtedy wiedział przynajmniej, kto je ma, na czyich wiszą ścianach. Przyjaciołom? Jakim przyjaciołom? Odstraszał ich swoimi atakami furii szybciej, niż zdobywał okazjonalnym wdziękiem. Niewiele osób posiadało kwalifikacje, by zostać odbiorcą dzieł Johna Lally'ego. Doprowadzony do szału niemożliwością rozwiązania tego problemu, John Lally zgodził się przyjąć zaliczkę od Leonarda. Leonardo (znaczy się

Clifford Wexford) wyświadczył mu parę innych przysług: przejął z jego rąk kilka płócien, wyremontował garaż i założył w nim klimatyzację, wybił okna w dachu, żeby wpuścić na strych dobre, naturalne północne światło. Nic się nie stanie, jeżeli John Lally zdecyduje się malować w garażu, a składać obrazy na strychu. Ale jeżeli John Lally zbliży się do swoich płócien z nożycami ogrodowymi, Leonardo wkroczy i zażąda zwrotu tego, co dzięki niemal niewidocznemu gołym okiem dopiskowi w umowie z Wexfordem należy się prawnie Leonardowi.

A John Lally ufał Cliffordowi, jednocześnie nienawidząc go i pogardzając nim, ponieważ mimo wszystko Clifford miał właściwe podejście do jego pracy i Lally był pewien, że cokolwiek się zdarzy, Wexford nie zrobi tego, co inni kolekcjonerzy — nie zamknie obrazu w sejfie. Dla każdego malarza było to równoznaczne z utratą wzroku i słuchu.

A teraz Clifford to właśnie zrobił. I nie po to, zrozumiał John Lally, kiedy już ocknął się z letargu i stwierdził zniknięcie obrazów, żeby ocalić płótna — przetrwały już niejedną taką burzę, zresztą tnąc *Lisa plus kawalki kurczaka* pracował już nad jego udoskonaloną wersją — ale żeby się zemścić. John Lally, zubożały malarz rozbijający drzwi sypialni Clifforda Wexforda, napadający na niego o brzasku — nie, takich rzeczy się nie zapomina i nie wybacza! Oto dlaczego osiem znakomitych obrazów zniknęło w piwnicy Leonarda. Clifford zaś uśmiechnął się i powiedział: „To dla dobra Johna Lally'ego”, po czym jeszcze raz rozłożył jego białą córkę na satanicznych prześcieradłach. Była to kara dla malarza.

Upłynęło piętnaście dni, zanim Evelyn odważyła się przemknąć chyłkiem do Applecore Cottage, i trzy miesiące, zanim życie wróciło do stanu, który można by nazwać normalnym. John Lally malował *Gwałt przez Sabinki*, w którym przedstawił te ostatnie jako nienasycone harpie. Głupi pomysł, ale dobrze wykonany. John Lally namalował je na ścianie kurnika, co dawało pewność, że nie skończą w piwnicy Leonarda. Wolał, żeby zniszczył je deszcz.

### *Dziedzictwo malej Nell*

Już od sześciu tygodni mała Neli rosła bezpiecznie i spokojnie w łonie Helen. Odziedziczyła co najmniej część artystycznego talentu dziadka, pozostawiając mu w całości jego charakter i nerwice. Po babce wzięła całą jej słodycz bez skłonności do masochizmu, który tak często idzie w parze z łagodnością. Miała dowcip i energię swojego ojca bez jego skłonności do krętaństw. Wszystko wskazywało na to, że odziedziczy urodę po matce, ale w przeciwieństwie do Helen uważała, że kłamstwo leży poniżej jej godności. Czysty fart nie tylko dla Neli, ale i dla nas — dla wszystkich, którzy zetknęli się z nią w późniejszych latach. Ale nasza Neli miała jeszcze jedną cechę — zdolność pakowania się w najbardziej niesamowite, groźne sytuacje i przyciągania najbardziej niepożądanych osobników. Może miała to zapisane w gwiazdach, może była to scheda po Ottonie, ojcu Clifforda, którego dzieciństwo upłynęło pośród niebezpieczeństw, a może, jak powiedziała by moja matka: tam gdzie jest anioł, musi być i diabeł. Zło okrąża dobro, zacieśnia pierścień coraz bardziej, jakby próbowało je wchłonąć. No cóż, sami musicie osądzić, czytając historię Neli. Jest to opowieść wigilijna, a w święta Bożego Narodzenia powinno się wierzyć w dobro, nie w zło, wierzyć, że dobro w końcu zwycięży. Helen przypuszczała, że ktoś narodził się w jej ciele. Kręciło jej się w głowie, miała mdłości, a piersi były nabrzmiące i tak obolałe, że ani na chwilę nie mogła zapomnieć, że je ma, co udaje się większości kobiet, dopóki nie zajdą w ciążę. Helen wmawiała sobie, że wszystkie te symptomy można przypisać miłości i niczemu więcej. Prawdę mówiąc, Helen nie chciała być w ciąży. Jeszcze nie teraz. Miała tyle do zrobienia, zobaczenia, poznania, przemyślenia w tym świecie, w którym nagle pojawił się Clifford.

Zresztą czy ona, Helen, sama ledwo zadomowiona w tym świecie, może sprowadzać na niego kogoś jeszcze? I czy Clifford będzie ją kochać, kiedy stanie się chora, gruba, płaczliwa — jak jej matka podczas ostatniej katastrofalnej ciąży, zaledwie pięć lat temu? Poroniła, strasznie i krwawo, co nappełniło Helen okrop-

nym żalem i wielką ulgą. John Lally siedział i trzymał matkę za rękę z tkliwością, jakiej nie widziała u niego nigdy przedtem. Helen poczuła zazdrość i postanowiła, że opuści dom. Pójdzie do szkoły plastycznej. Ucieknie. Ucieknie!...

Chciała zapomnieć o przeszłości, kochać Clifforda i przygotować się na wspianą przyszłość, a nie rodzić dzieci. Ponieważ Clifford poprosił ją o rękę. Czy naprawdę poprosił? Podczas jednej z tych uroczych zaczarowanych nocy, trochę lepkich, trochę jedwabistych, w połowie aksamitnoczarnych, w połowie rozjaśnionych blaskiem lampy, powiedział: „Muszę zawiadomić moich rodziców. Będą domagali się jakiejś ceremonii ślubnej, tacy już są”, i w ten zdawkowy sposób załatwił sprawę. Ponieważ było oczywiste, że rodzice panny młodej nie są zdolni zorganizować absolutnie nic, weselem i całą resztą mieli się zająć rodzice pana młodego. Nie mówiąc o tym, że dochód Wexfordów przewyższał dochód Lallych w stosunku sto do jednego czy jakoś tak.

— Może powinniśmy wziąć cichy ślub — powiedziała Helen do żony Ottona, Cynthii.

Clifford zawiózł Helen do rodzinnego domu w Sussex, aby przedstawić ją rodzicom i zawiadomić ich o ślubie, wszystko naraz. Porywczy chłopak! Dom z czasów króla Jakuba I stoi na dwunastu akrach. Nazywa się Dannemore Court, Czytelniku! Jego ogrody udostępniane są zwiedzającym raz do roku. Może widzieliście je kiedyś. Słyną z azalii.

— Ale dlaczego? — zapytała Cynthia. — Nie ma się czego wstydzić! A może jest?

— Cynthia miała pięćdziesiąt lat, wyglądała na czterdzieści, a zachowywała się jak trzydziestolatka. Była drobna, ciemna, elegancka, pełna życia i nieangielska, mimo wszystkich swoich tweedów.

— Och, nie! — odparła Helen, choć dwukrotnie musiała iść w nocy do łazienki, a w tamtych czasach, przed wynalezieniem pigułki, objawy ciąży były doskonale znane każdej młodej kobiecie. Przedmałżeńska ciąża uznawana była w większości środowisk za rzecz wstydliwą.

— Więc zrobmy tyle szumu, ile się da wokół tak ważnego wydarzenia — powiedziała Cynthia. — I zapomnijmy o tym, kto płaci. Cała ta etykieta jest niezwykle napuszona i nudna, nie uważasz?

Rozmowa miała miejsce w salonie po lunchu. Cynthia układała świeżo zerwane wiosenne kwiaty w wazonie i Helen nie mogła się oprzeć myśli, że dbałość o kwiaty bardziej leży Cynthii na sercu niż dobro syna.

Ale później Cynthia powiedziała do Clifforda:

— Kochanie, czy na pewno wiesz, co robisz? Nigdy dotąd nie byłeś żonaty, a jesteś taki młody i to wydarzyło się tak nagle.

— Wiem, co robię — odparł Clifford, wdzięczny za troskę. Rzadko ją okazywała.

Była zawsze zajęta: zaspokajaniem

potrzeb ojca, układaniem kwiatów w wazonach, tajemniczymi rozmowami telefonicznymi, strojeniem się i wybieganiem z domu. Ojciec uśmiechał się z sympatią patrząc w ślad za nią, cieszyło go szczęście żony. W ich związku nie było miejsca dla Clifforda ani wtedy, ani teraz. Nie zrobili mu szparki między sobą.

Wyparli go.

— Z tego co wiem o mężczyznach — powiedziała Cynthia (i Clifford pomyślał ze smutkiem, że ta wiedza jest obszerna) — kiedy mężczyzna mówi, że wie, co robi, jest akurat odwrotnie.

— Ona jest córką Johna Lally'ego — zauważył Clifford. — A on jest jednym z największych malarzy w tym kraju. Jeśli nie największym.

— Nigdy o nim nie słyszeliśmy — powiedziała Cynthia. Na ścianie jej salonu wisiał jeden Manet i ładna kolekcja

rysunków Constable'a. Otto Wexford był dyrektorem gorzelni. Czasy ubóstwa Wexfordów należały do odległej przeszłości.

— Pewnego dnia usłyszysz — powiedział Clifford. — Jeżeli będzie to ode mnie zależało.

— Kochanie! — powiedziała Cynthia. — Malarze są wielcy, ponieważ mają wielki talent, nie dlatego że ty czy Leonardo przyznacie im wielkość. Nie jesteś Bogiem.

Clifford uniósł brwi i powiedział:

— Nie? Mam zamiar przejąć Leonarda, a to w świecie Sztuki czyni ze mnie Boga.

— Cóż — odparła Cynthia — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ktoś taki jak Angie Wellbrook, z paroma kopalniami złota w zanadrzu...

— Sześcioma — uściślił Clifford.

— ...byłby mniej, powiedzmy, zaskakujący. Co nie znaczy, że ta twoja Helen nie jest słodka.

Uzgodniono, że wezmą ślub w dniu świętego Jana, w wiejskim kościółku (anglonormańskim), przyjęcie odbędzie się pod markizą, na trawniku, jakby Wexfordowie byli właścicielami ziemskimi.

Którymi oczywiście nie byli. Otto Wexford, budowniczy, uciekł ze swoją żoną, Żydówką Cynthią, i małym synem z Danii do Londynu w 1941 roku. Pod koniec wojny — którą Cynthia spędziła w fabryce amunicji, w chustce na głowie, podczas gdy Clifford miotał się jak obłąkany po całym Somerset — Otto został majorem wywiadu i zyskał wielu wpływowych przyjaciół. Rodzina nigdy się nie dowiedziała, czy naprawdę porzucił służbę w wywiadzie, w każdym razie zrobił błyskotliwą karierę w powojennym świecie finansów i budownictwa. Był teraz niezwykle bystrym człowiekiem posiadającym majątek i władzę; trzymał rolls-royce'a w garażu, konie w stajniach wiejskiego domu w stylu georgiańskim, a jego żona jeździła na polowania i romansowała z okoliczną arystokracją. Mimo to nigdy nie zostali uznani za „swoich”. Mieli zbyt błyszczące oczy, byli zbyt żywiołowi, czytali powieści i mówili zaskakujące rzeczy. Gość zaproszony na podwieczorek nigdy nie mógł być pewien, że nie zostanie w salonie stajennego, rozprawiającego w najlepsze. A jednak nikt nie odrzucił zaproszenia na wesele. Wexfordowie byli lubiani, a młody Clifford Wexford — zabawny, choć zbyt błyskotliwy, żeby mogło mu to wyjść na dobre — miał już wyrobione nazwisko. Dlaczego mieliby nie przyjść? Szampana będzie w bród, a jedzenie dobre, choć nieangielskie.

— Mamo — zapytał Clifford Cynthię w niedzielę rano. — Co ojciec mówi o Helen? Jak dotąd Otto nie wypowiedział swojego zdania. Clifford czekał na ojcowską aprobatę lub dezaprobatę, ale się nie doczekał. Otto był przyjacielski, uprzejmy, pełen troski, jakby Clifford był dzieckiem bliskich przyjaciół, nie jego jedynym synem.

— Dlaczego miałby mówić cokolwiek? Jesteś dorosły i decydujesz o sobie.

— Uważa, że Helen jest atrakcyjna? — To było złe pytanie. Nie wiedział, dlaczego je zadał. Tylko ojciec potrafił wprawić Clifforda w stan zagubienia.

— Kochanie, pytasz niewłaściwą osobę — powiedziała Cynthia i Clifford zrozumiał, że obraził również ją.

Choć była radosna, roztrzępana i czarująca przez cały dzień, Bóg raczy wiedzieć, co naprawdę myślała. Otto pojechał na polowanie: Cynthia została w domu specjalnie po to, by okazać względy Helen.

— Ten dom to atrapa — pożalił się Clifford Helen w nocy z niedzieli na poniedziałek. Wyjeżdżali następnego ranka.

Cynthia położyła ich w oddzielnych sypialniach, ale w tym samym korytarzu, więc naturalnie Clifford przyszedł do pokoju Helen, jak się tego spodziewała Cynthia.

— Jest nieprawdziwy. To nie jest dom. To dekoracja. Wiesz, że mój ojciec jest szpiegiem?

— Tak mi powiedziałaś. — Ale Helen trudno było w to uwierzyć.

— No i co? Jak on ci się podoba? Uważasz, że jest atrakcyjny?

— Jest twoim ojcem. Nie myślę o nim w ten sposób. Jest stary.

— No dobrze. Czy on uważa ciebie za atrakcyjną?

— Skąd mam wiedzieć?

— Kobiety zawsze to wiedzą.

— Wcale nie.

Pokłócili się o to, czy wiedzą czy nie wiedzą, i Clifford wrócił do swojego pokoju nie kochając się z Helen. Zresztą i tak nie miał zamiaru się kochać, choć jego matka wyraźnie tego oczekiwała, umieszczając ich w oddzielnych sypialniach, ale blisko siebie. Clifford był obrażony na Cynthię i zirytowany na Helen.

Ale wczesnym rankiem Helen wślizgnęła się do jego pokoju. Śmiała się i żartowała, nie zważając na jego dąsy, które tak ją onieśmiały w pierwszym okresie znajomości, i Clifford zapomniał, że jest zły. Spodziewał się, że Helen da mu to, czego nie dali mu jego rodzice, to znaczy poczucie spokoju i bliskości. Nie będzie szeptala za jego plecami, nie będzie przeciwko niemu spiskowała. A kiedy przyjdą na świat dzieci, on zadba o przestrzeń dla nich między sobą a Helen. Tymczasem Cynthia i Otto, przytuleni do siebie w białym łóżku w wielkiej sypialni rodowej, rozmawiali.

— Powinieneś okazać mu więcej zainteresowania — powiedziała Cynthia.

— Mógłby być mniej niecierpliwy, zawsze się niecierpliwi — powiedział Otto, który parł przez życie powoli, spokojnie i zdecydowanie.

— Taki już się urodził — zauważyła Cynthia. Dokładnie dziewięć miesięcy po tym, jak poznali się jego

rodzice, jakby chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko nagłości i dziwaczności tego wszystkiego. Jego matka okazała się siedemnastoletnią wyklętą córką bogatego bankiera, ojcem: dwudziestoletni przedsiębiorca budowlany. Otto stał na drabinie i wymieniał szybę w konserwatorium, spojrzął w dół na Cynthię, która patrzyła w górę, i stało się. Żadne z nich nie brało pod uwagę dziecka i mściwej zemsty rodziny, która postawiła sobie za punkt honoru sprzątnąć Ottonowi wszystkich klientów sprzed nosa i skazać Cynthię na nędzę i wieczną tułaczkę. Nikt nie brał również pod uwagę okrucieństw niemieckiej okupacji, deportacji i mordowania Żydów. Rodzina Cynthii wyjechała do Ameryki. Cynthia i Otto zeszli do podziemia, dołączyli do ruchu oporu, oddawszy Clifforda w dobre ręce sąsiadów. Potem cała trójka została przerzucona do Anglii, gdzie Otto miał większe pole działania. Nigdy nie uwolnili się od nałogu konspiracji. Romanse Cynthii miały z tym wiele wspólnego. Otto godził się na nie ze spokojem. Nie przynosiły mu ujmy, były po prostu przejawem nałogowej skłonności do spiskowania. On otrzymywał swoją dawkę intryg w MI 5. Gdzie miała ją otrzymywać Cynthia?

— Wolałbym, żeby znalazł sobie solidniejszy zawód — powiedział Otto. — Handlarz obrazów! Sztuka nie jest po to, żeby na niej spekulować.

— Miał ciężkie dzieciństwo — rzekła Cynthia. — On czuje, że musi walczyć, żeby przeżyć, a to oznacza, że musi spiskować. Bierze przykład z nas, to właśnie robiliśmy, a on na nas patrzył.

— Jest dzieckiem pokoju — odparł Otto. — To my byliśmy dziećmi wojny. Dlaczego tak się dzieje, że wytwory pokoju są zawsze takie nijakie!

— Nijakie?!

— On nie ma zasad moralnych, poglądów politycznych, zżera go egoizm.



— O Boże! — powiedziała Cynthia, ale nie zaprzeczyła. — Cóż, mam nadzieję, że ta dziewczyna da mu szczęście. Uważasz, że jest atrakcyjna?

— Wiem, co on w niej widzi — powiedział Otto ostrożnie.

— Ale ona narobi mu kłopotu.

— Jest łagodna i naturalna, zupełnie inna niż ja. Będzie dobrą matką. Cieszę się na wnuki. Może okażemy się lepszymi dziadkami niż rodzicami.

— Długo na to czekaliśmy.

— Mam tylko nadzieję, że on się usatkuje.

— Jest zbyt niespokojny, żeby się usatkować — powiedział Otto i oboje usnęli. Helen popłakała sobie trochę, kiedy wróciła do domu Cliffor-da i do jego łóżka.

— Co się stało? — zapytał.

— Po prostu chciałabym, żeby moi rodzice przyszli na ślub

— odpowiedziała.

Ale w głębi serca była zadowolona, że nie przyjdą. Ojciec zrobiłby scenę, matka pojawiłaby się w niebieskiej bawełnianej sukni, z oczami zaczerwienionymi po ostatniej awanturze. Nie. Lepiej o nich zapomnieć. Gdyby tylko nie czuła się rano taka chora! Nadal tłumaczyła to sobie na różne sposoby: zmianą stylu życia, nocami szalonego seksu, kolacjami w restauracjach. Była przyzwyczajona do głodowych studenckich racji i stałego zestawu obiadowego Evelyn (wołowina, fasola, przy odrobinie szczęścia — nerek). W tamtych czasach nie wynaleziono jeszcze błyskawicznych testów ciążowych. Była za to ropucha, której wstrzykiwano twój mocz i która składała jajka, i umierała czterdzieści osiem godzin później, jeżeli byłaś w ciąży, albo składała jajka i przeżywała, jeżeli nie byłaś. No i istniała pokątna operacja, do której przeżycia potrzebowałaś jeszcze więcej szczęścia niż ropucha. Nie mówiąc o tym, że samo zamartwianie się może zakłócić cykl i namieszać ci w głowie. Co za czasy, Czytelniku! Ale karą za błąd w obliczeniach były wtedy narodziny, a nie przykra i nie-chwalebna śmierć. Upłynął kolejny miesiąc i Helen nie mogła już ukrywać przed samą sobą, że naprawdę jest w ciąży, że wcale nie chce być i że nie chce, by Clifford się o tym dowiedział, nie mó-

więc już o rodzicach. Aby poddać się legalnej aborcji, musiałaby przekonać lekarzy (co najmniej dwóch), jak druzgocący wpływ wywrze ciąża na jej znakomite zdrowie psychiczne i fizyczne. Nie będzie mogła zwierzyć się przyjaciołom, ponieważ im nie ufa, ojciec zabije ją, kiedy się dowie, a matka zwyczajnie popełni samobójstwo. Myśli wirowały jej w głowie. Wydawało się, że nie ma osoby, do której mogłaby się zwrócić po radę i pomoc, kiedy przypominała sobie o Angie.

Drogi Czytelniku, uważasz prawdopodobnie, że Helen dostała to, na co zasłużyła: pomoc kobiety, która życzyła jej wszystkiego najgorszego, choć potrafiła to świetnie ukryć, wydając przyjątko na cześć pięknej młodej pary, gawędząc z Helen przez telefon, polecając fryzjerki — ale błagam cię, Czytelniku, wykaż odrobinę zrozumienia i spróbuj wybaczyć Helen jej niechęć do poczętego dziecka, naszej ukochanej Neli.

Helen była młoda i było to jej pierwsze dziecko. Nie wiedziała, o czym wiedzą matki, co od siebie odtrąca. Kobietom bezdzielnym łatwiej pogodzić się z myślą o przerwaniu ciąży. Więc proszę, nie potępiaj Helen. Wybacz jej. Z czasem nabierze rozumu, zapewniam cię, Czytelniku.

### ***Po pomoc do Angie***

Któregoś ranka Helen podniosła się ze śnieżnobiałego łóżka trzymając się za płaski brzuch, źródło swej męki, i zadzwoniła do Angie.

— Angie — powiedziała. — Czy mogłabyś przyjść? Muszę z kimś porozmawiać. Angie przyszła. Weszła na schody i do sypialni, gdzie spędziła cztery pamiętne, choć mało satysfakcjonujące noce z Clif-fordem. Cztery noce w ciągu siedmiu miesięcy bycia razem, no, może niezupełnie razem, ale z nadzieją, że nastąpi to wkrótce.

— Co się stało?

Helen była zbyt chora, by porządnie zawiązać brązowy jedwabny szlafrok, i Angie zauważyła, że białe pełne piersi Helen

są pełniejsze niż zwykle, niemal zbyt pełne. Choć raz w życiu poczuła dumę z szykownej skromności własnych i pewność, że jeżeli właściwie rozegra tę partię, zdobędzie Clifforda.

Helen nie odpowiedziała. Rzuciła się na łóżko okryte futrzaną narzutą. Leżała skulona i rozczochrana, ale ciągle piękna, i szlochała.

— Może chodzić tylko o jedno — powiedziała Angie. — Jesteś w ciąży. Nie chcesz tyć i boisz się powiedzieć Cliffordowi.

Helen nie próbowała zaprzeczyć. Angie ubrana była w czerwone elastyczne spodnie, a Helen nie miała nawet sił, by podziwiać jej odwagę. Elastiki przy takich nogach!

— Nie chcę dziecka — wykrztusiła przez łzy. — Nie teraz. Jestem za młoda. Nie wiedziałabym, co z nim zrobić.

— To, co każda rozsądna kobieta robi z dzieckiem — powiedziała Angie. — Oddaje je niańce.

W świecie Angie matki faktycznie tak robiły. Ale choć Helen miała dopiero dwadzieścia dwa lata i była egoistyczna i nieodpowiedzialna jak każda ładna samowolna dziewczyna w jej wieku, wiedziała na temat matek i dzieci więcej niż Angie. Wiedziała, że oddanie dziecka niańce nie jest takie proste. Dziecko wyciąga miłość z matki jak urodzinową serpentynę z pudełka, a obowiązki wynikające z tej miłości mogą wywrócić życie matki do góry nogami, uczynić z niej istotę równie zdesperowaną, brutalną i impulsywną jak każde dzikie zwierzę.

— Proszę, pomóż mi, Angie! — powiedziała Helen. — Nie mogę mieć dziecka. Nie wiem dokąd pójść, a zresztą aborcja kosztuje, a ja nie mam pieniędzy.

Faktycznie nie miała, biedactwo. Clifford nie należał do mężczyzn, którzy zakładają kobiecie, nawet swojej narzeczonej, konto w banku i nie żądają rachunku za każdego wydanego pensa. Clifford jadał w najlepszych restauracjach, ponieważ lubił się pokazać, spał w najdroższej, najlepszej pościeli, ponieważ lubił komfort, ale prowadził skrupulatne rachunki. Sprawa aborcji musiała zostać załatwiona za jego plecami. Helen wpakowała się w niezłe tarapaty! Przypominam, mamy lata sześćdziesiąte! Niezameżna dziewczyna w ciąży mogła liczyć tylko na własne siły, żadnej Poradni Świadomego Macierzyństwa, żadnej pomocy finansowej od państwa, na każdym kroku kłopoty. Najlepsza przy-

jaciółka Helen, siedemnastoletnia Lily, przeszła udaną na pozór skrobankę, ale po dwóch dniach została odwieziona do szpitala z podejrzeniem infekcji. Przez sześć godzin trwała między życiem a śmiercią. Helen siedziała po jednej stronie jej łóżka, a policjant po drugiej. Czekał, żeby oskarżyć Lily o spowodowanie nielegalnej aborcji. Lily umarła, unikając kary. Co najmniej dwa lata za kratkami — powiedział policjant — na tyle właśnie zasługuje. Proszę pomyśleć o biednym dziecku! powiedział. Ale Helen mogła myśleć tylko o biednej Lily. Teraz była przerażona, bała się mieć dziecko i bała się go nie mieć.

Angie przeprowadziła szybką kalkulację. Była ubrana w modne spodnie, ale nie miała (jak już wiemy) najlepszych nóg pod słońcem. Były pękate w kolanach i koślawe w kostkach, a jeżeli chodzi o twarz, cóż, odważny makijaż, modny w tamtych czasach, nie dodawał jej urody, gorące południowoafrykańskie słońce pogrubilo jej skórę, nadało jej jakiś szary odcień, a nos miała wydatny i mięsisty. Tylko oczy były wielkie, zielone i piękne. Helen, zwiniętą na łóżku, splakana i nieszczęśliwa, miękka, jasna i kobieca, otulająca się bezskutecznie szlafrokiem (nagle o numer za małym) i aż nazbyt piękna, obudziła w Angie chęć zemsty. To naprawdę niesprawiedliwe, że niektóre kobiety są ładne, a inne nie. Musicie to przyznać.

— Kochana Helen — powiedziała Angie. — Oczywiście, że ci pomogę! Znam adres. Doskonała klinika. Znają ją dosłownie wszyscy. Klinika de Waldo. Pożyczę ci pieniędzy. Musisz to zrobić. Clifford nie życzyłby sobie, żebyś brała ślub w ciąży. Wszyscy myśleliby, że żeni się z tobą, bo musi! Zresztą ma to być biały ślub, prawda? A wtedy dosłownie wszyscy patrzą na obwód talii!

Dosłownie wszyscy, dosłownie wszyscy! To może przerazić każdego!

Angie zawiozła Helen do Kliniki de Waldo jeszcze tego samego popołudnia. Helen miała pecha. Tak jak przewidywała Angie, dostała się pod opiekę niejakiego doktora Runcorna, niskiego pękatego lekarza w okrągłych okularkach. Gapił się przez nie na najintymniejsze części ciała Helen, a jego krótkie grube palce bładziły po jej bezbronnych piersiach. Co mogła biduła na to poradzić? Nic. Wydawało się jej, że przekraczając progi Kliniki de

Waldo wyrzekła się godności, prywatności i honoru. Czowała, że nie ma prawa odepchnąć ręki doktora Runcorna. Zasługiwała na tę lepką zniewagę. Czyż nie pozbywała się dziecka Clifforda bez jego wiedzy? Czyż nie łamała prawa? Nękało ją poczucie winy, żenowały zażawione oczka doktora Runcorna.

— Nie chcemy, żeby mały intruz siedział tam dłużej niż to absolutnie konieczne — powiedział doktor Runcorn swoim świszczącym nosowym głosem. — Jutro rano o dziesiątej przywrócimy cię do normalnego stanu. Taka ładna dziewczyna nie powinna tracić ani dnia ze swojej młodości.

Mały intruz! Cóż, doktor Runcorn nie był wcale daleki od prawdy. Helen traktowała Neli jak intruza. Ale skuliła się słysząc to słowo. Nic nie powiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej los zależy od dobrej woli doktora Runcorna. Jego klinika była zawsze pełna niezależnie od kwoty, jakiej żądał za swoje usługi. Jeżeli zgodzi się „obrobić” ją jutro rano, a nie na przykład za cztery tygodnie, mogła uznać się za szczęściarę. Po raz pierwszy w życiu Helen zrozumiała znaczenie słowa „konieczność”, po raz pierwszy naprawdę cierpiała, i to w milczeniu.

— Następnym razem kiedy wybierzesz się na przyjęcie, panienko — powiedział doktor Runcorn — przypomnij sobie o mnie i zachowuj się grzecznie. Byłaś bardzo niedobrą dziewczynką. Zostaniesz na noc w klinice, żebyśmy mogli mieć cię na oku. Była to straszna noc. Helen nigdy jej nie zapomniała. Gruba żółta wykładzina, bladozielone umywalki, telewizor i słuchawki radiowe nie mogły ukryć natury miejsca, w którym się znalazła. Na dodatek musiała zadzwonić do Clifforda i powiedzieć mu kolejne kłamstwo.

Dochodziła szósta. Clifford był u Leonarda i negocjował z delegacją galerii Uffizi kupno obrazu anonimowego malarza ze szkoły florenckiej. Clifford miał przecucie, że obraz namalował Botticelli, prawdę mówiąc, dałby sobie za to rękę uciąć, i przepłacał, ale tylko trochę, żeby panom z Uffizi nie przyszło do głowy przyjrzeć się bliżej temu, co sprzedają. Tylko przywykli do bogactwa kulturowego. Włosi mogli przegapić coś tak wspaniałego i niezwykłego, co mieli tuż pod nosem. Niebieskie oczy Clifforda zniebieszczały jak nigdy dotąd, odrzucił pasmo gęstych jasnych włosów, długich, zgodnie z modą obowiązującą wyrafinowaną

młodzież. Trzydziestka z niewielkim hakiem to jeszcze młodość, nieprawdaż? Ubrany był w dzinsy i koszulę. Włosi, dostojni panowie po pięćdziesiątce, prezentowali swoje kulturowe dziedzictwo w garniturach, złotych sygnetach i rubinowych spinkach do mankietów. Ale znaleźli się w niekorzystnej sytuacji. Byli zdezorientowani, a winę za to ponosił Clifford. Dlaczego ten młody człowiek, który tkwi już obiema nogami w przyszłości, interesuje się starymi marmurowymi portalami? Na co one jemu? Czy wiedział więcej niż oni, czy mniej? Czy oferował za dużo, czy oni żądali za mało? Czegoś tu nie rozumieli. Może życie wcale nie jest śmiertelnie poważne i bardzo trudne? Zadzwoił telefon. Clifford podniósł słuchawkę. Panowie z Uffizi zbili się w grupkę i konferowali przez chwilę, dziękując niebiosom za odroczenie wyroku.

— Kochany! — powiedziała Helen pogodnie. — Wiem, że nie znosisz, żeby ci przeszkadzać w pracy, ale nie będzie mnie w domu, kiedy wrócisz wieczorem. Mama dzwoniła, że mogę przyjechać. Spędzę w Applecore Cottage parę dni. Mama mówi, że może nawet przyjdą na ślub!

— Weź czosnek i krucyfiks — poradził Clifford. — To odstraszy twojego ojca. Helen roześmiała się swobodnie:

— Wstręciuch! — I rozłączyła się.

Panowie z Uffizi podnieśli cenę o całe tysiąc funtów. Clifford westchnął.

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem była to Angie. Z uwagi na miliony jej ojca zainwestowane w Leonarda centralka przełączyła rozmowę. Przywilejem tym cieszyła się jedynie Helen, Angie i makler Clifforda. Ten ostatni bawił się w ryzykowną grę polegającą na błyskawicznym podejmowaniu decyzji, i bawił się z dużym powodzeniem, ale czasem potrzebował zewnętrznego wsparcia w postaci krótkiego „tak” lub „nie”.

— Cliffordzie — powiedziała Angie — to ja. Chcę zjeść z tobą jutro śniadanie.

— Śniadanie, Angie! — powiedział, próbując zahipnotyzować Uffizi uśmiechem i licząc na to, że Angie się rozłączy.

— Śniadanie jem z Helen. Wiesz o tym.

— Jutro rano nie zjesz z nią śniadania — powiedziała Angie

— ponieważ nie będzie jej w domu.

— Skąd wiesz? — Clifford wyczuł niebezpieczeństwo. — Poszła z wizytą do matki.  
— Nie, nie poszła — powiedziała Angie lakonicznie i odmówiła dalszych wyjaśnień.

Clifford umówił się z nią o ósmej rano na śniadanie na Coffee Place. Wczesna pora nie zniechęciła jej, na co liczył. Zaproponował „Claridges”, ale ona powiedziała, że może będzie chciał trochę pokrzyczeć, więc lepiej, żeby robił to u siebie w domu. I odwiesiła słuchawkę.

Panowie z Uffizi podnieśli cenę o kolejne pięćset funtów i Clifford stracił zimną krew. Obliczył, że te dwa telefony kosztowały go tysiąc pięćset funtów. Kiedy Włosi wyszli z uśmiechem na ustach, Clifford zadzwonił do Johnniego, stajennego i szofera swojego ojca, który był z Ottonem na wojnie, i poprosił go, żeby poszedł do domu Lally'ego i zbadał sprawę. Johnnie złożył sprawozdanie o północy. Helen nie było w domu rodziców. Była tam tylko kobieta w średnim wieku, płacząca nad kuchennym zlewem, i mężczyzna w garażu malujący coś, co przypominało gigantyczną osę pożerającą nagą dziewczynę.

### ***Odsiecz!***

Clifford spędził paskudną noc. Noc, której nie zapomniał do końca życia. W buzujący kocioł, który nazywamy zazdrością, spadają kropla po kropli wszystkie upokorzenia, jakie spotkały nas w życiu, wszystkie lęki, doznane i urojone krzywdy, poczucie zwątpienia i bezsensu, przeczucie upadku i śmierci. A na wierzchu, jak szumowiny w rosole, pływa świadomość, że wszystko zostało stracone, zwłaszcza nadzieja, że kiedyś pokochamy, zaufamy komuś i my także będziemy kochani i obdarzani zaufaniem. Plum! W kocioł Clifforda spadła obawa, że zawsze był tylko podziwiany, że budził zazdrość zamiast prawdziwej sympatii, nawet u swoich rodziców. Plum! Spadła świadomość, że nigdy nie dorówna swojemu ojcu, że jego matka uważa go za coś w rodza-

ju osobliwości. Plum! Wpadło wspomnienie cali girl, która go wyśmiała, która pogardzała nim bardziej, niż on pogardzał nią. Plum! I plum! Wszystkie inne przypadki, kiedy okazał się impotentem. A szkolne czasy?! Był nerwowy, cherlawy, niski, podczas gdy jego koledzy byli wysocy (zaczął rosnać dopiero, gdy miał szesnaście lat). Fury codziennych upokorzeń z dzieciństwa. Biedny Clifford, zbyt nieugięty, a zarazem zbyt wrażliwy, żeby mogło mu to wyjść na dobre. Wszystkie te składniki wymieszały się, podgotowały i stworzyły smolistą zawiesinę rozpacz. Był przekonany, że Helen znajduje się w ramionach innego, podczas gdy on leży bezsennie w ich łóżku, że usta Helen rozgnięta teraz ktoś młodszy, bardziej namiętny, czulszy, a zarazem bardziej męski... Nie, Clifford nigdy nie zapomniał tej nocy i nigdy, obawiam się, w pełni nie zaufał już Helen. Tak potężny był niepokój wzniecony przez Angie.

O ósmej odezwał się dzwonek u drzwi. Nie ogołony, rozbity, udreńczony przez własne urojenia, opętany kobietą bardziej, niż to mu się wydawało możliwe<sup>^</sup> Clifford otworzył Angie drzwi.

— Co wiesz? — zapytał. — Gdzie ona jest? Gdzie jest Helen?

Nie powiedziała mu, jeszcze nie. Weszła na schody prowadzące do sypialni, rozebrała się i ułożyła na łóżku, bardzo szybko zakrywając się prześcieradłem.

— W imię dawnych czasów — powiedziała. — I w imię milionów mojego ojca. Trzeba go będzie uspokoić co do tego Botticellego, jeżeli to faktycznie jest Botticelli. Ciągłe ci to powtarzam, pieniądze są w sztuce współczesnej, nie w starych mistrzach.

— W jednym i drugim.

Słowa Angie trafiły mu do przekonania. Poza tym Angie była dla Clifforda znajomym terytorium, znalazła się pod ręką, a on zupełnie nie mógł się pozbierać. (Myślę, że możemy mu wybaczyć, jeszcze ten jeden jedyny raz.) Dołączył do Angie, spróbował wmówić w siebie, że ma pod sobą Helen, i prawie mu się udało, potem, że ma ją na sobie, i poniósł całkowite fiasko. Pożałował tego, co zrobił, w momencie gdy skończył to robić. Mężczyźni są, zdaje się, jeszcze bardziej skłonni żałować tych rzeczy niż kobiety.



— Gdzie jest Helen? — zapytał, kiedy tylko był w stanie mówić.

— W Klinice de Waldo — powiedziała Angie. — Robi skrobankę. Operacja jest przewidziana na dziesiątą rano.

Była 8.45. Clifford zaczął się ubierać.

— Ale dlaczego mi nie powiedziała? — zapytał. — Głuptas!

— Cliffordzie — mruknęła Angie sennie. — Najprawdopodobniej dlatego, że nie jest to twoje dziecko.

Clifford zaniechał wiązania krawata. Angie świetnie wiedziała, że człowiek, który właśnie zdradził prawdziwą miłość, tak jak to zrobił Clifford, chętnie uwierzy, że sam został zdradzony.

— Jesteś taki ufny, Cliffordzie! — powiedziała Angie do jego pleców i zrobiła to na swoje nieszczęście, ponieważ Clifford uchwycił odbicie jej twarzy w wielkim trzystuletnim lustrze w złoconej ramie, w którym musiało się przeglądać tysiące kobiet. Teraz ukazało się w nim dziwne odbicie Angie, jakby naprawdę była najpodlejszą kobietą, jaka w nie spojrzała. W jej oczach mignęła złośliwość i Clifford nagle zrozumiał, co knuje Angie — za późno, by uratować swój honor, ale w samą porę, by uratować Neli. Skończył wiązać krawat.

Nie odezwał się już do niej ani słowem, zostawił ją leżącą bezprawnie na futrzanej narzucie — w końcu było to miejsce Helen — i o 9.15 dotarł do Kliniki de Waldo. Miał szczęście, że znalazł się tam tak rychło, ponieważ recepcjonista okazał się nieużyty, a operacja została przyspieszona o pół godziny. Odnoszę okropne wrażenie, że doktor Runcorn nie mógł się już doczekać, kiedy dostanie dziecko Helen w swoje ręce i zniszczy je od środka. Aborcja jest czasem konieczna, czasem nie, ale zawsze smutna. Jest dla kobiety tym samym, czym wojna dla mężczyzny — ofiarą złożoną w dobrej lub złej sprawie. Jest podjęciem trudnej decyzji uśmiercenia kogoś po to, by ktoś inny mógł żyć uczciwie, przyzwoicie i wygodnie. Kobiety nie mają swoich generałów, rzecz jasna, musi im wystarczyć własne sumienie. Nie mają patriotycznych pieśni, które ułatwiają zabijanie, defilad zwycięstwa i medali za odwagę, jedynie poczucie utraty. Podobnie jak na wojnie zdarzają się upiory, wampiry, spekulanci, ludzie odważni i szlachetni, tak w klinikach aborcyjnych zdarzają się ludzie dobrzy i źli. Doktor Runcorn był zły.

Clifford odepchnął jamajską pielęgniarkę i dwóch szkockich sanitariuszy, którym znudziła się praca za grosze w państwowej służbie zdrowia i przenieśli się do sektora prywatnego. Nikt nie chciał powiedzieć Cliffordowi, gdzie jest Helen, biegł więc białymi lśniącoymi korytarzami i otwierał kolejne drzwi. Przestraszone nieszczęśliwe kobiety, siedzące na łózkach w schludnych lizeskach, patrzyły na niego z nagłą nadzieją. Oto nadchodzi ich wybawca, rycerz w błyszczącej zbroi, ten który musi przybyć, jeżeli wszystko ma zostać wyjaśnione, odwrócone i zakończone happy endem. Czekają je rozczarowanie. Był rycerzem Helen.

Clifford znalazł Helen na łóżku przed drzwiami sali operacyjnej, ubraną w coś białego, z głową obwiązaną turbanem. Pochylała się nad nią pielęgniarka. Helen była nieprzytomna, gotowa do operacji. Przez chwilę Clifford szarpał się z pielęgniarką.

— Ta kobieta ma natychmiast wrócić na oddział — zawołał — albo przysięgam na Boga, wezwę policję! — I przyciął jej paskudnie palce rączką łóżka. Pielęgniarka wrzasnęła. Helen nie poruszyła się, za to pojawił się doktor Runcorn, żeby sprawdzić, co się dzieje

— Przyłapany na gorącym uczynku! — zawołał Clifford, i faktycznie tak było. Doktor Runcorn miał ręce ubabrane we krwi, pozbył się właśnie bliźniąt, dobrze już podrośniętych, co bardzo utrudniło sprawę. Ale doktor Runcorn szczyił się umiejętnością wyjmowania bliźniąt. W jego klinice nigdy nie zdarzyło się, by jeden bliźniak został usunięty, a drugi rósł sobie spokojnie, nie zauważony przez nikogo z wyjątkiem osłupiałej matki. Nie, jeżeli jest gdzieś bliźniak, doktor Runcorn na pewno go wyłuska.

— Ta młoda dama właśnie poddaje się badaniu brzucha — powiedział. — Z własnej nieprzymuszonej woli. A ponieważ pan nie jest mężem, nie ma pan prawa ingerować.

Na co Clifford zwyczajnie dał mu w nos i trzeba przyznać, postąpił słusznie. W niektórych wypadkach przemoc jest usprawiedliwiona. W całym swoim życiu Clifford uderzył trzech mężczyzn. Pierwszym był ojciec Helen, który próbował odebrać mu Helen, drugim był doktor Runcorn, który próbował pozbawić go dziecka Helen, do trzeciego jeszcze nie doszliśmy, ale była

w to wmieszana Helen. Oto jaki wpływ wywierają na niektórych mężczyzn niektóre kobiety.

Doktor Runcorn upadł na ziemię i wstał z nosem ociekającym krwią. Przykro to mówić, ale nikt z jego podwładnych nie pospieszył mu z pomocą. Nie był lubiany. — No dobrze — powiedział ze znużeniem. — Wezwę prywatną karetkę. Na pana odpowiedzialność.

A kiedy drzwi karetki zamknęły się za Helen, zwrócił się do Clifforda.

— Traci pan tylko na nią czas. Te dziewczyny to zwykle la-firyndy. Nie robię tego dla pieniędzy. Robię to, żeby oszczędzić dzieciom okropnej przyszłości i uchronić rodzaj ludzki przed genetycznym skażeniem.

Nalana twarz doktora Runcorna zrobiła się jeszcze bardziej nalana po spotkaniu z pięścią Clifforda, a jego palce wyglądały jak czerwone kielbaski. Nagle zapragnął aprobaty Clifforda, jak to się często zdarza pokonanym, ale jej nie znalazł. Clifford pogardzał nim jeszcze bardziej za jego hipokryzję. Trochę z tej pogardy objęło Helen, jakby — pomijając cel jej wizyty w Klinice de Waldo — samo przekroczenie progu tak straszego, wulgarne przybytku mogło ją splugawić, i to na zawsze. Sanitariusze wnieśli ciągle nieprzytomną Helen do domu przy Goodge Street, położyli na łóżku, doradzili Cliffordowi, żeby wezwał lekarza, i wyszli. (Klinika de Waldo przysłała później rachunek, którego zapłacenia Clifford odmówił.) Clifford siedział przy Helen, patrzył, czekał i myślał. Nie wezwał lekarza. Uznał, że nic jej nie będzie. Oddychała spokojnie. Narkoza przeszła w sen. Dziewczyna czoło miała wilgotne, a śliczne kręcone włosy oblepiały jej twarz wilgotnymi pasmami. Widział niebieskie żyłki na jej skroniach, grube rzęsy rzucały cień na półprzezroczyste policzki, brwi zataczały delikatny, choć zdecydowany łuk. Większość twarzy potrzebuje życia, by mogły stać się piękne. Twarz Helen była nieskazitelna nawet w martwocie, bliższa doskonałości obrazu, niż Cliffordowi zdarzyło się coś takiego kiedykolwiek widzieć. Jego gniew minął. Ta wyjątkowa istota była matką jego dziecka. Clifford wiedział, że insynuacje Angie są absurdalne, świadczyło o tym już samo natężenie uczuć, które wezbrały w nim na myśl, że dziecko

cudem uniknęło śmierci. Po raz pierwszy przybył mu z odsieczą. Nie wątpił, że nie po raz ostatni. Wiedział aż za dobrze, że Helen jest zdolna do oszustwa i szaleństwa, do błędnej oceny sytuacji, i najgorsze ze wszystkiego — do grzechu złego smaku. Jego dziecko uratowane cudem z rąk odrażającego doktora Runcorna! Z wiekiem te cechy Helen się spotęgują! Musi chronić swoje dziecko.

— Zaopiekuję się tobą — powiedział na głos. — Nie martw się.

Absurdalny sentymentalizm! Ale myślę, że Clifford zwracał się do Neli, nie do Helen.

Powinien być u Leonarda tego popołudnia. Wystawa prac Hieronima Boscha została przedłużona o trzy miesiące. Czekало go wiele pracy, jeżeli chciał rozreklamować Leonarda i siebie przy okazji. Ale nie opuścił Helen. Jego palce błądziły po jej czole. Pragnął jej, od chwili gdy ją zobaczył, chciał ją mieć, żeby nie dostał jej nikt inny, a także dlatego że była córką Johna Lally'ego i dlatego, że fakt ten otwierał przed nim więcej drzwi niż miliony Angie, ale dopiero tortury ostatniej nocy uświadomiły mu, jak bardzo ją kocha. Zrozumiał również, że kochając wystawia się na niebezpieczeństwo. Bo czy kobieta może być wierna? Jego matka Cynthia zdradzała swego męża pół tuzina razy w roku. Dlaczego Helen, dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby być inna? Ale teraz pojawiło się dziecko i to na nie Clifford przeniósł tęsknotę za miłością, wiarę w ludzkość i istnienie dobra, pomijając zupełnie biedną Helen, która próbowała ratować nie tylko siebie, ale i jego.

Obudziła się i uśmiechnęła do Clifforda. Odwzajemnił uśmiech.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Nadal jesteś w ciąży. Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Bałam się — powiedziała po prostu. A potem dodała, powierzając mu siebie: — Będziesz musiał zająć się wszystkim. Ja chyba nie dam rady.

Clifford świadomy tego, co potrafią pomyśleć „dosłownie wszyscy”, zadzwonił do rodziców i odwołał ślub kościelny. Woli zawrzeć go w Caxton Hall.

— Ale to jest zwykła rejestracja ślubu — zaprotestowała Cynthia.

— Każdy, kto jest kimś, tak właśnie bierze ślub — powiedział. — Nowoczesne małżeństwo to my. Bóg nie musi być przy tym obecny.

### *Skok w przyszłość*

Ślub Clifforda Wexforda z Helen Lally odbył się w świętego Jana 1965 roku. Helen wystąpiła w kremowej sukience z satyny, wykończonyj belgijską koronką i wszyscy orzekli, że ze swoją wyrafinowaną urodą powinna zostać modelką. (W gruncie rzeczy jako dwudziestolatka była zbyt krzepka, żeby można określić ją tym mianem. Dopiero później, kiedy cierpienie i miłość stonowały jej urodę, mogłaby zarabiać na życie prezentowaniem strojów.) Clifford i Helen stanowili efektowną parę — on o połyskliwej lwiej grzywie, ona o brązowych kręconych włosach. Każdy, kto był kimś, był na tym ślubie, każdy z wyjątkiem ojca panny młodej, Johna Lally'ego. Matka panny młodej, Evelyn, siedziała z tyłu, ubrana w tę samą starą niebieską sukienkę, którą miała na przyjęciu z okazji otwarcia wystawy Boscha. Sprzeciwiła się mężowi przychodząc na ślub. Czekał ją tydzień wojny bez słów, może więcej. Nie dbała o to.

Družbą Clifforda był Simon Harvey, nowojorski pisarz. Clifford znał go od dawna, pożyczył mu na jego pierwszą maszynę do pisania. Teraz musiał pożyczyć mu na bilet, ale cóż, przyjaźń! Choć Clifford miał wielu znajomych, to prawdziwych przyjaciół mało. Simon pisał śmieszne opowiadanka o homoseksualistach, zanim jeszcze stały się popularne. (Słowo „pedał” jeszcze się na dobre nie przyjęło, bycie homo było śmiertelnie poważną sprawą, o której mówiło się szeptem.) Oczywiście dziś zostałby milionerem. -

— Co o niej myślisz? — zapytał Clifford.

— Jeżeli już musisz się ożenić z kobietą — powiedział Simon — to tylko z nią. Nie zgubił obrączek i wygłosił wzruszające przemówienie warte pieniędzy za bilet lotniczy, których Clifford nie miał nadziei odzyskać.

Wujek Phil, brat Evelyn, wystąpił w zastępstwie ojca panny młodej i oddał ją w ręce małżonka. Phil był pośrednikiem w handlu samochodami, panem w średnim wieku, czerwonym na twarzy i hałaśliwym, ale wszyscy młodzi mężczyźni, których Helen знаła, którzy byli kiedyś jej kochankami albo mieli nimi zostać, nadawali się jeszcze mniej od wujka Phila. Clifford nigdy nie dowiedziałby się o roli, jaką odegrali w jej życiu, ale Helen nie chciała zaczynać małżeństwa od kłamstwa. Cliffordowi wujek Phil zdawał się nie przeszkadzać, powiedział nawet, że dobrze mieć w rodzinie kogoś z branży samochodowej, i z miejsca załatwił interes — zamianę MG na mercedesa. Właściwie Helen cieszyła się z obecności wujka Phila — Wexfordowie i ich znajomi mieli znaczną przewagę liczebną nad Lallymi. Helen, podobnie jak wszystkie bardzo ładne dziewczyny, czuła się lepiej w towarzystwie mężczyzn niż kobiet i bolała trochę nad tym, że kobiety jej nie lubią.

Nikt (z wyjątkiem Clifforda) nie wiedział, że Helen w dniu ślubu była w trzecim miesiącu ciąży, och, i Angie — oczywiście, ale ona nie otrzymała zaproszenia i wróciła do Johannesburga lizać rany. (Choć postanowiła sobie, że zdobędzie Clifforda i żadne „biorę sobie ciebie” i „aż do śmierci” nie mogły jej trwale zniechęcić.) To był cudowny dzień pod każdym względem. Na przyjęciu sir Larry Patt podszedł do Clifforda i powiedział:

— Cliffordzie, poddaję się. Reprezentujesz nowy świat, ja należę do starego. Złożyłem rezygnację i ty zostałeś nowym dyrektorem Leonarda. Rada zadecydowała o tym wczoraj. Jesteś o wiele za młody i powiedziałem im to, ale oni są innego zdania. Przejmujesz interes, chłopie.

Szcęście Clifforda było pełne. Nigdy już nie zdarzy się podobny dzień. Helen wsunęła rękę w jego dłoń i uścisnęła ją. On nie oddał uścisku, ale zapytał: „Jak dziecko?”, a ona szepnęła: „Ciii!” nie mając pojęcia, że on już jej nie akceptuje, lecz osądza. Jej uścisk wydał się Cliffordowi dziecinny i wulgarny.

W szarej tunice, białej plisowanej bluzce i krawacie lady Rowena wyglądała jak chłopak i trzepotała sztucznymi rękami (miały je wszystkie kobiety) w stronę jednego z kuzynów Cynthii z Minneapolis. Umówiła się z nim na randkę, tuż pod nosem jego żony. Cynthia zauważyła to i westchnęła. Popełniła błąd zapra-

szając kuzynów, powinna pozostać wierna swoim zasadom i nie nawiązywać kontaktu z rodziną, która znieważyla ją w młodości. Wystarczy, że ma się takie rzeczy we krwi. Ojciec jednego dnia kochał ją szczerze, a drugiego wyrzucił ze swego życia. Podczas wojny umożliwiła rodzinie ucieczkę z Danii, ryzykowała tortury, nawet życie, a on podziękował jej chłodno, bez uśmiechu. Nie wybaczył jej nieposłuszeństwa. Starła się o nim nie myśleć. Clifford przypominał jej ojca, patrzył na nią niebieskimi oczami swojego dziadka. Miała nadzieję, że będzie szczęśliwy, że Helen dokona tego, czego nie zdołała dokonać ona, to znaczy będzie go kochać. Liczyła na to, że Clifford niczego nie wyczuł: zawsze postępowała tak, jakby go kochała, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Otto i Cynthia pojechali do domu swoim rolls-royce'em. Prowadził Johnnie. Nadal trzymał w skrytce naładowany rewolwer, przez wzgląd na dawne czasy. Cynthia była zdania, że Otto zachował się ze zbytnią rezerwą.

— O co chodzi? — zapytała. — Jestem pewna, że jeżeli ktoś potrafi uszczęśliwić Clifforda, to właśnie Helen. Pamiętaj, że zawsze trudno go było zadowolić. Helen będzie miała pełne ręce roboty.

— Martwi mnie tylko jedno — rzekł Otto ponuro. — Co on zrobi na bis. Dyrektor Leonarda, w jego wieku! To mu uderzy do głowy.

— Martwisz się ponieważ — powiedziała Cynthia. — On i bez tego myśli, że jest Bogiem.

Clifford i Helen spędzili noc u „Ritza”, gdzie małżeńskie łoża są najlepsze, najładniejsze i najbardziej miękkie w całym Londynie.

— Co dali nam w prezencie ślubnym twoi rodzice? — zapytał Clifford. Helen wolałaby, żeby o tym nie mówił. Był w dziwnym nastroju, pełen uniesienia, a zarazem niepokoju.

— Opiekacz do grzanek.

— Można by się spodziewać, że będzie to jeden z obrazów twojego ojca — powiedział Clifford.

Ponieważ posiadał już tuzin pomniejszych Lallych, kupionych za bezcen, i osiem najlepszych płócien w piwnicach Leonarda, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, Helen uznała, że wcale nie jest to takie oczywiste. Ale ona miała lat dwadzieścia dwa

i była nikim, Clifford zaś miał lat trzydzieści pięć i był naprawdę kimś, więc mu tego nie powiedziała. Po epizodzie w Klinice de Waldo nie potrafiła się już z niego śmiać, droczyć się z nim i żartować z jego ponurych nastrojów. Prawdę mówiąc brała go zbyt poważnie, żeby mogło im to wyjść na dobre. Uznała, że jest winna; nie na darmo była córką swojej matki.

Poza tym miała jeszcze inne zmartwienia. Leżała w łóżku i się martwiła. Clifford kupił dom w Primrose Hill, w niemodnej wtedy dzielnicy w pobliżu zoo. Sprzedał dom przy Coffee Place za dwa i pół tysiąca funtów i kupił dom na Chalcot Square za sześć, licząc na to, że wkrótce będzie wart wiele więcej. (Miał rację. Ten właśnie dom został ostatnio sprzedany za pół miliona funtów.) Clifford nie uczynił go wspólną własnością swoją i żony. Nie widział po temu żadnych powodów. Były przecież lata sześćdziesiąte i własność mężczyzny pozostawała własnością mężczyzny, żona troszczyła się o nią i miała być wdzięczna za ten przywilej. Czy potrafi poprowadzić dom? Była taka młoda. Wiedziała, że jest nieporządna. Zrezygnowała z pracy w Sotheby's i zapisała się na kurs gotowania, ale może to nie wystarczy? Clifford powiedział, a ona przyznała mu rację, że będzie musiała poświęcić wszystkie siły prowadzeniu domu i podejmowaniu jego przyjaciół i współpracowników, którzy jak sam podkreślił, rosną w siłę. Czy znajdzie na to czas i energię będąc w ciąży? I jak powiedzieć ludziom o dziecku? To żenujące. Mimo wszystko była pogodna, patrzyła w przyszłość z optymizmem, jak przystało na dziewczynę w noc poślubną. Miała nadzieję, że przyjaciele Clifforda, jego współpracownicy i klienci nie uznają jej za beużyteczne, głupie dziecko. Miała nadzieję, że Clifford nie uzna jej za beużyteczne, głupie dziecko. Miała nadzieję, że poradzi sobie z niemowlęciem, miała nadzieję, że nie będzie jej brakowało wolności i przyjaciół, matki i ojca. Miała nadzieję, że dobrze zrobiła wychodząc za Clifforda. Zresztą czy mogła postąpić inaczej? Człowiek poznaje kogoś i już, klamka zapada. Clifford pocałował ją i jego usta były gorące i ciężkie, objął ją i jego ramiona były silne. Mieli za sobą długi dzień, dzień ślubu; tysiące dłoni, które należało uścisnąć, tysiące życzeń, które należało przyjąć z uśmiechem. Jej niepokój bierze się ze zmęczenia, powiedziała sobie. Ale to dziwne, że krok w krok z fizycz-



nym ukojeniem, jakie daje miłość, szedł — niby młodszy brat domagający się poważnego traktowania — niepokój i lęk przed przyszłością, poczucie, że życie biegnie ku wybrzeżu jak fala, rozmywa się, zanim w nie uderzy, a im wyższa fala, tym głębsza za nią dolina, więc nawet szczęście jest czymś, czego należy się obawiać.

W środku nocy zadzwonił śliczny, pomalowany na złoto telefon przy łóżku. Helen podniosła słuchawkę. Clifford spał mocno — nigdy długo, za to twardo. Jego jasna głowa spoczywała ciężko na poduszce, spał z ręką pod policzkiem, jak dziecko. Podnosząc słuchawkę, żeby dzwonek go nie obudził, Helen pomyślała, że to wspaniale wiedzieć coś tak intymnego o tym niezwykłym człowieku. Dzwoniła Angie z Johannesburga. Zapytała, jak się udał ślub, i przeprosiła za swoją nieobecność.

Przecież nie zostałam zaproszona! chciała powiedzieć Helen, ale nie zrobiła tego. Angie zapytała, czy może rozmawiać z Cliffordem, pogratulować mu awansu u Leonarda? W końcu załatwił mu go jej ojciec.

— Jest druga w nocy, Angie — powiedziała Helen tak nieuprzejmie, jak tylko potrafiła. — Clifford śpi.

— A śpi tak mocno! — powiedziała Angie. — Wiem to aż za dobrze. Spróbuj uszczypnąć go w zadek. Zazwyczaj działało. Czy śpi z dłonią pod policzkiem, jak dziecko? Och, gdy o tym pomyślę! Szczęściara z ciebie!

— Skąd to wiesz? — zapytała Helen.

— Wiele kobiet to wie, moja droga.

— Kiedy? — zapytała Helen ponuro. — Gdzie?

— Kto, ja? W zamierzchłej przeszłości, według Clifforda. Parę miesięcy temu.

Ostatnim razem podczas twojego pobytu w klinice. Przy Coffee Place. Aprzedtem wiele razy, w wielu miejscach. Ale przecież wiesz o tym. Obudź go, nie bądź zazdrosną jędzą. Skoro ja nie jestem, a nie jestem, dlaczego ty masz być?

Helen odłożyła słuchawkę i szlochała, ale cicho, żeby nie obudzić Clifforda. Potem, kierując się względami praktycznymi, wyciągnęła wtyczkę z gniazdka, żeby Angie nie zadzwoniła drugi raz. Gniew i rozpacz nie na wiele się zdadzą, wiedziała o tym. Musi uspokoić się jak najszybciej i zacząć tworzyć nowy obraz siebie, Clifforda i ich małżeństwa.

### *Pierwsze dni*

To zadziwiające, jak pogrubiła Helen zaraz po ślubie. Dwa dni później nie dopięłaby już sukienki, tydzień później nie przecisnęłaby jej przez piersi, nie rozrywając szwów.

— Nieprawdopodobne! — mówił Clifford. Kazał jej mierzyć sukienkę, jakby chciał zaawansowanie jej ciąży przełożyć na centymetry. — Pewnie wydaje ci się, że dotarłaś do mety i możesz się odprężyć. Otóż nie możesz. Jest wiele do zrobienia. Faktycznie było. Należało przekształcić dom w Primrose Hill w siedzibę Wexforda i jego pączkującej żony i przyjmować przyjaciół, których Clifford zamierzał mieć. Ponieważ on sam był ciągle zajęty, musiała to zrobić ona. I zrobiła. Niepokoił się o jej zdrowie, ale nie pozwolił jej chorować. Ilekroć zaczynała wymiotować zgięta nad sedesem, klaskał mocno w dłonie, wołał „dość!” i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mdłości ustawały. Nie miał żadnych wymagań co do tapet i mebli, życzył tylko sobie, żeby skonsultowała z nim wygląd ścian, na których zawiesi obrazy, oraz żeby meble były antykami. Nowe nie przedstawiają żadnej wartości, skoro nie można ich odsprzedać. Wydawał się zadowolony z tego, co zrobiła, a przynajmniej nie powiedział, że nie jest. W weekendy grał w tenisa, a ona przyglądała mu się, podziwiała i biła brawo. Lubił jej aplauz. Inna sprawa, że lubił każdy aplauz. Helen rozumiała to.

— Nie jesteś typem sportsmenki — narzekał Clifford. Helen uznała, że Angie zapewne była, i te inne kobiety również.

Na pozór wszystko szło dobrze. Dnie były słoneczne i pełne wrażeń, noce mniej namiętne, ale napawające otuchą, dziecko kopało zdrowo. Znajomi Clifforda złożyli sondażowe wizyty i uznawszy młodą żonę za mniej głupią, niż się spodziewali, wracali i stawali się przyjaciółmi. Jej przyjaciele przychodzili i odchodzili, wiedząc, że jest dla nich stracona. Czy ci młodzi, biedni, trochę zhippisiali, pozbawieni ambicji ludzie mogli czuć się dobrze w towarzystwie Clifforda Wexforda, który od swoich znajomych wymagał czegoś więcej niż zwyczajnego człowieczeństwa? I skoro już o tym mowa, czy mogła czuć się dobrze

ona, Helen? Wiedziała, że musi być bardziej żoną Wexforda, a mniej córką Applecore Cottage. Nauczyła się żyć bez rozmów z przyjaciółmi, bez ich bliskości, bez ich życzliwego zainteresowania. Nie zatrzymywała ich, kiedy odchodzili. Byli miłymi ludźmi, wróciliby, gdyby o to poprosiła, Clifford nie Clifford. Czytelniku, prawda wygląda tak, że czuła się gruba, ciężka i toczyła się zamiast chodzić (wiesz, jak chodzą kobiety w zaawansowanej ciąży), dziecko uciskało jej nerw kulszowy, ale przygryzała wargi i uśmiechała się, żeby nie pojękiwać i nie narzekać, dla dobra Clifforda. Stanie się dla Clifforda wszystkim. Clifford nigdy nie spojrzy na inną kobietę... Wiedziała, że to nieprawda. Straciła go, choć nie była pewna, jak i kiedy to się stało.

### ***Czas szczęścia***

Mała Neli przyszła na świat w Boże Narodzenie 1965 roku, w Middlesex Hospital. Święta nie są najlepszym okresem na rodzenie dzieci. Pielęgniarki piją za dużo sherry i spędzają czas głównie na śpiewaniu kolęd. Młodzi lekarze całują je pod jemiolą, chirurdzy przebierają się za świętego Mikołaja. Helen urodziła Neli bez pomocy lekarza, w separacie na prywatnym oddziale. Gdyby to był oddział publiczny, inne pacjentki mogłyby jej pomóc, a tak czerwone światełko mrugało godzinami w pokoju sióstr i nikt nie zwrócił na nie uwagi. Moda na obecność ojców przy porodzie jeszcze nie nadeszła, zresztą sama myśl o tym przyprawiłaby Clifforda o dreszcz zgrozy. Zostali zaproszeni z Helen na wigilię przez znanego malarza Davida Firkina, który przemyślał nad przejściem z Beaux Arts Gallery do Leonarda i Clifford nie chciał odrzucić zaproszenia. Sprawa była ważna. Helen dostała pierwszych bólów już w taksówce wiozącej ich do studia Firkina. Ale oczywiście nie chciała zepsuć Cliffordowi wieczoru.

— Jestem pewna, że to nic takiego — powiedziała. — Zwykła niestrawność. Wiesz co? Wyrzucisz mnie przed szpitalem, zbadają mnie i przyjadę do Davida później, taksówką.

Clifford wziął Helen za słowo, wysadził ją przed szpitalem, a sam pojechał na kolację. Helen się nie pojawiła.

— Nawet jeśli rodzi — powiedział David Firkin — w co wątpię, przy pierwszym dziecku ciągnie się to w nieskończoność. Nie ma się czym martwić. To zupełnie naturalny proces. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś przestał wydzwaniać do szpitala. David Firkin nienawidził dzieci i był z tego dumny. Helen jest silną, zdrową dziewczyną, orzekli goście, nie ma powodu do niepokoju. I nikt nie zaczął odliczać na palcach miesiący, które upłynęły od ślubu, a przynajmniej nikt nie rzucił się Cliffordowi w oczy.

Faktycznie Helen była silną, zdrową dziewczyną, choć śmiertelnie przerażoną, a Neli przyszła na świat cało i zdrowo, choć o własnych siłach. Stało się to o 3.10 nad ranem. Jej Słońce opuszczało Strzelca i wchodziło w znak Koziorożca, co sprawiało, że była żywa i zdolna. Księżyc znalazł się w Wodniku, była więc łagodna, urocza, szczodra i dobra. Wenus znalazła się we własnym znaku, Wadze, i to uczyniło Neli pełną pragnień, zdolną do dawania i przyjmowania miłości. Ale Merkury był zbyt blisko Marsa, Neptun stał w opozycji do obu planet, a jej Słońce w opozycji do jej Księżyca, tak więc Neli miała przyciągać dziwne wydarzenia i wielkie nieszczęścia. Saturn w połączeniu ze Słońcem i w opozycji do niego, w dwunastym domu, sugerował, że nadejdzie czas, kiedy będzie patrzyła na świat zza krat więzienia. Tyle astrologia. Możemy obciążyć ją odpowiedzialnością za rozwój wypadków, możemy ją zlekceważyć. Ale czy istnieje lepszy sposób wytłumaczenia zdarzeń, za które odpowiedzialny jest Los, a nie my sami?

Zawstydzona pielęgniarka przybiegła na pierwszy krzyk Neli, a kiedy dziecko, umyte i ubrane, znalazło się w końcu w ramionach matki, Helen się zakochała. Inaczej niż wtedy w Cliffordzie, kiedy lęk przeplatał się z erotycznym podnieceniem, ale mocno, niewzruszenie i na zawsze. Kiedy Clifford oderwał się od koniaku i krakersów (od Harrodsa) i przybył do szpitala o czwartej nad ranem, pokazała mu dziecko, niemal z lękiem odchylając kocyk. Nadal nie wiedziała, kiedy Cliffordowi się coś spodoba, a kiedy się nie spodoba, kiedy to coś zaaprobuje, a kiedy potępi. Zrobiła się w stosunku do niego nieśmiała,

niemal bojaźliwa. Nie wiedziała, w czym leży problem. Miała nadzieję, że pojawienie się Neli wszystko naprawi. Nie myślała

o własnym cierpieniu, nie robiła mężowi wymówek, że opuścił ją w chwili próby, myślała tylko, jak go zadowolić. Przez tych kilka miesięcy swojego małżeństwa stała się bardziej podobna do matki niż kiedykolwiek w życiu.

— Dziewczynka! — zawołał i przez chwilę Helen myślała, że jest niezadowolony, ale Clifford spojrział na swoją córkę, uśmiechnął się i powiedział: — Nie krzyw się, maleńka, wszystko będzie dobrze.

I Helen mogłaby przysiąc, że dziecko momentalnie przestało się krzywić i odwzajemniło uśmiech, choć pielęgniarka powiedziała, że to niemożliwe. Dzieci nie śmieją się w pierwszych sześciu tygodniach życia. (Wszystkie pielęgniarki to mówią, a matki i tak wiedzą swoje.)

Clifford uniósł dziecko.

— Ostrożnie! — zawołała Helen.

Zupełnie niepotrzebnie, Clifford przywykł bowiem do trzymania cennych przedmiotów. I wtedy ku własnemu zdumieniu poczuł ból i radość ojcostwa — świdrującą szpilę niepokoju, która każe ochraniać dziecko, kojące ciepło, jakie daje przekonanie o własnej nieśmiertelności, i zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku nie tylko niemowlę, ale przyszłość świata. Co więcej, czuł bezgraniczną wdzięczność do Helen za to, że je urodziła i pozwoliła mu doświadczyć podobnych uczuć. Po raz pierwszy od czasu, gdy wprowadził ją z Kliniki de Waldo, pocałował żonę z niepowściąganą miłością. Wybaczył jej, a ona pławiła się w szczęściu.

— „Wszystko będzie dobrze” — powiedziała, cytując coś, co kiedyś przeczytała, nie do końca wiedząc, gdzie i kiedy — „i wszystko będzie dobrze, pod każdym względem dobrze”.

I Clifford nawet nie utarł jej nosa pytając, kto to powiedział. Wszystko było w należyтым porządku, chwilowo.

Przez pierwszy rok Neli żyła w kokonie szczęścia, którym otoczyli ją rodzice. Leonardo rozkwitał pod okiem Clifforda Wexforda. Zakupiono interesującego Rembrandta, sprzedano kilku nudnych holenderskich mistrzów, domniemany Botticelli został opisany i wywieszony jako taki, ku zdumieniu Uffizi. W dziale

współczesnym ceny Davida Firkina, któremu pozwolono malować nie więcej niż dwa obrazy rocznie, jeżeli nie chce załamać rynku, osiągnęły pięciocyfrowy pułap. Helen zeszczuplała całe siedem kilogramów i czciła na przemian Clifforda i Neli. Przyjemniej, choć trudniej, jest kochać, niż być kochanym. Kiedy oba zjawiska występują razem, czy może istnieje większa radość?

### ***Gigantyczna fala kłopotów***

Drogi Czytelniku, małżeństwo zawiązane na łąpu-capu może się szybko rozpaść, rozpruć, zupełnie jak sweter zrobiony na drutach. Wystarczy pociągnąć za nitkę i ciągnąć przez jakiś czas, żeby sweter zniknął. Zostaje z niego kupka włóczki. Albo inny przykład: człowiekowi wydaje się, że mieszka w pałacu, a tak naprawdę jest to domek z kart. Wystarczy trącić jedną kartę, by zawałiła się całość. Kiedy Neli miała dziesięć miesięcy, małżeństwo Wexfordów rozpadło się nad głową biednego dziecka. Buch, buch, buch, jedno paskudne zdarzenie następowało po drugim szybciej, niż możecie sobie wyobrazić. A oto, jak to się stało.

Piątego listopada Conransowie wydali przyjęcie z pokazem sztucznych ogni. Pamiętacie Terence, która grała w *Lokatorze!* I Shirley, późniejszą Superwoman? Każdy, kto był kimś, zjawił się na tym przyjęciu. Zjawili się również Wexfordowie. Helen zostawiła Neli z niańką, nie chciała, żeby dziecko przestraszyło się huków. Przyszła sama (Clifford miał przyjechać bezpośrednio z biura Leonarda). Ubrana była w haftowany skórzany płaszcz i botki z frędzlami i wyglądała zgrabnie, delikatnie i bardzo ładnie, zadziwiona i trochę ogłuszona jak wszystkie młode kobiety, które niedawno poślubiły aktywnych mężczyzn, to znaczy bardzo pociągająca dla innych mężczyzn, którzy w takim towarzystwie zmieniają się w oszalałych samców. Gdyby ubrała się w starą niebieską bawełnianą sukienkę, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Clifford zjawił się później, niż Helen oczekiwała. Była nadąsana. Clifford poświęcał Leonardowi zbyt wiele czasu i uwagi.

Wokół niej zajadano gorące kielbaski i pieczone ziemniaki, odpalano rakiety i wypuszczano w niebo fontanny światła. Okrzyki zachwytu i zdziwienia płynęły wraz z wiatrem i dymem ognisk nad ogrodami Camden Town. W gorącym ponczu było mnóstwo rumu. Gdyby było go mniej, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Helen spojrzała poprzez zasłonę dymu i zobaczyła nadchodzącego Clifforda. Wybaczyła mu, zaczęła się uśmiechać. Ale kogóż to Clifford ma u swego boku? Angie? Uśmiech zniknął z twarzy Helen. Niemożliwe! Angie jest przecież w Południowej Afryce sami ją tam odstawiliśmy. A jednak to ona. Futrzany płaszcz, futrzana czapa, wysokie skórzane buty, minispódniczka odsłaniająca pas nagiego uda ponad linią pończoch, jak nakazuje moda. Angie uśmiechająca się głupawo do Helen. Angie ściskająca czule rękę Clifforda. Helen zamrugnęła oczami i Angie znikła. Jeszcze gorzej. Co knuje? Czy to zmowa? Helen zatrzymała dla siebie treść poślubnej rozmowy z kochanką męża, przełknęła ból i urazę, zapomniała, wymazała z pamięci. A przynajmniej tak jej się zdawało. Gdyby to była prawda, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Clifford ujął Helen pod ramię, mocno i czule. Helen wyrwała mu się z rozdrażnieniem — jedna z rzeczy, których kobieta nie powinna robić szanującemu się mężczyźnie. Ale czekając na Clifforda, Helen wypila cztery gorące poncze i była bardziej wstawiona, niż jej się wydawało. Gdyby tylko nie cofnęła ręki. Ale zrobiła to.

— To była Angie, przyszedłeś z Angie, byłeś z Angie.

— Była, przyszedłem, byłem — powiedział chłodno.

— Myślałam, że ona jest w Południowej Afryce.

— Jest tutaj i pomaga mi zorganizować dział współczesny. Wiedziałaabyś o tym, gdyby sprawy Leonarda interesowały cię choć trochę.

Uuu, nieładnie! Czyż Helen nie uczęszczała na kurs historii sztuki, żeby się doksztąpić? Czyż w wieku dwudziestu trzech lat nie prowadziła domu pełnego służby, nie wydawała przyjęć i na dodatek nie opiekowała się małym dzieckiem? Czyż mąż nie zaniedbywał jej dla Leonarda? Helen wymierzyła Cliffordowi policzek. (Gdyby tylko choć trochę się zastanowiła!) Angie wyłoniła

się z chmury dymu i uśmiechnęła do Helen. Był to zwycięski uśmieszek, którego Clifford nie zauważył.

— Jesteś szalona — powiedział do Helen. — Chorobliwie zazdrosna. — I wyszedł z przyjęcia z Angie. (Och, och, och!)

Cóż, był zły. Żaden mężczyzna nie lubi, gdy się go policzkuje publicznie albo oskarża bezpodstawnie o zdradę. Nie zdradził jej ostatnio. Angie uzbroiła się w cierpliwość. Jej kontakty z Cliffordem naprawdę ograniczały się do działu współczesnego. Clifford jakby zapomniał, że kiedyś natura ich znajomości była zgoła odmienna, inaczej nie zabrałby jej przecież na przyjęcie, prawda?

Clifford odwiózł Angie do jej domu w Belgravii i wrócił prosto do Primrose Hill, słuchał muzyki i czekał na Helen. Postanowił, że jej wybaczy.

Czekał do rana, ale Helen nie przyszła. Zadzwoiła, że jest w Applecore Cottage, jej matka zachorowała. Szybko odłożyła słuchawkę. Clifford już to kiedyś słyszał — wysłał więc Johnnie-go, żeby sprawdził. Oczywiście Helen nie było w Applecore Cottage. Ostatnie miejsce, gdzie mogłaby się znajdować. John Lally zamknął przecież przed nią drzwi swojego domu. To kłamstwo było tak głupie, że Clifford poczuł się jeszcze bardziej urażony.

No więc gdzie była Helen tamtej nocy? Powiem wam. Wiele, wiele gorących szklaneczek ponczu po tym, jak Clifford wyszedł z Angie, Helen opuściła przyjęcie z niejakim Laurence'em Durrance'em, scenarzystą i mężem małej Anne-Marie Durrance, jej najlepszej przyjaciółki. (Po tym wyczynie nie było już odwrotu. Koniec gdybania. Rozsypał się domek z kart.)

Anne-Marie, metr sześćdziesiąt i czterdzieści pięć kilo radosnej energii, została na przyjęciu, by szlochać i zawodzić, i opowiadać wszystkim, że jej mąż i Helen Wexford wyszli z przyjęcia razem. Jakby tego było jej mało, wyciągnęła z Laurence'a wyznanie zaraz rano. (Zabrałem ją do biura. Na sofie. Bardzo niewygodnie. Wiesz, te stosy papierów i książek. Byłem strasznie pijany. Ktoś doprawił poncz. Ona była taka zdenerwowana. Anne-Marie, to epizod bez znaczenia. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.) Wysłuchawszy tego wszystkiego Anne-Marie poszła prosto do Clifforda (Helen jeszcze nie wróciła, siedziała u przyjaciółki i próbowała wziąć się w garść, tak strasznie czu-



ła się winna) i powiedziała mu, gdzie była Helen w nocy, przy czym ubrała opowieść w wiele nieprawdziwych i niepotrzebnych szczegółów.

Zanim Helen wróciła do domu, serce Clifforda stwardniało na kamień. Prawdę mówiąc, Johnnie kończył właśnie wymianę zamków w drzwiach, Helen stała na schodkach w ostrym listopadowym chłódzie. Mąż i dziecko znajdowali się po drugiej stronie zaryglowanych drzwi, w cieple.

— Wpuść mnie, wpuść mnie! — krzyczała, ale nie otworzył.

Choć Neli rozplakała się solidarnie, Clifford pozostał niewzruszony. Niewierna żona nie była jego żoną. Była kimś obcym, gorzej, była wrogiem.

Tak więc Helen musiała pójść do adwokata, nieprawdaż, a Clifford już zasięgnął porady prawnej. Nie tracił czasu, Anne-Marie nie skończyła jeszcze mówić, a on już dzwonił do adwokata, a był to bardzo potężny i bardzo drogi adwokat. Korzystając z okazji, Anne-Marie postanowiła rozwieść się z Laurence'em i pociągnąć do odpowiedzialności Helen, tak więc unicestwiono nie jedno, lecz dwa małżeństwa. I kokon ciepła i miłości, w którym żyła Neli, rozpadł się, zdaniem Helen szybciej niż dało się zobaczyć gołym okiem, a co dopiero pojąć rozumem. Nienawiść, rozpacz i uraza wypełniły teraz świat wokół Neli. Nikt nie odpowiadał już uśmiechem na jej uśmiech, Clifford rozwodził się z Helen, pociągał do odpowiedzialności Laurence'a i występował o przyznanie opieki nad córką.

Możecie nie znać zwyczaju „pociągania do odpowiedzialności”. W dawnych czasach, kiedy instytucja małżeństwa była silniejsza i trwalsza niż obecnie, trzeba było interwencji z zewnątrz, by je rozwiązać. Małżeństwo nie rozpadało się ot tak sobie, w efekcie działania siły odśrodkowej. Ktoś musiał przyjść i coś zrobić, zazwyczaj coś seksualnego. Ten ktoś nazywany był „trzecią stroną”. Oddawano do analizy prześcieradła, prywatni detektywi pstrykali zdjęcia przez dziurkę od klucza, a trzecia strona była wzywana do odpowiedzialności przez skrzywdzonego małżonka/małżonkę. Wszystko to było wstrętne i nawet wtedy gdy żadne z małżonków nie czuło się naprawdę skrzywdzone, mechanizm prześcieradeł i dziurek od klucza musiał zostać puszczoney

w ruch. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pojawiła się cała rzesza dziewcząt, które okupowały nadmorskie hoteliki i dostarczały wymaganych dowodów zdrady. Zarabiały na życie stosunkowo łatwo i przyjemnie, siedząc w hotelowych pokojach, wypijając litry kawy i padając w objęcia kochanków tylko wtedy, gdy za drzwiami stawał fotograf.

Dobłą stroną tego konkretnie rozwodu było również to, że Helen zawarła rodzaj rozejmu z ojcem — każdy wróg Clifforda był przyjacielem Johna Lally'ego, nawet jego córka (domniemana córka, Lally nie uczynił bowiem Evelyn tej przyjemności i nie uznał Helen za swoje dziecko) — i uzyskała pozwolenie na powrót do małej sypialni na tyłach Applecore Cottage, gdzie mogła wypłakać swój wstyd i gniew. Tuż za oknem przechyliwszy łebek siedział na gałęzi jabłoni rudzik z czerwonym brzuszkiem. Cmokał i mlaskał, obiecując jej nadejście szczęśliwszych czasów.

### ***Kłamstwa, same kłamstwa!***

O niektóre dzieci nikt nie kruszy kopii. Jeżeli są nieładne, nieciekawe, marudne albo osowiałe, pozwala się rozwiedzionym matkom zatrzymać je i harować dla nich przez całe lata. Ale Neli była prawdziwą czarodziejką! Chcieli ją wszyscy, oboje rodzice, obie pary dziadków. Miała jasną cerę, promienny uśmiech i prawie nigdy nie płakała, a jeżeli płakała, dawała się łatwo uspokoić. Pracowała ciężko i z poświęceniem — nikt nie pracuje ciężiej niż dziecko — by rozwinąć swoje umiejętności, nauczyć się dotykać, brać w rączkę, siedzieć, raczkować, stać, wypowiedzieć pierwsze słowa. Była odważna, mądra i pełna werwy — bardziej trofeum warte posiadania niż garb, który trzeba dźwigać. Toteż walczono o nią zawzięcie.

— Ona nie nadaje się na matkę — powiedział Clifford do van Ersona, swojego piegowatego okrutnego adwokata. — Próbowала usunąć dziecko. Nigdy go nie chciała.

— On chce ją po to, żeby się zemścić — szlochała Helen do Edwina Druse'a, swojego łagodnego zhippisiałego doradcy.

— Proszę, każ mu przestać. Tak bardzo go kocham. Tylko ten jeden głupi wybryk, to idiotyczne przyjęcie, za dużo wypiałam, chciałam tylko odegrać się na nim za Angie. Nie mogę utracić również Neli. Nie mogę. Proszę, pomóż mi!

Edwin Druse wyciągnął miękką dłoń, żeby pogłaskać swoją zrozpaczoną klientkę po głowie. Uważał, że jest za młoda, by podołać sytuacji. Uważał, że Clifford jest postacią wysoce negatywną. Helen potrzebowała opieki. Pomyślał, że może on, Edwin Druse, jest najbardziej odpowiednią osobą do zapewnienia tej opieki.

Nawróciłby ją na wegetarianizm i uwolnił z okowów rozpacz. W gruncie rzeczy uważał, że stanowiliby wymarzoną parę, gdyby usunąć im z drogi Clifforda i małą Neli. Edwin Druse nie był chyba najlepszym adwokatem, jakiego Helen mogła sobie wybrać w tych okolicznościach. Niemniej jemu właśnie powierzyła swój los.

Dodajmy do tego, że Clifford chciał Neli, i zazwyczaj dostawał to, czego pragnął, a zrozumiemy, że w walce o córkę trzymał w ręku wszystkie atuty. Pieniądze, władzę, sprytnych adwokatów, urażoną cnotę, rodziców — Ottona i Cynthię gotowych wesprzeć go swoimi radami, na wypadek gdyby wyczerpały mu się własne.

— Sama słodczy to za mało — powiedziała Cynthia do Helen. — Musi iść w parze z rozsądkiem i roztropnością.

— Mężczyzna wiele zniesie od żony — dodał Otto — ale nie zniesie, żeby wystawiała go na pośmiewisko.

Helen nie miała nic z wyjątkiem urody, bezradności dziecka i miłości macierzyńskiej oraz Edwina Druse'a. Okazało się, że to za mało.

Clifford oskarżył Helen o cudzołóstwo i otrzymał rozwód na tej właśnie podstawie, a ona nie mogła nawet powiedzieć, że to nieprawda. Co więcej, Anne-Marie stanęła na podium dla świadków i zeznała to samo, co na własnym rozwodzie: „Wróciłam do domu niespodziewanie i zastałam swojego męża Laurence'a w łóżku z Helen. Tak, w małżeńskim łóżku. Tak, oboje byli nadzy.” Kłamstwa, wierutne kłamstwa! Helen nie próbowała nawet oskarżyć Clifforda o zdradę z Angie Wellbrook — nie chciała wystawiać go pod pręgierz opinii publicznej, a Edwin Druse nie próbował przekonać jej, że może powinna. Helen aż paliła się do tego, by uznać się winną utraty Clifforda. Nawet nienawidząc

go, nadal go kochała, i to samo można było powiedzieć

o nim. Ale Helen zraniła jego miłość własną, nie wybaczy jej, nie pozwoli, żeby zraniła go po raz drugi. Tak więc wyszedł z sądu jako skrzywdzony, niewinny mąż, stroną winną była ona. Gazety rozpisywały się o tym przez tydzień. Przykro mi to mówić, ale Clifford Wexford lubił rozgłos niezależnie od sytuacji. Pomyślał, że reklama ożywi interes i faktycznie tak się stało.

Ojciec Angie zadzwonił z Johannesburga.

— Cieszę się, że pozbyłeś się tej swojej żony — zagrzemiał w słuchawkę. — To ucieszy Angie.

Ucieszyło, a jakże! To oraz wspaniałe sukcesy obrazów Davida Firkina, które zajmowały teraz najlepszą ścianę galerii.

— Widzisz! — powiedziała Angie. — Wszystkie stare śmiecie poszły precz, precz, precz!

Podczas rozprawy o opiekę nad dzieckiem, która odbyła się miesiąc później, Helen pożałowała, że obeszła się z Cliffordem tak łagodnie. Zrobił wszystko, by udowodnić, że Helen nie nadaje się na matkę. Wyciągnął na światło dzienne nie tylko próbę usunięcia ciąży, czego się spodziewała, ale również obłąd jej ojca.

Człowieka, który tnie własne obrazy nożycami ogrodowymi, trudno nazwać normalnym, prawda? Obłąd bywa dziedziczny. Co więcej, Helen była praktycznie alkoholiczką — czyż nie próbowała usprawiedliwić zdrady tym, że nadużyła alkoholu? Nie, matka Neli jest próżna, zepsuta, beznadziejna, występna. No i nie ma pieniędzy. Maje on, Clifford. Jak ona zamierza utrzymać dziecko? Czyż nie porzuciła nawet tego marnego zajęcia na pół etatu? Helen pracująca? To chyba żart! Gdziekolwiek się biedna dziewczyna obróciła, tam czekał na nią Clifford, oskarżycielski i tak przekonywający, że prawie sama mu uwierzyła. Co mogła mu zarzucić? Że chciał Neli, żeby ją ukarać? Że pierwsze, co zrobi, to odda dziecko pod opiekę niania, że jest zbyt zajęty, by być dla Neli ojcem i matką, że serce jej pęknie, jeżeli odbiorą jej dziecko? Edwin Druse był mało przekonywający. I Helen została napiętnowana po raz drugi, tym razem jako zapijaczona flądra. Clifford wygrał.

— Sąd przyznaje ojcu opiekę nad dzieckiem — powiedział sędzia. Clifford spojrział na Helen i po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia rozprawy napotkał jej wzrok.

— Clifford! — szepnęła, jak szepnąć mogłaby żona do męża na łożu śmierci. Clifford usłyszał, mimo dzikiego zgiełku wokół, i zmiękło mu serce. Złość i uraza przybladły i zapragnął cofnąć czas, aby on, ona i Neli mogli być znowu razem. Czekał na Helen przed sądem. Chciał z nią tylko porozmawiać, dotknąć jej. Poniosła wystarczającą karę. Ale Angie wyszła pierwsza, ubrana w skórzaną minispódniczkę, i nikt nie patrzył na jej nogi, tylko na brylantową broszkę wartą co najmniej ćwierć miliona funtów szterlingów. Angie ujęła Clifforda pod ramię i powiedziała: — Moje gratulacje! Masz dziecko i pozbyłeś się Helen. Laurence nie był jedynym, wiesz?

I chwila słabości minęła. Clifford był znów sobą.

Co stało się z Laurence'em, zapytacie? Anne-Marie, jego żona, wybaczyła mu — choć nigdy nie wybaczyła Helen — i pobrali się ponownie parę lat później.

Niektórzy ludzie są niewybaczalnie lekkomyślni!

Przez jeden nierozsądny wybryk Helen straciła męża, dom i kochanka — co zdarza się częściej, niż nam się wydaje — nie licząc dziecka, przyjaciółki i reputacji. A kiedy mała Neli zrobiła swój pierwszy samodzielny kroczek, jej matki przy tym nie było.

### ***Po rozwodzie***

Biedny Clifford! Dziwi cię zapewne, Czytelniku, że wyrażam się ze współczuciem o Cliffordzie, który zachował się wobec Helen tak okrutnie. Postąpiła głupio, to prawda, ale miała dopiero dwadzieścia trzy lata, a Clifford po miesiącu małżeństwa poświęcał więcej uwagi Leonardowi niż żonie. Poza tym była zazdrosna o Angie, a Laurence był równie ciemny i beztroski, jak Clifford jasny i poważny, skusił ją, a ona nie zdołała się oprzeć, ten jeden jedyny raz. Choć trzeba przyznać, że gdyby Anne-Marie pozostawiła sprawy ich własnemu biegowi i nie zgmiotła romansu w załączku, epizod w gabinecie Laurence'a mógłby rozwinąć się w coś trwalszego i mniej pospolitego. Znam wielu mężów, którzy wy-

baczyliby żonie podobne potknięcie, dąsali się przez miesiąc albo dwa, po czym zapomnieli o sprawie. Ale nie Clifford. Biedny Clifford! Nie potrafił zapomnieć, nie mówiąc już o wybaczeniu.

Biedny Clifford, ponieważ nienawidził Helen i tęsknił za jej obecnością, a miał obok siebie Angie, która nosiła minispódniczki, choć miała krzywe nogi, niemodne broszki, bo były warte miliony, i białe norki, bardziej pretensjonalne niż ciepłe i twarzowe. I która dzwoniła (nigdy ze swojego telefonu) do Johannesburga i namawiała tatusia, by wycofał pieniądze z Leonarda i ulokował je w przemyśle tekstylnym albo zbrojeniowym, ilekroć Clifford próbował wyegzekwować prawo przysługujące świeżo rozwiedzionemu mężczyźnie i trochę pobaraszkować — a nie brakło inteligentnych, pięknych i uroczych kobiet, które tylko czekały, żeby go złapać. Biedny Clifford! Nie był szczęśliwy.

I biedna Neli, która musiała przywyknąć do nowych twarzy i nowych warunków. Mieszkała teraz z miłą nianią w wielkim eleganckim pokoju dzieciennym, odwiedzała ją sympatyczna babcia i dziadek, ale gdzie była jej matka? Usteczka drżały jej często, ale nawet dziecko potrafi być odważne i dumne. Neli próbowała się uśmiechać i być miłym dzieckiem. Nie miała przy sobie nikogo, kto zadałby sobie trud i próbował zrozumieć, co kryje się za tym uśmiechem. W latach sześćdziesiątych nie badano tajników dziecięcej psychiki z takim zapałem jak dzisiaj.

— Nie bierz jej na ręce — mówiła Cynthia do niani, kiedy Neli zdarzyło się zapłakać w nocy. — Niech się wypłacz. Wkrótce z tego wyrośnie.

Bądź co bądź w tym właśnie duchu wychowała Clifforda i Clifford nauczył się nie okazywać żalu i strachu. Inna sprawa, czy ta nauka wyszła mu na dobre. Na szczęście niania czytywała doktora Spocka i nie zwracała uwagi na głędzenie swojej chle-bodawczyni.

— Jak tylko ułożę sobie życie — powiedział Clifford do matki — Neli przyjedzie do mnie i zamieszkamy razem.

Ale był taki zajęty! Tygodnie przeszły w miesiące.

I jeszcze biedniejsza Helen! Przez pierwsze miesiące po rozwodzie mieszkała z rodzicami i nie było to łatwe. John Lal-ly nie oszczędził jej żadnego „a nie mówiłem”, pieklił się bardziej niż kiedykolwiek i chętniej niż kiedykolwiek obwinił Eve-

lyn o wszystko, co mu się w życiu nie udało, nie udaje obecnie i nie uda w przyszłości. Evelyn chodziła z czerwonymi, pod-puchniętymi oczami i Helen wiedziała, że to jej вина. Słyszała rodziców przez ścianę.

— Dlaczego pozwoliłaś jej za niego wyjść, głupia?! Moja wnuczka w rękach tego brutala, złoczyńcy! Sama mu ją oddałaś! Tak bardzo nienawidzisz własnej córki? Nienawidzisz mnie? A może zrobiłaś to z zazdrości, ponieważ ona jest młoda i ma życie przed sobą, a ty jesteś stara i skończona?

Zaprzeczał, jakoby Helen była jego córką, ale uznawał Neli za swoją wnuczkę.

Dziwne. Jeszcze dziwniejsze było to, że podczas gdy żona i córka rozpaczały pod jego dachem, on, natchniony chandrą, namalował trzy doskonałe obrazy w trzy miesiące. Jeden przedstawia beczkę na deszczówkę z pływającym w niej zdechłym kotem, drugi kodaka na martwym drzewie, trzeci zatłoczony ściek i rumowisko.

Wszystkie trzy znajdują się dzisiaj w Metropolitan Museum of Modern Art.

Teoretycznie należały do Leonarda, ale John Lally nie miał najmniejszego zamiaru ich oddać. Nie!! Nigdy! Schował je w piwnicy Applecore Cottage, gdzie szczęśliwie nie dostała się do nich wilgoć ani nie nadgryzły ich szczury. Lepsza własna piwnica, wrzeszczał John Lally, niż kazamaty Leonarda, w których Clifford Wexford umieścił już osiem jego najlepszych płócien.

Z każdym dniem Helen płakała trochę mniej i po trzech miesiącach była już gotowa stawić czoło światu. Pozwolono jej widywać się z dzieckiem raz w miesiącu, w obecności strony trzeciej. Clifford wyznaczył Angie jako stronę trzecią, Helen nie znalazła żadnego powodu, by zanegować jego wybór, a Edwin Druse nie zrobił tego za nią. (Drogi Czytelniku, jeżeli będziesz się kiedyś rozwodził, upewnij się, że adwokat nie jest w tobie zakochany.)

### ***Widzenie***

Oto jak przebiegał dzień widzenia z dzieckiem. Babcia Cynthia odwoziła Neli na stację Waterloo, gdzie czekała Angie,

niańka (co miesiąc inna) i rolls z szoferem. Niańka niosła Neli, ponieważ Angie bała się trzymać coś tak skoczego i nieobliczalnego jak dziecko. Poza tym mogłoby zrobić w pieluchę. Całe towarzystwo udawało się do pokoju w „Claridges”, gdzie czekała Helen, skrepowana luksusowym wnętrzem. Jako żona Clifforda wszędzie czuła się swobodnie. Wydawało się jej, że na eks-żonę Clifforda portierzy i kelnerzy patrzą krzywym okiem. Angie rozumiała to doskonale i dlatego wybrała „Claridges”. Poza tym wiązały ją z tym miejscem tak miłe wspomnienia! Niańka oddawała dziecko Helen. Neli gaworzyła, pokrzykiwała i uśmiechała się do matki jak do pierwszej lepszej przyjaznej twarzy. Nie poznawała już Helen, zaniepokojona czy skrzywdzona wyciągała ręce do babki. Helen musiała się z tym pogodzić.

— Schudłaś, Helen — powiedziała Angie podczas czwartego widzenia, gdy Cynthia, tajemnicza i piękna, poszła po zakupy, a przynajmniej tak powiedziała. Angie z przyjemnością stwierdziła, że piersi Helen, kiedyś takie krągłe, zmalowały. Uznała, że Clifford nie znalazłby już nic godnego uwagi w tej żalösnej wychudzonej istocie, jaką stała się Helen.

— Clifford mówił zawsze, że jestem za pulchna — odparła Helen. — Jak on się ma?

— Znakomicie — rzekła Angie. — Jemy dziś kolację w „Mirabelle”, z Durrance'ami.

Ach, z Durrance'ami! Anne-Marie i Laurence zaczęli się spotykać, niegdyś najlepsi przyjaciele Clifforda i Helen. Laurence'owi, z którym Helen zgrzeszyła, wybaczone, ponieważ jeśli się nad tym zastanowić, Helen znaczyła tak niewiele. Przekręcanie noża w ranie było ulubionym zajęciem Angie. Ale tym razem posunęła się za daleko. Helen spojrzała na Angie i w jej oczach zabłysnął gniew, jakiego nie czuła jeszcze nigdy w życiu.

— Moja biedna Neli! — szepnęła do swojego dziecka. — Jaka byłam słaba i głupia. Zdradziłam cię!

Podawała dziecko niańce, podeszła do Angie i uderzyła ją, raz, dwa, trzy razy w ten sam policzek. Angie wrzasnęła. Niańka wybiegła z pokoju unosząc Neli, która śmiała się uradowana huśtaniem.



— Nie jesteś moją przyjaciółką i nigdy nie byłaś — powiedziała Helen do Angie. — Pójdiesz do piekła za to, co zrobiłaś Cliffordowi i mnie.

— Jesteś zerem — odparowała Angie jadownicę. — Córka ramiarza. Clifford to wie. Ożeni się ze mną.

Angie poszła prosto do Clifforda, powiedziała mu, że Helen jest niepoczytalna, i przekonała go, żeby zwrócił się do sądu i ograniczył jeszcze bardziej spotkania matki z dzieckiem. Angie nie mogła ścierpieć, kiedy po jej widzeniach z Helen pytał mimochodem, jak Helen wygląda.

— Pospolicie — odpowiadała Angie. — Lituje się nad sobą. Wygląda strasznie! Lub coś w tym stylu. Clifford spoglądał na nią i nie mówił nic, tylko się leciutko uśmiechał. Nie był to przyjemny uśmiech, sprawiał, że Angie czuła się nieswojo. Ale tym razem napotkała ze strony Clifforda zdecydowany opór.

— Och, zamknij się i odczep ode mnie, Angie. — To było wszystko, co z początku powiedział.

Uległa więc pokusie i poinformowała go (ryzykowne posunięcie, reakcja Clifforda mogła być zaskakująca), że Helen ma romans ze swoim adwokatem, Edwinem Druse'em. Podziałało. (Nie była to prawda, choć Edwin Druse twierdził inaczej. Niektórzy mężczyźni tacy już są, dają się ponieść fantazji.) Cliffordowi, który zauważył nieudolność, z jaką Druse prowadził sprawę Helen, insynuacje Angie wydały się aż nadto wiarygodne. To wiele wyjaśniało. Ponownie oddał sprawę do sądu.

Wezwanie wyskoczyło ze skrzynki na listy w Applecore Cottage.

— A nie mówiłem! — zawołał John Lally. — Spodziewałem się tego.

— I dlatego że się tego spodziewasz — odparła Helen, nareszcie biorąc się w garść — przytrafiają nam się nieszczęścia!

Przyjęła od matki dwieście funtów (Evelyn przez wiele lat zbierała je na ucieczkę z domu) i zapłaciła czynsz za mieszkanie na piątym piętrze w Earl's Court. Bez windy. Jakie to ma znaczenie? Znajdzie pracę. Odzyska swoje dziecko.

Tym razem Helen pojawiła się w biurze Edwina Druse'a zła, nie zapłakana. Poczuli, że ją traci. Objął ją. Wyrwała się. Napierał.

Powiedzieć, że próbował ją zgwałcić, byłoby przesadą, ale można to i tak zinterpretować. Przypuszczam, że został wegetarianinem, w nadziei że poskromi swoją alarmująco agresywną naturę, którą ukrywał pod gęstą brodą i łagodnym sposobem bycia. Z przykrością muszę stwierdzić, że mu się nie udało. Nie można zwalać na mięso wszystkiego, co złe na tym świecie. Helen wyrwała się z objęć Druse'a i znalazła sobie innego prawnika.

Wmaszerowała do biura Cuthberta Waya, z którym zjedli kiedyś z Cliffordem kolację (jajko w majonezie, kawior z cytryną, *tarte aux pommes*) i zażądała pomocy. Będzie musiał reprezentować ją za darmo, powiedziała, w imię sprawiedliwości. Był pod jej wrażeniem, śmiał się, patrząc z przyjemnością na jej ożywioną twarz. Zatrważająca nieudolność, jaką wykazał Druse w sprawie Wexfordów, była szeroko komentowana w prawniczym świecie. Way był równie poruszony błyszczącymi oczami Helen i policzkami zaróżowionymi z gniewu, jak Druse jej masochizmem. Powiedział, że z przyjemnością odroczy spłatę honorarium.

Kiedy Clifford pojawił się w sądzie, okazało się, że jego przeciwnikiem nie jest już Edwin Druse, ale Cuthbert Way, gniewny i twardy. Oznajmił sędziemu, że Helen może dać teraz swojemu dziecku dom, że Clifford jest obojętny na potrzeby Neli i chciał tylko zemsty, że Angie jest niemoralna, podobnie zresztą jak Clifford — czyż nie uczestniczył ostatnio w przyjęciu, na którym brano LSD? Ogólnie rzecz biorąc potraktował Clifforda równie nieżyczliwie, jak on potraktował Helen. Metoda okazała się skuteczna i kiedy wyszli z sądu, Neli znajdowała się w ramionach Helen. (Sędzia poprosił całą trójkę do oddzielnego pokoju. Neli zapiszczała z radości i wyciągnęła ramionka do matki. Cóż, prawie nie знаła Clifforda. Gdyby była tam niania, wyciągnęłaby ręce do niani, ale niani nie było, nieprawdaż, a sędziowie nie myślą o takich sprawach.)

— Sąd przyznaje opiekę matce — powiedział sędzia.

— Teraz pewnie Cuthbert Way jest twoim kochankiem — syknął Clifford. — Pnie się w górę, jak widzę. Prędzej umrę, niż puszczę ci to płazem.

— Niech ci ziemia lekką będzie — odparła ona.

### *Ofiara miłości*

Przez pełne trzy lata małą Neli wyrywano sobie jak szmacianą lalkę. Matka ciągnęła z jednego końca, ojciec z drugiego. Zwyciężała to jedna, to druga strona. Najpierw był wspaniały, aseptyczny pokój dziecienny w domu dziadków w Sussex, potem

● wiele mniej czysty cygański dom dziadka malarza w święta i mieszkanie matki na piątym piętrze w dni powszednie. Potem smutny, ale elegancki dom ojca w Primrose Hill, potem dom w Muswell Hill, gdzie jej matka zamieszkała ze swym nowym mężem, Simonem Cornbrookiem.

Pozwólcie, że opowiem pokrótce, jak Helen poznała i poślubiła Simona Cornbrooka, porządnego człowieka, odrobinę nudnego, jak to zwykle z porządnymi ludźmi bywa. Simon był naprawdę bardzo mądry, skończył wydział filozofii, polityki i ekonomii na Oksfordzie i pisał ważne artykuły o odległych krajach do kolorowego dodatku „Sunday Timesa”. Czasami pisywał również artykuły wstępne do „The Timesa”. (W tamtych czasach obie gazety dzieliły lokal na Printing House Square.) Miał metr sześćdziesiąt wzrostu, jasne poczciwe oczy w okrągłej sowiej twarzy i już jako trzydziestoparolatek niewiele włosów na głowie, jakby nieustanny prąd myśli utrudniał cebulkom przetrwanie. Był zupełnie, zupełnie inny niż Clifford i to mogło stanowić dla Helen pewien urok. To oraz jego łagodność, szczerość, rozwaga, zarobki i troska o jej komfort fizyczny i psychiczny. Nie kochała go. Próbowwała, niemal wmówiła w siebie, że go kocha, ale nie kochała. Potrzebowała mężczyzny, który łożyłby na nią i na Neli, bronił jej przed Cliffordem oraz nową armią prawników, których ten zatrudnił (zwolnił van Ersona za to, że dał się zaskoczyć). Jeżeli chodzi o Simona, po prostu kochał Helen, ale myślę, że gdzieś w głębi duszy spodziewał się z jej strony wdzięczności i liczył na to, że ta wdzięczność wszystko załatwi. Czyż nie wziął kobiety z bujną przeszłością i gotowym dzieckiem? Choć nigdy by czegoś takiego nie powiedział! Helen była mu wdzięczna. Naprawdę wysoce ceniła swojego mądrego, dobrego nowego męża, który nigdy nie pił do późnej nocy w „El Vino”, a był przecież dziennikarzem, nigdy nie dał jej najmniejszego powodu do

zazdrości, był troskliwym kochankiem i wyprowadzał ją z przyjęcia, w chwili gdy powiedziała, że chce wyjść. (Na przyjęciach z Cliffordem, choć umierała czasem z nudów i zmęczenia, nie dawała mu nawet odczuć, że ma dość, czekając na sygnał do odwrotu.) Na przyjęciach, na które chodziła z Simonem, spotykała ludzi bardziej przyziemnych, o wiele sympatyczniejszych, mniej nerwowych i mniej kontrowersyjnych. Nie byli tacy mądrzy, ale

● wiele zabawniejsi.

Czytelniku, nie pozwól mi obmówić małżeństwa Cornbrooków. Było całkiem udane w porównaniu z innymi. Helen miała dużo szczęścia, że trafiła na Simona. Uwolnił ją od konieczności wdrapywania się na piąte piętro z Neli na plecach, po całym dniu spędzonym na odmalowywaniu mebli w „Antykach Brusha” na Bond Street.

Uwolnił ją od marszów do przedszkola na drugim końcu Londynu i z powrotem na Earl's Court. Och, cena miłości macierzyńskiej potrafi być wysoka. Małżeństwo wydaje się wtedy bardzo dogodne, bardzo kuszące.

Simon Cornbrook, kawjiler, kupił nowy dom w Muswell Hill. Dom wymagał dużych mebli. Simon udał się na Bond Street w poszukiwaniu użytecznych antyków. (Istniał wtedy taki gatunek mebla.) Bill Brush zaprowadził klienta na tyły pracowni, by pokazać mu wielką ciemnozieloną komodę z czerwonymi kwiatami, nad którymi pracowała Helen. Podniosła wzrok na Simona — miała smugę białej farby na policzku — i stało się! Jeśli nie dla niej, to dla niego. Helen już taka była. Posiadała ogromną władzę nad sercem i życiem mężczyzny i bardzo niewielką nad własnym!

Pobrali się w miesiąc później i dom w Muswell Hill został natychmiast przepisany na jej nazwisko. Evelyn odzyskała swoje dwieście funtów. Simon, jak już mówiłam, był hojny, uważający i troskliwy.

— Muswell Hill! — zawołał podobno Clifford. — Helen w Muswell Hill! Musiała rozpaczliwie potrzebować męża. Ten biedny Cornbrook! Zresztą mężczyzna, który kupuje dom w Muswell Hill, nie zasługuje na nic lepszego.

Muswell Hill, jak może wiesz, Czytelniku, leży w północnej części Londynu i jest dzielnicą zamożną, ładną i zieloną, z pięknym widokiem na miasto. Ale jest to spokojne miejsce,

zbyt spokojne dla kogoś, kto chce być w centrum wydarzeń. Helen i Simon nie chcieli, i to właśnie drażniło Clifforda.

Zwrócił się więc ponownie do sądu, twierdząc, że Simon jest rozwiązłym alkoholikiem, ale wniosek został odrzucony. (Sąd uznał, że Simon jest typowym dziennikarzem.) Neli została z matką i uśmiechała się do nich wszystkich, zwłaszcza do matki, niechętnie zaś do Angie, którą Clifford zapraszał często na niedzielny lunch, ale bardzo rzadko na noc, a kiedy już zapraszał, to tylko po to, by ją uciszyć. Angie wiedziała o tym. Biedna Angie! Tak, Czytelniku, nawet Angie zasługuje na współczucie. To straszna rzecz kochać i nie być kochanym. Angie cierpiała, ale nie traciła ducha. Pewnego dnia Clifford przejrzy na oczy i się z nią ożeni.

Zgodnie z orzeczeniem sądu Clifford mógł widywać się z Neli co trzeci weekend. Dziecko było odstawiane pod drzwi domu w Primrose Hill w sobotnie popołudnie i odbierane spod tych samych drzwi w niedzielę wieczorem.

— Dziwne — powiedział Clifford do Angie podczas jednej z tych rzadkich nocy, kiedy gościł u siebie obie panie, córkę i kochankę. — Neli budzi się i płacze tylko wtedy, gdy ty tu jesteś.

Nie była to prawda. Po prostu spał wtedy mniej i słyszał zawodzenie biednego dziecka. Angie nie omieszkała mu o tym powiedzieć, ale nie uwierzył.

Tej nocy Angie zamiast koszuli nocnej miała na sobie suknię balową ozdobioną motylkami z gazy. Suknia wyglądała głupio w łóżku, a kolor podkreślał ziemistość cery Angie. Helen nie byłoby z tym źle, wyglądałaby po prostu marzycielsko, pomyślał Clifford absolutnie wbrew woli. Próbował nie myśleć o Helen. Wszystkie przyjemne wspomnienia z nią związane wypierała natychmiast wizja Helen w ramionach Laurence'a Durrance'a, Edwina Druse'a, Cuthberta Waya albo baraszkującej w satynowej koszuli Simona Cornbrooka (dlaczego akurat w satynowej, tego nie wiem, w końcu człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje wizje). Rzeczywiście Helen sypiała kiedyś w koszuli Simona, ale Clifford nigdy się o tym nie dowiedział.

— Powinieneś zatrudnić niańkę — powiedziała Angie. — Jej obowiązkiem jest wstawać w nocy do dziecka. To śmieszne oczekiwać od mężczyzny, tak zajętego i pełniącego tak ważną funkcję, że da sobie radę bez pomocy niańki.

— Nie warto zatrudniać niańki na jeden weekend w miesiącu — stwierdził Clifford. Poszedł jednak na kompromis, zwrócił się do agencji nia-niek i takie już było jego szczęście, że przysłano mu włoską księżniczkę, magistra historii sztuki o długich falistych włosach i wytwornych manierach. Angie nie wiedziała, czy między Cliffordem a Włoszką coś zaszło, ale obawiając się najgorszego, załatwiła dziewczynie deportację. (W latach sześćdziesiątych było to zadziwiająco łatwe. Wystarczyło, że cudzoziemka wprowadzała zamęt w angielskim domu, a unieważniano jej wizę od ręki.)

Angie, nad wyraz majątna i utalentowana, zawsze znajdowała wpływowe ucho, w które mogła poszeptać, lecz to już zupełnie inna historia. Życie miłosne Clifforda naprawdę nas nie interesuje. Zdradzę wam tylko, że w taki czy inny sposób wymykał się często spod kontroli Angie.

Również Simon Cornbrook interesuje nas jedynie jako człowiek, który na rodzinnych spacerach trzymał Neli za prawą rączkę, podczas gdy Helen trzymała ją za lewą.

— Raz, dwa, trzy i fru! — wołali, wyrzucając Neli w powietrze, zadyszana i podniecona.

To Simon w co trzeci weekend odwoził Neli pod drzwi Clifforda i zabierał ją stamtąd. I pod jego łagodnym, ąasi-ojcow-skim okiem uczyła się nie tylko chodzić i mówić, ale biegać, skakać, bawić się skakanką, a nawet pisać i czytać pierwsze słowa. Miała drobne, delikatne ciało, wielkie niebieskie oczy i gęste jasne włosy ojca — choć włosy Clifforda były proste, a włosy Neli kręciły się zupełnie jak włosy Helen. Czowała się szczęśliwa. Życie w domu w Muswell Hill, takie spokojne i uregulowane, było niemal nudne. (A może pomyślała to Helen, nie Neli? Obawiam się, że Helen.) Helen nie musiała już „przyjmować” w stylu wexfordzkim, ale interesujący ludzie wpadali na kolacje, a ponieważ kuchnia była połączona z jadalnią, siedzieli, popijali wino, patrzyli, jak ona gotuje, i Helen w ogóle nie czuła się tym skrepowana. Simon wyjeżdżał za granicę od czasu do czasu; tęskniła za **nim** — to znaczy, trochę — i była to kojąca świadomość. Przez jakiś czas żyła spokojnie i powiedziała sobie, że ta pani domu z Muswell Hill jest jej prawdziwym „ja”. Cóż, przechodziła re-

konwalescencję. Bardzo się przestraszyła świata i zamieszkujących go ludzi. Neli przyzwyczaiła się do odwiedzin u Clifforda, bardzo prędko zrozumiała, że choć w domu matki może dokazywać ile wlezie, w domu ojca musi poruszać się statecznie, inaczej natychmiast stłucze coś cennego. Wiedziała, że rozlewając mleko w Primrose Hill poplamie jakiś stary haftowany obrus i choć nikt jej za to nie skarci, będzie mnóstwo gadania, obrus zostanie zdjęty i zamieniony na inny. W Muswell Hill w takich sytuacjach pojawiała się gąbka — albo Neli przynosiła ją sama — i po sekundzie drewniany stół był już suchy.

Tak więc życie płynęło w miarę szczęśliwie. Zdaniem Simona nadszedł czas, by Helen urodziła drugie dziecko, ale Helen odkładała to na bliżej nieokreśloną przyszłość. Pigułka

— w pierwszym okresie jej kariery była to potężna dzienna dawka estrogenu — niemal z dnia na dzień zmieniała modele zachowań seksualnych. Kobiety mogły teraz kontrolować swoją płodność. Kiedyś była to domena mężczyzn, teraz stawiała się zarazem odpowiedzialnością i prawem kobiety. I każdego ranka Helen, znając pragnienia Simona i będąc człowiekiem o miękkim sercu, gapiała się na swoją pigułkę i myślała, że dziś jej nie weźmie, ale w końcu brała. Aż pewnego ranka ocknęła się ze snu

● Cliffordzie — Czytelniku, nadal śniła, że jest z nim w łóżku i że on wyznaje jej miłość, a ona jest tak niewiarygodnie szczęśliwa — i pod wpływem poczucia winy schowała pigułkę do fiolki, a fiolkę wyrzuciła do kosza na śmieci. Jeżeli urodzi dziecko Simona, przestanie śnić o Cliffordzie. Po miesiącu była już w ciąży.

Wiadomość o ciąży Helen Angie przyniosła Cliffordowi pewnego niedzielnego poranka. Słońce lało się strumieniem przez weneckie okna, oświetlając z ukosa jeden z obrazów Johna Lally'ego

— sowę przeżuwającą żywą jeszcze mysz. Nawet to dzieło tchnęło nieokreśloną otuchą. Clifford miał na sobie biały puchaty szlafrok, popijał najczarniejszą, najlepszą kawę z filiżanki z najlepszej porcelany, jego jasna czupryna wydawała się gęściejsza niż zwykle i Angie pomyślała, że Clifford nigdy nie wyglądał piękniej. — Cześć! — zawołała i machnęła niedbale naręczem czerwonych róż. — Ktoś mi je dał. Nie cierpię tego człowieka, więc pomyślałam, że może tyje weźmiesz. Gdzie Anita?

(Anita była włoską niańką.)

— Nie ma jej — odparł zwięźle. — Jakiś idiota w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych unieważnił jej wizę.

— Wiesz, Helen jest w ciąży — powiedziała Angie mimochodem, układając róże w wazonach z Liberty. (Odebrała róże z kwiaciarni u Harrodsa poprzedniego popołudnia, sześć tuzinów, na specjalne zamówienie). Cóż, Angie zawsze popełniała błędy. Tym razem była pewna, że ciąża pani Cornbrook uświadomi Cliffordowi, iż stracił Helen na zawsze i pozostała mu ona, Angie. Ale on powiedział tylko:

— Cholera! Będzie zaniedbywała Neli. Angie, byłabyś tak dobra i poszła sobie stąd? Gdzie kupiłaś róże? W Harrodsie?

Angie wyszła pochlipując, ale tym razem Cliffordowi było wszystko jedno. Niech zadzwoni do ojca, niech wycofa z Leonarda tyle milionów, ile jej się spodoba, niech zamknie cały dział starych mistrzów, miał co innego na głowie.

Parę tygodni później otworzył filię Leonarda w Szwajcarii. W Szwajcarii jest mnóstwo pieniędzy, a ci, którzy je posiadają, potrzebują duchowego przewodnictwa i na szczęście dla Leonarda, wiedzą o tym. Clifford zbudował dom nad jeziorem, u podnóża gór. Sprzedał dom w Primrose Hill za astronomiczną sumę — dzielnica zrobiła się nagle irracjonalnie modna. Pewnie, że tak!

Następnie skontaktował się przez Johnniego z panem Erichem Blottonem, który specjalizował się w uprowadzaniu dzieci.

— Mam nadzieję, że pan wie, co robi — odezwał się Johnnie, rzecz zupełnie u niego niezwykła.

— Wiem — odparł Clifford.

I Johnnie Hamilton uwierzył mu na słowo. Bądź co bądź „stracił zdolność oceny sytuacji”, jak ujął to szef jego departamentu podczas odprawy w 1944 roku, MI5 zastosował LSD, by przywrócić swojemu podwładnemu pamięć, którą utracił w tureckim więzieniu. W wyniku kuracji amnezja Hamiltona pogłębiła się znacznie, a na dodatek narkotyk „rozsadził” mu część mózgu. Ale lubił zwierzęta i zachował wiele ze swych dawnych umiejętności, co pozwalało mu pracować w stajniach Wexforda, dbać o konie Cynthii i psy Ottona. Wielki, powłóczący nogami, siwy mężczyzna, który kiedyś był chlubą brytyjskiego wywiadu,



a któremu teraz należało mówić, co ma robić, tak skomplikowany wydawał mu się świat. Tylko Clifford wiedział, ile zadziwiających umiejętności posiada Johnnie, i wykorzystywał je od czasu do czasu, nie powiem, żeby zawsze w szlachetnym celu. Hamilton miewał przebłyski zdrowego rozsądku i gdyby Clifford nie był jedynym człowiekiem, który wprowadzał trochę emocji w jego życie, protestowałby ostrzej i bardziej uporczywie. A tak umówił Clifforda na spotkanie z Erichem Blottonem i wrócił do swoich koni.

### ***Katastrofa***

Drogi Czytelniku, rozwód nie rozwód, małżeństwo nie kończy się nigdy, jeżeli istniała miłość, a pozostało dziecko. Helen nadal śniła o Cliffordzie. Cliffordowi zaś, mówiąc językiem przedmieść o wiele mniej wytwornych niż Muswell i Primrose Hill, zwyczajnie odbiło. To było tak, jakby zrezygnowawszy z praw do serca Helen, jej duszy i ciała, interesował się żywo macicą, która wyprodukowała Neli. A właśnie owo terytorium zostało najechane i jego, Clifforda, honor doznał poważnego uszczerbku. To jedyne wytłumaczenie jego zachowania, jakie przychodzi mi do głowy. Innego nie ma.

— Chcę uprowadzić Neli — powiedział Clifford Erichowi Blottonowi, prawnikowi porywaczowi.

Nazwisko Blottona pojawiała się w prasie, ilekroć bywał pozbawiany praw wykonywania zawodu lub skazywany wyrokiem sądu. Nie miał biura, wolał spotykać się z klientami w klubach i barach. Ale Johnnie ściągnął go do gabinetu Clifforda u Leonarda. Cóż to był za gabinet! Ściany w dębowej boazerii, ogromne biurko, a obrazy na ścianach — lepiej nie mówić! Warte co najmniej milion, według cen z lat sześćdziesiątych. Clifford siedział z nogami na biurku, w dzinsach i adidasach. Nosił adidas na dziesięć lat przedtem, nim stały się modne. Zachowywał się nonszalancko, ale czy kiedyś zachowywał się inaczej?

— Uprowadzić? Nie lubię tego określenia — zaprotestował pan Blotton, który był chudym, drobnym, zamkniętym w sobie człowiekiem o oczach mordercy. To znaczy, jego oczy były zarazem łagodne, zimne i pełne zainteresowania. — Nigdy nie uprowadzam. Odzyskuję. — Palił dziewięćdziesiąt papierosów dziennie. Palce i zęby miał pożółkłe, ubranie poznaczone łupieżem i przesiąknięte zapachem tytoniu. Clifford postukał palcami o blat biurka — tymi długimi palcami, które Angie kochała, a Helen pamiętała tak dobrze. Zaczaj mówić o pieniądzach, ale zaproponował Blottonowi o połowę mniej, niż ten się spodziewał. Clifford nie był hojny, nawet w takich sprawach.

— W piątek wyjeżdżam do Szwajcarii — powiedział Clifford. — Proszę dostarczyć mi tam dziecko w ciągu tygodnia. Zanim matka zorientuje się, co jest grane. Matka! Nie „Helen”, nie „matka Neli” czy chociażby „moja eks-żona”, po prostu „matka”. Mówiłam: odbiło mu!

Istotnie, gdyby Helen czytała kolumny towarzyskie i wiedziała, że Clifford wyjeżdża do Szwajcarii na całe osiemnaście miesięcy, nie zostawiłaby małej Neli w przedszkolu z tak lekkim sercem. Ale nie czytała już rubryk towarzyskich. Nie chciała. Myśl o Cliffordzie wytrącała ją z równowagi. A jego nazwisko stale figurowało w rubryce towarzyskiej, widziano go tu, widziano tam, zawsze w damskim towarzystwie.

— Zła matka, co? — zapytał Blotton.

Zdusił niedopałek papierosa i zapalił następnego. W tamtych czasach nie wiedziano jeszcze, że tytoń jest zabójczym zielskiem. Lekarze zalecali palenie jako łagodny środek dopingujący i antyseptyczny. Badania ujawniły już wprawdzie niebezpieczeństwo, ale zarówno palacze, jak i przedstawiciele koncernów tytoniowych ze swadą i energią zaprzeczali statystykom. Nikt nie chciał wierzyć, więc nie wierzył.

Blotton chciał myśleć źle o Helen. Lubił porywać dzieci, ale wolał robić to z czystym sumieniem. Chętnie usprawiedliwiamy nasze występne przyjemności: kradniemy ze sklepów, ponieważ nakładają zbyt dużą marżę, oszukujemy pracodawców, ponieważ mało nam płacą, zdradzamy naszych życiowych partnerów, ponieważ nie dość nas kochają. Wymówki, wymówki! Blot-

ton niczym się nie różnił od innych ludzi, chyba tylko tym, że w świecie, gdzie większość występków jest wybaczalna, uprawiał niewybaczalną profesję. Zapiszmy to na korzyść Clifforda, że nie dał się wciągnąć w grę Blottona. Nie raczył mu nawet odpowiedzieć, po prostu zaproponował mu dziesięć procent mniej, niż pierwotnie zamierzał. Zdecydowanie nie lubił tego człowieka.

— Podniosę honorarium o dwadzieścia procent — wykrztusił — jeżeli dziewczynka przyjedzie uśmiechnięta.

W ten sposób Clifford chciał zapewnić Neli spokojną podróż. Miała ją odbyć samolotem z Londynu do Genewy. Chciał mieć gwarancję, że Blotton nakarmi Neli, zabawi ją, uspokoi i nie tknie brudnym paluchem.

Clifford kochał Neli na swój sposób. Po prostu na nią nie zasługiwał. Helen, mimo swej słabości i nieodpowiedzialności, kochała Neli i na nią zasługiwała. Nie chcę sugerować, że kobiety są zawsze lepszymi rodzicami niż mężczyźni. W niektórych przypadkach jest akurat odwrotnie. I uważam, że odebranie dziecka nie kochającemu rodzicowi siłą lub podstępem jest nie-głupim rozwiązaniem. Jeżeli mam jakieś wątpliwości, to tylko dlatego że w sprawach, które budzą tyle emocji, kiedy do głosu dochodzi gniew, lęk, żal i wszystkie pierwotne instynkty, trudno ocenić własne pobudki. Czy kieruje nami miłość czy nienawiść? Jednego możemy być pewni, ludzie pokroju Blottona to ropuchy, nie obrażając ropuch, oczywiście. Napisałam: samolotem. Samolotem! Czytelniku, czy dreszcz nie przebiegł ci po plecach? Powinien przebiec, mnie przebiegł. Człowiek ma wrażenie, że katastrofa jest tuż-tuż. Większość z nas nigdy nie przyzwyczai się do tego, by szybować w powietrzu, zamiast pełznąć po ziemi, jak nakazuje rozsądek, i im więcej mamy wyobraźni, tym wyraźniej widzimy scenariusz przyszłej katastrofy. Choć nasze obawy nie powstrzymują nas przed lataniem i choć przytaczamy dane statystyczne, i mówimy sobie, że jesteśmy dużo bezpieczniejsi w powietrzu niż na przejściu dla pieszych, nawet rutynowi oblatywacze oddychają z ulgą, kiedy samolot znajdzie się z powrotem na ziemi. A jakie potworne obrazy wryto nam w pamięć! Skoszony, rozdarty las po paryskiej katastrofie lotniczej w 1974 — zginęła tam

moja dobra przyjaciółka, Czytelniku — usiany makabrycznymi szczątkami: ubrań, ciał. Był tam również pantofel, jestem pewna, że należał do mojej przyjaciółki — długi, cienki, wykrzywiony, niespecjalnie zgrabny, ale takie właśnie lubiła — tylko tyle z niej zostało. Albo meteor, w jaki zmienił się prom kosmiczny, meteor zachwycająco piękny, choć pozbawiony symetrii, jakby w ułamku sekundy powstała nowa forma sztuki...

Dość! Co ma być, to będzie. Johnnie odebrał Neli z przedszkola o 11.15 we wtorek rano. Przyjechał rollsem, samochodem budzącym zaufanie.

— Nie wiedziałam, że to dzień ojca — zauważyła panna Pickford, która była przeciwna rozwodom. Kto nie jest? Ale w tamtych czasach rozwody nie przytrafiały się co trzeciemu małżeństwu. Tak więc panna Pickford pozwoliła Neli wsiąść do rollsa, choć oczekiwała przybycia Helen. Trudno ją za to winić. Znała Johnniego, odbierał często Neli. Jakie to było łatwe! Kaszka z mleczkiem dla pana Blottona. Mała Neli usadowiła się na tylnym siedzeniu — uwielbiała wielką miękką przestrzeń samochodu ojca. Volvo ojczyrna było lżejsze i jaśniejsze i lubiła je również, ale samochód ojca był bardziej podniecający. Neli lubiła niemal wszystko, wołała cieszyć się posiadaniem, niż doszukiwać się wad. Znieubiła jednak pana Blottona, który kulił się na drugim końcu siedzenia.

— Kim pan jest? — zapytała.

Nie podobały jej się oczy Blottona, łagodne, zimne i pełne zainteresowania.

— Przyjacielem twojego ojca.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem i Blotton odkrył, że odwzajemnia antypatię Neli. Nie spodobały mu się jasne, bystre, osądzące go oczy dziecka.

— Dokąd jedziemy? — zapytała, kiedy rolls skierował się na Heathrow.

— Do twojego taty. Ma nowy śliczny dom z basenem i kucykami.

Wiedziała, że to nie w porządku.

— Mamusia będzie za mną tęskniła. I kto nakarmi Tuffina? Tuffin był jej kotem.

— Mamusia wkrótce przywyknie — powiedział Erich Blot-ton. Zdaje się, że lubił myśleć o zrozpaczonych kobietach i dzieciach płaczących cicho w obcych łózkach. Neli wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie, ale nie wiedziała, na czym ono polega. Sięgnęła do kieszonki po swój szmaragdowy naszyjnik. To znaczy, szmaragdowy naszyjnik mamy. Mały szmaragd w kształcie serca oprawiony w złoto, na cienkim srebrnym łańcuszku. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa, choć jednocześnie sprawiał, że czuła się winna. W ogóle nie powinien znajdować się w jej posiadaniu i Neli wiedziała o tym.

— Jutro jest dzień skarbów — powiedziała panna Pickford w przedszkolu. — Przynieście swoje skarby, żebyśmy mogli o nich porozmawiać.

Neli zapytała Helen, co to jest skarb, i Helen wyciągnęła szmaragdowy wisiołek. Clifford dał jej go tydzień po ślubie. Należał pierwotnie do matki Cynthii, Soni, prababki Neli. Clifford zażądał przez adwokata zwrotu szmaragdu, twierdząc, że jest to klejnot rodzinny, a ponieważ Helen nie należy już do rodziny, straciła do niego prawa. Helen odmówiła, a Clifford tym razem nie nalegał. Może pamiętał, w jakim duchu klejnocik został ofiarowany i przyjęty, w tym samym duchu, w jakim poczęła się Neli. W każdym razie Neli miała go teraz w kieszeni. Wyjęła wisiołek ze szkatułki matki, żeby pokazać w przedszkolu, przekonana, że się nim dobrze zaopiekuje, odłoży na miejsce i nikt nic nie zauważy. Jej największy skarb, jej i Helen, prezent od Clifforda. Kiedy przyszło co do czego, nie pokazała wisiora, sama nie wiedziała dlaczego.

— A gdzie jest twój skarb? — zapytała panna Pickford, a Neli potrząsnęła tylko głową i uśmiechnęła się. — Może innym razem, kochanie — rzekła panna Pickford. — Nic nie szkodzi.

Wygląda na to, że w całym dotychczasowym życiu Neli nikt nie powiedział jej złego słowa. Jej rodzice kłócili się i lżyli wzajemnie, ale Bogu niech będą dzięki, nigdy w jej obecności. Przekonanie, że świat jest dobry, pomogło Neli przetrwać ciężkie czasy.

Podczas gdy Neli i pan Blotton zbliżali się do Heathrow, a Helen szlochała i błagała o pomoc, zrozumiałwszy, że jej córka zniknęła, konserwator kończył przegląd techniczny

samolotu ZOE 05. Próbując nadrobić lekkie opóźnienie, zrezygnował z oględzin ogona. Uznał, że jest to zbędne w przypadku zupełnie nowej maszyny, i w ten sposób przeoczył pęknięcie biegnące pod lotką, nie tylko wykrywalne przez aparaturę, ale widoczne gołym okiem. Podpisał co trzeba i ZOE 05 wytoczył się z hangaru na stanowisko przy wyjściu numer 43, lot do Genewy. Trzyletnia Neli poszła za Erichem Blottonem do sali odlotów.

— Możemy usiąść na przodzie? — zapytała, kiedy wsiedli do samolotu. — Tatuś zawsze siada z przodu.

— Nie, nie możemy — powiedział pan Blotton ze złością, popychając ją coraz dalej w głąb samolotu.

Erich Blotton uparł się, że poleci z Neli pierwszą klasą, i poprosił o gotówkę na kupno biletu. Clifford dał mu pieniądze, choć zrobił to niechętnie. Wiedział, że Erich Blotton poleci drugą klasą, a różnicę wsadzi sobie do kieszeni. Ponieważ palił — a pracownica Unii, powziąwszy do niego głęboką niechęć, posadziła go złośliwie w części dla niepalących — on i Neli przesiedli się na sam tył samolotu. Powietrze jest tam stęchłe, a pasażerowie czują każdy wstrząs lecącej maszyny i mogą go w pełni odcierpieć. Erich Blotton, będąc człowiekiem pozbawionym wyobraźni, radził sobie lepiej niż większość ludzi, zresztą jako prawdziwy nałogowy palacz wolałby umrzeć (dosłownie), niż obejść się bez papierosa.

Neli była przestraszona, ale starała się to ukryć. W dzisiejszych czasach mała dziewczynka podróżująca w towarzystwie mężczyzny, w dodatku tak antypatycznego, wzbudziłaby zainteresowanie bliźnich. Padłyby dodatkowe pytania przy kontroli paszportów, przy wejściu do samolotu, ktoś zadzwoniłby do rodziców albo na policję. Ale były lata sześćdziesiąte, wiek niewinności. Nie zadawano tylu pytań co dzisiaj. Neli miała własny paszport, który wystawiono na wniosek jednego rodzica — ojca. (Dziwi cię zapewne, Czytelniku, że Clifford nie odebrał po prostu Neli z przedszkola, zamiast zatrudnić Blottona. Obawiam się, że podobał mu się pomysł porwania, jego dramaturgia, poza tym on sam był zajęty i przyzwyczajony do zlecania pracy innym.) No i uśmiechała się. Gdyby popłakiwała albo stawiała opór, ktoś by się nią pewnie zainteresował. Niestety, Neli nie lubiła pana Blottona tak bardzo, że była zdecydowana nie pokazać tego po sobie za nic w świecie.

— Nawet jeżeli kogoś nie lubisz — powiedziała jej Helen — bądź grzeczna i staraj się to ukryć.

Jedyną rzeczą, jakiej Helen obawiała się u Neli, było to, że odziedziczy po ojcu skłonność do okazywania niechęci. Arogancja, wybaczalna u mężczyzn, nie przystoi kobiecie — przynajmniej do takiego wniosku doszła Helen. Pamiętajmy, że opisywane wydarzenia rozegrały się pod koniec lat sześćdziesiątych. Nowa feministyczna doktryna głosząca, że to co przystoi mężczyźnie, przystoi również kobiecie i na odwrót, nie dotarła jeszcze do Muswell Hill, gdzie do niedawna mieszkali Simon, Helen i Neli, a teraz już tylko Simon i Helen.

Pogoda tego dnia była burzliwa. Ogon samolotu, jak wiemy, został uszkodzony, na dodatek podczas kołowania pilot uderzył nim paskudnie w ścianę hangaru. Przy starciu na ogonie ukazała się cała siateczka pęknięć odchodzących od głównej szczeliny. Gdyby nad Kanalem było spokojnie, samolot może i doleciałby do Genewy, gdzie wykryto by wszystkie usterki — w tej chwili aż kłuły w oczy — i wycofano maszynę z użycia. Ponieważ pogoda była burzliwa, kolejna turbulencja — po której nastąpiła utrata wysokości o dwadzieścia stóp i nagły sus do góry — spowodowała, że w tylnej części samolotu oderwał się dach. Ogon trzymał się jeszcze przez chwilę, dopóki nie oderwała się również podłoga. Głupia sprawa, ale czasami coś takiego się zdarza, na szczęście coraz rzadziej. Nagła dekompresja uszkodziła system sterowniczy i samolot runął ku francuskiemu wybrzeżu. (Oczywiście już się tak samolotów nie buduje; projektantom ZOE 05 zabrakło po prostu wyobraźni. Zresztą człowiek uczy się na własnych błędach, innej drogi nie ma, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi nowa technologia.) Pikując, samolot rozpadł się na kawałki. Siedzenia, wraz z unieruchomionymi pasażerami, rozsypały się po niebie. Mam nadzieję, że nikt zbytnio nie ucierpiał. Wobec tak nagłych wydarzeń umysł ludzki włącza podobno system alarmowy i nie rejestruje strachu ani bólu, W przypadku pasażerów ZOE 05 śmierć nastąpiła zbyt szybko, by mózg zdołał wejść w tryb paniki. Przynajmniej tak mówią. Chciałabym, żeby to była prawda, naprawdę bym chciała.

A oto co stało się z ogonem. Spływał na dół, nawet z pewnym wdziękiem. Jakiś fenomen aerodynamiki sprawił, że powietrze

utrzymywało go w pozycji mniej więcej poziomej. Przechylał się trochę w prawo, trochę w lewo, ale opadał równo, jakby był spadochronem z dwoma fotelami, a w fotelach tych siedzieli ramię w ramię Neli i pan Blotton. Wiatr wywiewał dym papierosowy, słońce świeciło, a nieco poniżej fale lizały piasek plaży. Było bardzo pięknie, tak ekscytującej przejażdżki jeszcze Neli nie zafundowano i dziewczynka nigdy jej nie zapomniała. Dziwiłabym się, gdyby było inaczej. Bała się, oczywiście, że się bala, ale ścisnęła w rękę szmaragdowy wisiołek i wiedziała, że nic złego jej się nie stanie. Cóż, nie skończyła nawet czterech lat.

Ogon opadł niespiesznie w wodę. Wokół było zupełnie pusto. Rozrzucone resztki ZOE 05 wbiły się w piach ćwierć mili dalej. Pan Blotton i Neli siedzieli wstrząśnięci, ale bezpieczni. W końcu pan Blotton rozpiął pas i sprawdził głębokość wody. Sięgała mu do kolan. Wyniósł Neli na brzeg i postawił na piasku. Natychmiast usiadła.

— Wstań — powiedział. — Nie marudź!

Postawił ją z powrotterrfa na nogi i pociągnął w stronę nadmorskiej szosy. Ruszyli ku najbliższemu miasteczku.

Erich Blotton był oportunistą, co do tego nie ma wątpliwości. Upłynęło piętnaście minut, od chwili gdy ZOE 05 zniknął z ekranu radaru, i osiem minut, od chwili gdy rozpoczęto poszukiwania szczątków samolotu, a pan Blotton stał już przy bankowym okienku w małym nadmorskim miasteczku Lau-zerk-sur-Manche i wymieniał franki szwajcarskie na franki francuskie. Mała Neli stała obok niego. Neli była bardziej oszołomiona niż przestraszona, nigdy dotąd nie przebyła pieszo takiej drogi w takim tempie. Pomijając fakt, że utykał (maszerując w mokrych butach nabawił się paru brzydkich pęcherzy) i miał mokre spodnie, pan Blotton wyglądał jak typowy komiwojażer, z pewnością nie jak ofiara katastrofy lotniczej, w której zginęły sto siedemdziesiąt trzy osoby. Neli zaś wyglądała jak mała dziewczynka, która nie posłuchała mamy i taplała się w wodzie.

Parę minut później zawyły syreny i wszystkie wozy strażackie i karetki pogotowia w tej części wybrzeża ruszyły na miejsce katastrofy, okolica zarośla się od dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych. Kto w takich warunkach pamiętałby lekko



utykającego gderliwego mężczyznę i małą dziewczynkę, którzy wymieniali tego popołudnia pieniądze w banku?

— Pośpiesz się — syknął pan Blotton do małej dziewczynki. Zgubił papierosy i był zły. Pociągnął Neli w stronę autobusu

do Paryża, który stał na placu i miał łąda chwila odjechać.

— Staram się — powiedziała cichutkim głosem. Rozczuliłby każdego z wyjątkiem pana Blottona.

Sęk w tym, Czytelniku, że przed wejściem na pokład ZOE 05 pan Blotton przystanął na chwilę przy jednym z tych stanowisk — wtedy było ich pełno, teraz zniknęły ze sceny, a może zostały przeniesione w bardziej dyskretne miejsce — gdzie sprzedawano ubezpieczenia na życie. Za pięć funtów mogłeś się ubezpieczyć na dwa miliony, które linie lotnicze wypłacały już nie tobie, ale twoim bliskim. Dwa miliony funtów! Pan Blotton wykupił właśnie taką polisę na korzyść swojej żony, Ellen, i wysłał jej rachunek pocztą tuż przed wejściem do samolotu. Był nerwowym podróżnym i jak widać, miał po temu powody. Człowiek nie może liczyć na to, że zawsze spłynie na ziemię, a nie zleci głową w dół.

Umysł pana Blottona pracował na pełnych obrotach. Nawet wtedy gdy siedział mrugając oczami w urwanym ogonie samolotu, a potem zapadał się coraz głębiej w przybrzeżną mieliznę, miał jasno sprecyzowany plan działania. Zostanie uznany za zmarłego. Doskonale! Ukryje się — to mu również odpowiadało, parę procesów przybrało paskudny obrót — dopóki Ellen nie odbierze pieniędzy. Wtedy pośle po nią, ona mu wybaczy i przyjedzie. Zabierze ją do Ameryki Południowej, gdzie ramię sprawiedliwości nie sięga, i będą używać życia! Nie żeby używanie leżało w naturze pani Blotton. Zwalczała energicznie palenie, picie i cudzoziemców. Ale może gorący klimat i dwa miliony funtów wpłyną łagodząco na jej charakter? Erich Blotton kochał żonę i chciał, żeby aprobowała jego profesję, którą jak dotąd zaledwie tolerowała. Byli bezdzietni, więc Ellen mogła przynajmniej zrozumieć motto jego działania: „Skoro nie mam własnych dzieci, ukradnę je komuś innemu!”

Obowiązkiem kochającej, lojalnej żony jest przecież postrzegać zawód męża w jak najlepszym świetle i Ellen robiła co w ludzkiej mocy, żeby się z tego obowiązku wywiązać.

— Co ja z tobą pocznę? — zwrócił się pan Blotton do Neli w drodze do Paryża. To dziecko było jego jedynym problemem, jedyną przeszkodą w realizacji planu. Trzylatka jest już dość duża, by wyciągnąć z niej informacje, ale za mała, by ją oszukać czy przekupić. Trudny wiek, pod pewnymi względami.

— Chcę do ubikacji — odparła Neli i dopiero wtedy się rozpląkała, w spokoju zniósłszy porwanie i katastrofę lotniczą.

Erich Blotton miał ochotę po prostu zakryć jej usta. Szkoda, że nie mógł zrobić tego w autobusie. Ale dostrzegł zaletę pomysłu — zabierze dziecko do jakiegoś hoteliku, zamelduje się pod fałszywym nazwiskiem (miał przy sobie trzy paszporty), udusi je w nocy, zniszczy paszport i rozplynie się w paryskim tłumie. Dziewczynka nie będzie cierpieć. Nawet się nie zorientuje. Jaka czekałaby ją przyszłość, gdyby pozostała przy życiu? Pan Blotton czuł to samo wobec żyjących dzieci, co doktor Runcorn wobec embrionów — że czasami byłoby dla nich lepiej, gdyby się w ogóle nie narodziły. Weterynarze postępują tak miłosiernie w stosunku do zwierząt i nikt nie ma im tego za złe. Jeżeli ktoś cierpi, trzeba skrócić jego mękę! Wszystkim nam należy się trochę spokoju, nie zakłócanego cierpieniami innych.

— *La pauvre petite!* — rzekła elegancka Francuzka siedząca rząd za nimi, tak elegancka, że wyglądała na dyrektora międzynarodowego koncernu, z pewnością nie na prowincjonalną żonę, gospodynię domową w drodze do Paryża. — *Tu veux faire pipi?*

Neli przestała płakać, uśmiechnęła się i skinęła głową, rozumiejąc jeżeli nie słowa, to przynajmniej intencje. Uśmiech tak oczarował Francuzkę, że kazała kierowcy zatrzymać się przy toaletach dla podróżnych i wyprowadziła małą, podczas gdy pan Blotton siedział w swoim fotelu kipiąc gniewem. Był bezsilny.

— Moja mamusia będzie się martwić — powiedziała Neli Francuzce. — Pojechaliliśmy na przejażdżkę samolotem i spadliśmy z nieba.

Francuzka nie mówiła po angielsku i po prostu odprowadziła Neli z powrotem do pana Blottona. Autobus ruszył w drogę ze stu dwudziestoma pięcioma sekundami opóźnienia, co we Francji jest sprawą poważną.

— Dokąd jedziemy? — Neli pociągnęła pana Blottona za rękaw. — Chcę do domu.

— Odwal się! — warknął pan Blotton.

Nie mogę jej teraz zabić — pomyślał. — Skojarzą mnie z nią. A poza tym co by mu przyszło z zabicia dziecka? Trup, nawet mały, to wielka niedogodność. Trzeba się go pozbyć, w taki czy inny sposób, a to zawsze kosztuje. (W dzisiejszych czasach można go sprzedać w kawałkach na nielegalne przeszczepy, ale pamiętajmy, że dwadzieścia lat temu nie wynaleziono jeszcze przeszczepów, i całe szczęście, zważywszy na charakter pana Blottona.)

Erich Blotton wpadł na inny pomysł. Pozbędzie się małej Neli w najlepszy i najbardziej dochodowy sposób, jaki zna.

### ***Zaginiona!***

Neli spędziła tę noc w najposępniejszym pokoju, jaki zdarzyło jej się widzieć, w algierskiej dzielnicy Paryża, gdzie pan Blotton miał przyjaciół. Tapeta łuszczyła się ze ścian, a w szparach roilo się od robactwa. Na łóżku był tylko koc, ani śladu pościeli. Mimo to Neli spała twardo, nakarmiona gorącą ostrą zupą. Pan Blotton położył ją do łóżka, ale rano już go nie było. Ucieszyło to Neli i zmartwiło jednocześnie. W nocy obudziła się i popłakała trochę za mamą, ale wtedy przyszła młoda czarna kobieta, utuliła ją i powiedziała coś w języku, którego Neli nie rozumiała. Wydawała się miła i Neli przestała płakać.

Maria — bo tak kobieta miała na imię — przejrzała zawartość kieszeni Neli.

Znalazła zawiadomienie z przedszkola o wycieczce do teatru i zaczęła je drzeć.

— Nie rób tego — powiedziała Neli. — Panna Pickford będzie się gniewać.

Kobieta nie zwróciła na nią uwagi. Potem znalazła szmaragdowy wisiołek. Neli zupełnie o nim zapomniała.

— Nie możesz tego wyrzucić — zawołała. — To jest wisiołek mamusi.

Czarna kobieta usiadła i przez chwilę patrzyła na wisiołek, potem przeniosła wzrok na Neli. Łzy napłynęły jej do oczu i sto-

czyły się po gładkich policzkach. Wyszła z pokoju, ale zaraz wróciła z dziecinną broszką. Był to gruby blaszany misiek na wielkiej agrafce. Neli patrzyła, jak Maria odkręca głowę niedźwiadkowi, wpuszcza w środek wisiołek na srebrnym łańcuszku, nasadza głowę i przyczepia broszkę do kołnierza płaszcza Neli.

— *Ca va* — powiedziała. — *Ca va bien*.

Ile narkotyków przemyciły w ten sposób niczego nie podejrzewające dzieci! Szpara między tułowiem a głową misia była niewidoczna dla kogoś, kto nie wiedział, że należy jej tam szukać.

— *Pauvre* — powiedziała Maria. — *Pauvre petite*. — I uрониła jeszcze jedną łzę. Nawet kryminaliści i dziwki potrafią opłakiwać niedolę dziecka. Może w tych udręczonych stworzeniach widzą samych siebie? Trzeba przyznać, że sprzedając wisiołek, Maria kupiłaby sobie drogę ucieczki z burdelu — w takim bowiem miejscu znalazła się Neli — i rozpoczęła godziwe życie. Ale może w głębi duszy wcale tego nie chciała, może była zadowolona z życia, jakie wiodła? W każdym razie była dobra dla Neli. Neli zasnęła i spała spokojnie — czego nie da się powiedzieć o jej matce ani o rodzinach ofiar ZOE 05. Maria również nie spała, w końcu były to jej godziny pracy. Dobrze jej szło tej nocy i pomyślała, że może Bóg wynagrodził ją za dobroć okazaną dziecku.

Pan Blotton spał twardo, jak każdy, kto przeżył szok — czarnym, głębokim snem bez majaków. To, że jest kryminalistą, nie oznacza, że dramatyczne wydarzenia spływają po nim jak woda po gęsi. Prawdę mówiąc był tak wstrząśnięty, że absurdalność wydarzeń dotarła do niego dopiero następnego ranka. Wstał z brudnego łóżka, naciągnął poplamioną koszulę i żyletką, którą Maria golila nogi, oskrobał sobie twarz. Dopiero wtedy zapytał Marię:

— Dlaczego tylko ja się uratowałem?

Maria nie wiedziała, o czym mówi. Ale pan Blotton dostrzegł w tym palec Boży. Może i miał rację, z tym że moim zdaniem Bóg ratował Neli, nie Ericha Blottona, któremu zdarzyło się siedzieć obok. Oczywiście trudno wymagać od pana Blottona, by w ten sposób spojrzął na sprawę. Podziękował Bogu w dwojaki sposób. Po pierwsze postanowił, że rzuci palenie, po drugie, że

nie sprzeda Neli przyjacielowi (ładny mi przyjaciel!) produkującemu dziecięce filmy pornograficzne na całą Europę, ale za znacznie niższą cenę znajomemu prowadzącemu biuro nielegalnej adopcji. Zostawił Neli pod opieką Marii i poszedł na spotkanie ze znajomym. „Dziewczynka, biała, zdrowa i ładna” — to wszystko, co pan Blotton miał do powiedzenia. Neli została zgarnięta natychmiast dla bezdietnego małżeństwa, które mieszkało w zamku pod Cherbourgim i nie miało szans na legalną adopcję. Znajomy wziął dziesięć procent prowizji, a Erich Blotton otrzymał sto tysięcy franków — wystarczająco dużo, by przeczekać w godziwych warunkach, aż linie lotnicze ZARA wypłacą pieniądze z ubezpieczenia. — Tak czy siak — powiedział Erich Blotton do Marii — spadłem na cztery łapy. — I ryknął śmiechem, co robił dość często.

Jeszcze tego samego wieczora Neli znalazła się w nowym domu, we własnym pokoju na wieży. Cóż z tego, że gałęzie drzewa ocierały się o szyby, ściany były z nie ociosanego kamienia, a małe pająki podskakiwały na końcach jedwabnych nitczek — ludzie, którzy położyli ją do łóżka, mąż i żona, nowy ojciec i nowa matka, byli kochający i nie toczyli ze sobą żadnej wojny.

### ***Opóźniony!***

Clifford przyjechał na lotnisko genewskie, by odebrać córkę i Ericha Blottona. Przyjechał trochę za późno i był wstrząśnięty zobaczywszy na tablicy przylotów złowieszcze słowo „opóźniony”. Clifford miał zamiar wysłać po Neli swoją sekretarkę Fanny — Fanny z białą łabędzią szyją, uduchowioną twarzą i dyplomem ukończenia historii sztuki (zawsze mile widzianym!). Clifford nie znosił miejsc użyteczności publicznej, zwłaszcza lotnisk, nie znosił bezczynnego czekania w towarzystwie tłumu zwyczajnych ludzi. Ale Fanny powiedziała mu, swoim łagodnym stanowczym głosem, że musi pojechać tam osobiście, że im prędzej Neli zobaczy jakąś znajomą twarz, tym lepiej.

— Nieczęsto mała dziewczynka jest wykradana z przedszkola przez obcego człowieka — powiedziała Fanny z afekcją. — Może być w szoku.

Nie zaskoczy cię, Czytelniku, wiadomość, że Fanny została kochanką Clifforda. Musiał przecież znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się wykradzioną Neli. Pochłaniała go organizacja genewskiego Leonarda i nie miał czasu dla dziecka. Fanny również nie czuła się tym zdziwiona, nie była głupia, choć wyglądała tak delikatnie i krucho.

— Ale ty mnie nie kochasz, Cliffordzie — powiedziała, kiedy na tydzień przed planowanym przybyciem Neli podniósł głowę z poduszki wypchanej gęsim puchem i poprosił, żeby z nim zamieszkała.

Propozycja, jeśli można to tak nazwać, padła, kiedy Fanny spędzała u niego nie noc, lecz część nocy — Clifford miał w zwyczaju odsyłać ją taksówką o drugiej nad ranem. Rozmowa toczyła się w sypialni nowego domu Clifforda, na przedmieściach Genewy. Dom zaprojektował architekt światowej sławy, same łuki, kąty, metal i szkło (na koszt Leonarda). Stał na zboczu wzgórza, skąd roztaczał się widok na jezioro, i był uzbrojony jak forteca. Przyciski — regulujące miksery, klimatyzację, prysznice, pochłaniacze kurzu, reflektory, rozsuwane okna i szklane dachy — mieszały się z przyciskami uruchamiającymi systemy alarmowe. Clifford musiał je mieć. Żądała tego firma ubezpieczeniowa. Clifford, trzeba mu to oddać, wolałby mieszkać skromnie, ale kiedy człowiek znajdzie się w kraju bogaczy, uprzejmość wymaga, żeby dostosował się do miejscowych zwyczajów. Zresztą wydobyl w końcu z piwnicy płótna swojego eks-teścia i mógł powiesić najlepsze obrazy Johna Lally'ego, jak się należy, razem z Peterem Blakiem, Tilsonem, Auerbachem i Rembrandtem. Wszystkie te skarby musiały być chronione. Jego żona okazała się marną inwestycją, za to eks-teść utrzyma go na stare lata.

Clifford powiesił nad łóżkiem obraz martwej kaczki i myśliwego z oczami szaleńca. Mawiał, że przypomina mu dzień, kiedy były teść wdarł się do jego domu i zastał go w łóżku z Helen. Cóż, wiele dramatycznych wydarzeń staje się z czasem historyjkami, które opowiadamy przy kawie. Jest to forma terapii stosowana często przez ludzi gadatliwych, siebie również do

nich zaliczam. Clifford mówił z goryczą o rozwodzie, choć każdy (kto był kimś) wiedział, że to on wszczął postępowanie i że nie wzruszyły go łzy Helen i jej oczywista skrucha. Nie ma nic bardziej irracjonalnego niż zdradzony mężczyzna, zwłaszcza jeżeli sam przywykł do zdradzania. Teraz, pod martwą kaczką, Clifford powiedział do Fanny:

— Kocham cię tak, jak potrafię kochać, czyli nie bardzo. Szczerze mówiąc, gdybym miał wybierać między Francisem Baconem a tobą, wybrałbym Bacona! Ale potrzebny mi ktoś do prowadzenia domu. Jestem pewien, że się dogadamy.

— Neli powinna zostać tam, gdzie jest — powiedziała Fanny ostro. — W domu, ze swoją matką. — Nie bała się Clifforda i nigdy nie brała do serca jego niezyczliwych słów. — Trzyletnie dziecko potrzebuje matki, nie ojca.

— Jej matka jest nieudolną, leniwą puszczałką pijaczką — powiedział Clifford. Widać było, że jej nie lubi, ale nadal ją kocha. Fanny westchnęła. Nie zważała, jakich słów dobiera Clifford, niepokoiło ją to, co się za nimi kryje.

— Matka to matka — powiedziała, wstając z łóżka i sięgając po ubranie.

Miała śliczne, długie szczupłe nogi, szczuplejsze i dłuższe niż Helen. (Jeżeli Helen miała jakiś słaby punkt, były nim nogi. Im bardziej zbliżała się do trzydziestki, tym bardziej robiły się kloc-kowate.) W tych swobodnych czasach, kiedy kobiety wkładały na siebie wszystko, co im się żywnie podobało — im to było bardziej fikuśne, przejrzystsze i dziurkowane, tym lepiej — Fanny nosiła minispódniczki i elastyczne spodnie. Jej romans z Cliffor-dem rozpoczął się w dniu, kiedy pojawiła się w biurze w takich właśnie spodniach i Clifford zaprotestował, mówiąc, że powinny być zakazane przez prawo. Clifford nie nabrał zwyczaju sypiania z sekretarkami, wręcz przeciwnie. Ale był w obcym kraju. Fanny znalazła się pod ręką, miała dyplom sztuk pięknych i rozsądny pogląd na malarstwo. Mógł z nią rozsądnie porozmawiać, czego nie dało się powiedzieć o dziedzicze szwajcarskich linii lotniczych. Fanny nie posiadała oczywiście smykałki Clifforda do zbijania majątku na sztuce, ale któż ją miał?

— Odbiło ci, Cliffordzie — powiedziała. — Kradzież dziecka to coś bardzo złego.

— Czy można ukraść coś, co już należy do ciebie? — zapytał ostro. — Tak jak wyniósłbym da Vinci z zagrzybiałego kościoła i nie pytał nikogo o pozwolenie, tak samo ratuję to dziecko przed jego matką. A ty, Fanny, jesteś po prostu zazdrosna i zaborcza. Nie chcesz dzielić się mną z Neli.

Clifford, podobnie jak wielu innych mężczyzn, był przekonany, że jest ośrodkiem życia wszystkich związanych z nim kobiet i że te kobiety potrafią wyrokować w sprawach uczuć, lecz nie w kwestiach moralnych. Przykro to mówić, ale Fanny, udając, że się z nim zgadza, roześmiała się swobodnie i powiedziała: „Chyba masz rację, Cliffordzie”. Ponieważ Fanny dobrze wiedziała, że jej pobyt w domu Clifforda jest uzależniony od obecności w nim Neli. A o ileż przyjemniej jest mieszkać pod numerem dwanaście na Avenue des Pins, w rezydencji z cudownym widokiem, akrami parkietu i podgrzewanym basenem, w którym odbijają się chłodne Alpy, niż w mieszkanku nad sklepem spożywczym w centrum Genewy. Tylko na takie mieszkanie było ją stać. Bo choć u Leonarda prezesa, dyrektorzy i inwestorzy zarabiali znakomicie, pracownicy — to Znaczący kobiety — musieli obejść się smakiem. Szefowie firmy wychodzili z założenia, że paniom powinna wystarczyć radosna świadomość, dla kogo pracują. I Fanny zdawała sobie sprawę, że jest wiele pięknych utalentowanych dziewcząt, które tylko czekają, by zastąpić ją na stanowisku asystentki wielkiego, słynnego, wspaniałego, kapitalnego Clifforda Wexforda. I że kiedy już raz zaangażujesz się w romans z szefem, lepiej robić, o co prosi, w przeciwnym wypadku przestanie podchodzić racjonalnie do sprawy pisania listów oraz katalogowania dokumentów i może pomylić cię z twoją pracą, a wtedy marny twój los.

Fanny, obawiam się, oblała. Piątka z praktyczności i dwójka z prawości charakteru dawała kiepską średnią. Zgodziła się zamieszkać z Cliffordem i zaniechała krytyki planu wysłania odrażającego Ericha Blottona po Neli. Na jej obronę powiedzieć mogę tylko tyle, że nie zachwycała jej osobowość szefa i nie budziły szacunku towarzyskie i finansowe kombinacje Clifforda, ale przecież podziw i szacunek nie mają nic wspólnego z miłością. Fanny kochała Clifforda, koniec, kropka. Clifford, nawiasem mówiąc, był wspaniałym kochankiem. Czułym i zdobywczym.



Nie wspomniałam o tym? Na dodatek był przystojny. Gniew na Helen nadał jego surowej twarzy jakiś przepastny, zgłodniały wyraz. Możecie mi wierzyć, był wspaniały, nie mówiąc o tym, jak bardzo fotogeniczny. Dziennikarze z rubryk towarzyskich po prostu go uwielbiali.

Fanny uparła się tylko, żeby Clifford sam pojechał po Neli na lotnisko.

Napatrzywszy się do woli na straszne słowo „opóźniony”, Clifford poszedł napić się wina (rzadko pijał alkohol) do salonu dyrektorskiego: miał użytecznych znajomych wszędzie, również na lotniskach. Mógł się teraz wpatrywać w tablicę przylotów z wygodnego fotela, ale to nie poprawiało mu samopoczucia. Nie. Jeżeli mam być szczerą, ledwo oddychał ze zdenerwowania, ale zachował normalny wyraz twarzy. W końcu słowo „opóźniony” zostało zastąpione przez „prosimy o kontakt z biurem ZARA”. Słowa zajęły trzy linijki na tablicy i wymiotły wszystkie ogłoszenia o przylotach. Słowo „prosimy” było nic nie znaczącym, a tym samym jeszcze bardziej złowieszczym dodatkiem.

Clifford spojrział na tłum kłębiący się przed biurem linii lotniczych ZARA i zrozumiał, że stało się najgorsze. Poszedł wprost do salonu dyrektorskiego i zadzwonił do Fanny. Fanny przyjechała natychmiast.

I na Fanny spadł obowiązek powiadomienia Helen o tym, co się stało.

### ***Porwana!***

Helen, jak się łatwo domyślić, miała dość zmartwień i bez tego. Przyjechała do przedszkola panny Pickford piętnaście minut po trzeciej i dowiedziała się, że Neli nie ma.

— Przyjechał po nią szofer ojca — powiedziała panna Pickford. — Rolls-royce'em — dodała, jakby ten fakt usprawiedliwiał wszystko.

W tamtych czasach molestowanie i wykorzystywanie dzieci nie było zjawiskiem tak powszechnym jak dzisiaj, a może środki

masowego przekazu nie zarzucały nas przerażającymi obrazami takich zbrodni, w każdym razie Helen nie przyszło do głowy, że „ktoś uprowadził Neli”, co byłoby pierwszą myślą matki lat dziewięćdziesiątych. Od razu zrozumiała, że straszny plan uknuł Clifford i że Neli jest bezpieczna przynajmniej w sensie fizycznym.

Zadzwoiła do Simona do „Sunday Timesa”, do swojego prawnika, zdrowo nawymyślała pannie Pickford i dopiero wtedy przysiadła, żeby popłakać.

— Jak on mógł to zrobić?! — pytała przyjaciół, matkę, znajomych, wszystkich, do których udało jej się dodzwonić tego popołudnia. — Jak mógł zrobić coś tak strasznego? Biedna mała Neli! Cóż, nauczy się go nienawidzić, to jedyna pociecha. Chcę mieć Neli natychmiast z powrotem, a Clifforda za kratkami!

Simon, który przyjechał do domu, żeby pocieszyć zrozpaczoną żonę, zauważył łagodnie, że wsadzenie ojca Neli do więzienia nie jest najlepszym rozwiązaniem.

Neli z pewnością by sobie tego nie życzyła. A Cuthbert Way, adwokat, który przybył natychmiast porzucając inne-„zajęcia — Helen była uderzająco piękna w czwartym miesiącu ciąży — powiedział, że ponieważ Clifford wywiózł Neli do Szwajcarii, odzyskanie jej będzie bardzo trudne. O wsadzeniu Clifforda do więzienia nie ma co nawet mówić. Szwajcaria! Helen po raz pierwszy usłyszała o Cliffordzie i Szwajcarii. Nie czytała rubryk towarzyskich. Była zbyt zajęta urządzaniem ślicznego, wygodnego domu w Muswell Hill, przedszkolem Neli, walką z adwokatami Clifforda, rozważaniami, czy jest czy nie jest w ciąży, i kupowaniem tego, co w latach sześćdziesiątych nazywano „starociami”, a dziś nazywa się „wiktorianami”, a nawet „późnymi antykami”. A zresztą, powtarzała w kółko sobie i innym, nie miała czasu czytać plotek i nie wiedziała o tym, o czym zdawali się wiedzieć absolutnie wszyscy, że Clifford Wexford został dyrektorem genewskiego Leonarda, że ogromnym nakładem kosztów zbudował dom nad brzegiem jeziora, bez wątpienia dom z pokojem dzieciennym.

Prawdziwe powody, dla których Helen nie czytywała rubryk towarzyskich, różniły się zasadniczo od tych, które podała znajomym. Prawdziwym powodem, jak wiemy, było to, że nadal cierpiała czytając o miłostkach Clifforda. Nie była zazdrosna —

ona,

szczęśliwa żona Simona! — po prostu nie mogła tego znieść. Simon wiedział oczywiście, że Helen nadal kocha Clifforda, tak jak Fanny wiedziała, że Clifford nadal kocha Helen, ale najwyraźniej oboje uznali, że lepiej nie drażyć tematu. Co by im to przyniosło prócz cierpienia?

Cuthbert Way, adwokat, powiedział, że wniesie sprawę do sądu międzynarodowego, ale to potrwa. Helen przestała płakać i rzucać gromy na Clifforda i zrobiła się śmiertelnie blada. Ledwo mogła mówić. Szok i gniew ustąpiły miejsca matczynemu niepokojowi. Wiedziała, że dzieje się coś strasznego. (I rzeczywiście się działo. Mniej więcej w tym czasie pęknięcia w ogonie ZOE 05 pogłębiły się i samolot zaczął się rozpadać). Tak więc niepokój i rozpacz z powodu porwania Neli, choć zupełnie zrozumiałe, były faktycznie spowodowane inną, instynktowną wiedzą matki.

Potem był telefon od Fanny. Przywrócił Helen do życia szybciej niż cokolwiek innego.

— Kto? Fanny jaka? — Zakryła dłonią słuchawkę. — Ostatnia flama Clifforda, moi drodzy! Zszedł już na sekretarki. Jak ona śmie do mnie dzwonić?! Dziwka!

A potem ta wiadomość. Nie będę się nad tym rozwodzić. To zbyt straszne. My wiemy, że Neli żyje, ale Helen nie wiedziała. Nie mam odwagi pozostać przy niej w tej ciężkiej godzinie. Ale sądzę, że od tej chwili Helen szła spokojniej przez życie, łagodniejsza i mniej skłonna do złorzeczenia. Z wyjątkiem oczywiście tych sytuacji, kiedy w grę wchodził Clifford, przyczyna jej nieszczęścia.

### ***Życie godziwie i przyjemnie***

Śmierć dziecka nie jest tematem do żartów. Jest wydarzeniem, po którym rodzice nigdy już nie przychodzą do siebie, ich życie zmienia się, ponieważ zdarzyło się w nim coś nienaturalnego. Nie spodziewamy się przeżyć naszych dzieci i nie pragniemy tego. Z drugiej strony życie toczy się dalej, a naszym obowiązkiem jest znów się nim cieszyć. Przynajmniej tyle jesteśmy winni naszemu zmarłemu. Jeżeli chcemy nadać właściwe znaczenie ich śmierci

i naszemu żalowi, musimy cieszyć się życiem, które nam, a nie im, przypadło w udziale, spędzić je godziwie i przyjemnie, bez nienawiści i rozgoryczenia.

Ze wszystkich ludzi na świecie Clifford i Helen byli prawdopodobnie najmniej skłonni spędzić życie godziwie i przyjemnie. I choć w rzeczywistości Neli żyła i spała spokojnie nie dalej niż sto mil od miejsca katastrofy, należałoby życzyć sobie, żeby potworna tragedia zjednoczyła ich we wspólnym żalu, zamiast wbijać między nich klin goryczy i nienawiści.

— Przepraszam! — mógłby powiedzieć Clifford. — Gdybym się tak nie zachował, to by się nie stało i Neli by żyła.

— Gdybym ciebie nie zdradziła — mogłaby powiedzieć Helen — nadal bylibyśmy razem, we troje.

Ale nie. Stali naprzeciwko siebie pośród tych smutnych piasków, ona przetransportowana samolotem z Londynu, on przywieziony przez szofera z Paryża, i obrzucali się wyzwiskami, oboje zbyt zrozpaczeni, by płakać, ale nie na tyle zrozpaczeni, by się nie kłócić. Za ich plecami toczyła się akcja ratownicza, pracowały dźwigi, wozy strażackie, traktory, stały bezużyteczne karetki pogotowia, a odpływ odsłaniał centymetr po centymetrze przerażające relikty katastrofy..

— Nikt nie przeżył — powiedział Clifford do Helen. — Gdybyś była rozsądna, Neli mogłaby przysiąść statkiem, nie wsiadłaby do tego samolotu. Mam nadzieję, że pójdziesz do piekła. Mam nadzieję, że będziesz żyła w piekle, wiedząc, co narobiłaś.

— Porwałeś ją — powiedziała Helen, nawet dość spokojnie. — Dlatego Neli nie żyje. A co się tyczy piekła, przyszedłeś do mnie właśnie stamtąd, wciągnąłeś mnie tam, a teraz zniszczyłeś Neli.

Nie krzyczała, nie uderzyła go. Być może ciąża znieczuliła ją choć trochę. Mam nadzieję. Helen mówiła później, że te kilka chwil, kiedy wierzyła w śmierć Neli, było najstraszniejszymi w jej życiu, ale nawet wtedy wiedziała, że dla dobra nie narodzonego dziecka nie wolno jej poddać się rozpacz. Inaczej nie wie, jak przeżyłaby ten tragiczny moment. Rozpacz by ją zabiła.

— Wracaj do swoich kochanek i do swoich pieniędzy — powiedziała. — Śmierć Neli nic dla ciebie nie znaczy. To są krokodyle łzy.

— Wracaj do kurwienia się i swojego skarłowaciałego pismaka — powiedział. — Współczuję dziecku. Przypuszczam, że je również zamordujesz.

Przez skarłowaciałego pismaka rozumiał oczywiście Simona, który choć okazał się jednym z najlepszych publicystów swoich czasów, nie był specjalnie wysoki. Helen dorównywała mu wzrostem.

I tak się rozstali, Clifford wrócił do swojego rolls-royce'a. Helen siedziała samotnie na opuszczonej plaży i oddawała się żałobie. Clifford odmówił identyfikacji zwłok.

— Nie ciekawią mnie jej szczątki — powiedział. — Neli umarła, koniec, kropka.

Nie wiedział, dlaczego tu przyjechał. Chyba tylko dlatego, że w pierwszych dniach żałoby jakiegokolwiek działanie jest lepsze od bezczynności.

— Nie możesz tam pójść — powiedział Simon do Helen. — Pozwól, że ja to zrobię.

I gdy ona siedziała na plaży, on szukał pośród ludzkich strzępów śladów zaginionego dziecka. Władze lubią, by ciało zostało zebrane do kupy, nazwane i pogrzebane z wszelkimi szykanami. Wszyscy, żywi i martwi, musimy być zarejestrowani, ponumerowani i opisani, inaczej szalony rozrost ludzkości zredukuje nas do zera. Poza tym pozostaje przecież kwestia ubezpieczenia.

### *Same zagadki*

Arthur Hockney przyleciał z Nigerii przez Harvard i Nowy Jork. Był bardzo wysoki, bardzo szeroki w barach i klasycznie czarny. Podróżował po świecie z ramienia firmy Trans-Continental Brokers jako detektyw ubezpieczeniowy. Kiedy na Morzu Chińskim tonął statek, Arthur jechał tam, żeby zbadać przyczynę katastrofy. Jeżeli pałac afrykańskiego prezydenta zniknął nagle z powierzchni ziemi, Arthur Hockney był tam w chwilę potem, by stwierdzić łotrostwo ludzkie albo zrządzenie losu. Sama ziemia zdawała się wydawać mu swoje sekrety. Był taki duży, silny

i sprytny, tak biegły w demaskowaniu rekinów i padalców tego świata, że tylko dobrzy i sprawiedliwi potrafili stawić mu czoło. Firma Trans-Continental Brokers płaciła mu dobrze. Bardzo dobrze.

Przeprowadził rozmowę z Cliffordem, Helen i Simonem. Obejrzał ogon samolotu wyciągnięty z płycizny, zwrócił większą uwagę na siateczkę pęknięć niż na porażające szczątki będące rezultatem zderzenia z ziemią, obejrzał dwa nietknięte fotele z rozpiętymi pasami bezpieczeństwa. Mogły być po prostu nie zajęte.

Dlaczego wobec tego popielniczka w oparciu jednego z nich jest napchana po brzegi niedopałkami, a pod drugim znajduje się torebka po cukierkach? Może linie ZARA oszczędzały na sprzątaczkach, a może ktoś na tych fotelach jednak siedział. Wolałby, aby ciało pana E. Blottona, którym interesował się bardzo — jako że on jeden wykupił ubezpieczenie — i którego profesja oraz charakter były mu znane, zostało zidentyfikowane. Ale tak się nie stało. Będzie musiał poczekać na przybycie nieszczęsnej pani Blotton, żeby się upewnić. I gdzie jest ciało małej Neli Wexford? W morzu? Niewykluczone. Jednak Blotton i dziewczynka siedzieli w części dla niepalących, a ciała ich sąsiadów, mniej lub bardziej zdekompletowane, zostały odnalezione. Cóż, i w tym wypadku musi poczekać. Ojciec dziecka odmówił wejścia do prowizorycznej kostnicy. Arthur potrafił to zrozumieć, zważywszy na okoliczności, w jakich dziecko znalazło się na pokładzie samolotu. Niezależnie od tego, ile wykazano taktu, ile plastikowych prześcieradeł zużyto, proces identyfikacji zwłok mógł przyprawić o wstrząs. Mimo to większość rodziców wolała zobaczyć na własne oczy, niż wierzyć na słowo w to, w co uwierzyć się nie da. W kostnicy był teraz ojczym dziecka, wyręczył swoją żonę, może słusznie, może nie. Widok dowodów ludzkiej śmiertelności, fragmentów ciała, powłoki, która została po odejściu duszy, szybko traci na makabryczności i staje się dowodem potwierdzającym cud istnienia. (Przynajmniej tak zapatrywał się na to Arthur Hockney. Cóż, nie miał wyboru. Inaczej musiałby zrezygnować z pracy, która wymagała od niego obcowania w równym stopniu z martwymi i żywymi.) Dziwne, myślał Arthur. Dwa ciała rozplynęły się w powietrzu. Dziecko mogło zostać pochwycone przez złotego orła, który uciekł z zoo, i zaniesione na

alpejski szczyt. Blottona mogła wciągnąć w głębinę gigantyczna kałamarnica. To, że coś wygląda nieprawdopodobnie, nie oznacza, że się nie mogło wydarzyć. Arthur Hockney wcale nie uważał, że najprostsze i najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest zawsze właściwe, i dlatego był najlepiej opłacanym i najbardziej cenionym detektywem firmy Trans-Continental. Poza inteligencją posiadał jeszcze pewien walor, który nazywał nonszalancko szóstym zmysłem. Czasami po prostu miał świadomość czegoś, co wydawało mu się absolutnie niewiarygodne. Nie cieszyło go to specjalnie, ale taki już był. Istniał jakiś schemat ludzkich spraw widoczny tylko dla niego.

Arthur podszedł do miejsca, gdzie siedziała Helen, na szarej plaży pośród tego szarego dnia. Uniosła ku niemu twarz. Pomyślał, że jest zarazem najbardziej czarującą i najsmutniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się widzieć. Nie pozwolił sobie na dalsze rozważania na ten temat. Była zrozpaczona, ciężarna i zameżna, poza zasięgiem. Tak czy inaczej czuł, że ją jeszcze kiedyś zobaczy, wiele razy, że ona stanie się częścią jego życia. O tym również starał się nie myśleć.

— Jeszcze jej nie znaleźli, prawda? — powiedziała, zaskakując go miękkością głosu.

— Nie.

— I nie znajdą, panie Hockney. Neli nie umarła.

Widział niemal, jak z sekundy na sekundę opuszcza ją rozpacz. Może odnalazła w nim swoją siłę, użyła jego jasnych oczu, by ujrzeć prawdę, może on udzielił jej na chwilę swego daru jasnowidzenia. Naprawdę się uśmiechnęła. Zimny wieczorny wiatr wiercił leje w suchym piasku wzdłuż brzegu, rysując najpiękniejszy, odwieczny wzór.

— Myśli pan pewnie, że oszalałam — dodała. — Kto przeżyłby coś takiego? — Wskazała okaleczone szczątki ZOE 05 rozsypane po plaży.

Trudno uwierzyć, by na tej plaży mogły znów bawić się dzieci z wiaderkami i łopatkami, ale tak właśnie się stało. W miejscu katastrofy ZOE 05 znajduje się dziś wielkie pole namiotowe „Can-vas Beach Safari”. Osobiście uważam, że jest to odludny zakątek, tragedia zdaje się sączyć spod namiotowych podłóg i sprawia, że nawet naj słoneczniej szy dzień jest pełen melancholii. Morze

zdaje się wzdychać i coś szeptać, a kiedy wzmaga się wiatr, podnosi lament. Ale nie wymagajmy zbyt wiele. Północna Francja nie jest wybrzeżem śródziemnomorskim, klimat nie sprzyja wakacjom pod namiotem. Tak, to pewnie sprawa klimatu.

— Ludzie przeżywają zadziwiające rzeczy — powiedział ostrożnie. — Stewardesa wypadła kiedyś z samolotu lecącego na wysokości dwudziestu tysięcy stóp, wylądowała w zaspie i przeżyła.

— Ojciec Neli uważa, że ona nie żyje — powiedziała Helen. — To do niego podobne. Zresztą Simon też tak uważa. Wszyscy. Więc chyba oszalałam.

Zapytał, czy jej córka lubiła ciagutki.

— Nie „czy lubiła” — zawołała Helen z wściekłością — ale „czy lubi”. Nie lubi. Ma więcej oleju w głowie.

I dopiero wtedy zaczęła płakać. Przeprosił ją. Wiedział, że drobiazgi sprawiają największy ból. Małe, pozornie nic nie znaczące szczegóły życia codziennego, upodobania i awersje zmarłego, które po śmierci tworzą jego osobowość, choć za życia wydawały się nieistotne. Ale Arthur musiał zapytać o ciagutki, choć odpowiedź Helen czyniła przeżycie Neli jeszcze mniej prawdopodobnym. Było to w stylu pana Blottona kupić właśnie takie cukierki, których Neli nie znosiła (ciagutki? Pfe!). Chciał ją uciszyć na czas lotu, jakby była jakimś krnąbrnym zwierzątkiem! A ponieważ skrzywiła się z obrzydzeniem, zjadł wszystkie co do jednej, żeby ją ukarać. Co za nieprzyjemny człowiek! Im więcej o nim myślę, tym bardziej wydaje mi się nieprzyjemny.

— Nic już nie wiem — powiedziała Helen, kiedy przestała płakać.

Traciła wiarę. Czuł, że nie ma prawa jej przywracać. Przekonanie nie jest żadnym dowodem. Zadrżała i Arthur poprawił płaszcz na jej ramionach, zaprowadził ją do wynajętego samochodu, żeby schroniła się przed wiatrem, a sam wrócił między kłopotliwych zmarłych. Powiedziano mu, że przyjechała pani Blotton. Poszedł z nią porozmawiać. Była bezbarwną, szanującą się kobietą po czterdziestce. Miała rude rzęsy i wyłupiaste niebieskie oczy. Od razu wiedział, że nie lubi czarnych mężczyzn, nawet takich, którzy wyglądają jak Harry Belafonte w *Zgadnij, kto wpadnie na obiad*. Uroda, świetny garnitur i przekonywają



cy, subtelny głos człowieka wykształconego zazwyczaj przełamywały największe uprzedzenia rasowe. Ale Arthur wiedział, że zawsze znajdzie się parę kobiet w typie pani Blotton, bladych nordyckich kobiet, pełnych zahamowań, które ich nigdy nie przełamia. Cóż, nawet nie próbowały. Czarny kojarzył im się z przerażającą dziką zmysłowością. Gdyby tylko wiedziały, jak pełna rezerwy, jaka krucha, jaka powściągliwa i sprężona z miłością jest ta jego zmysłowość, jak tęskni za tym rzadkim, oczyszczającym uczuciem... Dość! Kostnica nie jest odpowiednim miejscem na takie rozważania, a razism pani Blotton szczęśliwie nie jego problemem.

Widok kostnicy wywołał u pani Blotton uczucie gniewu raczej niż rozpacz. Utykała. Miała na nogach nowe buty, twarde, tanie buty z High Street. Nie takie pantofle kupiłaby kobieta, która przywłaszczyła sobie dwa miliony funtów. Taka kobieta albo wydawałaby pieniądze na prawo i lewo, albo nie wydawałaby ich wcale przez bardzo długi okres, powstrzymywana w równym stopniu poczuciem winy co rozwagą.

Oznajmiła, że nie ma pojęcia, dlaczego mąż leciał do Genewy, i Arthur jej uwierzył. Dowiedziała się o tym, dopiero gdy znalazła w skrzynce na listy kopertę zaadresowaną ręką Ericha, następnego dnia po katastrofie. Nie, nie wie, co tam było dokładnie napisane, zobaczyła numer lotu i natychmiast przestała czytać. Widziała w telewizji relacje z miejsca katastrofy i pomyślała nawet, że ktoś, kto podróżuje liniami ZARA, sam jest sobie winien. Numer lotu utkwił jej w pamięci. I Erich nie wrócił do domu. Zadzwoiła na lotnisko i potwierdziły się jej najgorsze obawy. Jej mąż był na pokładzie ZOE 05. Nie żyje. Oczywiście, że nie żyje. Czy ona naprawdę musi przechodzić przez te okropne formalności? A w ogóle kim on jest i jakie ma prawo zadawać te wszystkie pytania? Nie powiedziała wprawdzie: „Wróć pan do dżungli i pohuśtaj się na lianie”, ale tak to zabrzmiało.

— Zdarza się, że ludzie wychodzą cało z katastrof lotniczych — powiedział Arthur.

— Co pan powie! — zauważyła z pogardą.

Pokazała palcem męską rękę wystającą spod plastikowego prześcieradła, które okrywało rozerwane ciało. Francuzi dbali o dyskrecję.

— To jego — powiedziała. — Ericha.

Arthur spojrział na plakietkę identyfikacyjną. O rękę upomniano się już wprawdzie, ale niezobowiązująco. Pochodziła z części dziobowej, prawdopodobnie z piątego rzędu, gdzie powinien siedzieć Blotton i dziecko.

— Jest pani pewna? — zapytał Arthur.

— Mówiłabym coś, gdybym nie była?

Tak, żeby dostać dwa miliony funtów, pomyślał Arthur

— choć nie wydało mu się, by suma wywarła na niej wrażenie

— albo żeby wyrwać się z tego miejsca, wrócić do domu i się wypłakać. Nawet Elleny Blotton tego świata mają prawo do płaczu.

— Proszę mi powiedzieć, czy pani mąż był nałogowym palaczem?

— On? Z pewnością nie. Nie pozwoliłabym na palenie w moim domu.

Jej własne dłonie nie nosiły śladów nikotyny. Jak na kogoś tak rzeczowego, rudego i pospolitego miała zaskakująco białe, delikatne ręce. Proste pytanie o nałogi męża zupełnie ją załamało. Zaczęła płakać i wyprowadzono ją z kostnicy. Ręka otrzymała nową plakietkę identyfikacyjną, jako część Ericha Blottona. Zgadzała się płeć, wiek, kolor skóry, palce bez plam po nikotynie. Dlaczego więc nękały go wątpliwości?

Podszedł do Simona Cornbrooka, który zdruzgotany opierał się o drzwi.

— Zrobił pan dość — powiedział Arthur. — Jeżeli dotąd nic pan nie znalazł, już pan nie znajdzie. Proszę stąd iść.

— Przypuszczam, że morze ją wciągnęło — powiedział Simon. — W końcu ciało trochę waży. Tylko dlatego że inni...

— Otóż to — odparł Arthur. — Na pewno wypłynie.

— Chciałbym znaleźć cokolwiek — powiedział Simon.

— Bucik albo wstążkę. Moja żona nie uwierzy w śmierć Neli, wiem, że nie uwierzy. Arthur odwiózł Cornbrooków na paryskie lotnisko. Napisał raport, w którym stwierdził, że okoliczności katastrofy ZOE 05 nie budzą wątpliwości. Kawalek tekturki z napisem „ciągutki”, pełna popielniczka i dwa zaginione ciała to za mało, by wszcząć dochodzenie. Arthur nie miał nic z wyjątkiem przekonania, które Helen jakby wyłuskała mu z głowy. Kiedy zostawił Cornbrooków w sali odlotów, usłyszał, jak Helen mówi: „Ona nie umarła. Czułabym,

gdyby umarła", a Simon odpowiada: „Kochanie, spójrz prawdzie w oczy, dla dobra nas wszystkich". Arthur poczuł się winny.

Kiedy tydzień później Arthur Hockney otrzymał w hotelu wiadomość od Helen — uczestniczył w konferencji na temat przestępczości podatkowej, zorganizowanej przez „Fortune" — z prośbą o spotkanie, nie był zaskoczony. Wiedział, że tak się sprawy potoczą. Umówił się z nią listownie na lunch. Odniósł wrażenie, że Helen chce utrzymać spotkanie w tajemnicy przed mężem. Nie pozwolił sobie na dalsze spekulacje.

Przyszedł do restauracji pierwszy. Wstał, kiedy zbliżyła się do stolika. Parę osób odwróciło głowy. Stoły, krzesła wydawały się przy nim małe i niemożliwie wytworne, a dekoracja ze słomkowych butelek chianti w jakiś sposób absurdałna. Helen ubrana była w granatową suknię i próbowała nie rzucać się w oczy, i oczywiście poniosła porażkę.

— Arthurze! — wyrzuciła z siebie cicho i prędko. Była zdenerwowana. — Mogę tak do ciebie mówić, prawda? A ty musisz mówić mi Helen. Pewnie wydaje ci się to dziwne, że zadzwoniłam do obcego mężczyzny z prośbą o spotkanie. Chodzi o to, że nie chcę martwić Simona, byłby wściekły — no, nie wściekły, wyrażony z równowagi — ale ja wiem, że Neli żyje, wiem, że jest bezpieczna i tęskni za mną. Chcę, żebyś ją odnalazł. Zatrudniam cię. Jesteś wolnym strzelcem, prawda? Zapłacę każdą cenę. Tylko mój mąż nie może o niczym wiedzieć.

Och, to dziedzictwo Applecore Cottage, tak jeszcze żywe!

— Helen! — powiedział Arthur i to nowe słowo wydało mu się dziwne i piękne. — Nie mogę tego zrobić. To byłoby bardzo nieodpowiedzialne z mojej strony.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem.

Zamówiła naleśnik z grzybami, ale go nie tknęła. On za to pochłaniał stek z frytkami. Królowa matka, poproszona kiedyś o udzielenie rady osobom wkraczającym na arenę publiczną, odparła: „Kiedy widzicie toaletę, skorzystajcie z niej". Arthur Hockney, który błąkał się po dżunglach i pustyniach, a często po zupełnie odludnych i opanowanych klęską głodu rejonach świata, czuł to samo w stosunku do talerza pełnego jedzenia. Człowiek nigdy nie wie, kiedy go znowu zobaczy. Nie spieszył się z odpowiedzią.

— Ponieważ ofiarując ci nadzieję, byłbym gorszy od szarlatana, który sprzedaje lekarstwo na raka, albo od medium, które za drobną opłatą przemawia zza grobu.

— Wcale nie! — Ona sama była jeszcze dzieckiem. — Proszę!

— Czy mógłbym to zrobić, w świetle zdrowego rozsądku i mojego raportu dla linii ZARA?

— Jeżeli przyjdiesz i powiesz mi, że ona nie żyje, uwierzę ci, pogodzę się z tym.

— Może tak, może nie — odparł Arthur.

Źle zrobił, dając jej nadzieję, mówiąc o stewardesie, która przeżyła upadek z wysokości dwudziestu tysięcy stóp. Naprawdę czuł się winny.

— Po prostu słowa „Neli” i „śmierć” jakoś do siebie nie pasują — powiedziała Helen i zobaczył w jej oczach łzy. To mu sprawiło ulgę. — Może Simon ma rację, może rzeczywiście jestem trochę szalona. Przydałaby mi się wizyta u psychiatry.

Ale muszę wiedzieć. Muszę być przekonana. Nie rozumiesz? Gorzej jest żyć z nadzieją niż bez niej. Patrzeć, jak Simon rozpacza, i nie móc zrobić tego samego. To sprawia, że czuję się zła! Może to sprawa ciąży, kolejnego dziecka? Że będąc tak pełna życia, nie potrafię zrozumieć śmierci? Tak, pewnie dlatego.

— Dobrze, wrócę tam i wznowię dochodzenie.

Trudno mu było pojąć, dlaczego wyraził zgodę. Chyba tylko dlatego, że Helen go o to prosiła, że tak udęczona, nie potrafiła jednak poddać się nieszczęściu, co było rzadką zaletą.

### ***Brak wiadomości to dobre wiadomości***

Co się tyczy Neli, była bezpieczna, zdrowa i tak szczęśliwa, jak może być szczęśliwe dziecko, które znalazło się w obcym kraju, wśród ludzi mówiących obcym językiem. Tęskniła za matką, przedszkolanką, ojczymem i ojcem, w takiej kolejności, ale stopniowo o nich zapominała, jak to dziecko. Ich miejsce zajęli inni. I kiedy popadała w zadumę, bawiąc się w ogrodach pałacu

albo jedząc kolację w patio, jej nowi rodzice, markiz i markiza de Troite, spoglądali na siebie znacząco i pocieszali myślą, że wkrótce zapomni zupełnie i będzie idealnie szczęśliwa. Neli była ich małym skowronkiem, ich *petite ange*, kochali ją. Nie żalowali ani franka z pieniędzy, które na nią wydali. Państwo de Troite nie mogli, z powodów, które wyjaśnię później, przeprowadzić legalnej adopcji. A zresztą w tamtych czasach rosnącej bezpłodności pewne gatunki dzieci były bardzo poszukiwane, jedne ceniono wyżej niż drugie, jak psy, wartościowane wedle rasy i temperamentu. A Neli... Neli była prawdziwym skarbem, ze swoimi niebieskimi oczami, szerokim uśmiechem, subtelnymi rysami, ze swoją zdolnością kochania, wybaczenia i brania wszystkiego od najlepszej strony. Kupili ją za bezcen. Nauczyła się francuskiego w miesiąc i nie mając nikogo, z kim mogłaby mówić po angielsku, wkrótce zapomniała ojczystego języka. Mgliście, jakby we śnie, pamiętała, że kiedyś w tym świecie ze snu miała inną matkę, a jej prawdziwe imię brzmiało Neli, nie Brigitte, ale ten sen bladł coraz bardziej. Tylko czasami pojawiał się niepokojący błysk wspomnienia: gdzie jest Tuffin, jej kot? Kiedyś był Tuffin, mały i szary. Gdzie jest Clifford, jej tata, z czupryną jasnych włosów? Tata markiz nie miał ich prawie w ogóle! (Muszę zdradzić ci pewien sekret, Czytelniku. Otóż tata markiz miał osiemdziesiąt dwa lata, a mama markiza siedemdziesiąt cztery. Właśnie dlatego mieli kłopoty z adopcją dziecka!) Ale wspomnienia zapalały się i gasły.

— *Tu vas bien, ma petite?* — pytała markiza. Szyję miała pomarszczoną, a usta grubo wysmarowane jaskrawą szminką, ale uśmiechała się i kochała.

— *Tres bien, maman!* — Neli podskakiwała i kręciła się jak mały psiak. Jedli w kuchni, ponieważ w jadalni gwizdał wiatr: chleb pieczony przez Marthe, zupy warzywne, sałatki pomidorowe ze świeżą bazylią i *boeufen daube* — zęby państwa de Troite były w rozsypce — a pożywienie to nadzwyczaj służyło małej Neli. Potrzeby bardzo młodych i bardzo starych często się pokrywają. Neli nie płakała i nie kłóciła się — nie było powodu do płaczu i nikogo, z kim mogłaby się kłócić, nikogo, kto nie przedkładałby jej interesów nad własne. Człowiek z zewnątrz uznałby może, że dziewczynka jest zbyt cicha, zbyt uległa, żeby to mogło

jej wyjść na dobre, ale nie było tam człowieka z zewnątrz. Ludzie z zewnątrz nie byli mile widziani w zamku, na wypadek gdyby wyrobili sobie właśnie taki pogląd i zaprosili odpowiednie władze, by zobaczyły to, co widzieli oni: dziecko, choć szczęśliwe i zdrowe, chowane w zupełnie nieodpowiednim domu.

Na półce w pokoju na wieży, który był sypialnią Neli, bardzo przez nią kochaną — kochała okna wychodzące na cztery strony świata, drzewa kołysane wiatrem i śliczne odrapane meble, wśród których wyrosła markiza — leżał tani blaszany niedźwiadek na agrafce. Był jej skarbem. Był magiczny. Neli wiedziała, że broszka musi się jakoś otwierać, ale nigdy nie próbowała tego zrobić. W tych rzadkich chwilach, kiedy czuła się smutna albo zagniewana, szła na górę, brała niedźwiadka do rączki, potrzasała nim i słuchała, jak grzechocze. Markiza, widząc jak bardzo go kocha, dała Neli srebrny łańcuszek, żeby mogła zawiesić misia na szyi.

Czytelniku, istnieją na tym świecie przedmioty-klucze, aż nieprzyzwoicie nazywać je rzeczami, które odgrywają rolę w ludzkim życiu. Ten mały klejnot był jednym z nich. Jak już wiemy, matka Clifforda otrzymała go od swojej matki. Wiele kobiet z rodziny Neli patrzyło na wisiołek i kochało go. Tysiące razy mógł zostać zgubiony albo sprzedany, ale jakimś cudem ocalał. Teraz Neli instynktownie czerpała z niego otuchę i czekała na to, co miało się wkrótce zdarzyć.

### *Tymczasem w domu...*

Neli miała braciszka, Edwarda. Kiedy się urodził, ważył siedem funtów i pięć uncji (ciekawe, kiedy Anglicy zdecydowali się ważyć dzieci w kilogramach?!) i Simon był przy porodzie. Taki odpowiedzialny i nowoczesny ojciec. Trzymał Helen za rękę podczas skurczów i Edward urodził się łatwo, w przeciwieństwie do Neli.

Noworodek krzyczał i wrzeszczał ile sił w płucach, kopał z wigorem i siusiał wielkim łukiem, mocząc wszystkie ubranka, ilekroć go przewijano. Helen śmiała się i Simona to cieszyło, choć zachowanie Edwarda wydawało mu się raczej powodem do

irytacji niż radości. Helen rzadko się ostatnio śmiała, tak cichy i smutny wydawał się dom bez Neli...

A jednak — myślał Simon — rozpaczam bardziej niż ona. Mój żal jest głębszy, a Neli nie była przecież moim dzieckiem! To go martwiło, coś tu było nie tak; jego żona nadal czepiała się myśli, że dziecko przeżyło jakimś cudem katastrofę.

Właściwie szkoda, że czegoś nie zidentyfikował, czegokolwiek. W kostnicy było pełno fragmentów ciał.

Wielką zaletą pogrzebu, w którym uczestniczy ciało (choćby nie wiadomo jak zdekompletowane), jest to, że pozwala żałobnikom zaakceptować fakt śmierci.

Msza, która pewnego niedzielnego popołudnia odbyła się w intencji Neli w miejscowym kościele, nie spełniła tego zadania. Simon uświadomił sobie nagle, że Helen nawet na nią nie przyszła. W drodze do kościoła poczuła się słabo, a przynajmniej tak twierdziła i wróciła do domu. Nie próbował jej zatrzymać — była w zaawansowanej ciąży i msza mogła ją tylko zdenerwować. Teraz żałował, że nie doprowadził jej jednak do kościoła. Podejrzewał, że chce uniknąć spotkania z Cliffordem, ale Wexford nawet się nie pokazał. Jest za granicą, poinformowali go dziadkowie Wexfordowie z przeproszającą nutką w głosie. Ale przynajmniej przyszli, podobnie jak John Lally i matka Helen, Evelyn. Patrząc na nich, Simon zastanawiał się, co wziął sobie na głowę jako dodatek do Helen. On sam pochodził z solidnego podmiejskiego gniazda. Jego rodzice byli spokojni i zrównoważeni, choć (musiał to przyznać z żalem) niezbyt błyskotliwi. Jego walka o wyrwanie się ze środowiska wymagała nie tyle zabiegów dyplomatycznych, co składania ciągłych wyjaśnień. Jeżeli Helen nie była z nim szczerą, jeżeli była obłudna, jeżeli coś udawała, wystarczyło spojrzeć na jej rodzinę, by zrozumieć dlaczego.

Rozumieć, rozumiał, ale nadal sprawiało mu to ból. Chciał mieć Helen całą dla siebie. Nie chciał, kiedy się z nią żenił, ale chciał teraz. Pragnął jej serca, całej jej uwagi. Nie życzył sobie, żeby czepiała się nadziei, że Neli żyje. Neli należała do przeszłości, do martwego małżeństwa. Czasem bawiąc się z dzieckiem, Helen szeptała mu coś do ucha. Dziecko odpowiadało uśmiechem i Simon wyobrażał sobie, że Helen mówi: „Masz siostrzyczkę, Edwardzie, która pewnego dnia wróci do domu”. Oczywiście

były to urojenia. Ale dlaczego nie uśmiechała się tak do niego? Ponieważ utrzymując przy życiu Neli, utrzymywała przy życiu Clifforda. Nie pozwoliła Cliffordowi odejść dalej, niż pozwoliła odejść Neli.

Czasami dzieje się tak z pierwszym małżeństwem. Może być nie wiadomo jak nieudane, nie wiadomo jak nieprzyjemny może być rozwód kładący mu kres, ale wydaje się jedyne i prawdziwe. Cokolwiek nastąpi potem, choćby usankcjonowane ceremonią ślubną, aprobatą rodziny i przyjaciół, wydaje się fałszywe i gorsze. Tak było z małżeństwem Helen i Clifforda. To dlatego Helen wdychała i uśmiechała się przez sen, a Simon przyglądał jej się tak uważnie. To dlatego Clifford nie ożenił się ponownie, chociaż nadal obwiniał Helen o wszystkie klęski, od śmierci Neli poczynając, na swojej niezdolności kochania kończąc.

Rzecz jasna mały Edward nie miał o tym wszystkim pojęcia. Co rano otwierał oczęta i wiedział, że świat jest dobry, i pozostawiał na nim swój ślad w jedynej dostępny mu sposób — mocząc wszystko wokół. Uważał, że małżeństwo jego rodziców układa się po prostu świetnie.

### *Tymczasem we Francji...*

Na wypadek gdyby to cię interesowało, Czytelniku, w dniu nabożeństwa za duszę Neli mała Brigitte śmiertelnie wystraszyła swoich opiekunów, narzekając na ból brzucha. Była taka blada, że zapakowano ją do łóżka i trzymano tam przez cały dzień. Markiza spaliła pióra nad jej głową i dokonała obrządków z krwią jagnięcia, którą przechowywała w litrowych słojach w zamrażarce. Natomiast w dniu urodzin Edwarda Neli obiegła w podskokach swój wspianiały, zakurzony, ekscentryczny dom i uściskała serdecznie swoją osiemdziesięcioletnią niańkę. Wiedziała, że jest to wyjątkowy dzień.

— *Qu'as-tu? Qu'as-tu?* — zapytała Marthe, zadziwiona.

— *Sais pas, sais pas* — zaśpiewała Brigitte, ale wiedziała. Świat jest dobry.



Arthur Hockney uśmiechnąłby się z pobłażaniem i stwierdził, że to niemożliwe. Stwierdziłby to bez przekonania, ponieważ świetnie wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, że uczucia niosą, zupełnie jak fale. Że ludzie wydzielają fluidy, niektórzy budzą w nas niechęć od pierwszego wejrzenia, inni są jak rześki powiew, witamy ich z radością. Że czasem wiemy, co jest w kartach jeszcze przed ich rozdaniem, że oczekiwania się spełniają. Jeżeli spodziewamy się dobra, zazwyczaj nas ono spotyka, jeżeli czekamy, żeby sufit zawalił się nam na głowę, zazwyczaj się zawala. Arthur Hockney wiedział o tym wszystkim i dlatego był tak ceniony w swoim zawodzie, i dlatego firma Trans-Continental Brokers nie kręciła nosem, kiedy od czasu do czasu brał urlop, tak jak zrobił to teraz, na wezwanie Helen.

### *Tylko przypuścimy...*

Arthur Hockney wszedł po kostki w wodę na plaży, w którą wbił się ogon ZOE 05. W rękę trzymał prognozę przyływów i odpływów. Przemaszerował nadmorską szosą do miasteczka Lauzerk-sur-Manche, zakładając, że ma przy sobie trzyletnie dziecko. W miasteczku udał się do banku. Pamiętano tam mgliście mężczyznę, który wymieniał franki szwajcarskie na francuskie, ale nikt nie potrafił podać dokładnej daty — czy było to parę dni przed katastrofą, czy parę dni po niej? Dramatyczne wydarzenia — katastrofa, karetki pogotowia, wozy strażackie, ekipy telewizyjne — zepchnęły zwyczajne sprawy na drugi plan. Arthur pojechał autobusem do Paryża, ale tam spotkało go to samo — nikt nie widział Anglika i małej jasnowłosej Angielki. Obszedł kawiarnie i hotele wokół dworca autobusowego, uruchomił znajomości w świecie przestępczym — bez rezultatu. Niczego się nie dowiedział. Trop, jeżeli w ogóle istniał, okazał się zimny. Hockney pomyślał, że chyba byłoby lepiej dla Neli, gdyby nie żyła. Zdawał sobie sprawę, jaki los może spotkać dziecko, które dostało się w nieodpowiednie ręce. Niewolnictwo nadal istnieje — istnieje każda forma zła na świecie — nie zniknęło tylko dlatego, że gazety o nim nie piszą.

Jego klientka, Helen Cornbrook, rozumowała jedynie w kategoriach życia i śmierci. Jeżeli córka żyła, oznaczało to, że miewa się dobrze. Arthur nie miał serca wyprowadzać jej z błędu.

Po powrocie do Anglii jeszcze raz zbadał powiązania Blotto-na. Pani Blotton zamknęła mu drzwi przed nosem. Nie był to dowód jej współudziału w oszustwie, a jedynie przejaw przykrego usposobienia. Miejskowa policja zgodziła się mieć oko na dom. Instynkt mówił Arthurowi, że prędzej czy później Erich Blotton wróci ze świata umarłych, by położyć łapę na dwóch milionach funtów żony. Zasugerował liniom ZARA, by zwlekały z wypłatą odszkodowania, co i tak szło im jak po grudzie. Urzędnicy mieli pełne ręce roboty ze spełnianiem zwykłych w takich przypadkach żądań rodzin zmarłych. Zgodnie z obowiązującymi zwyczajami wypłacano odszkodowania w odwrotnym porządku alfabetycznym. Upłynęłoby sporo czasu, zanim linie ZARA dotarłyby do Blottona, nawet gdyby im jakoś specjalnie na tym zależało.

W sprawie Neli Arthur nic więcej nie mógł zrobić. Spotkał się z Helen, dyskretnie, w-barze kawowym, i powiedział, żeby poszła za radą swych bliskich i pogodziła się z faktem, że Neli nie żyje, ale ona chyba nie słuchała. Słuchała wewnętrznego głosu, który powtarzał: „Ona żyje”. Arthur nie przyjął czeku. Zresztą honorarium było bardzo małe. Helen zaoszczędziła na nie z pieniędzy na dom. Nie miała pojęcia, jaki Arthur jest drogi. Nie powiedział jej.

Chciał przytulić Helen choćby po to, by ją chronić. Przyszłość tej kobiety wydała mu się zagrożona przez jej własną naturę. A może pragnienie, by ją przytulić, miało zupełnie inne źródło? Możliwe, ale nie w tym rzecz.

Dopiła kawę i zaczęła zbierać się do odejścia. Przyłożyła białą dłoń do jego czarnego policzka.

— Dziękuję ci. Cieszę się, że na świecie istnieją tacy mężczyźni.

— To znaczy jacy? — zapytał.

— Odważni — odparła. — Odważni, odpowiedzialni i dobrzy.

Chciała przez to powiedzieć: inni niż mój ojciec, inni niż Clifford. Przykro to mówić, ale Simona w ogóle nie zaliczała do rodzaju męskiego!

## **Rozmowy**

Przytoczę ci teraz kilka rozmów, drogi Czytelniku. Pierwsza odbyła się między Cliffordem Wexfordem a Fanny, jego sekretarka/kochanką, w domu na przedmieściach Genewy. Dom jest szczytem luksusu i elegancji. Basen w kształcie muszli odbija niebieskie niebo i ośnieżone alpejskie szczyty. W salonie na białych ścianach wiszą obrazy (zmieniają się bez przerwy, dziś jest to niezły koń pędzla Frinka, szkic zdechłego psa Johna Lally'ego, trzy pejzaże Johna Pipera i naprawdę znakomita akwaforta Rem-brandta), stoją skórzane fotele, szklane stoliki i zalatuje z lekka męskim szowinizmem.

— Cliffordzie — mówi Fanny ostrym tonem — nie możesz obwiniać Helen za śmierć Neli. To ty ją porwałś. To przez ciebie znalazła się w tym samolocie. Jeżeli można tu kogoś obwiniać, to właśnie siebie!

Fanny ma dość i trudno się temu dziwić. Najpierw Clifford chce, żeby się do niego przeniosła, ale tylko przez wzgląd na Neli. Potem następuje straszna katastrofa i od tamtego dnia Fanny mieszka z nim, pielęgnuje go w żałobie, co nie jest wcale łatwe. Zastępuje go w pracy, ponieważ Clifford upija się z rozpaczony i nie jest w stanie podejmować decyzji. A decyzje muszą zostać podjęte. Za niecałe pięć miesięcy Leonardo musi otworzyć nowe galerie w Genewie, poświęcone dziełom współczesnych malarzy, i ci współcześni malarze w taki czy inny sposób muszą znaleźć się na ścianach w dniu otwarcia. Trzeba wyrwać obrazy z pracowni malarskich, z domów prywatnych, do których się zabłąkały — oddane po pijanemu albo sprzedane niezgodnie z umową — spełnić ogromne i problematyczne żądania firm ubezpieczeniowych, ale przede wszystkim podjąć decyzje artystyczne: ten obraz czy tamten? I to właśnie Fanny podejmuje te decyzje w imieniu Clifforda. Radzi sobie świetnie, a teraz, kiedy Clifford przestał wreszcie pić i jest znowu sobą, nie chce umieścić jej nazwiska na okładce katalogu. Fanny jest wściekła. Niech Clifford robi sobie, co chce, obejmuje ją po nocach, szepce czule słówka, wszystko jedno, ona nie da się na to nabrać. Nie, proszę pana!

— Jesteś egoistą, egocentrykiem, skąpcem i zarozumialcem — krzyczy, ona, taka zawsze łagodna i potulna. — Już mnie nie kochasz.

— Nigdy nie kochałem — mówi on. — Myślę, że nasz związek się wypalił. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś spakowała walizki i odeszła?

Koniec rozmowy, koniec romansu. Prawdę mówiąc, nie tego się spodziewała.

Pomyślała, że może Clifford za nią pobiegnie. Nie zrobił tego. Następnego dnia w genewskiej gazecie porannej ukazało się zdjęcie Clifforda obejmującego Trudi Barefoot, gwiazdę filmową, która napisała właśnie bestsellerową powieść. Fanny uświadomiła sobie, że w ciągu ostatniego tygodnia Trudi dzwoniła do Clifforda parę razy.

Rozmowa druga. Fanny siedzi za swoim biurkiem przed drzwiami gabinetu Clifforda, w nowym, chłodnym marmurowym pałacu Leonarda, i boryka się z upokorzeniem i żalem. Wchodzi Clifford. Fanny ma nadzieję, że ją przeprosi.

— Jeszcze tu jesteś? — pyta on. — Mówiłaś, zdaje się, że odchodzisz?

Tak więc straciła pracę, kochanka i to, co teraz wydaje się miłością.

Jej następczyni, młodsza, bardziej pospolita, ale z jeszcze świeższym dyplomem historii sztuki, pojawia się akurat w chwili, gdy Fanny wychodzi. (Musi się sama zwolnić — przyjmowanie do pracy i zwalnianie wchodzi w zakres obowiązków sekretarki.) Nowa dziewczyna ma na imię Carol.

— Widoki tak dobre, jak mówią? — pyta Carol.

— Powiedzmy, że szerokie — mówi Fanny.

— Będę miała szansę sama podejmować decyzje artystyczne? — pyta Carol.

— Taka okazja z pewnością się nadarzy — mówi Fanny patrząc, jak czterech mężczyzn holuje wyjątkowo udanego Jacksona Pollocka, którego Fanny wybrała w imieniu Clifforda. — Ale szkoda fatygi.

Koniec rozmowy. Fanny wraca do swoich rodziców w Surrey. Idąc za radą Clifforda zrezygnowała z mieszkania nad sklepem spożywczym w kulminacyjnym momencie ich... Romansu? Raczej transakcji erotycznej. Wszystko to boli potwornie. Ale

dziewczyny, które wiążą się ze światem Sztuki, nie mają lekkiego życia. Istnieją w tym świecie pieniądze, miłość i przygoda, ale na samym szczycie drabiny, a tam siedzą mężczyźni, jak wszędzie zresztą.

Inna rozmowa, w innym kraju.

— Nie kochasz mnie — mówi Simon Corabrook do Helen mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Fanny traci pracę.

Jest blady, w jego oczach za sowimi okularami kryje się rozpacz. Nie jest wysoki ani szczególnie przystojny, ale jest bystry, inteligentny, dobry i jak typowy mąż chce, żeby żona go kochała i obdarzała uwagą. Helen spogląda na niego ze zdziwieniem. Trzyma w ramionach Edwarda. Ale cała jej uwaga skierowana jest na Edwarda i pamięć Neli, którą tuli do siebie, jakby to było drugie, żyjące dziecko, zupełnie wykluczając jego, Simona.

— Oczywiście, że cię Kocham! — mówi ze zdziwieniem. — Simon, oczywiście, że tak. Jesteś ojcem Edwarda!

Cóż, nie jest to może najtaktowniejsza odpowiedź, ale Helen to właśnie miała na myśli.

— A Clifford jest ojcem Neli. Helen wzdycha.

— Clifford jest za granicą — mówi — a poza tym jesteśmy rozwiedzeni. Simon, co jest grane?

Wiemy bardzo dobrze, co jest grane. Chodzi o to, że Helen wyszła za Simona, ponieważ mógł jej zapewnić spokój, komfort i bezpieczeństwo, a ona, roztrzęsiona i skopana przez życie, świeżo po rozwodzie z Cliffordem, uważała, że to ją w zupełności zadowoli. Simon wie o tym, ale już mu to nie wystarcza. Chce od Helen odzewu erotycznego, emocjonalnego zaangażowania, chce, żeby o nim myślała, a ona myśli wyłącznie o Edwardzie, martwej Neli i nieobecnym Cliffordzie. On, Simon, jakby w ogóle nie istniał. Oboje o tym wiedzą. Simon nie musi nawet pytać, czy tak właśnie jest. Helen pochyla się niżej nad Edwardem i zaczyna nucić cichutko, żeby nie patrzeć mężowi w oczy. On unosi jej głowę i wymierza policzek. Lekko, jakby chciał obudzić ją do życia, ale oczywiście nie odnosi to pożądanego skutku, natomiast jest niewybaczalne. Uderzył kobietę, swoją żonę, matkę swojego dziecka, która nie zrobiła nic, by go obrazić czy sprowokować. Po prostu zapytała, co jest grane.

Simon bąka jakieś przeprosiny, idzie do redakcji i zastaje tam Sally Agnes St Cyr, jedną z tych genialnych młodych dziennikarek zatrudnionych ostatnio przez jego gazetę. Zapraszają do „El Vino” — „Simon, co ty tu robisz? Nigdy tu nie bywasz!” — idzie z nią do domu. Nigdy nie dowiemy się, czy Simon rzeczywiście trącił w niej jakąś erotyczną strunę, czy udawała, ponieważ Sally Agnes milczy jak grób. Możemy jednak przyjąć, że wiedziała, iż Simon będzie dla niej użyteczny. A co się tyczy Simona, czuł tylko, że w Sally Agnes znalazł to, czego nie mógł doszukać się w Helen. Sally Agnes St Cyr! St Cyr! Drogi Czytelniku, przeszył mnie dreszcz!

### ***Odrodzenie***

Czy związki ludzi dorosłych, razem z całym cierpieniem, wszystkimi kłopotami i komplikacjami, jakie powodują, nie wydają się wam trywialne w porównaniu z dobrem dziecka? Gdyby Helen była odrobinę mądrzejsza i mniej nieokiełznana, gdyby Clifford był odrobinę bardziej tolerancyjny, nigdy by się nie rozstali. Neli wyrosłaby spokojnie i zajęła przeznaczone jej miejsce w świecie. Atak! Aż żal patrzeć, co się z nimi stało!

Helen czyta doniesienia o romansie Simona (na pierwszych stronach brukowców) z przebojową Sally Agnes i zastanawia się, co właściwie czuje. Stwierdza, że bardzo niewiele. Jakby wraz ze zniknięciem Neli zniknęła cała sfera jej uczuć. Żyje tylko dla swojego małego synka Edwarda — ale nawet ta miłość jest ostrożna, jakby i ona mogła nagle zniknąć. Na szczęście Edward o tym nie wie.

Clifford zatelefonował do niej z Genewy pewnego wieczora. Była sama i szwendała się po domu, całkiem zadowolona z życia; marzyła, czytała, pisała do matki i martwiła się trochę, ale tylko trochę, nieobecnością Simona.

— Helen? — powiedział Clifford i jego głos, czarujący, lekko ochryply i pełen ukrytych znaczeń, tak znajomy i tak długo nie słyszany, obudził ją do życia, pożądania, miłości. I wszystko

byłoby dobrze, gdyby nie to, że zarazem ocknął się w niej ból i rozpacz. Nic dziwnego, że Helen tkwiła w śpiączce.

— Dobrze się czujesz, Helen? Cała ta pisanina w gazetach

o karle i...

— Clifford — powiedziała Helen lekkim tonem. — Dziennikarze wymyślają takie historie. Ty chyba wiesz o tym najlepiej. Mamy się świetnie. A co u ciebie i Trudi Barefoot?

— Dlaczego choć raz nie powiesz prawdy? Dlaczego zawsze kłamiesz?

I pokłócili się, zanim jeszcze zaczęli na dobre rozmawiać. Tak było zawsze. On wyrażał troskę, ona unosiła się honorem, była zazdrosna, on był zły, ona czuła się dotknięta i tak w koło Macieju!

Clifford miał rację, ostatnio dużo kłamała. Negowała tak wielkie prawdy o sobie, że prawdy pomniejsze szły automatycznie za burtę. Gdyby ona i Clifford zostali razem i stawili czoło swoim naturom, a co za tym idzie, mogli je zmienić, Helen nie byłaby teraz taką kłamczuchą, byłaby osobą mniej rozchwianą, mniej niepozbitą, nie tak łatwą do zdradzenia. A Clifford byłby mniej okrutny, mniej wyrachowany, mniej pochłonięty tworzeniem swojego wizerunku i nie tak mściwy wobec kobiet.

Rzadziej zmieniałby partnerki, a zaczęłyby zmieniać siebie.

Mężczyźni są tacy romantyczni, nie uważacie? Rozglądają się za doskonałą partnerką, a powinni szukać doskonałej miłości. Dostrzegają wady swoich wybranek (Kto jest doskonały? Przecież nie oni!) i nie widzą, że wina tkwi w nich samych, w ich niezdolności kochania. Clifford nadal sporządzał listy kobiet, szukając tej jednej, która zadowoli go całkowicie i na zawsze. Powinna być piękna, wykształcona, inteligentna, trochę niższa od niego, pulchna w biuście i smukła w nogach, poliglotka, narciarka, tenisistka, idealna gospodyni, doskonała kucharka i tak dalej,

i tak dalej. A jednak najbliższy ideałowi miłości był wtedy, gdy kochał Helen, a przecież ona zawiodła, została skreślona z listy. Biedny Clifford szukał pocieszenia w sławie i majątku, tam gdzie go nie ma. Wie o tym każdy, kto jest kimś.

A co się tyczy małej Neli, teraz zwanej Brigitte, niewinnej ofiary wad swoich rodziców — była w niezłych tarapatkach. Miała pięć lat i powinna pójść do szkoły.

Markiz i markiza znaleźli się

w kropce. Prawie nie opuszczali zamku, odkąd zjawiała się w mm Neli, nie wiedząc, jak wytłumaczyć obecność dziecka.

— Powiem, że jest moją córką — oznajmiła markiza, patrząc na swoją zniszczoną twarz w pękniętym lustrze i widząc młodą dziewczynę, jak to miała w zwyczaju. — W czym problem, *mon ami*?

Markiz nie był na tyle okrutny, by wyjaśnić, w czym problem, mianowicie w tym, że jego żona postanowiła się nie zestarzeć. Najrozsądniej byłoby przedstawić Brigitte jako wnuczkę. Nikt by się temu specjalnie nie dziwił, małą Neli przyjęto by do szkoły i może nikt nie zażądałby metryki urodzenia. Ale markiza nie chciała o tym słyszeć. Brigitte zostanie jej dzieckiem, jest za młoda, by być babcią — to się rzuca w oczy! Markizowi pozostawało jedynie trzymać Brigitte w domu ze starą, zaufaną dyskretną służącą i mieć nadzieję, że problem rozwieje się w powietrzu. Rzecz jasna nie rozwiązał się. Mała Brigitte rosła, tęskniła za przyjaciółmi, towarzystwem dzieci i nauką. Markiz i markiza mimo całej swojej ekscentryczności martwili się o jej przyszłość. Chcieli, żeby była szczęśliwa i normalna" — zupełnie jak oni dawno temu, zanim dopadł ich Czas i Zgrzybiałość. Niektórzy ludzie starzeją się spokojnie i pogodnie, markiz i markiza walczyli zawzięcie, a mała Brigitte — czasem cicha i smutna, ale zazwyczaj przemierzająca w podskokach swoje zamczysko, wypełniająca je życiem, śmiechem i światłem — była ich pierwszą i najpotężniejszą bronią.

Drugą była czarna magia. Markiza parała się nią trochę, okazjonalnie, a markiz przyłączał się do zabawy, kiedy miał ochotę. Plotki o tym obiegały wieś od czasu do czasu i sprawiały, że jeszcze mniej ludzi zbliżało się do zamku. Bóg jeden wie, że i bez tego było to ponure, niesamowite miejsce, z tą wysoką wieżą, na wpół zakrytą przez drzewa, które zdawały się szumieć, nawet gdy nie było wiatru. Oczywiście Neli widziała zamek w zupełnie innym świetle, był jej domem, a dom nam wszystkim, a zwłaszcza dzieciom, kojarzy się z bezpieczeństwem. Pentagramy poniewierające się po zamku i ciężki zapach wypełniający czasem jego sale niewiele mówiły pięcioletniej dziewczynce. W jej wyobrażeniu żyli tak wszyscy ludzie. Mieszkańcy wioski odnosili się pobłaźliwie do markiza i markizy. Byli realistami, nie wierzyli w magię, ani w czarną, ani



w białą. Jedynie najmłodszy lubił się straszyć i udawać, że padł na nich urok. Ta zabawa, myśleli mieszkańcy wioski, nikomu nie może wyrządzić krzywdy. Niech się staruszkowie bawią. Gdyby wiedzieli, że w zamku jest dziecko, może zdecydowałoby się interweniować. Ale nie wiedzieli. Bo i skąd? Święta Bożego Narodzenia nadeszły i minęły, i nikt nie wiedział, że są to urodziny Neli. Zresztą państwo de Troite z zasady nie obchodzili urodzin. Co więcej, robili co w ich mocy, żeby zignorować święta, Czuli, że obchodząc je otwarcie obraziliby swego pana, diabła.

A oto jak wyglądało ich świąteczne śniadanie. Markiz i markiza udawali, że jest to dzień jak co dzień. Zeszli na dół

• dziewiątej, jak zwykle, próbując nie zranić guzowatych dłoni o połamaną poręcz i nie połamać kruchych nóg na spróchniałych schodach. Usiedli w wielkiej kuchni, gdzie myszy śmigały po krokwiach, a czarne karaluchy goniły się po zakurzonej podłodze — Marthe trochę niedowidziała. Zamiatła, owszem, po prostu nie widziała podłogi zbyt dobrze.

Marthe jak zwykle przygotowywała kawę w wysokim emaliowanym dzbanku, a Neli, co było zupełną nowością, grzanek nad wielkim piecem, w którym ogień płonął przez całą zimę. Państwo de Troite targali codziennie gałęzie z wielkiego stosu przygotowanego jesienią przez Johna-Pierre'a, drwala. (Umysł Johna-Pierre'a doznał uszczerbku w czasie wojny, ale jego mięśnie działały jak należy. W te dni kiedy Marthe szła po niego do wioski, Neli zabawiano w innej części zamku. Nie było to trudne. W czasach swej świetności zamek mógł pomieścić dwudziestoosobową rodzinę i czterdziestoosobową obsługę. Jego skrzydła, stodoły, stajnie

i obory dostarczały wszystkim zajęcia. Ale te sprawy nas nie interesują w tej chwili. Mamy zupełnie inną historię do opowiedzenia.)

— Co mała robi? — zapytała markiza.

— Robi grzanek — odparła Marthe.

— Bardzo dziwne zajęcie — powiedział markiz.

To prawda, robienie grzanek jest zajęciem angielskim, nie francuskim i chyba nie tylko z powodu innego gatunku chleba. Jako dziecko Helen robiła grzanki w Applecore Cottage, przycupnąwszy przed małym paleniskiem, z chlebem nadzianym na długi mosiężny widelec. Miał jeden ząb zakrzywiony i rączkę w kształcie lwiej głowy. I tylko raz, na tydzień przedtem, jak Neli

weszła na pokład ZOE 05, zrobiła grzanekę dla córki. Specjalnie po to otworzyła staromodny piec w kuchni Muswell Hill i opiekła chleb na nożu do krajania mięsa, omal nie opiekając sobie przy tym palców.

— Robię grzanekę — oznajmiła Neli — ponieważ jest Boże Narodzenie.

— Skąd mała wie, że jest Boże Narodzenie? — Państwo de Troite rzadko zwracali się bezpośrednio do swojej małej Brigitte.

— Dzwonią w kościele i jest zima — odparła Neli. — Przypuszczam więc, że jest Boże Narodzenie. Ludzie robią miłe rzeczy w święta, a grzanka to miła rzecz, prawda? — dodała niepewnie, ponieważ markiz i markiza wyglądali na zde gustowanych. Kaprawe oczka nagle rozblęły, a wykrzywione artretyzmem palce zabębniły w stół.

— Nic nie mówiłam — zastrzegła się Marthe. — Sądzę, że przeczytała o tym w książce.

— Ale kto nauczył małą czytać?

— Sama się nauczyła - powiedziała Marthe.

Faktycznie się nauczyła, z wystrzępionych ksiąg, reliktu czasów świetności zamku, wilgotnych i nadgryzionych przez myszy, ale jeszcze czytelnych. Neli znalazła je na strychu. Co więcej, choć nie wolno jej było wychodzić poza teren zamku, siadywała czasem na gałęzi drzewa przy ścieżce prowadzącej do wioski. Z tej gałęzi mogła obserwować dziwnych, silnych, energicznych mieszkańców świata zewnętrznego i zaczęła rozumieć sens ich życia.

Markiz i markiza wzdychali i chrząkali, ale jedli grzanki, spalone na wierzchu, zimne i wilgotne w środku, posmarowane obficie masłem i domowym dżemem Marthe, i to jedli bez słowa skargi. Dla dziecka jest to największa pochwała, kiedy jego wysiłki zostają docenione, nawet jeżeli wymaga to pewnego poświęcenia ze strony doceniającego. Neli uściskała ich wszystkich — markiza, markizę i Marthe — a księżę ciemności schował się do mysiej dziury.

Simon spędził Wigilię z Helen. Próbowali, dla dobra Edwarda, uratować swoje małżeństwo. Simon powiedział, że to chłód Helen pchnął go w ramiona Sally, że wystarczy jedno słowo Helen, by już nigdy nie zobaczył się z panną St Cyr. Helen zapytała „jakie słowo?”, a on był zbyt wściekły, by powiedzieć: „miłość”.

I okazja do pojednania minęła bezpowrotnie. Helen chciała mówić o Neli, o tym, że Wigilia jest dniem jej urodzin, ale wiedziała, że Simon sobie tego nie życzy. To ją gniewało. Choć rozmawiali miło przy świecach i pieczonym indyku, a potem poszli na drinka z przyjaciółmi i zgodzili się ze sobą, że brukowce są po prostu zjadliwe i nie ma sensu oddawać sprawy do sądu — na wypadek gdyby wierutne kłamstwa okazały się prawdziwe — małżeństwa nie uratowali. Tępy ból żalu i urazy pozostał w sercu Helen, ostry ból rozgoryczenia w sercu Simona. Nie było mowy o rozwodzie. Rozwód niczego by nie załatwił. Musieli myśleć o Edwardzie. Helen wydawało się czasem, że ktoś nagrał jej życie na taśmę wideo, przycisnął guzik „stop” i uwięził ją w niezbyt przyjemnej pozie. To było straszne uczucie. Edward rozwijał się, a ona nie. Mimo to wysłała kartkę Arthurowi Hockneyowi, śliczne świąteczne drzewko w srebrnej ramce, i otrzymała kartkę w zamian, Empire State Building w śniegu, z King Kongiem na szczycie. Nie mogła postawić jej na kominku. Simon nie powinien się dowiedzieć, że nadal jest w kontakcie z Arthurem. Brak wiadomości, powiedziała sobie, to dobre wiadomości. Ale zdawała sobie sprawę, że Neli już by jej nie poznała, tyle czasu minęło od dnia, kiedy się rozstały. A ściśle rzecz biorąc od dnia, kiedy Neli została porwana. Helen modliła się co wieczór, prosząc Boga, by opiekował się jej córką, choć gdyby ją ktoś zapytał, czy wierzy w Boga, odpowiedziałaby ostrożnie: „Nie wiem, co rozumiesz pod słowem «Bóg». Jeżeli chodzi ci o przecucie, że «coś się za tym wszystkim kryje», to tak, chyba wierzę w Boga.”

To za mało, by zadowolić zazdrosnego, wymagającego Boga, na którego podobieństwo stworzony został Simon, mimo swej delikatnej powłoki.

### ***Pożar***

Ciche, spokojne życie po prostu nie było Neli przeznaczone. To się już nigdy nie zmieni. Los pozwoli jej na parę przyjemnych

chwil wytchnienia, potem rzuci ją na kolejną rafę. W przypadku Neli dobry i zły los deptały sobie nawzajem po piętach, od czasu do czasu skrobiąc jej marchewki. Dopóki jesteśmy dziećmi, życie nam się przytrafia, nie panujemy nad naszym losem. Wydarzenia piętrzą się nam nad głową. Dzieje się tak na początku życia; na końcu też, mimo wszelkich wysiłków z naszej strony. Kochamy i jesteśmy kochani albo nie mamy szczęścia w miłości. Pławimy się w bogactwie albo cieszymy się stałym przyływem umiarkowanych dochodów. Oszczędzamy całe życie albo wydajemy przez całe życie. (Mamy dziesięć pensów w wieku dziesięciu lat, sto funtów w wieku lat dwudziestu itd., itd.) Prześladuje nas pech albo jesteśmy w czepku urodzeni. Niektórzy z nas przyciągają pioruny i lepiej, żeby nie spacerowali w lesie podczas burzy, innym wszystko uchodzi bezkarnie. Jeżeli chcemy poznać nasze przeznaczenie, wystarczy spojrzeć wstecz na okres dzieciństwa. W miarę upływu lat zdarzenia zdają się rozciągać, wzór staje się za szeroki, zbyt znajomy, -by go dostrzec. Pozostaje nam tylko niejasne wrażenie, że niejedno się już kiedyś zdarzyło. Bo się zdarzyło i zdarzy się jeszcze nie raz.

Możemy nauczyć się pewnych zalet. Możemy nauczyć się odwagi, nawet najbardziej tchórzliwi z nas potrafią zdobyć się na wysiłek niezbędny, aby stać się odważnym. Możemy nauczyć się łagodności walcząc z irytacją, możemy nauczyć się ratować twarz innych, celowo tracąc własną, możemy nauczyć się cierpliwości chyląc głowę przed losem, tłamsząc dumę, ćwicząc dobroć zamiast podłości. Ale los, wewnętrzny wzór naszego życia, pozostaje ten sam. Więc nie walcz zbyt, zawzięcie, Czytelniku. Zaakceptuj swój los i graj tymi kartami, które przypadły ci w udziale, najlepiej jak potrafisz.

Obwińcie za to gwiazdy, jeżeli macie na to ochotę. Złóżcie to na karb Marsa Neli, który zbliżył się za bardzo do jej Słońca. Albo na karb jej poprzedniego życia, jeżeli to bardziej trafia wam do przekonania. Neli musiała zrobić coś bardzo dobrego i bardzo złego. Obwińcie za to geny — wybuchową mieszanekę krwi Clif-forda i Helen. Albo powiedzcie sobie: cóż, z parą takich dziwolągów jak państwo de Troite coś musiało się jej przydarzyć!

No i się przydarzyło. A było to tak:

W desperackiej próbie odzyskania urody — nawet nie z próżności, ale żeby być bardziej wiarygodną matką małej Neli — markiza odprawiła czarną mszę z pentagramami, ogniem, krwią nietoperza (o wiele trudniejszą do zdobycia niż krew jagnięcia, jak sobie łatwo wyobrazić) i korzeniem żywokostu. Markiz westchnął, ale przywdział obowiązkowe czarne szaty. Marthe jęknęła: „Tylko nie to!”, ale zgodziła się poruszać kadzielnicą, w której paliły się tajemnicze zioła. (Suma wieku tych trojga wynosiła z górą dwieście lat. Wydaje mi się, że nie powinniśmy potępiać ludzi, którzy chwytają się każdej szansy odzyskania utraconej młodości, choć z pewnością można ich obwinić z powodu głupoty!) Ceremonia miała się rozpocząć w sieni zamku z wybiciem północy.

Mała Neli spała spokojnie, nieświadoma niczego, w swojej wieży. Na dworze pohukiwały sowy, jęczał wiatr i czarne burzowe chmury kłębiły się nad zamkiem, choć przypuszczam, że był to efekt warunków atmosferycznych, a nie obrządku przywoływania diabła.

Muszę przyznać, była to wyjątkowo upiorna noc. Nawet Spielberg niewiele miałby tu do dodania. Drzewa szarpały się dziko, jakby chciały się wyrwać i uciec, gdziekolwiek, byle dalej od tego miejsca. Zamkowe koty pochowały się pod najbardziej spróchniałymi, zapajęczonymi meblami, jakie udało im się znaleźć. Ich żółte diabelskie oczy były wszędzie.

Neli spała! Zawsze spała. Spokojny sen jest przywilejem ludzi o czystym sercu. Zасыiała, z chwilą gdy jej głowa dotknęła poduszki, spała spokojnie i mocno, a rano zrywała się na nogi rześka, pełna radosnego oczekiwania, które cechuje tylko ludzi młodych i szczęśliwych. Bo i dlaczego nie miałyby być szczęśliwa? W jej otoczeniu nie było nikogo, kto uzmysłowiłby jej, jak brzydzy, dziwaczni — nie mówiąc już, że archaiczni — są państwo de Troite, kto zmarszczyłby brwi i spojrział wymownie na kurz i brud. Neli przyjmowała markiza i markizę, i zamek bez zastrzeżeń, a ponieważ miała słodką, pogodną naturę, uważała, że są naprawdę uroczy.

Była szczęśliwa — użyłam czasu przeszłego, ponieważ pobyt Neli w zamku zbliżał się właśnie do swojego nagłego strasznego końca.

W burzliwe noce z okna małego okrągłego pokoju na szczycie Zachodniej Wieży — Neli spała we Wschodniej — powiewał na końcu długiego drutu latawiec. Konstrukcja przyczepiona była do półmetrowej woskowej postaci markizy spoczywającej na łożu z siana. Latawiec miał ściągać pioruny i przekazywać markizie ich życie, energię i siłę. (Gdyby to poskutkowało, markiza natychmiast ulepiłaby z wosku podobiznę męża. Nie była zła, kochała go. Czytelniku, nie lubię pisać o takich rzeczach, to sprawia, że sama czuję się nawiedzona.) Zanim posunę akcję dalej, muszę jeszcze wspomnieć, że Benjamin Franklin, wiktoriański filozof i naukowiec, zrobił identyczny latawiec i rzeczywiście udało mu się przyciągnąć piorun, a ponieważ latawiec znajdował się na końcu drutu, miało to dla Franklina ogromne konsekwencje. Skąd mógł wiedzieć! No, potem już wiedział. Człowiek uczy się jednak pewnych rzeczy, w sumie niewielu.

O wpół do pierwszej, kiedy śpiewy, inwokacje i kajania się były już w toku, piorun trafił w latawiec, stopił w mgnieniu oka posąg markizy i wzniecił ogień w sianie. Nikt nic nie zauważył. Ani markiz, ani markiza, ani Marthe. Byli zbyt zaabsorbowani ogniem młodości i namiętności, który diabeł miał rozniecić w tych ludzkich próchnach — i naprawdę rozniecił! Zaczynam podejrzewać, że diabeł rzeczywiście otarł się o nich tej nocy, niemal musnął ogromnymi pierzastymi skrzydłami policzek uśpionej Neli. Ogień w Zachodniej Wieży biegł jak horda małych płonących robaczków, które pożarłszy siano, przedarły się szparami w podłodze do pokoju niżej, gdzie zjadły, co się dało, nabrały sił i zapragnęły więcej! Jakże suchy był ten zamek! Istna hubka.

A w innym kraju, sto mil od Neli, jej matka poruszyła się i jęknęła przez sen, a jej ojciec, w innym łóżku, przebudził się i wyciągnął rękę, by poszukać ukojenia u swej towarzyszki Elise, on, który tak rzadko zdawał się potrzebować pociechy czy pomocy. Mówię wam, to była dziwna noc.

Neli spała we Wschodniej Wieży. Pożar wybuchnął w Zachodniej, zszedł na dół, podsycany wiatrem (i diabelskimi skrzydłami, według opinii miejscowych, a oni chyba wiedzą najlepiej! Jeżeli przywołuje się diabła, można obudzić nie lada lichy, tego możecie być pewni i siła woli nic wam nie pomoże, choćbyście byli nie wiadomo jak silni, mądrzy i przebiegli!) i ukazał się

podczas czarnej mszy w postaci pędzącej ściany ognia. Markiza, zbnikowana nawet w godzinie śmierci, postąpiła ku niej myśląc, że fale ognia są czymś w rodzaju magicznej fontanny młodości, że wejdzie w nią i wyjdzie po drugiej stronie, nieśmiertelna i obdarzona nieziemską urodą, która nie tylko przykuje do niej wszystkich mężczyzn, ale pozwoli jej odprowadzić Neli do wiejskiej szkółki bez wzbudzania sensacji. Oczywiście nie wyszła w ogóle z płomieni, została strawiona w całości. Markiz, który kochał żonę taką, jaka była, i w ogóle nie przejął się jej porażką w walce o wieczną młodość i urodę, pobiegł za nią, by odwieść ją od szalonego zamiaru, ale nadepnął na róg szaty czarnoksiężnika i upadł. Małe diaboliczne robaczki pokryły jednolitą masą fałdy zakurzonego materiału i markiz spłonął także. Nie sądzę, żeby któreś z nich cierpiało. Myślę, że nateżenie uczuć uratowało ich przed bólem fizycznym, a nawet przed strachem. Ona była tak pewna zmartwychwstania, on taki zdecydowany ją ocalić. Nie byli złymi ludźmi, po prostu nie chcieli wejść łagodnie w wieczór swojego życia. Mieli to jedno pragnienie i ono ich pochłonęło.

Natomiast Marthe, trzecia uczestniczka diabolicznej imprezy, katastrofalnej czarnej mszy, wzięła nogi za pas. W mgnieniu oka znalazła się za drzwiami. Była potężną kobietą z ośmioma krzyżykami na karku, ale w kryzysowej sytuacji potrafiła szybko się ruszać. A to była kryzysowa sytuacja, lepszej nie trzeba. Drewniana podłoga schodów, które prowadziły do pokoju Neli, tliła się pod jej nogami, kiedy Marthe gnała na górę po dziecko, z dachu zamku wzbijały się w niebo płomienie, wiatr zaś wył i zawodził.

Neli obudziła się, w chwili gdy Marthe przerzuciła ją sobie brutalnie przez ramię i ruszyła w dół schodów. Wszędzie wokół szalał ogień. Biedne nagie stopy Marthe (markiza — niech spoczywa w pokoju — nalegała, by odprawiać mszę na bosaka) zapadały się w żar, kiedy biegła, wrzeszcząc: *Le diable! Le diable!* To przeraziło Neli bardziej niż wszystko inne. Nikt nie lubi, żeby diabeł deptał mu po piętach. Marthe oczywiście była przekonana, że tak właśnie jest. Trudno jej się dziwić. Była winna. Jej pracodawcy zostali ukarani, zabici. Ona była następna w kolejce! Marthe dopadła małego citroena zaparkowanego na dziedzińcu i choć — z różnych przyczyn, w które nie będziemy teraz

wnikać — nie prowadziła samochodu od czterdziestu lat, wepchnęła Neli na tylne siedzenie, wskoczyła na przednie i z jękiem skrzyni biegów, co w innych okolicznościach stałoby się tematem rozmów na wiele, wiele dni, wyprysnęła z piekła. Ruszyła w stronę głównej szosy, w przeciwnym kierunku niż wieś. Nie szukała pomocy, chciała tylko pozostawić płonący zamek jak najdalej za sobą. Oczywiście nie da się uciec diabłu tak łatwo!

Przypominasz sobie, Czytelniku, że państwo de Troite utrzymywali fakt istnienia Neli w tajemnicy, była u nich nielegalnie, była czarnorynkowym dzieckiem.

Podczas gdy inni przybrani rodzice ogłaszają się ciotkami, wujami, dziadkami albo wyjeżdżają na parę lat i wracają z „własnym” dzieckiem, państwo de Troite nie wykazali tyle rozsądku. Nieliczni mieszkańcy wioski, którzy widzieli Neli, zatrzymali tę informację dla siebie. Taka urocza dziewczynka, delikatna, słodka i wielkooka, mogła się równie dobrze okazać fantomem i zniknąć, zanim się człowiek zorientował, że w ogóle tam jest! I po co płoszyć takie urocze stworzenie?

Wiecie^rzecież, jacy są wieśniacy — pilnują swego nosa i nie strzepią języka po próżnicy.

Zwęglone ciała państwa de Troite znaleziono w rumowisku zamku. Marthe zniknęła bez śladu, ale wszyscy wiedzieli, że mieszkała w Zachodniej Wieży (gdzie wybuchł pożar), a ta się zawaliła. Nikt nie wątpił, że jej biedne stare kości spoczęły pod gruzami, ale nie miała żyjących krewnych, nie miała też wielu przyjaciół, nikt więc ich nie szukał. Wspomniano o niej, wiernej służącej, na płycie nagrobnej rodziny de Troite i w ten sposób przyzwoitości stało się zadość. Co się tyczy małej Neli — nikt nie szukał jej szczątków, ponieważ nikt nie był pewny, czy w ogóle istniała. Zniknęła bez śladu.

### ***Odszkodowanie***

Mniej więcej dwulatapotym, jakZOE05 rozpadł się na kawałki, wypłacono ostatnie odszkodowania, także dwa miliony funtów pani Blotton. Otrzymała je jako dodatek do normalnej sumy



odszkodowania (udowodniono liniom ZARA pewne zaniedbania). Zdarzyło się wtedy coś dziwnego. Do linii ZARA zadzwoniła kobieta, która prowadziła w Paryżu dom mody. Powiedziała, że czuje się w obowiązku zawiadomić ZARA o pewnym zdarzeniu. Była zajęta organizowaniem nowej firmy i dlatego dzwoni dopiero teraz. Zresztą to pewnie drobiazg bez znaczenia. Wezwano Arthura Hockneya, który przyleciał natychmiast z Nowego Jorku, żeby porozmawiać z madame Ravisieur. Okazała się elegancką damą w średnim wieku, niezwykle uroczą, choć dość opieszalą. Stał pod jej drzwiami dobre pięć minut, zanim zdecydowała się je otworzyć. Widząc przed sobą dystyngowanego przystojnego Amerykanina madame Ravisieur ucieszyła się tak szybkim odzewem ze strony linii ZARA. Mówiła dużo i chętnie po angielsku, którego to języka nauczyła się niedawno. Otóż wyjechała z nadmorskiego miasteczka Lauzerk-sur-Manche tego samego dnia, kiedy rozbił się ZOE 05. Po wielu latach zebrała się w końcu na odwagę, by zamknąć swoją małą wędliniarnię, porzucić męża i wyruszyć w świat. Lepiej późno niż wcale. To była jej dewiza. Wsiadła do paryskiego autobusu półtorej godziny po katastrofie. Wraz z nią podróżowała bardzo dziwna para — brzydki burkliwy mężczyzna, który za dużo palił, i uroczą dziewczynka o jasnych lokach i usteczkach jak pączek róży. Madame Ravisieur знаła swoje ciche miasteczko bardzo dobrze. Para nieznajomych pojawiła się w nim znienacka, zupełnie jakby spadła z nieba. Dziewczynka popłakała się w trakcie podróży, chciała siusiu i ona, madame Ravisieur, zatrzymała autobus i pomogła małej w toalecie. Zorientowała się, że jej buciki są przemoczone na wylot, a rajstopy pełne piasku. Zauważyła również, że mężczyzna ma spodnie mokre do kolan, jakby brodził w morzu. Madame nie mogła pozbyć się myśli, że mężczyzna i dziecko naprawdę spadli z nieba, że ich pojawienie się ma związek z katastrofą lotniczą, choć nie wiedziała jaki.

— Opisała go pani jako palacza — powiedział Arthur. — Jest pani pewna?

— Dwie paczki gauloise'ów non stop i rozglądał się za trzecią! Nie sądzę, żeby był ojcem dziewczynki, mała kaszłała, kiedy się do niej zbliżał. Jego własne dziecko byłoby przyzwyczajone do dymu. A kiedy wysiadł z autobusu, na rue Victor Hugo, poszedł prosto do sklepu tytoniowego. Specjalnie patrzyłam.

— Powinna pani zostać detektywem — zauważył Arthur Hockney. Podobały mu się jej zdecydowane galijskie rysy, spokojna pewność ruchów. Zrobiła mu kawy, zajęło jej to pół godziny, ale kawa była doskonała.

— Nie śpieszyła się pani z ujawnieniem tych rewelacji — zauważył.

— Czas mija szybko, gdy człowiek jest zajęty — powiedziała dość enigmatycznie. Zdawała się mieć w sobie wewnętrzny zegar, który tykał we własnym tempie. Spędził z madame Ravisseur długą, rozmarzoną, wyjątkowo przyjemną noc. Cóż, Helen żyła tylko dla swojego dziecka, a nie odwzajemniona miłość jest długa i bolesna, potrzebuje ujścia. Tak, Arthur Hockney był zakochany w Helen. Jej kartka świąteczna zaparła mu dech w piersiach i przyniosła objawienie. Zakochany w bezbarwnej, bladej nieszczęśliwej Angielce! To nie miało żadnego sensu, a jednak! Nie zamierzał z tym walczyć, potraktuje to jak przypadłość, ból w złamanej nodze, który kiedyś minie. Pogodzi się z tym i będzie czekał, aż przejdzie, uschnie z braku pożywki. Tymczasem jednak zrobił się bardziej czuły na kobiece wdzięki, bardziej wrażliwy, bardziej żądny życia.

Właściciel sklepu tytoniowego na rue Victor Hugo skierował Hockneya do pewnej kawiarni. Dobito targu i Arthur rozpoczął turę po burdelach algierskiej dzielnicy, gdzie jak powiedział mu jego przewodnik, kwitnie handel żywym towarem. Dzielnica służyła jako punkt przerzutowy dla mężczyzn, kobiet i dzieci sprzedawanych do burdeli. Był to również ośrodek mniej niebezpiecznego, choć wysoce dochodowego handlu dziećmi do adopcji. Urowadzone albo prawnie osierocone (wyrażenie lokalne) dzieci były przemycane z krajów Trzeciego Świata i sprzedawane od handlarza do handlarza. Oba rynki — dzieci i ludzi fry-marczących ciałem — działały samodzielnie, choć czasami się zazębiały. Takiego właśnie losu Arthur obawiał się najbardziej dla małej Neli. Odetchnął więc z prawdziwą ulgą, kiedy trop doprowadził go do Marii, jedynej pracownicy domu uciech, która przetrwała liczne zmiany personelu (nie mówiąc o zgonach) od czasu katastrofy ZOE 05.

Maria usiadła, westchnęła i nakręciła na palec pasmo długich czarnych włosów. Ma w sobie coś z dziecka, pomyślał Arthur.

— Jestem bardzo szanowaną kobietą — powiedziała. — Robię to tylko chwilowo, dopóki nie znajdę odpowiedniej pracy.

— Oczywiście.

— I wyświadczam moim klientom przysługę — dodała. — Oszczędzam ich żonom wielu zmartwień.

— Wiem — powiedział łagodnie.

— Mam zbyt miękkie serce, to moje nieszczęście. Dobrze się opiekowałam tą małą Angielką. Zadbalam o to, żeby nie zobaczyła nic, czego nie powinna widzieć.

— Dziękuję ci w imieniu jej rodziców.

— O! Więc ona miała rodziców? Zwykle rodzice nie żyją. Co się stanie z takimi dziećmi, jeżeli nikt się nimi nie zaopiekuje?

— No właśnie.

— Ta mała Angielka miała szczęście. Czasem życie wcale nie jest takie lekkie, zwłaszcza dla dziecka. Pojechała do nowych rodziców do Cherbourga.

— Cherbourga? Jesteś pewna?

— Nie. Tak mi ta nazwa wpadła do głowy. Zawsze lubiłam Cherbourg. Byłam tam jako dziecko, z moją mamą.

— Proszę, postaraj się sobie przypomnieć. To ważne.

— Cherbourg. Teraz jestem pewna.

— Nazwisko rodziców?

— Czy mogę pamiętać coś takiego? Musi pan zrozumieć, że prowadzę bardzo urozmaicone życie. Spotykam tylu ludzi.

— Spróbuj.

— Pamiętam, że pomyślałam sobie: ona to ma szczęście. Już wiem. Poszła do markiza i markizy. Gdyby mnie spotkało coś takiego! Ja też byłam adoptowana. A z tej małej to wszyscy się śmiali.

— Dlaczego się śmiali?

— Może markiz i markiza są zabawni? Jestem bardzo zmęczona. A gdybyśmy tak już poszli do mojego pokoju?

— Jeszcze nie.

Nie, nie zauważyła nic szczególnego w mężczyźnie, który przyprowadził dziewczynkę. Nie, nie pamięta, czy palił. Cóż, to było dawno temu. Od tego czasu wielu mężczyzn przewinęło się przez jej łóżko, skąd ma pamiętać. Ale pamięta dziecko,

a zwłaszcza swój dobry uczynek. Dziwne, od tamtego czasu los jej sprzyja.

— Jaki dobry uczynek? — zapytał Arthur.

Musiał kupić czas tej dziewczyny. Miała szeroką twarz, silne ramiona, mocno owłosione nogi i intensywny, wcale przyjemny zapach. Była zajęta depilowaniem nóg. Należała do kobiet, które nie lubią siedzieć bezczynnie. Powinna dochować się sześciorga dzieci i mieszkać na farmie, pomyślał Arthur. (Mężczyźni często życzą kobiecie podobnego losu, nie zdając sobie sprawy, jak ciężkie i nudne potrafi być domowe życie).

Dziewczynka miała przy sobie klejnot na łańcuszku, powiedziała Maria. Było oczywiste, że pochodzi z dobrego domu. To widać od razu, zupełnie jak u kociąt; była kochana i pieszczona, nie należała do tych małych wyrzutków, białych i przebiegłych, którym życie nieźle już załazło za skórę. Marii chciało się płakać na samą myśl o niej: *la pauvre petite!* Więc zamiast podwędzić szmaragd, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek, schowała go dobrze, oddała dziewczynce i kazała go pilnować jak oka w głowie. Kto wie, może pewnego dnia klejnot zaprowadzi małą do jej prawdziwej rodziny? Rzeczywistość bywa bardziej zaskakująca niż fikcja.

— Schowałaś? Gdzie?

Maria opowiedziała Arthurowi o blaszanym niedźwiadku z odkręcaną główką.

— Słyszałem o takich misiach — powiedział Arthur. — Podobnie jak wszyscy celnicy na całym świecie. Co miałaś na myśli, mówiąc, że od tamtego czasu los ci sprzyja?

Skończyła golić lewą nogę. Rozprostowała ją, przez chwilę podziwiała gładkość skóry, po czym dobrała się do prawej. Były to dobre, silne nogi. Powiedziała, że jej alfonsa zamordowano zaraz następnego dnia, ku jej zadowoleniu, był brutalem i nikczemnikiem. Teraz ma innego, który naprawdę się o nią troszczy. (Mówi jak aktorka o swoim agencie, pomyślał Arthur.) Jeżeli Arthur chce czegoś więcej niż rozmowy, ona jest skłonna pójść mu na rękę. Bez dodatkowych opłat. Sama rozmowa zawsze wydawała jej się rodzajem oszustwa, choć wielu mężczyzn właśnie tego chciało.

Arthur podziękował grzecznie. Zapłacił Marii sto franków, żeby jej dobry uczynek został wynagrodzony jeszcze

w tym życiu. Nie był pewien, jak jej się będzie powodziło w następnym.

### *Arthur, Clifford i Helen*

Arthur pojechał do Genewy i umówił się na spotkanie z Cliffordem. Nie łudził się, że ta rozmowa będzie łatwa, i nie była. Genewskie biuro Leonarda wychodziło na jezioro. Miało jeden z najpiękniejszych widoków w Europie i jeden z najwyższych czynszów. W tym gorączkowym okresie Clifford nie miał czasu dla nikogo z wyjątkiem milionerów, czarny detektyw ubezpieczeniowy nie mógł przynieść mu zysku, jedynie złe wspomnienia. Linie ZARA wypłaciły mu czterdzieści tysięcy funtów do podziału z Helen. Helen oddała swoją część na cele charytatywne. Tym gorzej dla niej! Zrobiła to pewnie dlatego, że czuje się winna. Gdyby nie wyklócała się tak o prawo do opieki, nie musiałby wykradać Neli i dziecko żyłoby dzisiaj. Helen jest winna. Winna rozvodu, winna temu, że był nieszczęśliwy, winna wszystkiemu! Mając Helen do obwiniania, mógł naprawić swoje stosunki z matką. Dotychczas na nią zrzucał odpowiedzialność za wszelkie niepowodzenia, ale to już przeszłość, teraz jest częstym gościem w Wexington Hall, rodzinnym domu w Sussex. Leonardo płacił za przeloty. Stewardesa ze Swissair dbała o to, by otrzymywał najlepsze miejsce w samolocie. Miał z nią krótki romans — bolesny dla niej, ponieważ się zakochała — zakończony przez Clifforda w taki sposób, by zamiast nienawiści chowała w duszy nadzieję. To ogromna niedogodność być obiektem nienawiści stewardesy w liniach, którymi się często lata. Takie dziewczyny mają przyjaciół wszędzie.

— Cudownie gościć cię w domu, kochanie — powiedziała Cynthia. — Czy te podróże nie są zbyt drogie? Latasz w tę i z powrotem.

— Leonardo płaci — powiedział Clifford.

— A wie o tym? — zapytał Otto.

— To znika w morzu wydatków.

Otto westchnął. Zdawało mu się, że od śmierci Neli wszystko co dobre zniknęło w morzu chciwości, oportunistów i egoizmu. Supermocarstwa celowały w siebie nawzajem z jakiejś odrażającej broni, a pod tym łukiem zła dokazywała rozbawiona ludzkość. Prawda, naziści nie okupowali już stolic Europy, ale ludzie, dla których kiedyś pracował, okazali się zdrajcami albo jeszcze gorzej. Kiedy Neli odeszła, wraz z nią odeszła nadzieja.

— Ojciec wydaje się przygnębiony — powiedział Clifford do Cynthii.

— Bo jest przygnębiony. To bardzo irytujące.

Po katastrofie ZOE 05 Cynthia napisała serdeczny list do Helen, niemal prosząc o wybaczenie, i otrzymała odpowiedź, krótką, ale uprzejmą. Helen przyznała teściowej prawo do dzielenia jej bólu. Czyż Neli nie mieszkała przez parę miesięcy w Wexington Hall, w pokoju dziecinnym, który zajmował niegdyś Clifford? Czyż ona, babka ze strony ojca, nie odczuła tej straty? Straty? Lepiej byłoby chyba użyć słowa: „śmierć”? Helen nie wspomniała

o śmierci Neli, lecz o jej zaginięciu. To wydało się Cynthii trochę dziwne, ale nie powiedziała nic Cliffordowi, nie chciała patrzeć, jak marszczy czoło, jak ciemnieją mu oczy i wpada znowu w depresję. Depresja, o czym Cynthia świetnie wiedziała, jest niczym innym jak gniewem nie uświadomionym i nie wyrażonym. Clifford pomstował na Helen, choć powinien pomstować na Cynthię. Otto pomstował na Clifforda (w duchu), ale obaj, ojciec i syn, wyrzekali na los i świat. Śmierć Neli wyzwoliła głuchą melancholię, z którą syn radził sobie lepiej niż ojciec. Cynthia znalazła rozrywkę w ożywczym romansie ze śpiewakiem operowym i czekała, aż sprawy przybiorą lepszy obrót. Zawsze przybierały, wiedziała to z doświadczenia.

Clifford nie chciał, żeby mu przypomiano o Neli. Linie ZARA wypłaciły mu odszkodowanie, więc dlaczego Arthur Hockney go prześladowa?

Arthur miał dość oleju w głowie, żeby nie wspominać Cliffordowi o swoich podejrzeniach co do Neli. Powiedział tylko, że linie ZARA mają prawo przypuszczać, iż pana Blotona, który towarzyszył dziecku, nie było na pokładzie samolotu w momencie katastrofy, że wysłał kogoś w zastępstwie.

— Mało prawdopodobne — powiedział Clifford. — Miałem mu zapłacić połowę umówionej sumy przy odbiorze dziecka. Nie wypłaciłbym tych pieniędzy nikomu innemu, to chyba jasne? Zadaje pan głupie pytania na bolesny temat i nie ma pan uzasadnionego powodu, by to robić.

— Czy pan Blotton palił? — zapytał Arthur. Clifford wyglądał na zaskoczonego. — Naprawdę uważa pan, że pamiętam takie szczegóły, panie Hockney? Jestem zapracowanym człowiekiem. Może pan jest w stanie opowiedzieć minuta po minucie zdarzenia sprzed ponad dwóch lat. Ja z pewnością nie. Przeszłość jest dla tych, którzy nie mają teraźniejszości. Innymi słowy dla tych, którzy wiodą nudny żywot. Zegnam, panie Hockney.

— Czy Blotton palił? — nalegał Arthur. — To ważne.

— Może dla pana, nie dla mnie. Ale tak. Blotton palił. Cuchnął jak stara popielniczka. Przypuszczam, że śmierć na ZOE 05 ocaliła go przed powolnym konaniem na raka płuc.

I Arthur został odprawiony. Tego mężczyznę Helen kochała, to on spał spokojnie u jej boku, a potem wykopał ją z łóżka. Mimo wszystko nie mógłby powiedzieć, że nie lubi Clifforda. Jak ranne zwierzę, miotające się w pułapce, nie udawał, że jest miły. Nieangielska cecha. Arthur bawił się myślą wydania paru setek tysięcy funtów na, powiedzmy, obraz Magritte'a tylko po to, by zaskoczyć Clifforda, odzyskać twarz — ale rozsądek zwyciężył. Kupiłby obraz ze złych pobudek, nie mógłby się nim cieszyć. Magritte wisiałby samotnie w czterech ścianach apartamentu na Manhattanie — jedynych ścianach, jakie Arthur posiadał i które rzadko odwiedzał. Nie, to było absurdalne. Niech jego niebotyczna pensja plus milionowe prowizje od pieniędzy pozyskanych dla klientów pozostaną nie naruszone w banku.

Pozwól, że coś wyjaśnię, Czytelniku. Arthur Hockney był sierotą i bardzo nad tym bolał. Powiesz: ale jest dorosłym mężczyzną, silnym, czynnym zawodowo, bogatym, dlaczego fakt, że nie ma rodziców, miałby tak na niego wpływać? Prędzej czy później wszyscy zostaniemy sierotami. Ale to okoliczności śmierci jego rodziców sprawiły, że Arthur nie miał po co żyć. Może właśnie dlatego jego praca była tak ściśle związana ze śmiercią w jej najbardziej dramatycznej formie, może dlatego Arthurowi

dokuczało sumienie, choć ja osobiście uważam, że bez uzasadnionego powodu. Harry i Marta Hockney przybyli na Północ w latach dwudziestych, zostali przerzuceni z Południa do pracy w chicagowskich rzeźniach i wdali się w walki związkowe. Nauczyli się przemawiać o klasach, rasizmie i interesach związku. Arthur spędził dzieciństwo na pochodach i na wiecach, aż pewnego dnia, kiedy miał siedemnaście lat, samochód rodziców został zepchnięty z szosy — wypadek, orzekła policja, ale związkowcy wiedzieli swoje — i Hockneyowie ponieśli śmierć na miejscu. Arthur pokłócił się z rodzicami tego dnia, powiedział, że nie pojedzie z nimi, ponieważ umówił się z dziewczyną. Trudno przyjść do siebie po czymś takim i moim zdaniem Arthur nigdy do siebie nie przyszedł. Związkowcy rozumieli jego ból, pocieszali go, wykazali dobre serce i opłacili jego studia. Myślę, że widzieli w Arthurze przyszłego przywódcę, człowieka, który pójdzie w ślady Luthera Kinga. Ale Arthur wiedział, że nie ma wystarczająco dużo religijnej czy politycznej wiary, jakiej potrzebowali ci ludzie. Nie towarzyszył im w marszach ani na mównicach, a oni nie mieli mu tego za złe i nie oburzali się na jego decyzję. Zrobiliśmy to wszystko, mówili, dla twoich rodziców. Nie myśl

● tym więcej. Ale Arthur oczywiście myślał, jak mógł nie myśleć? Teraz jawił się sobie jako człowiek pozbawiony rasy, ojczyzny i korzeni, sierota w każdym calu. Podróżował po świecie próbując oszukać sumienie i czasami, kiedy patrzył na zmasakrowane ciała i rozkoszował się własną siłą, zdrowiem i powodzeniem, myślał, że mu się udało. Pewnego dnia, postanowił, kiedy odkryję ruch polityczny czy społeczny, któremu przyklasnę, oddam mu wszystkie swoje pieniądze. A na razie niech leżą w banku i się rozmnażają. Było to dla niego jasne, że pani Blotton skłamała, z sobie jedynie wiadomego powodu. Blotton spadł z nieba i przeżył. Arthur pojechał do Helen, do Londynu, żeby zapytać o szmaragdowy wisiołek. Czy nie należałoby powiedzieć: „pojechał do Helen, do Londynu, i zapytał ją o szmaragdowy wisiołek”? Może nie powinien tego robić, może zamiast wzbudzać w Helen nadzieję, powinien pojechać prosto do Cherbourga w poszukiwaniu Neli, ponieważ kiedy to w końcu zrobił, było już za późno. Ale cóż, miłość!



Odwiedził ją w domu w Muswell Hill. Powitała go serdecznie. Simon wyjechał w podróż służbową. Był na jakiejś konferencji w Helsinkach. Nie dodała, że Sally St Cyr obsługuje tę samą konferencję. Po co? Jej samej nie wydało się to interesujące. Było ciepło, z chłodnej wiosny wychyliło się nagle lato. Arthur znalazł ją w ogrodzie. Siedziała na kocu, podczas gdy Edward, krzepki pogodny chłopak, udoskonalał nową technikę chodzenia. Helen miała na sobie jasną bawełnianą sukienkę, sandałki na bosych stopach, a jej brązowe włosy połyskiwały w słońcu. Były krótkie i bardzo kędzierzawe. Arthur pomyślał, że wygląda spokojnie i beztrzesko, ale jest spięta, i chuda, a jej powitalny okrzyk: „Kogo ja widzę?!”, za szybki, zbyt nerwowy.

— Wiadomości? Są jakieś wiadomości?

Zapytał ją o wisiołek. Na przykład szmaragdowy. Czy Neli miała coś takiego? Może nie szmaragdowy, ale bardzo cenny?

— Neli nie nosiła biżuterii — powiedziała Helen wstrząśnięta.

Coś jednak zaświtało jej w głowie. Poszła na górę zajrzeć do szkatułki i wróciła płacząc. Tak, wisiołek zniknął. Powinien być w szkatułce, a go nie ma. Nie zaglądała do pudełka z biżuterią od czasu... od czasu... Chciała powiedzieć „od czasu katastrofy”, ale nie mogła wymówić tego słowa. Nienawidziła go. Clifford domagał się zwrotu klejnotu, ale ponieważ dał go jej kiedyś z taką miłością... Tak, Neli mogła go zabrać, ale po co? Wiedziała, że nie wolno ruszać szkatułki, że są w niej skarby... Helen umilkła.

— Tego ostatniego ranka zapytała mnie, czy może wziąć skarb do przedszkola, ale byłam taka zajęta... — Helen rozplakała się na dobre.

Płakała, ponieważ zawiodła swoje dziecko, nie wyprawiła córki do przedszkola jak należy, w dodatku tego dnia, kiedy ją utraciła. Płakała, ponieważ nie ochroniła jej przed złym losem. Płakała może i dlatego, że ogarnął ją strach. Jeżeli Neli naprawdę żyje, co ją czeka? Niepokój zajął miejsce rozpacz, a niepokój o dziecko jest najboleśniejszym z uczuć, jakich może doświadczyć matka, tak bolesnym, że pragnie czasem, by to dziecko się w ogóle nie narodziło.

Helen płakała. Arthur myślał, że nigdy nie przestanie. Żal po Neli, po jej dzieciństwie, po małżeństwie z Cliffordem, małżeń-

stwie z Simonem, upokorzenie, jakiego doznała od Sally Agnes St Cyr — wszystko to znalazło ujście tego popołudnia, kiedy Helen płakała, a mały Edward, pozbawiony widowni, usnął w trawie i mało brakowało, by został użądłony przez osę, choć nikt z wyjątkiem mnie i ciebie, Czytelniku, nigdy się o tym nie dowie.

### ***Wszystko się zmienia***

A Neli? Gdzie była Neli, kiedy jej matka płakała, a braciszek spał w trawie? Powiem wam. Siedziała niema i zadziwiona w poczekalni ośrodka dla trudnych dzieci na obrzeżach bagien Hackney, dwadzieścia mil od swojego domu. A oto jak do tego doszło.

Nie zdziwię się, jeżeli wzorem Marthe uznasz, że diabeł deptał jej po piętach. Marthe i państwo de Troite naprawdę bardzo się starali, żeby wywołać go z otchłani piekła. A może Marthe była po prostu na wpół obłąkana ze strachu i żalu. Poza tym nie siedziała za kierownicą od bardzo dawna, nie była przyzwyczajona do ruchu na drogach i nie wiedziała, jak należy zachować się na *route nationale*, na której się znalazła.

— Dokąd jedziemy? Co się stało? — pytała Neli z tylnego siedzenia.

Była ciągle w koszulce nocnej. W głowie jej wirowało ze strachu i oszołomienia. Padał deszcz; plamy reflektorów rozmazywały się przed kaprawymi oczkami Marthe, guzłowate dłonie zacisnęła na kierownicy, sterowała raczej, niż prowadziła, dociskając z całej siły pedał gazu, choć nie miało to praktycznie żadnego znaczenia. *Deux cheveaux* dożywał już swoich dni. Pedał gazu nie działał, ale nie działały również hamulce. Oddech Marthe przypominał bardziej charczenie niż jakikolwiek inny dźwięk, ale do tego Neli była przyzwyczajona.

— Proszę, zatrzymajmy się! — błagała Neli. — Boję się!

Ale Marthe gnała naprzód, zaliczając kolejne mile. Płomienie nadal skakały jej przed oczami, wycie ognia rozbrzmiewało w uszach i zdawało się ją ścigać.

Niewykluczone, że byli to po

prostu inni kierowcy, którzy trąbili ostrzegawczo wymijając miotającego się po szosie, źle oświetlonego citroena. Kto to wie?

W końcu Marthe zatrzymała samochód. Nie zjechała na pobocze, nie zawracała sobie głowy parkingami, po prostu stanęła. Lało jak z cebra i wysłużone wycieraczki nie nadały ze zgarnianiem wody. Marthe przestała widzieć cokolwiek, musiała się zatrzymać. Siedziała i płakała — nad swoimi starymi obolałymi kośćmi, nad dzieckiem na tylnym siedzeniu. Płakała ze strachu przed ogniem piekielnym. Neli wysiadła i stanęła na szosie w deszczu. (Na szyi miała łańcuszek z blaszonym niedźwiadkiem. Zawsze z nim zasypiała, markiza próbowała jej to wyperswadować, lecz nigdy jej się nie udało.) Dziewczynka czuła, że musi iść po pomoc dla biednej rozsłochanej Marthe, musi coś zrobić, ale miała dopiero sześć lat i nie wiedziała co. Stanęła więc na poboczu, a jej dłoń poszukała pociechy u niedźwiadka, jak zawsze gdy Neli była samotna czy smutna.

Pierwszych pięciu kierowców zobaczyło citroena poprzez strumienie deszczu i wyminęło go z wyciem klaksonów. Szósty nie miał tyle szczęścia, wioził rodzinę z wakacji w Cherbourgu. Wszyscy byli zmęczeni, ojciec kierowca popijał koniak, myślał, że alkohol pomoże mu zachować przytomność umysłu. Nie pomógł. Tatuś zobaczył wprawdzie citroena, ale za późno. Łoskot, trzask, cisza! Szczątki rozprysnęły się po szosie. W rodzinny wrak wjechała, zgodnie z katastrofalnym prawem karamboli, potężna cysterna jadąca o wiele szybciej, niż powinna. Przewróciła się, eksplodowała, ogień przeskoczył przez barierkę na drugą stronę autostrady i objął samochody jadące z przeciwną. Pysznic palącego się paliwa spłynął na auta, ciała, na wszystko. Był to pożar co się zowie, pisano o nim na całym świecie. Zginęło dziesięć osób, w tym Marthe, która na szczęście nieprzytomna, umarła w ten sam sposób jak jej państwo, strawiona przez ogień. Diabeł — jeżeli chcecie spojrzeć na to w ten sposób — pochwycił ofiarę, unicestwił ją, obojętny na to, ilu innych uśmiercił przy tej okazji, i dopiąwszy celu przyczaił się na chwilę. Rano znaleziono małą Neli błądzącą skrajem drogi. Przeżycia nocy odebrały jej niemal mowę, powtarzała w kółko parę angielskich słów. Stwierdzono, że ma coś w rodzaju retrospektywnej amnezji.

Zeby się zorientować, co do kogo należy, trzeba było przesortować zawartość pięciu samochodów - trzech francuskich i dwóch angielskich. Nie sposób było stwierdzić, ile osób znajdowało się w każdym z nich siedemdziesiąt mil na południe od Cherbourga, w szczycie sezonu turystycznego. Urzędnik brytyjskiego konsulatu zakładał, i nie można mu się dziwić, że dziecko podróżowało którymś z angielskich wozów. Dziewczynka wołała mamusię i płakała, biedne maleństwo, ale nie potrafiła podać swojego nazwiska, adresu ani nawet nazwy miejscowości, w której mieszka. Mówiła jak trzyletnie dziecko, przypuszczano początkowo, że jest opóźniona w rozwoju. Nikt się po nią nie zgłosił.

— Spadłam z nieba — powiedziała niemal z dumą, kiedy zapytano ją po raz dziesiąty, w jaki sposób znalazła się na *route nationale*.

Dla badających ją osób odpowiedź ta nie miała sensu. Ty oczywiście znasz prawdę, Czytelniku. Neli spadła z nieba. Ale diagnoza: retrospektywna amnezja, była właściwa. Dobry Bóg sprawił, że Neli zapomniała o pożarze w zamku, o wypadku na szosie o Marthe, o państwie de Troite. Znalazła się wśród Anglików i mogła, z pomocą ojczystego języka, cofnąć się w czasie i przypomnieć sobie szczegóły z dawniejszego życia.

— Chcę do Tuffina — powiedziała.

— Tuffina?

— Do mojego kota.

Cóż jedna rzecz nie podlegała dyskusji, była Angielką.

Tak więc została przetransportowana z powrotem do Anglii i odstawiona do sierocińca. Dołączyła do tysięcy bezdomnych dzieci które wydala z siebie co roku nasze bezładne i rozwarstwione społeczeństwo. Wiele dzieci ginie i nigdy nie zostaje odnalezionych. Jest to wielka tragedia, kto wie, czy nie największa. Jaki los czeka dziewczynkę pozbawioną rodziców, którzy się o nią troszczą, rodziny, która jej strzeże, zagubioną w świecie biednych, bezbronnych i prześladowanych? Zobaczmy!

### *Wypalony trop*

Markiz i markiza z Cherbourga — tych pięć słów sprowadziło Arthura Hockneya pewnego upalnego sierpniowego dnia do gabinetu nadinspektora policji tego właśnie miasta i kazało zapytać o wspomnianą parę. Bogaci, utytułowani i do niedawna bezdzietni. Może ktoś taki pojawił się ostatnio w okolicy? Ale nadinspektorowi nikt taki nie przychodził na myśl.

— Nie może tu przecież chodzić o państwa de Troite! — zawołał, wodząc palcem po spisie mieszkańców, i roześmiał się.

— Dlaczego nie? — zapytał Arthur. — Jeżeli są bogaci, utytułowani?...

— Ale starsi niż Matuzalem i nie z tych, co to adoptują dzieci — powiedział nadinspektor.

— Mimo to... — napierał Arthur.

— Zresztą nie żyją.

— Nie żyją?

— Zamek spłonął doszczętnie przed paroma tygodniami. A wraz z nim markiz, markiza i ich stara służąca. Ludzie mówią, że to diabeł uderzył piorunem z jasnego nieba. Ale jak pan wie, mieliśmy gorące lato, a starzy ludzie bywają bezmyślni. Na dodatek państwo de Troite lubili stare czerwone wino. Jestem racjonalistą, monsieur Hockney, i nie wierzę, by interwencja diabła była najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem spłonięcia niemal opuszczonego zamku z trzema starszymi osobami w środku.

Arthur nie powiedział mu, że najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie rzadko okazuje się właściwe, i pojechał obejrzeć szczątki zamku.

Wydały mu się szczególnie ponure. Wiało pustką i smutkiem, jak to zwykle na miejscu tragedii, ale wyczuwało się w nich coś jeszcze, groźbę, niespełniony akt zła. Zadrzał. Często miewał takie odczucia — w miejscach gdzie wybuchły bomby terrorystów, zawaliły się mosty albo zatoneły statki pasażerskie, ale nigdy na pogorzeliśku jednego domu, choćby nie wiadomo jak okazałego. Arthur pokręcił się trochę, rozgrzebując patykiem kurz i popiół, i natknął się na żółtą wstążkę. Taką wstążką wiąże się dziewczynkom włosy.

— No, no!

Nachylił się, by ją podnieść, i wtedy promień słońca przedarł się przez ponure drzewa i oświetlił zgliszcza. Świat się uśmiechnął, muszki zatańczyły w powietrzu, przefrunął motyl. To wystarczyło, by Arthur odzyskał pogodę ducha. Był pewien dwóch rzeczy: że Neli faktycznie tu była i że nadal żyje. Słońce schowało się za chmurę, wrócił smutek i poczucie zagrożenia. Arthur odszedł.

Dalsze śledztwo w Paryżu i Cherbourgu zaprowadziło go donikąd. Neli wsiąkała jak kamień w wodę i wątpił, aby się kiedykolwiek odnalazła. Powiedział liniom ZARA, żeby zamknęły sprawę. Jeżeli Blotton zjawi się po swoje pieniądze, walka o to, co z nich pozostało, nie będzie warta zachodu. Był pewien, że prędzej czy później Blotton spotka się ze swoim przeznaczeniem. Jeżeli nie zabije go rak płuc, zrobi to któryś z jego znajomych kryminalistów. Obracał się w naprawdę paskudnych kręgach.

### ***Niespodzianka! Niespodzianka!***

Czytelniku, czy lubisz niespodzianki? Ja ich nienawidzę. Lubię wiedzieć, co zdarzy się za chwilę, sama myśl o urodzinowym przyjęciu niespodziance sprawia, że dreszcz zgrozy przelatuje mi po krzyżu. Z reguły mam wtedy na sobie najstarszą sukienkę i włosy nie myte od tygodnia. Clifford w dniu swoich czterdziestych pierwszych urodzin otrzymał telefon niespodziankę od Angie Wellbrook i wcale się nie ucieszył. Nie ucieszyła go również Elisa O'Malley. Była ładną, młodą irlandzką pisarką, która dotrzymywała aktualnie towarzystwa Cliffordowi i naprawdę myślała, naiwniaczka, że go złapała. Clifford powtarzał, że chce mieć dzieci, a Elise pochopnie uznała, że widzi ją w charakterze matki tych dzieci, co oczywiście musi pociągnąć za sobą małżeństwo. Elise zrezygnowała z literackiej kariery w Dublinie, żeby być z Cliffordem w Genewie.

Tego dnia drugą niespodzianką dla Clifforda był pierwszy siwy włos w gęstej blond czuprynie. Dziś te włosy są bielut-

kie jak śnieg, choć równie gęste. (Moim zdaniem jest nie mniej atrakcyjny, niż był wtedy. W końcu wszyscy się starzejemy, kroczek po kroczeniu, nawet ja.) Lata sześćdziesiąte przeszły w lata siedemdziesiąte, Cliffordowi stuknęła czterdziestka. Był mocno przestraszony i starał się ze wszystkich sił wmówić sobie, że nadal jest młody (oto dlaczego mówił o dzieciach, mężczyzna musi zapewnić sobie nieśmiertelność w taki czy inny sposób) i siwy włos, bardzo sztywny i bardzo martwy, wcale mu w tym nie pomógł. A potem ten telefon od Angie.

Clifford i Elise byli w łóżku. Clifford wyciągnął muskularne ramię i podniósł słuchawkę. Miał głęboką ciemnorudą opalenizną i bardzo gęste jasne włosy na ramionach. Zadziwiające! Na sam widok tych włosków Elise drżała z podniecenia i rozkosznej świadomości, że grzeszy. Opalenizna wydawała się elegancka i cywilizowana, włosy tak barbarzyńskie! Elise była katoliczką; upłynęły wieki od jej ostatniej spowiedzi, nie mówiąc o powieści. Zaczęła znów pisać — o miłości — i pokazała parę rozdziałów Cliffordowi, ale on roześmiał się tylko i powiedział: „Chyba ci trochę nie wyszło, Elise! Rób to, co umiesz”. Więc zrezygnowała z pisania. Nalegała tylko na białą pościel w łóżku. Czuła się w niej mniej występna. A poza tym jej ognistorude włosy i niebieskie oczy harmonizowały ładnie z bielą, sprawiając, że wydawała się, przynajmniej we własnym mniemaniu, krucha, a nade wszystko ślubna. Tyle o Elise, Czytelniku, pojmujesz już, w czym rzecz.

Dziewczyna jest naiwna i jest idiotką.

A oto co Angie powiedziała Cliffordowi przez telefon.

— Kochanie, tatuś umarł. Tak, jestem bardzo poruszona. Choć był już mocno zgrzybiały. Jestem teraz głównym udziałowcem Leonarda.

— Angie, kochanie! — zawołał Clifford pełen niepokoju. — Nie sądzę, żeby to była prawda.

— Ależ tak, kochanie — rzekła Angie. — Wykupiłam udziały starego Larry'ego Patta i Sylwestra Steinberga. Wiesz, że byłam z Sylwestrem przez parę ostatnich lat?

— Coś tam słyszałem.

Faktycznie słyszał. Wiadomość ucieszyła go i zdziwiła zarazem. Sylvester Steinberg był jednym z tych krytyków, którzy poprzez rozumne wykorzystanie prasy fachowej manipulują

rynkiem sztuki. Metoda ich pracy jest bardzo prosta. Kupują obraz nieznanego malarza za, powiedzmy, dwieście funtów, a po roku stwarzają swoją pisaniną taki entuzjazm dla twórczości wybranego artysty, że każde jego dzieło jest rozchwytywane i nie schodzi poniżej dwóch tysięcy. A po pięciu latach poniżej dwustu. I tak dalej, i tak dalej. Malarz w czepku urodzony, powiecie. Prawda wygląda tak, że jeżeli otrzyma dwadzieścia pięć procent z sumy, za którą sprzedawane są jego (rzadziej jej) obrazy, może uważać się za szczęściarza. Oto jeden z powodów, dla których ojciec Helen, John Lally, życzył Cliffordowi Wexfordowi najgorszej śmierci. Clifford sam nie był od tego, by manipulować rynkiem. Osiem najlepszych Lallych powędrowało z powrotem do sejfów Leonarda, gdzie miały odczekać, aż będą warte fortunę. Nie odniosły sukcesu na ścianie Clifforda — Szwajcarom zupełnie się nie podobały. Lubili nazwiska, które znali, od Rembrandta po Picassa, z kamieniami milowymi pośrodku.

Spieszę powiedzieć na obronę Clifforda, że przynajmniej jego własny gust opiera się-na prawdziwej, nie monetarnej wartości obrazu. On wie, kiedy obraz jest dobry. Nawet w świecie Sztuki geniusz wybija się jakoś, wpływa na powierzchnię ponad rynkowe manipulacje.

John Lally chciał widzieć swoje obrazy na ścianach, nie w sejfach. Chciał, żeby na nie patrzono. Dawno już pożegnał się z nadzieją, że zrobi na nich pieniądze! Bzdura! Gdyby tylko można było oddzielić twórczość od pieniędzy! Ale nie można, choćby dlatego że każdy artysta — malarz, pisarz, poeta, kompozytor — każdy kto tworzy coś z niczego, dostarcza zajęcia i zysku gromadzie innych ludzi. Kryminalista dźwiga na swoich gniewnych barkach całą armię policjantów, socjologów, urzędników, więziennych zarządców, dziennikarzy, komentatorów, magistrów resocjalizacji, ministrów stanu i tak dalej — a byt ich wszystkich zależy od jego zdolności popełniania czynów karalnych. Artysta zaś utrzymuje wydawców, krytyków, galerie, sale koncertowe, aktorów, drukarzy, ramiarzy, muzyków, bileterów, sprzątaczkę, naukowców, rady kultury, organizację międzynarodowej wymiany kulturalnej, handlarzy dziełami sztuki, ministrów sztuki i tak dalej. Ciężar wydaje się ogromny, korzyści znikome, a oczekiwania społeczeństwa, że artysta zrobi to za darmo (albo za sumę,



która pozwoli mu przeżyć i dalej wytwarzać dzieła sztuki), z czystej, abstrakcyjnej miłości dla formy, piękna, Sztuki (ach, Sztuka!), podczas gdy ci, którzy pasożytują na artyście, będą zgarniać coraz większe pieniądze — wręcz absurdalne!

Przynajmniej tak wydawało się Johnowi Lalh/emu (i muszę przyznać, mnie również).

Ale wróćmy do Angie i do jej rozmowy telefonicznej z Clif-fordem. Wexford wiedział aż za dobrze, że Angie jest intrygantką i kobietą niebezpieczną i że telefon od niej oznacza kłopoty, ale był znudzony.

— Czy ty i Sylvester jesteście małżeństwem? — zapytał mimochodem. Elise leżąca przy nim w łóżku zeszywniała. Niektóre podsłuchane rozmowy telefoniczne mogą zmienić życie, i to nie na lepsze.

— Drogi Cliffordzie! — zawołała Angie. — Wiesz, że nigdy nie poślubię nikogo prócz ciebie.

— Pochlebiasz mi — bąknął Clifford.

— Wiem, że ty czujesz to samo do mnie — zapewniła go Angie. — Inaczej już byś się ożenił.

— Nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety — powiedział, desperacko próbując obrócić całą rozmowę w żart.

Nie była to dobra wiadomość dla podsłuchującej panny O'Malley. Patrząc na Elise, z włosami ułożonymi starannie w rudy obłok, zarazem zawstydzoną i obrażoną, Clifford poczuł ogromną irytację na siebie i na nią. Co robi w jego łóżku? Gdzie jest Helen? Co się wydarzyło między nim a Helen, wiele lat temu, co sprawiło, że wyładował z Elise? To Helen powinna leżeć w tym łóżku, małżeńskim zresztą.

— Clifford! — odezwała się Angie. — Jesteś tam?

— Jestem.

— Tak myślę — powiedziała Angie. — Spotkamy się w „Claridges” w czwartek. Lunch? A może śniadanie? Ciągle mam tam apartament. Pamiętasz?

Clifford pamiętał. Pamiętał również, że Angie zawsze przynosiła mu złe wieści o Helen, wbijając między nich klin, który rozerwał jego małżeństwo.

— A co słyhać u Helen? Ugrzęzła na przedmieściu, jak słyszę. Cóż, zawsze była nudna.

— Nie wiem, co u niej słyhać — powiedział Clifford zgodnie z prawdą. — Dlaczego nie przyjedziesz do mnie, do Genewy?

— Ponieważ masz tam zapewne jakąś idiotkę, która będzie płać się pod nogami — powiedziała Angie.

Ubrała się na tę rozmowę w kremowy jedwabny negliż. Kosztował siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć funtów — z powodów znanych jedynie domowi mody, który go wyprodukował. Ale dodał jej pewności siebie. Czy dodałby tobie, Czytelniczko? Mnie z pewnością tak. Może milionerka uważała, że siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć funtów za negliż to dobrze wydane pieniądze.

— Poza tym — ciągnęła Angie — teraz, kiedy mam te udziały Leonarda, jestem strasznie zajęta. Może należałoby zamknąć filię genewską? Wydaje mi się, że się przeżyła, nie sądzisz? Zatkaleś rynek swoimi nudnymi starymi mistrzami, Szwajcaria jest nimi zalana. Zaczynają tracić na wartości. Cliffordzie, zabawna jest jedynie sztuka współczesna. Powinieneś zapoznać się z osiągnięciami Sylvestra.

— Wolałbym nie — powiedział.

Jej ojciec nie żył. Uznała, że ma prawo się zabawić, a częścią tej zabawy było utrudnianie życia Cliffordowi. Zjawił się więc w czwartek w „Claridges”, a Elise, szlochając, wyruszyła w drogę do Dublina.

— Nie chodzi o to, że się tobą znudziłem, Elise — powiedział Clifford. — Kto mógłby się znudzić kimś tak słodkim i niewinnym jak ty? Sądzę jednak, że dotarliśmy do kresu wspólnej drogi.

### ***Kurczęta do kurnika!***

Jeżeli czytałeś uważnie, Czytelniku, zauważyłeś zapewne, że Clifford w imię miłości rozdziela kobietom swego życia jedynie łzy i złudzenia. I choć te kobiety nie zasługują być może na nic więcej, Clifford również nie jest szczęśliwy. Okaż mu trochę

współczucia! Biedak został złapany w coś w rodzaju kosmicznej gry „podaj paczkę”. Paczka wędruje wkoło, a w środku nie ma pastylki radości, spokoju i bezpieczeństwa, której wszyscy pragną, jest natomiast fiolka bardzo zwyczajnych łez. Muzyka milknie, paczka jest twoja, wokół pełno ozdobnego papieru i nic, nic więcej. Muzyka rozbrzmiewa ponownie i Harry, którego kocha John, kocha teraz Samanthę, która kocha Petera, który kocha Harry'ego — wiesz, jak to jest — a paczka krąży dalej.

Clifford umówił się z Angie Wellbrook na śniadanie w „Cla-ridges”. To znaczy, ona zaproponowała spotkanie o dziewiątej trzydziści. W latach siedemdziesiątych panowała moda na takie robocze śniadanka w hotelach — miały pokazać, jacy wszyscy są zapracowani i zaferowani — choć rzadko naprawdę coś jedzono, a kawa, zaparzona na resztkach z minionej nocy, była zimna i zwietrzała. Clifford przyleciał z Genewy w środę rano i spędził popołudnie w biurze na spotkaniach i rozmowach telefonicznych. Potwierdziły się jego najgorsze obawy. Angie niewątpliwie była potężnym udziałowcem i nie miała zamiaru ograniczyć się do przyjmowania pieniędzy, chciała działać, a ściśle rzecz biorąc, chciała kwestionować gust i wiedzę prezesów Leonarda. Psiakość!

Londyńska galeria osiągnęła w końcu korzystną równowagę w prezentacji malarzy współczesnych i starych mistrzów. Impresjoniści, prerafaelici, surrealiści poszli w odstawkę. Angie podważała mądrość tej polityki nie bez racji, gdyż w istocie rynek na twórców epoki pośredniej wyraźnie rozkwitał. Ale Angie była również przeciwna wystawom — bardzo prestiżowym, choć nie zawsze dochodowym — które organizował Leonardo. Rada, na czele z Cliffordem, uznała, że ważniejsze od zysku jest w tym wypadku pielęgnowanie wizerunku Leonarda jako instytucji niemal publicznej, o niepodważalnej reputacji.

Clifford wypił również herbatę u sir Larry'ego Patta, mieszkającego obecnie w Albany. Tak, sir Larry Patt sprzedał swoje udziały Angie. Dlaczego Clifford pyta? Sir Larry pił whisky, nie herbatę, do kanapek z ogórkiem. Jego żona Rowena opuściła go rok wcześniej z mężczyzną o połowę od niej młodszym.

— Przykro mi — powiedział Clifford.

— Bardziej mnie to zdziwiło, niż zasmuciło — przyznał sir Larry. — Myślałem, że Rowena z utęsknieniem czeka, aż wycofam

się z interesów. Pomyliłem się. Zaczynam podejrzewać, że wcale jej nie znałem. A co ty o niej myślisz?

— Nie znam jej dobrze — odparł Clifford.

— Ona twierdzi coś wręcz przeciwnego. Była bardzo rozmowna przez parę ostatnich dni!

I Clifford zrozumiał, dlaczego sir Larry Patt sprzedał Angie swoje udziały w Leonardzie; żeby utrudnić życie człowiekowi, który spędził tyle radosnych młodzieńczych popołudni w łóżku z lady Roweną.

Clifford skończył kanapkę z ogórkiem. Wymieniono uśmiechy i uściski dłoni. W drzwiach rozminął się z piersiastą blondynką ubraną w jasnoczerwony płaszcz z miedzianymi guzikami. Dźwigała torbę od Harrodsa i poklepała w przelocie cherubinową twarzyczkę sir Larry'ego. Sir Larry uśmiechnął się promiennie.

Kobieta powiedziała do Clifforda: „Cześć, jak się masz”, głosem rodowitej mieszkanki East Endu i zniknęła w sypialni. Clifford pomyślał, że może sir Larry dobrze na tym wszystkim wyszedł. Rowena wzięła na siebie winę, a on odzyskał animusz. Popularna gra małżeńska, kiedy rozwód jest celem obu stron. Clifford czuł się wykorzystany raczej niż winny. Dziwne.

Kolejnym jego posunięciem było sprawdzenie, czy Sylvester Steinberg naprawdę żyje z Angie. Zadzwoił w tym celu do byłego kochanka Sylwestra, Gary'ego, który studiował w akademii sztuk pięknych.

— Sylvester kocha obrazy bardziej niż kogokolwiek z nas — powiedział Gary łagodnie i smutno. Był łagodnym i smutnym człowiekiem. — Podnieca go sztuka, nie ludzie. A Angie tkwi w sztuce po uszy, prawda? Jeżeli chrapaszcz miałby na ścianach swojego domu Andy'ego Warhola, Sylvester kochałby tego chrapaszcz. Z czego Clifford wywnioskował, że choć Angie mieszka z Sylwestrem, jest mało prawdopodobne, aby znalazła w tym związku zaspokojenie. Sylvester nie stanowił więc żadnego zabezpieczenia.

Clifford wrócił do swojego domku na Orme Square — była to doskonała inwestycja, warta każdego pensa wydanego na parę małżeńską, która gospodarowała w nim przez wszystkie lata nieobecności Clifforda, strzegąc domu przed wilgocią i włamywa-

czarni — niepewny, co zrobić z resztą wieczoru. Chętnie zabrałby na kolację jakąś' piękną, uroczą kobietę i oczarował ją własną urodą i wdziękiem, może nawet poznał ją lepiej, co pozwoliłoby mu spotkać się rano z Angie w stanie jeszcze większego zubożenia. Wiedział, że jest to najlepszy punkt wyjścia do postępowania z kobietami zarówno w sprawach sercowych, jak zawodowych. Im prawdziwsze jest to zubożenie, tym lepiej. Potrafiły się poznać na symulancie.

Clifford przejrzał notatnik z adresami, ale żadna z pań go nie zadowoliła, żadna nie wydawała się odpowiednia. Miał tam również numer Helen. Przepisywał go co roku do nowego kalendarzyka. Śledził w prasie brukowej przebieg romansu Simona Cornbrooka z przedsiębiorczą Sally Agnes St Cyr. Powiedział sobie, że Helen ma to, na co zasłużyła. Niech radzi sobie z publicznym upokorzeniem, na które swego czasu go skazała. To przecież ona swoją bezkompromisowością doprowadziła do śmierci ich jedyne dziecko, Neli. Biedna mała Neli z niebieskimi ufnymi oczami i błyskotliwą inteligencją! Choć musiał przyznać, że on również był w pewnej mierze odpowiedzialny za jej śmierć. Helen kochała Neli i pragnęła ją mieć przy sobie nie tylko dlatego, żeby się zemścić, musiał to w końcu przyznać.

Podniósł słuchawkę. Wykręcił numer. Odpowiedziała Helen, głosem miękkim, nie zmienionym.

— Słucham?

— Tu Clifford. Zastanawiałem się właśnie, czy nie zjadłabyś ze mną dzisiaj kolacji? Nastąpiła chwila ciszy. Helen odwróciła się i skonsultowała z Arthurem Hockneyem, ale o tym Clifford się nigdy nie dowiedział.

— Z przyjemnością — powiedziała.

### ***Tak to już jest!***

Wiesz przecież dobrze, Czytelniku, jakie dziwne zbiegi okoliczności zdarzają się w życiu. Twoja siostra i twoja synowa

urodziły się tego samego dnia; w dniu, w którym spotykasz na ulicy dawno nie widzianego przyjaciela, przychodzi od niego list; żona twojego szefa mieszkała w domu, w którym teraz mieszkasz ty — takie tam rzeczy. Posługiwanie się zbiegiem okoliczności przez autora powieści jest niezgodne z ogólnie przyjętymi zasadami literackimi, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz i przyznasz, że Helen mogła rozmawiać z Arthurem Hockneyem akurat w chwili, gdy zadzwonił do niej Clifford. Moja opowieść ociera się o życie i dlatego może się momentami wydawać naciągana. Ale czy prawda nie wydaje ci się często bardziej niewiarygodna niż fikcja? Czyż nagłówki w gazetach porannych nie informują

● najbardziej nieprawdopodobnych, niezwykłych zdarzeniach? Czyż zdarzenia nie piętrzą się czasem w twoim życiu? Całymi latami nie wydarza się kompletnie nic, a potem wszystko dzieje się naraz, ekscytujące, straszne. Tak jest i w moim życiu, a pisarze niczym nie różnią się przecież od swoich czytelników.

Ale powróćmy do tematu! Cóż to był za wieczór! Wyobraźcie sobie scenę w domu Hejen. Jest dziewiętnasta. Helen położyła czteroletniego Edwarda do łóżeczka i może teraz poświęcić całą uwagę Arthurowi. Hockney jest w Londynie przejazdem, zadzwonił do Helen z Heathrow, a ona nalegała, żeby przyszedł. Simona nie ma w domu, obsługuje jakąś konferencję w Tokio, obsługuje ją również Sally Agnes St Cyr. Helen ma na sobie kremową jedwabną sukienkę, siada w jasnozielonym fotelu i wygląda tak uroczo i krucho, że Arthur Hockney czuje się nagle jak jeden z tych kryminalistów, których ściga przez całe życie. Ogarnia go przemożne pragnienie uszkodzenia hamulców w czymś samochodzie albo zatrucia komuś drinka, pod warunkiem że tym kimś będzie Simon Cornbrook. Ktokolwiek, kto unieszczęśliwia Helen. Arthur nie wie, że wystarczyłoby skinienie jej ślicznego paluszka, by Simon wrócił — romans z Sally Agnes jest jedynie próbą odzyskania jej względów — ale ona nie robi tego, nie kiwnie paluszkiem! Najpierw musi odzyskać Neli i pogrzebać ducha małżeństwa z Cliffordem. Nie podda się. Arthur mimo całej swej intuicji, mimo umiejętności postępowania z kobietami i miłych, radosnych doświadczeń erotycznych, wykazuje dużo naiwności, kiedy w grę wchodzi sprawa serca, jeżeli nie sumienia. Siedzi czarny, połyskliwy, o wiele za wielki i zbyt muskular-

ny na jasnozielony fotel (Simon jest delikatnej budowy — potężny intelekt idzie często w parze z wątłym ciałem — i cały dom jest tego odbiciem, również meble) i słucha, jak Helen mówi:

— Wiem, że nie powinnam, nie powinnam nawet tak myśleć, ale czuję, że Neli żyje. W każde Boże Narodzenie mówię sobie: dziś Neli kończy cztery, pięć, sześć, siedem lat. Nigdy nie mówię „skończyłaby” mówię „kończy”. Dlaczego tak się dzieje?

(Skoro już o tym mowa, sierociniec Eastlake w Hackney wyznaczył Neli dzień urodzin. Neli jest wysoka na swój wiek, postarzano ją więc o pół roku ustalając jej urodziny na dzień pierwszego czerwca. Psycholog dziecięcy ocenił ją na sześć lat i osiem miesięcy. My wiemy, że w ten wiosenny wieczór miała sześć lat i trzy miesiące. Pomylił się o pół roku. Muszę z przykrością stwierdzić, że wszystkie jego oceny są błędne. Uznał, że nasza Neli, nasza mądra, śliczna, urocza Neli, jest opóźniona w rozwoju, ale nie będziemy się teraz nad tym rozwodzić.)

— Cóż! — mówi Arthur nierozważnie. — Ja też przypuszczam, że ona nie zginęła, ale przypuszczenie to nie dowód. Musisz zacząć prowadzić normalne życie, tu i teraz, a nie trwać w zawieszeniu, jakby życie miało się dopiero zacząć tego dnia, kiedy Neli powróci.

Ale Helen obraca tylko szklankę w dłoniach i uśmiecha się, zbyt uprzejmie.

— Przynajmniej pogódź się z tym, że zaginęła — mówi Arthur. — I to na zawsze.

— Nie! — woła Helen krnąbrnie, zupełnie jak Edward, kiedy coś mu się nie podoba.

— Jeżeli przypuszczasz, że ona żyje, musisz ją odnaleźć! — I myśli o ostatnich obrazach swojego ojca, wartych teraz przynajmniej ćwierć miliona, o tych, które trzyma w wilgotnej szopie z drewnem na opał, w obawie przed Cliffordem Wexfordem albo jemu podobnymi. Ojciec z pewnością rozstanie się z nimi teraz dla dobra Neli. — Zapłacę, ile zechcesz.

— Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy — mówi on, urażony do żywego. — Po prostu nic więcej nie mogę zrobić.

Ta biała Angielka nie uczyni nic dla świata, powinien ją pogardzać. Ile tysięcy dzieci umiera co roku ku rozpaczycy tych, którzy je kochają, z ręki tych, którzy ich nienawidzą, albo głoduje, ponieważ nikogo nie obchodzi ich los? Ta kobieta nie ma

nic

162

do roboty, mogłaby spróbować im pomóc. Ale nie, ona potrafi tylko siedzieć, być, analizować swoje nieszczęście i marnować jego czas, i okłamywać męża. Powinien nią pogardzać. Z bólem stwierdził, że nie musi kobiety szanować, żeby ją kochać. Uznał to za dowód moralnego bankructwa.

— Nic więcej nie mogę zrobić — powtarza.

Ale ona nie przyjmuje tego do wiadomości. Wstaje, podchodzi do Arthura, bierze go za rękę i całuje lekko w policzek.

— Arthurze, proszę! — nazywa go po imieniu, co robi tak rzadko, i on już wie, że uczyni dla niej wszystko i że nic się w jego uczuciach nie zmieniło, po prostu upłynęło trochę czasu.

W tym momencie dzwoni telefon; to Clifford. Arthur patrzy na Helen, ona się jednak zmienia, jakby nowa energia płynęła teraz wraz z krwią w jej żyłach. To niesamowite! Jej oczy są promienne, policzki zaróżowione, ruchy szybsze, głos bardziej miękki.

— To Clifford — mówi do Arthura z dłonią na słuchawce. — Co mam zrobić? On chce. zaprosić mnie na kolację.

Arthur potrząsa głową przecząco. Jej miłość do Clifforda jest rodzajem strasznego narkotyku: uderza do głowy na krótką metę, truje na dłuższą.

— Z przyjemnością — mówi Helen do Clifforda, nie zwracając najmniejszej uwagi na gest Arthura.

Oczywiście, że nie. Pyta go o radę, ale tylko w kwestii stroju. Biega po domu szykując się do wyjścia — ta sukienka czy tamta, ten płaszcz, te perfumy, tamte buty, czy ładnie mi w tym? No i jak wyglądam? Przystaje tylko od czasu do czasu, żeby uściskać biednego Arthura, zarzuca mu ramiona na szyję, takie białe drobne ramię stanowi jedną czwartą jego własnego, czarnego i napakowanego mięśniami.

— Gdybyśmy mogli być z Cliffordem przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi, to wszystko...

Ale nie tego chce i oboje o tym wiedzą.

— Arthurze — mówi Helen. — Posiedzisz z dzieckiem, prawda? Nie mam z kim go zostawić. Wrócę najpóźniej o jedenastej. Obiecuję!



### ***Czego się nie robi dla urody!***

Angie Wellbrook spędziła ten dzień szykując się na robocze śniadanie z Cliffordem. Poszła do salonu piękności u „Harrodsa”, wydała górę pieniędzy i zdenerwowała mnóstwo osób, jak to miała w zwyczaju. Oskarżyła kosmetyczkę o nieudolność; dziewczynę, która woskowała jej nogi, o to, że umyślnie zadaje jej ból. (Jest wręcz niemożliwe wyrwać parę tysięcy włosów tak, żeby w ogóle nie bolało, a Angie miała bardzo owłosione nogi.) Zdenerwowała Eve, bez wątpienia najlepszą manikiurzystkę w Londynie, która nie wydziwia nawet nad najbardziej zaniedbanymi dłońmi i najbardziej połamanymi paznokciami i zachowuje zimną krew wobec najbardziej niegrzecznego klienta. Angie oskarżyła ją o złamanie już złamanego paznokcia, bardzo długiego, z gatunku szponiastych, jakie wyhodować mogą jedynie kobiety, które nie mają dzieci, mają za to gosposię. (Zresztą może to nieprawda, może mają po prostu bardzo, ale to bardzo twarde paznokcie i nigdy nie zdejmują rękawiczek.)

Angie pragnęła dzieci. To znaczy, pragnęła dzieci Clifforda. Chciała założyć dynastię, a tu klops! Przekroczyła już trzydziestkę i na razie nic nie zapowiadało zmian w jej położeniu. Trudno się dziwić, że była taka zła, choć obsługa salonu „Harrodsa” nie знаła powodu jej złości i mogłaby nie okazać współczucia, gdyby go poznała. Kto wie, czy fryzjerzy i manikiurzystki nie pomyśleliby nawet, że im mniej malutkich Angie na świecie, tym lepiej. W salonie fryzjerskim zmusiła Philipa, by przeczesał jej włosy cztery razy, i nadal nie była zadowolona z efektu. Chciała, by włosów było dużo, bardzo puszystych (absurd, przy jej nieładnych ostrych rysach), Philip widział je skromne aż do granic surowości. Angie postawiła na swoim, a następna klientka Philipa czekała pół godziny.

Tą klientką okazała się młoda przyjaciółka sir Larry'ego Patta, Dorothy, ta sama, która pocieszała sir Larry'ego w miesiącach po nagłym i spektakularnym rozstaniu z Roweną, jego żoną. Odejście Roweny, jak pamiętacie, poprzedziły rewelacje na temat jej licznych i ciągłych zdrad małżeńskich. (Czytelniku, nigdy nie licz na dyskrecję twojego partnera, jeżeli ma coś

do ujawnienia, prędzej czy później ujawni, choć może to potrwać lata. Prawda zostanie wypowiedziana w ataku namiętności, gniewu lub żalu albo z chęci wywołania dramatycznego efektu. Przy odrobinie szczęścia zostanie uznana za kłamstwo. Ale nie liczyłabym na to!) Larry Patt uwierzył Rowenie, kiedy opowiedziała mu o swoim romansie z Cliffordem. Świadomość, że żona go zdradza, uwolniła sir Patta od poczucia winy. Spotykał się z Dorothy na długo, długo przedtem, zanim Rowena i Clifford skrzyżowali spojrzenia nad elegancką zastawą stołową. Dorothy była konduktorką, jednym z tych ślicznych, uroczych energicznych stworzeń, które wsadzają i wysadzają z autobusu dystygowanych dżentelmenów na trasie Chiswick—Knights-bridge—Piccadilly. Dorothy z przyjemnością porzuciła pracę i powierzyła bratu opiekę nad starym ojcem, by zamieszkać z sir Larrym w Albany i spędzać dni na zakupach i odchudzaniu ud. Sir Larry był starszy od niej o czterdzieści lat, ale kogo to obchodzi? Dorothy była słodka jak miód dla Philipa w salonie piękności Harrodsa, choć kazał jej czekać całe pół godziny. Oczywiście Angie nie poznała Dorothy — nie mogła jej poznać, bo nigdy jej przedtem nie widziała. Był to jeden z tych zbiegów okoliczności, o których wiemy tylko ja i ty, Czytelniku, a o których nie wiedzą nasi bohaterowie. Angie miała na sobie białe norki. Inne niż poprzednio, oczywiście, że inne! Tamte sprzedała. (Nie oddała ich komuś biednemu i zziębniętemu. Co to, to nie! Bogaci ludzie pozostają bogaci, ponieważ są twardzi.) Dorothy nie miała norek, opuściła salon po dwudziestu minutach i była ślicznie uczesana, a Angie awanturowała się przy kasie — odmawiając zapłacenia rachunku i grożąc Eve procesem sądowym za zniszczenie jej paznokcia — jeszcze długo po tym, jak Dorothy zapłaciła i wyszła. Cóż, Angie była zdenerwowana czekającym ją spotkaniem z Cliffordem. Wspominam o zetknięciu się Angie i Dorothy tylko po to, by pokazać, w jaki sposób splatają się ludzkie losy. Angie sypiała z Cliffordem, który sypiał z Roweną, która sypiała z sir Larrym Pattern, który spał obecnie z Dorothy, która jeżeli ktoś pytałby mnie o zdanie, była najsympatyczniejsza z nich wszystkich, a przynajmniej zarabiała na swoje utrzymanie. Bóg jeden wie, w jaki sposób powiązani jesteśmy z dziewczyną z piekar-

ni, gdzie kupujemy rano bułeczki. Albo idąc dalej tym tropem, z miejscowym prominentem.

Tego wieczora Angie jadła kolację z Sylwestrem, swoim kochankiem „z braku laku”, myślała, jaki z niego nieudaczny facet, i zastanawiała się, dlaczego on po prostu nie odejdzie z przystojnym młodym kelnerem, zamiast wychodzić ze skóry próbując ukryć, że na niego patrzy. Angie z pewnością nie tęskniłaby za obecnością Sylwestra w łóżku. Od czasu do czasu rozmawiali

● małżeństwie — zgodzali się ze sobą, mieli takie same zainteresowania i zmartwienia, odpowiadało im dzielenie tych samych domów w różnych częściach świata, ponieważ oszczędzali w ten sposób na ubezpieczeniu zbiorów sztuki, lubili wypić razem poranny sok pomarańczowy i czarną kawę i poekscytować się cenami obrazów. On towarzyszył jej tu, ona jemu tam, co ratowało im obojgu twarz. Jako para byli zapraszani dwa razy częściej niż jako ludzie samotni, a oboje lubili życie towarzyskie. Wydawali wspólne przyjęcia — prywatni mecenas i *cognoscenti* sztuki — i lubili to, ale małżeństwo? Nie! (Czy nie zadowolilibyś się tym, co przypadło im w udziale, Czytelniku? Boja chyba tak, gdybym obracała się w kręgach artystycznych — do diabła z dziewczyną z piekarni i prominentem, w końcu liczy się to, z kim jesz śniadanie.)

— Wyglądasz cudownie — powiedział Sylvester do Angie.

Jak mogłoby być inaczej. Zapłaciła u „Harrodsa” dwadzieścia siedem funtów, choć rzeczywisty rachunek, obejmujący pasemka, elektrolizę i nową cudowną maseczkę do twarzy — wynosił sto czterdzieści siedem funtów, a sto czterdzieści siedem funtów potrafi wiele zmienić w wyglądzie kobiety, nawet w obecnych czasach. (A były to przecież lata siedemdziesiąte!) Nie mówiąc o kolczykach z osiemnastokaratowego złota, naszyjniku z niezwykle rzadkiego czerwonego złota i czarnym kaszmirowym swetrze (z półgolfem, ponieważ skóra Angie jest naprawdę ziemista). Angie nigdy nie nauczyła się dobrych manier, ale z czasem nauczyła się ukrywać defekty urody.

### **Wieczór bogaczy**

Tego wieczora Angie i Sylvester wydali trzydzieści cztery funty na kolację dla dwojga (przeszło sto funtów według cen dzisiejszych). Angie dopisywał apetyt. Poszli do ekskluzywnej włoskiej restauracji w Soho, gdzie pieprz do spaghetti jest mielony w antycznym wielkim młynku, a najlepszy parmezan — miękki, dokładnie taki, jaki świeży parmezan być powinien — sprowadzany codziennie z Włoch. Wypili sporo dżinu z tomkiem przed kolacją, dużo dobrego wina przy kolacji i bardzo, ale to bardzo starego portwajnu na deser, co wybitnie wpłynęło na wysokość rachunku.

Tego samego wieczora, kiedy w Londynie Angie i Sylvester jedli spaghetti, Simon i Sally Agnes zamówili w Tokio sushi. Sally uparła się przy szampanie, nie rezygnując przy tym z sake, i mieszanica ta ośmieliła Simona. Zakomunikował Sally, że nie powinni się już dłużej spotykać. Plotki, powiedział, denerwują Helen. Simon starał się przekazać wiadomość możliwie jak naj-taktowniej, ale było to zadanie z góry skazane na niepowodzenie. Sally Agnes chlusnęła mu szklaneczką ciepłej sake w twarz i choć ilość płynu była niewielka — Japończycy piją dużo, ale po trochu — część napoju prysnęła na dość cenne draperie nad jego głową.

„Rębacze ostrzą maczety, w miarę jak pogarsza się sytuacja w Ugandzie”, napisała „Private Eye” następnego dnia. Nigdzie spokoju! Nigdzie prywatności! Nawet, a może zwłaszcza w przytulnej knajpce w centrum Tokio!

Simon czuł się zobowiązany zapłacić za czyszczenie draperii i jego rachunek za kolację urósł do pięćdziesięciu funtów. Zadzwoił do Helen do Muswell Hill o dziewiątej wieczorem czasu europejskiego, ale Helen nie odebrała telefonu, odebrał go Arthur Hockney. Arthur powiedział Simonowi, że siedzi z dzieckiem. Nie powiedział, że Helen poszła na spotkanie z Cliffordem, ale Simon wiedział i bez tego. Z kim innym Helen zgodziłaby się spotkać tak nagle, zostawiając drogocennego Edwarda pod opieką Arthura Hockneya? A jeżeli Edward dostanie krupu, do czego był skłonny? Helen rzadko wychodziła z domu, właśnie z

obawy że Edward dostanie krupu. A teraz ni z tego, ni z owego Arthur Hockney w roli babysittera! Simon wiedział doskonale

● spotkaniach Helen z Arthurem, o tym, że żona nadal nie wierzy w śmierć Neli. Simon uważał Arthura za współnika Helen i to wcale nie zwiększało jego sympatii do ciemnoskórego detektywa. Pojechał na lotnisko i po godzinie siedział już w samolocie do Londynu. Musi zaprowadzić porządek w swoim małżeństwie, i to natychmiast.

Clifford zabrał Helen do restauracji w „Festival Hall”, częściowo dlatego że nie zaglądali tam jego znajomi, a również dlatego że choć nie jest to najmodniejsza knajpa w świecie, ma najlepszy widok na Londyn. Z początku niewiele mówili. Clifford oddał się kontemplowaniu urody Helen, wydała mu się zadziwiająco piękna, piękniejsza, niż pamiętał. Było coś w sposobie, w jaki trzymała głowę, coś niemal pokornego, a przecież wiedział, że potrafi być uparta, występna, wiedział, że jej niewinność, czystość jest czymś złudnym. Była niewierna, niechlujna, nudna! Helen ze swej strony wiedziała, że uprzejmość Clifforda jest powierzchowna, że jego urok jest zasadzką, że omami ją dzisiaj, żeby ją zniszczyć, zranić, unicestwić jutro. I stała między nimi Neli, dziecko, które kochali, ale za mało, skoro ich miłość została przywalona nieszczęściem, zranioną dumą i nienawiścią. To ich złość, ich rozczarowanie doprowadziły do tego, że ją utracili. Nie mogli o tym rozmawiać. A ponieważ nie mogli mówić o tym, co ważne, musieli się zadowolić rozmową o niczym. A jednak poprzez tę pogawędkę o modach i zdarzeniach przebijało coś jeszcze. Może była to pamięć o tych paru zachwycających, wspaniałych miesiącach, które razem spędzili wiele lat temu. Clifford chwycił rękę Helen, kiedy sięgała po szklankę wody, a ona nie cofnęła dłoni.

— Chcę porozmawiać o Neli — powiedział.

— Nie mogę uwierzyć w jej śmierć — odparła Helen. — Nie znaleziono ciała.

— Och, Helen! — westchnął Clifford ze współczuciem. — Jeżeli chcesz w to wierzyć, wierz! Jeżeli to ci pomoże.

Ta niespodziewana łaska sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu.

— Simon nie pozwala mi w to wierzyć.

— Jest dziennikarzem — stwierdził Clifford, roztropnie nie nazywając go karłem — a w naturze dziennikarza leży zamykanie spraw. Nie jesteś z nim szczęśliwa.

— Nie — powiedziała Helen ku własnemu zdziwieniu.

— To dlaczego od niego nie odejdziesz?

— Z powodu Edwarda. Ponieważ jeżeli odejdę od Simona, coś strasznego przydarzy się Edwardowi.

To była jej obsesja, jej męka. On to rozumiał.

— Nic się nie stanie — zapewnił ją. — Neli umarła przeze mnie, nie przez ciebie. I Simon zachowa się lepiej ode mnie. To również leży w jego naturze.

— To prawda! — Helen uśmiechnęła się z trudem. Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić złe myśli.

— Och, Boże — powiedziała. — Znów czuję, że żyję. Życie napiera na mnie ze wszystkich stron. Co ja teraz pocznę?

— Pójdiesz ze mną do domu.

I oczywiście poszła, zapominając o Arthurze. A jeżeli nie całkiem zapominając, to nie dbając o niego ani trochę.

### ***Wieczór Neli***

Tego wieczora kiedy drogi Clifforda i Helen krzyżują się ponownie, przynosząc obietnicę szczęścia, świat Neli wywraca się po raz kolejny do góry nogami. Gdy Helen zanurza widelec w swojej paście łososiowej, a Clifford w kotletach z jagnięcia, w sierocińcu Eastlake rozpoczyna się zebranie w sprawie przyszłości grupki dzieci, w której znajduje się Neli. Mała Neli przyszła do siebie po szoku, jakim była utrata kolejnej rodziny i karambol na szosie, i miała się stosunkowo dobrze. Zaczęła normalnie mówić, i to po angielsku, choć nadal cierpiała na częściową amnezję. Dzieliła pokój z pięcioma innymi dziewczynkami — Cindy, Karen, Rose, Becky i Joan. Sypiały na twardych materacach (zdrowe i tanie) i miały za mało koców, ponieważ lwia część funduszy przeznaczonych na ogrzewanie sierocińca szła do kieszeni

jego administratorów. Rose i Becky moczyły łóżka i były za to karane każdego ranka. Kazano im również prać prześcieradła. Cindy jękała się, czasami mówiła dobranoc zamiast do widzenia i była wtedy odsyłana do kąta, gdzie sterczała w koszu na śmieci, co miało ją nauczyć rozumu. Karen i Joan zostały uznane za trudne do prowadzenia, choć miały dopiero po siedem lat, a to oznaczało, że są naprawdę niegrzeczne, drą koce, kopią w drzwi i potrafią przyłożyć ci pięścią w brzuch bez wyraźnego powodu. Neli bardzo się starała być grzeczna, cicha i uśmiechać się tak często, jak to możliwe. Polubiła Rose i stały się dobrymi przyjaciółkami. Próbowwała oduczyć ją moczenia się w łóżko, wypijając przed snem jej napój pomarańczowy (żółty, słodki, nasycony chemią płyn, a nie sok z koncentratu, który był drogi) i osiągnęła sukces. Już jako dziecko rozumiała, że nikt nie jest celowo zły, jej opiekunowie byli po prostu głupi i lubili oszczędzać. Miała, bądź co bądź, głęboko zakorzenione poczucie własnej wartości. Czyż matka i ojciec nie walczyli o nią, pragnąc zdobyć ją na własność? Czyż Otto i Cynthia nie pochylali się z uśmiechem nad kołyską? Czyż markiz i markiza de Troite nie widzieli w niej źródła wszelkiego szczęścia, młodości, nadziei? Takie rzeczy nie mijają bez śladu. Takie rzeczy pamięta się mgliście, ale wryte są w podświadomość. Neli czuła, że jest nie rozumiana, a więc niedostatecznie ceniona i że dlatego przetrwała. Pochylała głowę, ale jej oczy były promienne. Wiedziała, że nie pozostanie w sierocińcu na zawsze, a póki co, jak to miała w zwyczaju, próbowała spojrzeć na swoje położenie z jak najlepszej strony. Nawet jeżeli popłakiwała po nocy — cichutko, żeby nikt jej nie usłyszał i nie wymierzył klapsa za niewdzięczność — rano wstawała radosna i uśmiechnięta, myśląc o rzeczach, których się nauczy, o tym, jak pomóc Karen, o nowych zabawach z Rose i o metodach uniknięcia karcącego wzroku Annabel Lee, zarządczyni. Annabel Lee i jej mąż Horace byli nałogowymi palaczami, a dym papierosowy zawsze przyprawiał Neli o mdłości, starała się więc trzymać od nich jak najdalej. My wiemy, że ta reakcja jest wywołana wspomnieniem Ericha Blotona, ale Neli nie potrafiłaby tego wyjaśnić, nawet gdyby go pamiętała, a pan i pani Lee, oboje bladzi i cierpiący na chroniczny kaszel, nie rozumieli tego również. Nie sądzili, by zasłużyli sobie swoim postępowaniem na takie traktowanie.

— Ona nadal kuli się, kiedy się zbliżam — powiedziała Annabel na zebraniu w sprawie adopcji. — Nie sądzę, żeby przybrani rodzice poradzili sobie z nią. Nie chcemy przecież, żeby Ellen Root wracała do nas po każdej nieudanej próbie adopcji.

Ellen Root! Tak, Czytelniku, takie nazwisko nosi teraz mała Eleanor Wexford. Cóż, jakoś musiano ją nazwać, to dziecko znikąd. Pamiętajcie, jak ją znaleziono, stojącą na skraju *route nationale* wśród ognia i trupów, bąkającą angielskie słowa? Nazwali ją Ellen, ponieważ powtarzała w kółko: „Helen, Helen”, uznano więc, że tak właśnie ma na imię. W rzeczywistości wypowiadała imię swojej matki, tyle że na sposób francuski, choć samego języka zapomniała wskutek szoku. Tak więc została „Ellen”, a dalej „Root” od *route nationale*. Kapujesz? Annabel Lee była zdania, że wykazała dużo sprytu wybierając to nazwisko. Annabel była pijaczką. Nikt o tym nie wiedział, nawet jej mąż Horace, a już z pewnością nie kierownictwo Biura Pomocy Społecznej, które zatrudniło państwa Lee. Ellen Root nie było chyba najwspanialszym z nazwisk i pewnie tego właśnie Annabel Lee sobie życzyła. Proste, grubokościste, ciężko pracujące kobiety nie przepadają za zachwycająco pięknymi, uroczymi kruchymi dziewczynkami. Zresztą takie istoty rzadko pojawiały się w Eastlake.

Od czasu do czasu ośrodek nawiedzała plaga wszy wyjątkowo złośliwego gatunku i tak się jakoś składało, że włosy Ellen Root golono, podczas gdy inne dzieci ratowano szczotką i naftą. Pamiętajmy jednak o tym, że włosy Ellen były tak gęste i kręcone — poza tym błyszczące, jasne i śliczne — że Annabel mogła rzeczywiście mieć z nimi wyjątkowo dużo kłopotu. Mogło się tak zdarzyć. Wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego, musimy pozwolić jej skorzystać z tego prawa.

Na zebraniu poświęconym adopcji ktoś zauważył, że dziecko znajduje się w ośrodku wyjątkowo długo. Niemal rok. Bez wątpienia nadszedł czas, aby przenieść ją w jakieś miejsce bardziej przypominające dom, nawet jeżeli nie jest jeszcze gotowa do adopcji. Ośrodek był przystankiem dla dzieci w kłopotach — których przysporzył im świat albo one same sobie ich przysporzyły — nie zaś stałym miejscem pobytu.

— Świetnie! — powiedział Horace. — Ale gdzie ją przeniesiemy? Ona jest niedorozwinięta (czyli jest małym tępolem!



Nasza Neli!). Ma to napisane jak wół w swoich papierach. Weźmie ją tylko Dunwoody, a to nie jest chyba odpowiednie dla niej miejsce.

Dunwoody jest domem dla dzieci psychicznie upośledzonych i trudnych, a Neli, choć jej testy na inteligencję wykazywały, że jest opóźniona w rozwoju, była zawsze grzeczna i cicha.

— Wcale nie jestem tego taka pewna — powiedziała Annabel. — Odsuwa się za każdym razem, gdy próbuję ją uczesać.

Faktycznie, Neli się odsuwa. Boi się golenia głowy, ale Annabel woli o tym nie wiedzieć.

— A kiedyś nasza śliczna mała Ellen ugryzła pana Lee. Pamiętacie?

No bo ugryzła! Horace wyrwał ją ze snu o drugiej w nocy, kiedy rozległ się alarm przeciwpożarowy i cały budynek musiał zostać ewakuowany. Wspomnienia napłynęły falą, była przerażona, walczyła, tak, była nieposkromiona, gryzła. Gryzła! Rzecz niewybaczalna w tych kręgach.

— Była przestraszona — powiedział Horace.

— Ona jest niezrównoważona — powiedziała Annabel ponuro. — Ugryzła prawie do kości, jak dzikie zwierzątko.

Był to oczywiście fałszywy alarm (Joan wyslizgnęła się z łóżka i zbiła szybkę, za którą, dokładnie na poziomie jej oczu, znajdował się kuszący młoteczek). Ale pożar stanowi poważne zagrożenie w takich domach — niektóre dzieci uważają podpalenie za świetny żart — i nigdy się go nie lekceważy. Podpalenie! To gorsze nawet niż gryzienie!

Dziwisz się zapewne, Czytelniku, dlaczego Neli, czy Ellen, wypada tak źle podczas testów na inteligencję. Powód jest bardzo prosty. Na pytania w rodzaju: „Czy słońce świeci w nocy?”, Ellen odpowiada „tak” — myśląc o tym, jak słońce wstaje po drugiej stronie świata, w chwili gdy znika nam z oczu — podczas gdy właściwa odpowiedź, dawana przez dzieci poniżej pięciu lat, brzmi „nie”. (A Neli rozwiązuje testy dla czterolatków, ponieważ mówi jak czterolatka, co jest rezultatem dwuipółletniej przerwy w używaniu języka angielskiego.) Takie rzeczy się zdarzają. Poziom rozwoju dzieci w ośrodkach opieki jest błędnie oceniany przez przypadek, na skutek głupoty, a czasami przez złośliwość dorosłych — i dzieci lądują w zupełnie nieodpowiednich miejscach.

Tego wieczora zdecydowano, że Neli pozostanie w Eastlake jeszcze przez jakiś czas i opiekunowie nie oddadzą jej do adopcji. „Symptomy nie zrównowazenia psychicznego” — napisano w jej papierach tuż pod uwagą o opóźnieniu w rozwoju i rzucono kolejną kłodę na drodze powrotu Neli do normalnego życia.

Na tym samym zebraniu uchwalono, że należy wyrazić wdzięczność niejakiej pani Erichowej Blotton, która przekazała na konto ośrodka kolejną poważną sumę, tym razem siedemset pięćdziesiąt funtów. Pani Blotton nigdy nie zaszczyliła Eastlake swoją obecnością, ale łożyła hojnie również na inne sierocińce w tym rejonie. Cieszyła się opinią osoby z lekka szurniętej, co nie czyniło jej darowizn ani na jotę mniej pożądanymi. Postanowiono wysłać pani Blotton zaproszenie do Eastlake. Znasz, Czytelniku, moje poglądy na temat zbiegu okoliczności. Zapewniam cię, takie rzeczy się zdarzają. Bezpłodna pani Blotton poślubiła Ericha Blottona, który pragnął dzieci bardziej niż czegokolwiek na świecie. Czy to dziwne, że teraz, otrzymawszy pieniądze z linii ZARA, rozdaje je sierocińcom? Świat nie jest wcale taki wielki, jest malutki: koła w kołach, pierścienie w pierścieniach — spójrzcie tylko na Angie, Dorothy i ich spotkanie w „Harrodsie”! Ludzie wpadają na siebie jak kule bilardowe, drugorzędni aktorzy w dramacie życia.

### *Znowu razem*

Może to i lepiej, że Clifford i Helen nic o tym wszystkim nie wiedzą. Siedzą przy stole trzymając się za ręce i patrzą sobie w oczy. Wydaje się czasem, że możemy być szczęśliwi tylko kosztem kogoś, kogo kochamy. My pławimy się w szczęściu, a kto inny cierpi z naszej winy.

— Byłem ci wierny — mówi Clifford i jest to oświadczenie niezwykle, biorąc pod uwagę okoliczności.

— Trudi Barefoot? — Helen nie potrafi sobie tego odmówić.

— Kto? — Clifford żartuje. Nowy film Trudi wszedł właśnie na ekrany i jej nazwisko znane jest w całym zachodnim świecie.

— Elise O'Malley?

— *Begorra!* Gdzie moja pigułka?! — Clifford jest wstrętny. Bezlitosny! A Elise była taka ufna i kochająca!

— Serena Bailey, Sonia Manzi, Gertie Lindhoff, Bente Re-spigi, Candace Snow...

— Zna mnóstwo nazwisk, ale nie wszystkie.

— Nie wierzysz chyba we wszystko, co wypisują gazety — mówi on. —

Przynajmniej mam taką nadzieję. Weźmy choćby Karła i Sally Agnes St Cyr.

No i masz! Zagalopował się i znowu nazwał Sirnona Karłem. Helen cofa dłoń.

— Przepraszam! — rzuca pospiesznie. — To wszystko przez to, że jestem zazdrosny.

Tak już lepiej! Helen uśmiecha się. Upłynęły trzy lata od zaginięcia Neli. Może się już uśmiechać. A Clifford pozwoli jej czepiać się iluzji, jeżeli jest to iluzja, że Neli żyje, i Helen jeszcze raz znajdzie się w świecie, gdzie wszystko jest możliwe, nawet szczęście.

Po kolacji (która kosztowała tylko piętnaście funtów; Wexford nigdy nie należał do rozrzutnych) Clifford i Helen pojechali do jego domu na Orme Square i spędzili razem noc. Koszt tego jednego wieczora dla trzech par, wliczając nowe buty Angie na złotej podeszwie, z pewnością przekroczył sumę siedmiuset pięćdziesięciu funtów, którą to pani Blotton ofiarowała sierocińcowi Eastlake. Kolacja Neli, złożona z paluszków rybnych, gotowanej fasoli i placka z dżemem, kosztowała sześć pensów. Jeżeli istnieje niemoralność, polega moim zdaniem na tym, że bogacze mają tak wiele, a biedacy tak mało.

Arthur Hockney, który pilnował cudzego dziecka przez całą noc, a któremu Helen nie okazała nawet tej uprzejmości, by do niego zadzwonić, nie otrzymał żadnej zapłaty za swoje trudy. Biedny Arthur! Pomijając dzień śmierci jego rodziców oraz chwilę, kiedy powiadomił swoich opiekunów, że zdradza ich ideały, że nie przystąpi do Ruchu na Rzecz Obrony Praw Człowieka, nie pozwoli się związać, były to najbardziej bolesne godziny jego życia. Nie musiał być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co się dzieje.

Czytelniku, jeżeli jesteś żonaty, rób co w twojej mocy, żeby żonatym pozostać. Jeżeli nie jesteś, zadbaj o to, by zakochać się

w kimś, kogo nie lubisz. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że skończysz jako rozwodnik, a najgorsza strona rozwodu polega na tym, że człowiek musi nauczyć się nienawiści. Musi nauczyć się pogardy i nienawiści do kogoś, kogo dotąd kochał i podziwiał, żeby wmówić sobie, jak niewiele stracił. Ona? On? Kupa polakie-rowanego gówna. Nauka nienawiści źle wpływa na charakter — i na dzieci! Gdyby tak zacząć od nienawiści jako punktu wyjścia, można by oszczędzić sobie wiele cierpienia i zachodu. Człowiek nie musiałby zmieniać poglądów na wszechświat i zamieszkujących go ludzi. Czarne pozostałoby czarnym, a białe białym.

Clifford i Helen, zjednoczeni jeszcze raz tej nocy w ślicznym georgiańskim domku na Orme Square, roześmiani i szczęśliwi, nie mogli sobie nawet przypomnieć, dlaczego nienawidzili się kiedyś tak bardzo. Jego niewierność jest dla niej teraz zwykłą męską słabością, jego podłość roztropnością, zaabsorbowanie pracą rzeczą zupełnie naturalną. Po prostu wyszła za mąż zbyt młodo i nie potrafiła dać Cliffordowi tego, czego potrzebował.

— Próbowałam tyłkom/zbudzić w tobie zazdrość — powiedziała, gibka i urocza w marmurowej kabinie prysznicowej, W obłoku pary, w której wydała się Cliffordowi bardziej tajemnicza i romantyczna niż kiedykolwiek w snach, tych dobrych, nie tych złych. Prawdę mówiąc Clifford śnił o Helen bardzo często, nawet w towarzystwie Elise, Sereny, Soni, Gertie, Bente, Candace czy kogokolwiek.

Clifford ze swej strony widział teraz niewierność Helen nie jako przyczynę, lecz symptom rozpadu ich małżeństwa. Winę ponosił on, był egoistą, zaniedbywał ją.

— Tak mi przykro! — mówi ona. — Strasznie przykro! Tak bardzo tego żałuję, nareszcie.

— Nie zrobiłaś nic, czego ja nie zrobiłem przed tobą—mówi on i widzi, jak jej oczy mrozi zazdrość, ale tylko na chwilę.

— Nie chcę o niczym wiedzieć — mówi ona. — Chcę zapomnieć.

— Zachowałem się ohydnie. W tej sprawie z Neli — mówi on. — Biedna Neli.

— Słodka Neli — odpowiada ona.

No proszę, mogą już rozmawiać o Neli bez przymusu, mogą wpleść ją we wspólną przeszłość. Przeprasiny to ważna rzecz.

Wojny światowe wybuchają właśnie dlatego, że wtedy przeprosin się nie składa, ponieważ nikt nie chce powiedzieć: „Miałeś rację, ja się pomyliłem”.

Zrozumieli to w końcu po sześciu latach, zmarnowawszy taki kawał życia! I Simon Cornbrook, który wrócił do domu z Japonii o piątej nad ranem, żeby naprawić swoje małżeństwo, nie znalazł Helen w małżeńskim łóżku. Został za to detektywa Arthura na kanapie w salonie i małego Edwarda zanoszącego się na piętrze od kaszlu, który mógł zwiastować paskudny krup.

### ***Ucieczka***

A co z małą Neli, którą ta nieodpowiedzialna para rzuciła w wir przeznaczenia?

Och, tak, byli nieodpowiedzialni — pobrali się i powinni przynajmniej spróbować ze sobą wytrzymać, skoro mieli Neli. (To co uczynią ze swoim życiem małżeństwa bezdzielne, nie ma większego znaczenia. Jeżeli chodzi o mnie, mogą rozjechać się w dwie strony świata, ranią tylko siebie i szybko znajdują pocieszenie.) Tej noc, kiedy Clifford i Helen ponownie się zjednoczyli, Neli, czy też Ellen Root, uciekła z sierocińca Eastlake. Uciekła od głupiego pana Lee i jego surowej, zapijaczonej żony Annabel. Nie żeby Neli tak ich widziała, w żadnym razie. I może rzeczywiście tacy nie byli.

W swoim krótkim życiu Neli przywykła do nagłych, strasznych wydarzeń, ale zawsze — z wyjątkiem jednego dnia z Erichem Blottonem — opiekowali się nią łagodni, wrażliwi, wyczuleni na jej potrzeby ludzie, w pięknym, choć czasami dość ekscentrycznym otoczeniu. Ośrodek, przesiąknięty zapachem kapusty, środków dezynfekcyjnych i ludzkiego nieszczęścia, z jego energiczną, twardą, władczą obsługą, zadziwiał ją raczej, niż przerażał. Pobyt w sierocińcu był mniej dramatyczny niż katastrofa lotnicza, mniej wstrząsający niż zniszczenie zamku przez diabła i tragedia na *route nationale*, ale za to o wiele dziwaczniejszy. I mało przyjemny! Stać w ponurym punkcie sanitarnym Eastlake i patrzeć, jak jej śliczne loki spadają na szare linoleum

podłogi! Nie miała nikogo, do kogo mogłaby się przytulić, kto opowiedziałby jej bajkę, kto by jej zaśpiewał, i potrafiła się z tym pogodzić, na jakiś czas. Ale nie móc kochać i nie być kochaną

— to prawdziwe nieszczęście, największe ze wszystkich, jakie może przytrafić się małemu dziecku. Neli instynktownie wiedziała, że musi odejść, i to jak najprędzej. Że wszędzie będzie jej lepiej niż tutaj! Że istnieją dobrzy, kochający ludzie na świecie i ona musi wyruszyć na ich poszukiwanie.

Były to siódme urodziny Ellen Root, według kalendarza ośrodka Eastlake. My wiemy, że Neli ma dopiero sześć i pół roku. Siódme urodziny są magiczną chwilą, kiedy dziecko staje się nagle na tyle dorosłe, by pójść samodzielnie do szkoły — przechodzić przez autostradę i unikać czyhających zbrojców. Neli wysłuchała pouczeń Annabel w tej kwestii i pomyślała: „Skoro jestem dość duża, by przechodzić przez jezdnię, jestem również dość duża, by stąd odejść i nigdy, nigdy nie wracać”. Tego dnia została posłana po raz pierwszy do szkoły. Dotychczas chodziła do przedszkola dla dzieci specjalnej troski, to znaczy chodziła wtedy, gdy Annabel Lee była w stanie zebrać grupę i zorganizować zabawę w berka albo w trzy ognie. Neli nie lubiła przedszkola, ale szkołę szczerze znienawidziła. Wielkie, dzikie, rozkrzyczane miejsce, gdzie wymieniano kuksańce i rzucono obelgi. Była tam również wysoka siwa kobieta, która uczyła ją czytać i która nie chciała uwierzyć, kiedy Neli powiedziała, że czytać już umie. Nie chciała jej nawet wysłuchać, więc Neli milczała i kobieta ją uderzyła. Tak, Neli musiała odejść! Kiedy wróciła ze straszego miejsca zwanego szkołą (inni mieli prawdziwe domy, do których mogli wrócić, ona miała tylko sierociniec Eastlake, o czym wszyscy wiedzieli i dlatego w ogóle się do niej nie odzywali), przyniosła z pralni poszewkę na poduszkę i zapakowała w nią swój niewielki dobytek. Gąbkę, cienki ręcznik, parę już za małych bucików, sweterek, szmacianą lalkę o żółtych włosach, ufundowaną przez panią Blotton, i jeden jedyny przedmiot, który pozostał jej z przeszłości — blaszanego niedźwiadka na srebrnym łańcuszku. Wieczorem jak zwykle położyła się do łóżka, ale czuwała — co było niemal najtrudniejszą częścią przedsięwzięcia — a kiedy zegar w hallu wybił dziewiątą, wyslizgnęła się spod koca, przemknęła po schodach, otwo-

rzyła ciężkie frontowe drzwi i wybiegła w jasną rozgwieżdżoną noc, w wielki, dziki, zaabsorbowany sobą świat. Wyruszyła na poszukiwanie szczęścia.

### *Zażarta pogoń*

— Uciekła! — krzyknęła Annabel Lee, usłyszawszy, że łóżko małej Ellen Root jest puste, a jej samej nie ma na terenie ośrodka. — Niedobre, niedobre dziecko! — i wsunęła pustą butelkę sherry pod łóżko, żeby Horace jej nie zobaczył.

Było to podwójne małżeńskie łoże, ale Horace spał przeważnie na połówce na strychu razem ze swoją kolejką elektryczną, skomplikowanym, wspaniałym, zdalnie kierowanym urządzeniem, którym dzieci byłyby zachwycone, gdyby pozwolono im je zobaczyć. Rzecz jasna nie pozwolono.

Ucieczka jest trzecią w kolejności — po podpaleniu i pogryzieniu — najgorszą rzeczą, jaką może zrobić dziecko w sierocińcu. Mały uciekinier zostaje uznany za kogoś monstrualnie, nie do pojęcia niewdzięcznego. Każda instytucja jest idealnym, doskonałym miejscem w oczach tych, którzy ją prowadzą. Jeżeli dziecko (albo więzień, albo pacjent) nie podziela tego zdania, oznacza to, że jest nie tylko złe i samowolne, ale sprowadza na wszystkich straszne i niepotrzebne kłopoty. Ściga się takiego delikwenta z wielkim zapalem, ściąga z powrotem i karze surowo za ucieczkę, jakby to mogło przywiązać go do instytucji i uczynić z niej ulubione miejsce pobytu.

— To cię nauczy! — krzyczą dorośli do dziecka. — A masz, a masz! To cię nauczy nas lubić! To cię nauczy nas kochać! To cię nauczy wdzięczności!

Annabel Lee wysłała za Ellen Root złe psy. Naprawdę. Nie musiała tego robić, żadne władze nie pochwałyby z pewnością jej postępków, ale pamiętajmy, że Annabel Lee wypila trzy czwarte butelki sherry, czekając, aż jej mąż Horace skończy bawić się kolejką i kto wie, może przyjdzie do łóżka. (Spora część pieniędzy ofiarowanych przez panią Blottón została wydana na tę kolejkę i nikt, kto

ją widział — czyli praktycznie nikt — nie mógł zaprzeczyć, że jest cudowna. Taka delikatna i skomplikowana konstrukcja! Były tam tunele, semafony, drzewka, domki z zasłonkami w oknach i elektrycznymi lampami oraz kilka niezwykłych starych lokomotyw, między innymi fantastyczna „Santa Fe”. Na fakturach wpisano po prostu „zabawki” i nikt nie zakwestionował wydatku. Nikt.)

— Psy! Psy! Spuścić psy! — wrzasnęła Annabel Lee, staczając się z łóżka, ciężka bezkształtna postać w jedwabnym negliżu (na który Horace nigdy nie zwrócił uwagi, ale ona nie traciła nadziei, że kiedyś to nastąpi). — Nie możemy zadzwonić na policję, wybuchłby skandal! Sprowadzi wstyd na nas wszystkich, z tymi gnidami we włosach! Małej *miss* trzeba po prostu napędzić porządnego stracha.

Jakby biednej małej Neli nie napędzono go już wystarczająco dużo!

Annabel Lee trzymała swoje dwa wielkie, czarne smukłe psy o wielkich paszczach i ostrych białych kłach w budzie pod oknami jadalni, żeby dzieci mogły je widzieć przy posiłkach. Psy uspokajają dzieci, twierdziła Annabel Lee. Faktycznie działały uciszająco, zwłaszcza od czasu gdy nie dawano im jeść i trzymano na grzechoczących łańcuchach tuż pod ścianą budynku, by mogły przyciskać ociekające śliną paszcze do szyby jadalni i prezentować kły.

„Jeżeli nadal będziesz to robić (biegać po korytarzu, gubić skarpetki, zapominać o myciu grzebienia, cokolwiek), nakarmię tobą psy!” Utrzymanie dyscypliny nie było w Eastlake żadnym problemem.

Kiedy przyjeżdżali goście albo wizytatorzy, przenoszono psy na tyły długiego ogrodu, a do budy wsadzano króliki.

— Jak to miło, że dzieci mają swoje zwierzątka — mówił wizytator.

— I tyle zabawek! Ale właściwie gdzie są te zabawki? A, zepsute, mówi pani?

Prawda, przecież te biedne dzieci są nieźrównoważone psychicznie! Jakie to szczęście, że mają panią, droga pani Lee. Tyle w pani ciepła i serdeczności.

Chodząca cierpliwość. Jest pani dla nas wszystkich przykładem.

Annabel Lee słyszała to tak często, że niemal sama w to uwierzyła.



Ludzie przeważnie wierzą w to, że są dobrzy. Czy spotkałeś kiedyś człowieka, który uważał się za złego, Czytelniku? Ale gdzieś przecież muszą być ci źli ludzie, bo inaczej świat nie znalazłby się w tak paskudnym stanie, a nasza mała Neli nie uciekałaby w ciepłą, letnią jasną noc, ścigana przez parę śliniących się czarnych psów, za którymi podążała świecąc reflektorami i wyjąc klaksonem równie zaśliniona pijana Annabel Lee.

Czytelniku, nie chcę obrażać dobermanów. Odpowiednio chowane i traktowane łagodnie, wyrastają na najbardziej eleganckie, wrażliwe i łagodne stworzenia pod słońcem. Stają się potworami dopiero w rękach kogoś takiego jak Annabel Lee. Gdyby dopadły Neli, najprawdopodobniej rozszarpałyby ją na strzępy z czystej rozpaczy. Chciały być kulturalnymi psami, a zostały wychowane na brutalni i nienawidziły tego z całego serca.

Mąż Annabel, Horace, patrząc za oddalającym się triem — skaczącymi psami i rozwrzeszczaną żoną — zastanowił się przelotnie, czy nie zadzwonić na policję i raz na zawsze nie położyć kresu działalności Annabel, ale uznał, że nie warto. Wrócił na strych, by sprawdzić, czy nowo nabyty i ulubiony, choć trochę przestarzały silnik „Santa Fe” wygra wyścig Royal Scot. Osobiście uważam, że Horace był lekko stuknięty. Może należałoby mu współczuć z tego powodu, ale jakoś nie mogę. Neli biegła. Jak ona biegła! Biegła po łąkach i zagonach, biegła w stronę autostrady, w stronę huk i szumu, ku temu, co wydawało jej się schronieniem. Każdy normalny człowiek zdrętwiałby z przerażenia, widząc dziecko biegnące ku takiemu miejscu, ale nie Annabel Lee. Okazała tyle obojętności, ile na widok karalucha (których było mnóstwo w Eastlake) spadającego z sufitu do garnka z gotującymi się ziemniakami. Taka już była. Jeżeli dziecko zostanie przejechane na autostradzie, będzie to jego wina. Ona, Annabel Lee, zrobiła wszystko, by je zatrzymać, nikt (z wyjątkiem Horace'a, ale on milczy jak grób) nie zrozumie, jak to się stało. Zresztą może Ellen Root powinna zginąć w tamtym wypadku na *route nationale*, może uciekła przeznaczeniu, które teraz się o nią upomni. Szosy, te olbrzymie ludożercy współczesnego świata, zagarną ją w końcu, a ona, Annabel, im w tym pomoże. Annabel Lee, Czytelniku, była więcej niż odrobinę stuknięta. Nienawidziła Neli irracjonalnie i namiętnie, może

właśnie dlatego, że dziecko było normalne i dobre. Choć już nieładne, Annabel o to zadbała. Włosy Neli zostały zgolone przed kilkoma tygodniami i głowę jej otaczała krótka blond szczotka — w której Annabel nadal doszukiwała się gnid, tak obsesyjna była jej nienawiść — a pobyt w Eastlake sprawił, że twarzyczkę miała wynędzniałą, a oczy podkrążone. Uciekła w samą porę.

Mała, ogolona Neli biegła w stronę autostrady, ku życiu lub śmierci, skąd mogła wiedzieć? A kiedy dotarła do nasypu i przedostała się przez barierkę na szosę, Annabel po prostu gwizdnęła na psy i siedziała przez chwilę w landrowerze chichocząc. Potem zawróciła i pojechała do domu.

Mała Neli miała szczęście, dar odziedziczony po ojcu. Pomijając to, że była bezdomnym zagubionym dzieckiem, faktycznie potworny pech — miała niezwykle szczęście, zupełnie jak pająk, który wpadł do wanny i któremu jakiś dobry człowiek, zamiast odkręcić kran z gorącą wodą, podsuwa słomkę. Jej dobra wróżka jak dotąd zasypiała gruszki w popiele, lecz ocknęła się wreszcie i wróciła na posterunek (lepiej późno niż wcale — ale doprawdy, cóż za niedbalstwo!) i podsunęła biednemu dziecku słomkę pod postacią ciężarówki zaparkowanej w zatoczce dla policji, akurat w miejscu, gdzie Neli przeszła przez barierkę. Ciężarówka miała opuszczoną plandekę i wygaszone reflektory. Przyświecając sobie latarką, kierowca Clive i jego kumpel Beano zmieniali właśnie tablice rejestracyjne.

Jeszcze nie skończyli, kiedy podjechał drugi samochód, i Clive i Beano, cicho i sprawnie, przerzucili masywny mebel z jednego wozu na drugi. Samochód zawrócił i zniknął w czeluściach autostrady.

Neli przykucnęła i patrzyła, łapiąc oddech. Było dla niej oczywiste, że znalazła schronienie i drogę ucieczki. W chwili gdy Clive i Beano odwrócili się do niej plecami, wdrapała się na skrzynię ciężarówki i ukryła w jej głębi. Psy jej tutaj nie dopadną. Clive i Beano skończyli wymianę tablic, zasunęli brezent, zatrzasnęli drzwi i Neli wraz z częścią łupu z największej kradzieży antyków naszych czasów — ograbiono wspaniałą wiejską posiadłość, Montdragon House — wyruszyła w podróż na zachód. Clive i Beano — szczęśliwa, choć łotrowska para kumpli — śmiali się przez całą drogę z tego, że skorzystali z policyjnej zatoczki. Neli

usłyszała śmiech i zrozumiała, że jest znów wśród przyjaciół. Niewiele się śmiano w sierocińcu Eastlake.

Neli usnęła i nie obudziły jej ani wstrząsy, ani głosy, ani turkot, obudziło ją dopiero poranne słońce, które wdarło się do wnętrza ciężarówka, kiedy Clive odsunął brezent. Była na Odległej Farmie, w samym środku pięknego zielonego Herefordshire, gdzie miała spędzić następne sześć lat.

### *Same zmiany*

— Żenię się z Helen — powiedział Clifford do Angie Wellbrook przy śniadaniu w „Claridges”, rzeński po nocy z Helen, znowu czysty i silny, przekonany, że ma świat u stóp. — I co to za brednie o twoich udziałach? Jeżeli Leonardo zamknie Genewę albo przestanie wystawiać, po prostu złożę rezygnację i zepsuję ci tę całą zabawę. Odpreż się, Angie, i ciesz zyskami. Nie wtrącaj się!

A Angie powiedziała, szlochając, rujnując kosztowny makijaż i roniąc łzy na krepdeszynę, która nie znosi wody:

— Chodź do łóżka tylko ten jeden jedyny raz, Clifford. Spędzisz godzinę ze mną, a obiecuję, że zostawię ciebie i Leonarda w spokoju.

I Clifford zrobił, o co prosiła, choć muszę przyznać, że bardziej z litości i dla korzyści własnej niż z jakiegokolwiek innego powodu. Zrobił to na jednym ze staroświeckich mosiężnych łóżek w „Claridges”, rano, co wydaje mi się bardzo dekadentkie i haniebne. Potem poszedł do swojego prawnika, by sprawdzić, jak prędko Helen może rozwieść się z Karłem, tfu! Chciał powiedzieć z utalentowanym, cierpiącym Simonem.

— Przykro mi, Simonie — powiedziała Helen do swojego męża, Simona Cornbrooka. — Ale nasze małżeństwo jest pomyłką. Zresztą teraz masz Sally St Cyr.

Ale oczywiście Simon nie chce Sally St Cyr. Próbując wzbudzić w Helen zazdrość, osiągnął tylko tyle, że jest moralnie i prawnie odpowiedzialny za rozpad małżeństwa. Nagminny

przypadek. Mąż/zona przyznaje się do romansu w nadziei, że druga strona ocknie się i zrozumie, jak bliska jest utraty męża/zony, jeżeli nie zmieni swojego postępowania. Rezultat jest taki, że skrzywdzony małżonek pryska z jeszcze kimś innym, zachowując przy tym większość pieniędzy. Nigdy nie przyznawaj się do romansu, Czytelniku, nie pozwól się nakryć, jeżeli cenisz swoje małżeństwo. Inaczej stracisz wszystko — małżeństwo, kochanka/kochankę (on/ona pożąda cię tylko jako cudzą własność), środki utrzymania, a zyskasz zababrane sumienie. Możesz nawet stracić dzieci. To się zdarza.

Helen była wspaniałomyślna i powiedziała, że Simon może nadal widywać małego Edwarda. Rozwód niewiele tu zmieni, prawda? Simona i tak nigdy nie ma w domu, po rozwodzie będzie widywał syna częściej. Dom na Orme Square jest bardzo miejski. Helen wie o tym, ale znajdzie się w nim miejsce na niańkę. (Niańkę! Ona, która przysięgała, że zawsze będzie opiekowała się Edwardem sama! Jak ona może!) Clifford będzie kochał Edwarda i będzie prawdopodobnie czulszym ojcem niż Simon, który żeniąc się z nią wiedział przecież, że ona kocha jedynie Clifforda. Nie powinien myśleć, że ona czegoś żałuje, nie, nie żałuje i ma nadzieję, że zostaną przyjaciółmi. I może sprzedać dom na Muswell Hill i przeprowadzić się gdzieś z Sally St Cyr. Naprawdę do siebie pasują — Simon i Sally — para dziennikarzy, poślubiona sobie duchowo, wypełniająca kolumny gazet tak, jak inni wypełniają małżeńskie łóżka.

— Edward miał krup. — Tylko tyle zdołał powiedzieć Simon. Był to jedyny wyrzut, jaki czuł się w prawie wyartykułować. — Miał krup, a ty zostawiłaś go w domu samego z czarnym detektywem jako baby sitterem.

— Czy nie przemawia przez ciebie rasizm? — Jej śliczne brwi powędrowały w górę.

— Nie bądź tak cholernie głupia — wyszłochał niemal Simon. — Chodzi mi tylko o to, że czarny detektyw nie wie, jak poradzić sobie z krupem.

— Dlaczego nie? Ponieważ jest czarny? Jestem pewna, że wie o wiele lepiej niż Sally, jak radzić sobie z chorym dzieckiem. — I tu Helen ma rację. Choć z drugiej strony, nie sposób wiedzieć na ten temat mniej niż Sally. — Zresztą to wcale nie jest

prawdziwy krup, tylko paskudny kaszel oskrzelowy. Ten dom zawsze był wilgotny. Tyle razy prosiłam, żebyś wyciął drzewa.

Sally chciała wydać się za Simona. Małżeństwo jest użyteczne dla kobiety, zwłaszcza małżeństwo z kimś, kto znajduje się

● szczebel wyżej w karierze zawodowej, jeśli oczywiście mąż nie oczekuje, że żona zrezygnuje z kariery zawodowej i zostanie kura domową. Nie o takim małżeństwie myślała Sally. Postrzegała je raczej jako wspólnotę zawodową. Szybkie porównanie notatek nad poranną kawą, nazwisko przydatnego informatora, cenna uwaga o nawykach wydawcy. Małżeństwo było dla Sally ostrym narzędziem, którym chciała wyrąbać sobie kolejne stopnie na wierzchołek zawodowego drzewa. Coś jak związek An-gie i Sylvestra, z dodatkiem łóżka i obustronnych zobowiązań prawnych. Nie miała nic przeciwko temu, by Simon widywał się z Edwardem, nie zamierzała rodzić dzieci. Nikt nie może od niej wymagać, aby wpakowała się w taką nudę, aby się uwiązała. Dziennikarz musi być wolny, by podążyć za tematem choćby na koniec świata. Z pewnością Simon sprzeda dom w Muswell Hill i zainwestuje w coś pieniądze, rzuciwszy jakiś ochłap tej nudnej suce, Helen. (Simon, jak to możliwe, aby to była twoja wina, że ona odeszła z Cliffordem Wexfordem?! Co ty opowiadasz?! Na litość boską!) Ża odsetki wynajmie mieszkanie w centrum, najlepiej umeblowane. Przecież nie będą w nim spędzać dużo czasu. Tak, Simonie. Chcę, żebyśmy się pobrali. To ważne. Po tym całym skandalu w prasie! Sytuacja diametralnie się zmieniła. Teraz jesteś wolny, nie rozumiesz, jakie to by było dla mnie upokarzające, gdybyś się ze mną nie ożenił? Och, panno St Cyr! Nowa pani Cornbrook. Sally Cornbrook. Tak, z takim nazwiskiem można pracować w najlepszych dziennikach. Jako St Cyr — cóż, musiałaby zadowolić się „Mail On Sunday”, który wcale nie jest zły, inaczej Simon nie podjąłby z nią współpracy, ale Sally mierzy o wiele wyżej. Jej celem jest „Independent”.

Biedny Simon! Wzrok mu się popsuł, musiał zmienić okulary, dostał zapalenia dziąseł i musiał usunąć ząb; linia włosów cofnęła mu się o dwa centymetry — wszystko to w ciągu jednego roku między powrotem z Tokio a ślubem z Sally. Oto rezultat utraty żony i dziecka. W urzędzie stanu cywilnego (całe Fleet

Street wdarło się na salę nieproszone i pijane, błyskając fleszami i denerwując urzędnika udzielającego ślubu) Sally ujrzała nagle Simona w ostrym, niekorzystnym świetle i uświadomiła sobie, że jest stary. Co ona zrobi, kiedy on straci energię i zwali się jej na głowę?! Ale było już za późno. Dobrze jej tak!

### ***Triumf!***

Clifford, Helen i Edward żyli szczęśliwie na Orme Square aż do chwili uzyskania przez Helen rozvodu. Określenie „życie w grzechu” zostało już wtedy zastąpione przez „życie na kocią łapę” i nikt się specjalnie nie gorszył. Pretensje zgłaszała jedynie mama niani. Miała nadzieję, że jej córka (cóż za wykszolenie, jakie koszty!) wyląduje w domu królewskim w najlepszym wypadku, w rodzinie bankierskiej w najgorszym — a tu masz! Ale niania Ania kochała Edwarda, a Edward kochał nianię Anię, czyli wszystko było w porządku. Pamiętajcie, co mówiłam o dzieciach kochanków i sierotach? Z wiekiem Edward robił się coraz bardziej podobny do Simona, czego Helen i Clifford starali się nie dostrzegać. Na szczęście niania Ania przysięgała, że będzie wysoki, a miała przecież nie byle jakie wykszolenie na poparcie swoich racji.

Nocami Clifford i Helen leżeli w przedmałżeńskim łóżku tak splątani ze sobą, jakby się bali, że demon rozplącze ich i ponownie rozdzieli. Ale tylko anioły fruwały nad łóżkiem, rozdając błogosławieństwa.

I wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego. A było to tak: Clifford mijał sklep ze starzyzną Roache'a w Camden Passage, kiedy zobaczył obraz w oknie wystawowym, wepchnięty między ładny bladoniebieski dzban a cynowy świecznik (rzeczy, które można było wtedy nabyć za parę pensów! chciałam powiedzieć *pee*, waluta się zmieniła: zniknęły szylingi, a wraz z nimi srebrne trzypensówki za świąteczny pudding). Obraz był nie oprawiony, wielkości dwadzieścia cztery cale na osiemnaście, i tak brudny, że można się było tylko domyślać, co przedstawia.

Clifford

wszedł, targował się przez jakiś czas z właścicielem o świecznik, kupił go za cztery funty, dwa razy drożej niż Bill Roache — wychowanek Eton, który brał LSD, porzucił księgowość i wziął się za handel antykami — spodziewał się go sprzedać. Potem zapytał mimochodem o obraz. Roache, który znał się na podobnych sztuczkach, tak jak znać się może tylko syn bankierskiej rodziny, natychmiast nabrał podejrzeń.

— Nie wiem, czy chcę go sprzedać — powiedział, wydobywając obraz z okna dość brutalnie, i czekał na charakterystyczny odgłos powietrza wciąganego gwałtownie do płuc, co zdradza dyletanta. Nic takiego się nie wydarzyło.

— Nie wiem, czy chcę go kupić — odparł Clifford. — Nie wiem, czy ktokolwiek zechce. Kto to w ogóle jest?

Roache zdrapał brud z prawego rogu płótna. Palce miał starannie wymanikiowane i brudne. Pod warstwą kurzu ukazało się V, potem I, potem NCE i NT.

— Vincent — powiedział Roache.

— Nigdy nie słyszałem o Vincencie — odparł Clifford. Był człowiekiem zupełnie Roache'owi obcym, skąd biedak mógł wiedzieć, że głos Clifforda jest o oktawę wyższy niż zwykle? — Jakiś amator, zdaje się. Co to przedstawia? Kwiaty? Proszę spojrzeć na tę linię tutaj... płatek kwiatu... nie jest dociągnięta.

Cóż, kiedy ktoś mówi autorytatywnie, że linia jest niedociągnięta, wierzymy mu na słowo, nawet jeżeli jesteśmy starym etończykiem.

— Sprawdź go — powiedział Roache, wydobywając swojego Benozeta, przewodnik handlarza sztuki.

— Traci pan czas — powiedział Clifford. — Ale niech pan próbuje. Vincent. Na „V”. Niedużo tego będzie.

Roache przejrzał nazwiska na „V”. Nie było wśród nich Vin-centa.

— No nie wiem — powiedział Clifford. — Musiałbym go oprawić. Dam panu parę funciaków. — Nie mógł zaoferować więcej. Roache był i tak czujny.

— Ma swoje lata — powiedział Roache. — I jak już mówiłem, nie chcę go sprzedawać, podoba mi się.

— Pięć funtów — powiedział Clifford. — Muszę być szalony.

Pięć funtów przeszło z ręki do ręki.

— Gdzie go pan znalazł? — zapytał Clifford, kiedy obraz był już w jego posiadaniu.

— Sprzątałem strych w Blackheath u pewnej starszej damy

— powiedział Roache.

Serce Clifforda fiknęło koziołka. Vincent van Gogh chadzał piechotą z Ramsgate do Blackheath (i nic sobie z tego nie robił) w pierwszych latach pobytu w Anglii.

— Znalazł pan coś jeszcze? — zapytał Clifford.

Ale był to jedyny obraz pośród stosów starych ubrań i kawałków mosiężnego łożka. Roache kupił wszystko za trzy i pół funta, a sprzedał za trzydzieści, doliczając pięć funtów Clifforda

— za trzydzieści pięć. Nieźle.

— Nie jest to chyba żadne arcydzieło? — zapytał Roache nerwowo, kiedy Clifford odchodził. Czuł się nieswojo; coś było nie w porządku. Żaden biznesmen nie lubi, żeby go robić w konia. Utrata twarzy jest gorsza niż utrata pieniędzy.

— Zwyczajny van Gogh — odparł Clifford i Roache postanowił go zaskarżyć.

Ale nie zaskarżył. Nie dość, że wypuścił z rąk obraz wart trzydzieści pięć tysięcy funtów, to na dodatek nic nie mógł w tej sprawie zrobić. Ubił kolosalny interes na ignorancji starszej pani, a Clifford ubił kolosalny interes na nim. Roache nie odpalił starszej pani nic ekstra i nie spodziewał się, żeby odpalił mu coś Clifford. Nie pomylił się. Obraz wart jest dzisiaj jakieś dwanaście milionów.

Sprawa dostała się oczywiście na czołówki gazet. *Fantastyczne znalezisko kapitalnego Wexforda*, *Geniusz wśród staroci*. Napisano również parę obszernych artykułów w prasie specjalistycznej. Wszystkie zapomniane stopy brudnych obrazów w kraju (a było ich wówczas mnóstwo) zostały przewalone i oczyszczone, ale nie zmaterializował się już ani jeden Vincent. Oczywiście, że nie. Trzeba było do tego szczęścia Wexforda.

Szczęście Clifforda! Ono właśnie zachwyciło Helen. Dodajmy jeszcze jego zdolność odróżnienia tego, co cenne, od tego, co bezwartościowe, nieomylny instynkt, z jakim odnajdywał puls Sztuki, jego zdolność kochania, bogactwo seksu, ich cudowne zjednoczenie, a otrzymamy pełny obraz triumfu Clifforda i He-



len. Nie sprzedali obrazu — oczywiście, że nie! — powiesili go nad marmurowym kominkiem, a on jaśniał, jaśniał. Nie były to słoneczniki, rzecz jasna, ale maki. John Lally oświadczył, że Clifford zawarł pakt z diabłem. Ale był to fakt powszechnie znany, więc o co tyle krzyku?

Helen zapytała Evelyn, po kryjomu, ponieważ została ponownie wyklęta z Applecore Cottage: „Mamo, brakuje wam pieniędzy?...” Ale Evelyn powiedziała: „Nie, nie chodzi o pieniądze”. Wygląda na zmęczoną, pomyślała Helen. Evelyn kochała małego Edwarda. Mówiła, że wygląda jak John.

Angie zadzwoniła z Południowej Afryki, żeby pogratulować Cliffordowi wielkiego znaleziska. Wydawało się, że jest mu szczerze życzliwa. Jej zdaniem powinien wystawić impresjonistów. Daje głowę, że za dziesięć lat *Maki* Vincenta osiągną wartość miliona funtów. Mniejsza suma byłaby po prostu hańbą. Ma nadzieję, że obraz harmonizuje z zasłonami Helen.

Cynthia powiedziała do Ottona:

— Zdaje się, że będziemy teraz rzadziej widywali naszego syna.

— Świetnie! — odparł Otto i dodał pospiesznie: — Teraz, kiedy wrócił do Helen i jest szczęśliwy...

Ale tak naprawdę cenił sobie spokój i cieszył się na weekendy nie zakłócaną paplaniną Clifforda. Cały ten zgiełk wokół van Gogha wydał mu się czymś wulgarnym. Van Gogh żył i umarł w nędzy i zapomnieniu. Fakt, że doceniono go po śmierci, to jedna sprawa, spekulacja na nim to zupełnie co innego.

— Może będą mieli dzieci — mówiła Cynthia z nadzieją. Nie czuła się już tak młodo jak kiedyś. Nie miała kochanka.

Młodzi ludzie nadal byli dostępni w dużym wyborze, dawali się łatwo oczarować, ale zaczęła odczuwać poniżenie rolą starej kochanki. Miała plamy wątrobowe na dłoniach. Kochankowie nie mogli pomóc na pewne sprawy. Tylko że w pustkę, jaką pozostawili po sobie, szybko wkroczyła starość. Cynthia czuła, że gdyby Clifford i Helen oddali jej jeszcze kiedyś pod opiekę dziecko, tym razem z pewnością by je pokochała. Życie Neli trwało tak krótko, gdyby tylko wiedziała, postępowałyby zupełnie inaczej, byłaby o wiele mniej krytyczna wobec Helen. Zawiodła Clifforda jako matka, nie dała mu miłości, nie udzieliła wsparcia, o Ottonie nie

ma w ogóle co mówić. Chciała otrzymać jeszcze jedną szansę, z innym dzieckiem. Tymczasem całą swoją uwagę skierowała na Ottona. Ale okazało się, że podczas gdy ona zarzucała przyjemności konspiracji, on je ponownie odnalazł. Dziwni ludzie dzwonili do niego o dziwnych porach dnia i nocy, przekazując wieści, których ona nie powinna słyszeć. Telefon dzwonił, a Otto nie pozwalał go odebrać, po czym wychodził z domu tyle godzin później, ile razy odezwał się sygnał. Cóż, to pozwalało mu zachować młodość. Nie sądziła, żeby to było niebezpieczne. A Johnnie śpiewał i polerował stare końskie uprząże, i wydawał się o wiele mniej powolny w mówieniu i myśleniu niż wcześniej.

Helen wróciła na studia i ukończyła kurs wzornictwa. Clifford nie zgłosił sprzeciwu. Nie była już jego młodziutką oblubienicą. Dużo się nauczył — absolutnie wbrew woli — od Fanny, Elise, Bente i tak dalej, zwłaszcza od Fanny. Dużo o niej myślał. Walczyła i przegrała, ale nauczyła go więcej, niż sama mogła przypuszczać. I miała gust. Zastanawiał się, co aktualnie robi. Mogłaby okazać się przydatna dla Leonarda teraz, kiedy zdobyła więcej doświadczenia.

Clifford napisał wspaniałą książkę o impresjonistach, którą sprzedawano za dwadzieścia funtów, co jest sumą absurdalną za książkę, nawet jeżeli traktuje o sztuce, ale książka Clifforda stała się bestsellerem. Harry Blast, telewizyjny krytyk artystyczny, tępił ją tak zażarcie — nigdy nie wybaczył Cliffordowi, że zrobił z niego głupca — za tani populizm, że wszyscy natychmiast polecili do księgarni ją kupić. Jedynym miejscem, gdzie warto mieć wrogów, jest telewizja.

Leonardo działał sprawnie, Angie trzymała się na dystans, wystawa Rembrandta pobiła wszelkie rekordy popularności. Potem retrospektywny przegląd dorobku Davida Firkina — odważny krok, po raz pierwszy współczesny malarz wystawiał w Great Hall — pobił rekord Rembrandta. Leonardo, podobnie jak Clifford, był bezbłędny. Królowa otworzyła nowy pawilon, gdzie eksperci wyceniali i omawiali dzieła sztuki, nieodpłatnie i ku irytacji handlarzy, którym sprzątnięto w ten sposób zarobek sprzed nosa. Trzy wczesnogeorgiańskie domy zostały wyburzone, by zrobić miejsce na pawilon, ale takie rzeczy zdarzają się dość często i nikt nie protestuje, w każdym razie niespecjalnie

głośno. Tyle jest przecież starych domów w Londynie. Można by je wyburzać latami i wyrwa byłaby niedostrzegalna...

Clifford i Helen pobrali się natychmiast po otrzymaniu przez Helen rozwodu z Simonem. Był to cichy ślub, a to z tego powodu, że tydzień wcześniej umarła Evelyn.

### *Ofiara*

Helen ze zrozumiałym lękiem zawiadomiła rodziców o rozwodzie i ponownym zamążpójściu. Lallyowie odwiedzali od czasu do czasu Muswell Hill, może nieczęsto, ale odwiedzali. John Lally nie był łatwym gościem. Wygłaszał przemowy na taki czy inny temat, najczęściej tyrady o nowych łajdactwach rządu, wielkiego biznesu lub przemysłu artystycznego, knujących spisek przeciwko biednym, słabym, natchnionym artystom tego świata. Helen była do tego przyzwyczajona. Simon nie. Malarz miał zasadniczo rację, choć zdradzał skłonność do niebezpiecznych uogólnień. Simon uznał za swój obowiązek korygować błędy w rozumowaniu Lally'ego i regularnie obrażał teścia. Helen godzinami dowodziła, że mąż podziela w gruncie rzeczy poglądy jej ojca, że wcale nie jest faszystą, wręcz przeciwnie. Evelyn (która wyglądała na wycieńczoną) trzęsła się jak osika i błagała męża, by przestał. John Lally nie dawał się uspokoić. Simon również nie.

Poza tym Evelyn miała zwyczaj porównywać rozwój Edwarda i Neli, a Simon nie lubił mówić o Neli, ponieważ to wytrącało z równowagi Helen i ponieważ Edward nie wytrzymał porównania z siostrzyczką. Jako dwulatek wypowiadał zaledwie parę słów, podczas gdy Neli w tym wieku mówiła już pełnymi zdaniami.

— Tak, mam — odpowiadała wtedy Helen — ale dziewczynki zaczynają mówić wcześniej niż chłopcy. — A pewnego razu wyjaśniła: — Chłopcy szybciej zdobywają umiejętności ruchowe.

— Jakim śmiesznym językiem wy teraz mówicie — zauważyła Evelyn. — Umiejętności ruchowe! — Och, jaka była smut-

na! — Oczywiście John i ja mieliśmy tylko jedno dziecko, dziewczynkę — powiedziała, kiedy Helen stawiała przed nią bardzo dobrą zupę grzybową. Powiedziała to takim tonem, jakby Helen nie miała z nią już nic wspólnego, na dodatek nie była przecież chłopcem! To kompletnie wytrąciło Helen z równowagi. Rozmyślała o słowach matki przez wiele dni. Nie potrafiła zbliżyć się do Evelyn, która zdawała się pogrążona w czymś w rodzaju nieszczęścia we dwoje ze swym mężem. Helen nie mogła na to patrzeć i oddychała z ulgą, kiedy rodzice wracali do domu, zupełnie jakby zdjęto jej z barków potworny ciężar.

— Dlaczego mieli tylko ciebie? — zapytał kiedyś Simon.

— Zdaje się, że jako dziecko za dużo płakałam po nocach — odparła wymijająco. — John nie mógł się skoncentrować. Tak, myślę, że to z tego powodu.

O tak, artysta staje się potworem, jeżeli mu na to pozwolić. Evelyn przerywała cztery ciąży. Czekala z tym do ostatniej chwili, w nadziei że John Lallyjmięknie. Nie zmiękł.

— Możesz urodzić tyle dzieci, ile ci się podoba — powiedział — tylko mi ich nie pokazuj. — Po czym dodał, jakby chciał uprzedzić ewentualny protest: — Jeżeli ci się to nie podoba, odejdz. Nie zatrzymuję cię.

Evelyn nie zarzuciła mu, że blefuje. A powinna. Czekala, czekała na próżno, na jedno słowo, które dałoby jej odwagę. Absurd! Skończyło się na tym, że ani nie odeszła, ani nie została. Pozwoliła, by zmarnowało się tyle życiodajnej krwi, zmarnowała synów, którzy mogliby wyśmiać, zawstydzić swojego ojca. Zrobiła to ze strachu przed gniewem męża, przed jego złymi humorami. Tak więc Helen, nie chroniona przez horde rozkrzyczanych, rozpieszczonych łobuziaków, musiała przyjąć na siebie natarcie ojcowskiego temperamentu. Co gorsza, obrała tę samą metodę obronną co matka, ulegała ojcu i pobłażała mu, od czasu do czasu obłaskawiając go jak dzikie zwierzę. Napotkawszy w Cliffordzie naturę bardzo zbliżoną do ojcowskiej — co jest przeznaczeniem takich córek — postępowała z nim równie źle.

Ich małżeństwo było z góry skazane na niepowodzenie. Helen miała w Cliffordzie ni to męża, ni ojca, coś pośredniego między jednym a drugim. Kiedy ciężar tej nienaturalnej sytua-

cji przerósł jej siły, zwróciła się do Simona, w którym widziała brata, którego nigdy nie miała. A dlaczego nie miała brata? Ponieważ za dużo płakała jako dziecko. Jej wina! Wszystko to jej wina! Simon, ten nedorobiony brat, nie pomógł jej również. Same klęski i niepowodzenia, biedna Helen, ofiara swoich nerwic zastanawiająca się, dlaczego zawiodło ją szczęście. Teraz znów próbowała sił z Cliffordem i istniała szansa, tylko szansa, że poradzi sobie lepiej.

Opuszczając Simona i wracając do Clifforda, została automatycznie wyklęta z Applecore Cottage. Przyjęła to niemal z ulgą. Dzwoniła do matki od czasu do czasu, z poczucia obowiązku, i czasami się z nią widywała, potajemnie, na lunchu „U Boba”. Robiła, co mogła, by nie czuć się winną nieszczęścia Evelyn, które przyćmiewało jej własną radość.

Kiedy rozwód stał się faktem i ustalono datę ślubu, zadzwoniła do Evelyn.

— Wiem, że John nie przyjdzie — powiedziała — ale czy ty mogłabyś? Proszę, proszę.

— Kochanie, twojego ojca bardzo by to zdenerwowało. Wiesz o tym. Nie powinnaś nawet prosić. Zresztą nie jestem ci tam potrzebna. Skoro żyjesz z Cliffordem od roku i byłaś już przedtem jego żoną, ceremonia wydaje mi się trochę zbędna. Tobie nie? Jak tam mały Edward? Mówi lepiej?

— Ona nie przyjdzie, nie przyjdzie! — szlochała Helen w ramię Clifforda. — To wszystko twoja wina!

O! Zrobiła się odważniej sza.

— Czego po mnie oczekujesz? Że oddam mu jego obrazy?

— Tak.

— Żeby mógł je pociąć sekatorem? Zrobiłby to bez wątpienia.

— Och, nie wiem, nie wiem. Dlaczego nie mogę mieć takich rodziców jak ty?

— Bądź wdzięczna, że nie masz. Coś ci powiem. Idź tam i wykurz ich z nory. Zmusz ich do przyjścia. Oboje. Obiecuję, że będę miły.

— Boję się.

— Wcale nie — powiedział. I faktycznie nie bała się.

Tak więc pewnego sobotniego poranka Helen wchodzi do Applecore Cottage, zarumieniona i podekscytowana, pełna marzeń o Cliffordzie, zdecydowana uszczęśliwić rodziców swoim szczęściem. Jednym pchnięciem otwiera drzwi, wpuszczając słońce do malutkiego salonu, gdzie Evelyn zwykle siedzi i dzierga albo łuska groch i czeka, aż jej mąż wyłoni się ze studia lub z garażu. Czeka na kolejną tyradę bądź dzień milczenia, karę za jakieś przewinienie, które popełniła może przed wielu laty, a o którym John sobie przypomniał stojąc przy pałecie, mieszając śnieżną biel, błękit albo ochrę i dumając nad istotą samego koloru lub jego przemianą w żyjące ciało, gnijące ciało, zamrożone ciało, spieczone ciało, w cokolwiek, co absorbuje go tego dnia. Nakłada farbę warstwa na warstwie, wiedząc, że obraz byłby o niebo lepszy, gdyby on, John Lally, mógł wywołać w ludziach jakiś odzew. Ale nie może, musi jednak czerpać skądś siły, nie z siebie przecież, nie jest już młody. Paranoja dostarcza pewnego napędu, a kto nadaje się na pożywkę lepiej (teraz, kiedy John nie wychodzi już z domu) miEvelyn? Czyż Clifford nie zwrócił na to uwagi wiele lat temu? Powiedział, że Evelyn jest częścią świata, w którym John Lally funkcjonuje jako malarz...

Evelyn wie o tym. Dlatego siedzi w półmroku, bezwolna ofiara. Pokój wydaje się ciemny właśnie dlatego, że ona w nim przebywa, ostatnio jakby przyciągała mrok i cienie przeznaczenia, które czają się za jej plecami. Helen wchodzi wraz z promieniem słońca — wszystko jest znów możliwe, ponieważ znów jest z Cliffordem, wyzwolona ciałem i duszą — i wprowadza cienie w ruch. Ten dom jest nawiedzany przez duchy, myśli Helen. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Wypolerowane miedziane garnki na haczykach drżą jakby na wietrze, ale przecież nie ma wiatru.

— Coś się stało? — pyta Evelyn. — Wyglądasz inaczej.

— Chcę, żebyście przyszli na mój ślub — mówi Helen. — Oboje. Gdzie jest John?

— Gdzie ma być? Maluje na strychu.

— Jest w dobrym humorze?

— Nie. Powiedziałam mu, że przyjdiesz.

— Skąd wiedziałaś? Nie mogłaś wiedzieć.

— Miałam sen zeszłej nocy — mówi Evelyn. Przykłada dłoń do głowy. — Boli mnie głowa. To dziwny ból. Śniło mi

sie, że stoisz obok Clifforda. Śniło mi się, że umieram. Musiałam umrzeć, żeby cię wyzwolić.

— Co przez to rozumiesz? — Helen jest zaniepokojona.

— Jesteś za bardzo moją córką, nie dość sobą. Jeżeli chcesz być szczęśliwa z Cliffordem, musisz stać się bardziej córką swojego ojca.

O czym ona mówi? I te dziwne cienie na tle rozhuśtanych garnków! Czy Evelyn chce powiedzieć, że jeżeli Helen poślubi Clifforda, ona się jej wyprze? Ale Evelyn mówi dalej:

— Musisz być z Cliffordem, kiedy Neli wróci. Helen rozdziawia usta.

— W tym śnie rzucałam na ciebie cień. Wszędzie było tyle słońca i tylko ten jeden cień. Neli szła przez zielone pola. Wiesz, że ona ma już siedem lat? Jest taka podobna do ciebie, kiedy byłaś mała, z wyjątkiem włosów oczywiście. Włosy ma Clifforda.

Helen jest przekonana, że matka bredzi. Jest coś dziwnego w sposobie, w jaki mówi, w ruchu, jakim osuwa się na krzesło. Helen wbiega na schody prowadzące na strych i woła ojca. Nikomu nie wolno tak krzyczeć — to zabronione. On maluje, nie można mu przeszkadzać. Uwaga, geniusz przy pracy! Ale ton głosu Helen sprowadza go na dół.

— Taki ból głowy — mówi Evelyn. — Dziwny ból głowy. Pół głowy mam bardzo jasne, pół zamglone. Już czas, żebym odeszła, usunęła cień. Nie martw się o Neli. Wróci.

Uśmiecha się do córki, zdaje się nie zauważać męża, próbuje podnieść rękę, nie może. Próbuje poruszyć głowę, nie może, i po prostu umiera z tym zdziwieniem w oczach. Helen wie, i to nie dlatego, że głowa matki jest odchylona tak daleko na oparcie fotela, ale dlatego że gaśnie światło w jej oczach, zupełnie jak zgaszona lampa. Powieki nie opadają. Przymyka je John Lally, a Bóg jeden wie, że namalował dość martwych oczu, by przyzwyczaić się do ich wyrazu.

Doktor powiedział, że Evelyn miała prawdopodobnie trzy wylewy w ciągu dwudziestu czterech godzin i ten ostatni okazał się śmiertelny.

Helen jest zadziwiająco spokojna. Ma wrażenie, że Evelyn umierając zrobiła tylko to, co sobie postanowiła. Ciało posłusznie wykonało nakaz woli. Helen cierpi, ale w to cierpienie wplata się

szczęście, dar, który otrzymała od Evelyn — poczucie, że życie zaczyna się, a nie kończy. Dość nierozważnie opowiedziała Johnowi Lally'emu o śnie jego żony. Oświadczył, że równowaga umysłowa Evelyn była już najwyraźniej zachwiana. Na wypadek gdyby nie był to chory żart i Helen naprawdę chciała poślubić Clifforda, mordercę jego wnuczki, niech przyjmie do wiadomości, że dla niego jest równie martwa jak Evelyn. Cóż, był zdenerwowany. My wiemy, że Evelyn miała wizję, coś, co Bóg zsyła dobrym ludziom w godzinę ich śmierci. Evelyn utrzymała się przy życiu dość długo, by dane jej było przekazać swoją wizję Helen, jako rekompensatę za to, że ją tak bardzo zawiodła. Jest niemal niemożliwością, Czytelniku, nie zawieść swoich dzieci.

Chciałabym móc napisać, że John Lally czuł wyrzuty sumienia za sposób, w jaki traktował żonę, ale nie mogę. Mówił o niej —to znaczy wtedy, gdy ją sobie przypomniał, czyli niezbyt często — „ta głupia kobieta”. Cóż, trzeba docenić taką szczerłość i konsekwencję. Nie ma nic gorszego niż świeżo owdowiały małżonek, który wychwala zmarłą, choć jeszcze niedawno wyrażał się o niej obelżywie. Powinniśmy spróbować nie mówić źle o żyjących, zamiast mówić dobrze o zmarłych. Życie jest tak krótkie!

### ***Pogrzeb***

Filmowcy uwielbiają pogrzeby! Jak często widzimy je na ekranie: otwarty grób, zapuszczony cmentarz, grupki żałobników — wszyscy wyglądają na zmarzniętych i trochę złych, jakby była to najmniej lubiana scena filmu. Słysząc niemal głos reżysera: „Okay, akcja! Nie, Maureen (albo Rue, albo Henry, albo Wendy)! Cięcie! Na litość boską! To już szósty raz! Masz rzucić garść ziemi, a ty tylko wypuszczasz ją z ręki! Czy możemy to powtórzyć? Im szybciej to zrobimy, tym prędzej pójdziemy do domu”. Wiatr wzbija kurz wokół nóg fałszywych żałobników, jakby karcąc ich za to, że nawet śmierć, nawet śmierć! jest przeżuta, przetrawiona i wypluta w imię fabuły, zysku i fantazji. A i tak nie potrafią nam tego pokazać. Beznadzieja, straszna tajemnica trumny,



przerazający los ziemskich szczątków, nicość, w jaką obrócił się ktoś, kogo kochaliśmy, modlitwa kapłana porwana przez wiatr, poczucie daremności. O tak, na cmentarzach najbardziej upadamy na duchu. Jakże szybko przemijają pokolenia, bez żadnego dostrzegalnego celu i sensu. Po co trudzić się życiem — zdaje się sugerować otwarty grób — skoro śmierć i tak wszystko pochłonie? Tracimy wiarę w istnienie przyszłości, wiarę w to, że ziemia się obraca, a fala biegnie do brzegu, cofa się i podchodzi znowu... Nie, kto byłby w stanie pokazać to wszystko?!

W przeciwieństwie do cmentarzy krematoria nie interesują filmowców w najmniejszym stopniu. Bo i co tu jest do oglądania? Pospolity pokój, plastikowe kwiaty, przytłumiona muzyka, rzeczowy kaznodzieja, trumna na kółkach znikająca za kotarą, nawet nie w piecu, ale w zwykłym składzie trumien. I czyje prochy otrzymuje główny żałobnik? Twoje? Kto w to wierzy? Czy to ma znaczenie? Oczywiście, że nie. Kapłan trajkocze (dwadzieścia pogrzebów dziennie), myli fakty, myli nieboszczyków, choć naprawdę bardzo się stara. Obłeci! Jest to szybki, łagodny, żalorny sposób pozbycia się zmarłego, w śmierci wszyscy jesteśmy pospolici. Niech więc tak będzie.

Evelyn została spopielenona. John Lally nie przyszedł na pogrzeb. Helen powiedział, że musi wybrać między nim a Cliffordem. Wybrała Clifforda, który nie wyrządził jej matce żadnej krzywdy. Wręcz przeciwnie, osuszył dom Evelyn, umocnił dach i pośrednio zaopatrywał ją w mięsne ochłapy, z których robiła doskonały gulasz. Mieszkańcy Appleby zjawili się tłumnie na pogrzebie, lubili Evelyn i litowali się nad nią, podziwiali nawet jej lojalność wobec niemożliwego męża. Poza tym rozeszła się wieść, że będzie tam Clifford. Clifford Wexford z Leonarda, publicysta, osobowość telewizyjna! Prowadził już własny program w BBC 2 zatytułowany „Przewodnik po Sztuce” i choć niewielu go oglądało, niemal wszyscy o nim słyszeli. (Jestem pewna, że nie był to jedyny powód, dla którego sąsiedzi Evelyn przyszli na pogrzeb. A przecież krematorium było oddalone spory kawałek od Applecore...)

Otto i Cynthia Wexfordowie przyszli, żeby wesprzeć duchowo Helen. Teraz, kiedy jej matka umarła, a ojciec pogrzebał się w ich oczach swoim zachowaniem, byli jej jedynymi rodzicami.

Clifford okazał zadziwiającą wielkoduszność.

— Jako artysta — powiedział — John Lally nie dostrzega różnicy między życiem a śmiercią.

— Chcesz powiedzieć, że to wariat — zauważył Otto.

— Półwariat — odparł Clifford.

— Biedna mała Helen — westchnęła Cynthia. A potem dodała z dziwną intuicją, która zawsze wprawiała w podziw jej rodzinę: — Spodziewam się, że teraz, kiedy jej matka nie żyje, łatwiej poradzi sobie z tobą.

— Nikt nie musi sobie ze mną radzić — odparł Clifford. — We współżyciu jestem najłatwiejszym człowiekiem, jakiego znam. — Ale śmiał się. Wiedział przynajmniej, że to nieprawda.

— Wiem, uważasz się za Boga — zauważyła jego matka.

Była ubrana w twarzową czerń, a przy kapeluszu miała czerwoną różę. Helen włożyła stary płaszcz, który miała na sobie tego wieczora, kiedy poznała Clifforda. Nie wiedziała, dlaczego nie wyrzuciła prochowca, i nie rozumiała, dlaczego uznała za stosowne włożyć go na pogrzeb matki. Evelyn nigdy go specjalnie nie lubiła. Teraz wydawał się dowodem miłości i posłuszeństwa. Helen czuła, że ma błogosławieństwo matki.

Otto i Cynthia wybaczyli jej wszystko, co było do wybaczenia: karygodne zachowanie podczas rozvodu, kłótnie o opiekę nad Neli. Helen z tamtych czasów sama sobie wydawała się czarnym charakterem. Ale potem, po katastrofie lotniczej, Wexfordowie tak rozpaczali po stracie Neli, tak ubolewali nad rolą, jaką w tym wydarzeniu odegrał Clifford — i nie tylko nad tym, ale również nad jego uporem w obwinianiu Helen — że nauczyli się jej współczuć. John Lally jawił się im teraz jako olbrzym ludożerca. Gdyby to od nich zależało, odwałaby gnój. Zresztą przyznaję, że sama mam ochotę go do tego zapędzić. W końcu ktoś to musi robić. Helen kocha Clifforda, więc bardzo się staram pokochać go również. On kocha ją: to mi ułatwia zadanie. Są rodzicami Neli. Jeżeli kochamy Neli, musimy zrobić co w ludzkiej mocy, żeby kochać jej matkę i ojca, tak jak musimy kochać naszych rodziców, jeżeli chcemy kochać samych siebie. Nienawidzimy jednego z nich albo co gorsza, obu — wtedy nienawidzimy połowy albo całych siebie, a to nam na pewno nie wyjdzie na dobre.

## ***Odległa Farma***

Przedśmiertna wizja Evelyn jest mniej więcej prawdziwa. Neli rzeczywiście biega w słońcu po zielonych polach Odległej Farmy. Miejsce nazywa się wprawdzie farmą, lecz Clive i Polly, jej właściciele, są nie tyle rolnikami, ile kryminalistami, imigrantami z londyńskiego East Endu, na farmie zaś więcej jest podejrzanych osobników i kradzionego dobra niż krów, mleka, śmietanki i drzewek owocowych. Miejsce nie należało do najczystszych w świecie, a koncepcja obiadu ograniczała się tu do gotowanej fasolki na spalonej grzance albo jeszcze lepiej — do góry wędzonego łososia i szampana lub czegokolwiek, co da się zjeść i wypić bez zabiegów wstępnych. Mimo to Polly uważała się za wiejską dziewczynę z krwi i kości. Dwadzieścia akrów Odległej Farmy leżało odłogiem albo było dzierzawione na pastwiska okolicznym farmerom, ale Polly hodowała najładniejsze pnącza na ścianie obory, gdzie przechowywano skradzione dobra, a potem produkowano kokainę i LSD. Kiedy miała trochę grosza, szła do miejscowego centrum ogrodnictwa i sadziła już rozkwitłe kwiaty. Widzicie więc, że jak na zbójcejką jaskinię miejsce było urocze, ładniejsze niż w czasach swej rolniczej świetności.

Ale wybiegam zbyt daleko naprzód. Oto co się wydarzyło, gdy wczesnym rankiem wyciągnięto Neli z ciężarówki wraz z łupem Rabunku Stulecia (tak nazwały ten wyczyn gazety, choć określenie było nieściśle, jako że do końca stulecia pozostało jeszcze dwadzieścia pięć lat i wszystko mogło się zdarzyć). Clive, Beano, Polly i Rady wyciągnęli biblioteczkę chippendale — beztrąsko i nieodwracalnie gubiąc drogocenny kawałek inkrustacji — następnie osiem bardzo ładnych angielskich pejzaży (Rembrandta i van Gogha pozostawiono na miejscu przestępstwa; jest rzeczą wręcz niemożliwą sprzedać największe dzieła sztuki, są zbyt dobrze znane), parę masywnych srebrnych świeczników z czasów króla Jakuba I, a na końcu chudą, brudną, rozspaną, ogoloną Neli.

Wyciągnęli ją na słońce. A to ci pasztet! I co oni teraz zrobią?! Czytelniku, szczerze mówiąc, wzdragam się na myśl, co mogło się stać. Najlogiczniejszą rzeczą, jaką należy zrobić ze

świadkiem przestępstwa, z punktu widzenia przestępcy oczywiście, jest uciszyć go na zawsze.

Ale Neli rozejrzała się dokoła, spojrzała na oświetlony porannym słońcem kamienny budynek, na powój porastający ściany, na białego kota Polly, który przeciągał się na słońcu, i powiedziała:

— Ale tu ładnie!

(Zapewniam cię, Czytelniku, w porównaniu z sierocińcem Eastlake naprawdę było ładnie!) Clive, Polly, Beano i Rady uśmiechnęli się. Kiedy już się uśmiechnęli, Neli była trochę bezpieczniejsza.

— Musisz się wykapać — powiedziała Polly, a kiedy już się wykapała, była jeszcze bezpieczniejsza.

Potem zjadła z nimi śniadanie złożone z sera i mleka z sąsiedniej farmy, no i nie mieli już innego wyjścia, jak ją zatrzymać.

Neli mówiła coś o ucieczce przed złymi psami, ale nie chciało im się wierzyć, aby ktoś mógł poszczuć dziecko psem! Powiedziała, że nazywa się Ellen Root, i Polly skrzywiła się z niesmakiem. Zawsze lubiła unię „Neli”, postanowiła więc, że tak będą wołali małą. Polly utrzymywała ściśle kontakty ze światem pozazmysłowym, wróżyła z fusów po kawie i widywała duchy. Może rzeczywiście miała zdolności telepatyczne? To naprawdę niezwykle, że wybrała imię „Neli”.

Polly była żółtowłosa, popędliwa i skora do śmiechu, Rady niski, chudy, roztargniony i leniwy. Clive szczupły i gibki, a Beano wysoki i gruby. Nikt z nich nie przekroczył trzydziestki, wszyscy wierzyli, że następna kradzież przyniesie im fortunę. Wyjadą wtedy do Rio de Janeiro albo w jakieś inne ekscytujące miejsce i będą żyli w luksusie. Nic podobnego się nie wydarzyło: pozostali na Odległej Farmie.

Włosy Neli rosły szybko, a jej drobna twarz pojaśniała. Odkryli, że jest ładna. Pewnego dnia wzięła do ręki ołówek i narysowała kota Polly. Był to naprawdę dobry rysunek i wszyscy byli z niej dumni. Nie na darmo miała za dziadka Johna Lally'ego, choć na szczęście odziedziczyła jedynie jego talent, nie zaś trudny charakter.

— Lepiej ją zatrzymajmy — powiedział Clive do Polly. — Będziemy udawać, że jest nasza, pošlemy ją do szkoły, zapiszemy się na kursy dla rodziców. Włączymy się w życie wsi.

— Ja matką?! — zawołała Polly ze zdumieniem.

Biedaczka cierpiała na to, co psychologowie nazywają „niskim mniemaniem o sobie”. Nie chciało jej się w głowie pomieścić, by mogła mieć przyzwoitego męża, nie mówiąc o udanym dziecku. W wieku dwudziestu ośmiu lat osiągnęła wszystko, czego się od życia spodziewała. (Mniej więcej w tym wieku dochodzimy do wniosku, że nasz pogląd na samych siebie był właściwy — albo mieliśmy dość czasu, by to sobie wmówić.) Ale potem powiedziała: „Dlaczego nie? Przynajmniej nie będę musiała chodzić w ciąży i tracić figury”, co było dziwne, zważywszy że nie miała figury, którą można by stracić. Ale młodym kobietom, które biorą dużo LSD — jest połowa lat siedemdziesiątych i panuje szaleńcza moda na LSD — a nawet tym, które biorą go bardzo niewiele, trudno utrzymać kontakt z rzeczywistością. Widzą świat takim, jakim chcą go widzieć, nie takim, jakim jest naprawdę. Jeżeli uznają, że w lodówce jest jedzenie, nie chodzą po zakupy, niezależnie od rzeczywistego stanu rzeczy. Polly była doskonałym tego przykładem. Kiedy zbliżała się ósma wieczór, czas położenia Neli do łóżka, Polly dałaby sobie rękę uciąć, że zegar wskazuje siódmą. Istnieją plusy takiego systemu wychowawczego — dziecko ma pogodny stosunek do życia i traktuje świat z przymrużeniem oka — są i minusy. Dziecko musi wcześniej nauczyć się troszczyć o siebie i swoich opiekunów, zdobywać pieniądze na jedzenie, robić zakupy. Musi dobrnąć wieczorem do łóżka, choćby nie wiadomo ile bezwładnych ciał leżało mu na drodze, i usnąć z psychodeliczną muzyką w uszach zamiast kołysanki. Dzieci lubią porządek, bezpieczeństwo i rutynę; jeżeli im się tego nie zapewni, narzucają to sobie dobrowolnie. Neli radziła sobie świetnie.

Dyrekcja wiejskiej szkoły nie zadawała zbędnych pytań. Utrata choćby jednego ucznia groziła szkole zamknięciem i na sam widok Neli oczy dyrektorki rozbłysły. Nikt nie zwrócił uwagi na brak metryki i Neli Beachey, córka Clive'a i Polly, została przyjęta do drugiej klasy. Polly nie poszła na kurs dla rodziców. Nigdy nie znalazła na to czasu. Odległą Farmę zalewała powódź skradzionych mebli. Były to przecież lata siedemdziesiąte i panowała szaleńcza moda na antyki.

*Jadą, jadą dzieci drogą, Siostrzyczka i brat. I nadziwić się nie mogą, Jaki piękny świat.*

Polly śpiewała to na melodię *Trzech świnek*, kąpiąc Neli w wielkiej białej wannie z lwimi paszczami albo usypiając ją w wysokim żelaznym łóżku z miękkim wygniecionym materacem. Koce były zakurzone i cienkie, ale było ich mnóstwo, przydawały się bardzo do owijania mebli, chroniły je przed obiciem i wzrokiem ciekawskich. Neli patrzyła na Polly z powagą, ucząc się znów ufności, nowych praw. W tym domu posiłki podawano na chybił trafił, ale kiedy była głodna, brała sobie jedzenie z szafki albo z lodówki i nikt jej nie bił, nie krzyczał i nie straszył. Chcąc pójść do szkoły w skarpetkach, musiała je sobie znaleźć, a jeżeli chciała, żeby były czyste, musiała je sobie wyprać. Taki układ jej odpowiadał, choć nie przepadała za chodzeniem w mokrych skarpetkach. Cóż, zawsze mogła uciec, gdyby zdarzyło się coś naprawdę nieprzyjemnego. Udało się raz, uda się i drugi. — Uśmiechnij się! To był żart! — mówi Polly, nie wiedząc, że nieuśmiechanie się jest dla Neli radością. Wkrótce nie trzeba jej już namawiać — uśmiecha się do wszystkich, nie z konieczności przetrwania, ale dlatego że ma na to ochotę, i podskakuje, zamiast normalnie chodzić, co zawsze jest dobrym znakiem. Nie myśli już o ucieczce. Znalazła dom. Zastanawia się czasem, kim są jej prawdziwi rodzice, ale jest zbyt mądra, by o to pytać. Na Odległej Farmie nie zadaje się pytań, po prostu się jest.

Nosiła w sobie jakiś smutek, czasami badała go tak, jak bada się rozchwiane mleczne zęby językiem, co było zarazem głupie, bo bolało, i bardzo rozsądne, ponieważ przyspieszało wypadnięcie. Szczerba utrudniała jedzenie jabłek, ale nowe zęby wyrastały białe, duże i mocne.

Smutek budziło w niej wspomnienie Rose, która moczyła łóżko. Jak Rose radzi sobie bez niej? Pamiętała mężczyznę i kobietę, całych pomarszczonych, w dziwnym miejscu pełnym cieni. Pamiętała, że piekła grzanek nad ogniem. Teraz robiła grzanki dla Polly i Clive'a, a czasem dla ich przyjaciół, jeżeli znajdowała ich rano na podłodze w jadalni. (Zbierała puste butelki po winie

i mówiła z powagą: „Trzyńście! Wielkie nieba!”, co wzbudzało ogólny śmiech.) Nie lubiła myśleć za długo o ogniu. Wymykał się nagle spod kontroli i był wszędzie, buzująca ściana, za którą zniknęło troje miłych starszych ludzi. Przedtem był jakiś cichy melodyjny dźwięk, który sprawiał, że czuła się zarazem smutna i szczęśliwa. To był jej prawdziwy dom, ten dźwięk, gdzieś daleko i dawno temu, utracony na zawsze. Czasem morze połyskiwało gdzieś w dole, w górze rozciągał się błękit, wiatr owiewał jej twarz. To pewnie niebo, myślała.

A na razie miała naukę czytania, pisanie, dodawania, przyjaciół, zabawy w szkole. Odkrywała spokojny, choć obfitujący w wydarzenia świat. Na początku była nieśmiała, cicha i grzeczna.

— Jaka mądra dziewczynka — powiedziała panna Payne, nauczycielka, do Polly.

— Może być pani z niej dumna!

I Polly promieniała. Oczywiście z czasem Neli zrobiła się mniej grzeczna, bardziej żywa, ale nigdy nie stała się niedobra czy występna, nigdy nie była prześladowcą ani prześladowanym. Była rozjemcą i każdy chciał zostać jej przyjacielem. Lubiała szkołę, wiedziała, że jest krokiem naprzód. Miała małe kieszonkowe radio — wcale nie tanie, o nie! Dostała je od jednego z przyjaciół Clive'a; czasami słuchała poważnych audycji, próbując zrozumieć, co się dzieje na świecie, poza granicami Odległej Farmy. Kiedy to ją nużyło, zmieniała stację i słuchała piosenek. Nie było telewizji na farmie; nie z zasady, ale ponieważ okoliczne wzgórza uniemożliwiały odbiór. Więc Neli czytała, rozmawiała, szkicowała i malowała, i była szczęśliwa. Clive'owi i Polly wiele wybaczano z uwagi na Neli. Uznano, że nie mogą być bardzo źli, skoro spłodzili takie miłe dziecko. A jakie utalentowane! Kiedy Neli miała dziesięć lat, wzięła udział w konkursie malowania zorganizowanym przez Weetabix i zajęła w nim pierwsze miejsce.

Wybiegłam trochę naprzód. To się dopiero wydarzy, musimy na to jeszcze poczekać. Na razie, Czytelniku, zostawmy Neli na Odległej Farmie, bezpieczną i szczęśliwą, choć chowającą się trochę samopas.

### ***Złe noce***

Wróćmy do Arthura Hockneya, którego pozostawiliśmy z dzieckiem Cornbrooków tej nocy, kiedy Helen nie wróciła do domu. Arthur Hockney spędził wiele paskudnych nocy w swoim życiu. Taki los detektywa ubezpieczeniowego. Omal nie zamarzył na Antarktydzie w miejscu katastrofy lotniczej, nie umarł ze strachu przed rekinami na koralowej wysepce, o którą rozbił się tankowiec, nie zwariował z bólu, torturowany przez bandę, która porwała Shergara, ale zapytany o najgorszą noc w życiu (wyjawszy noc śmierci rodziców) powiedziałby po prostu: noc, kiedy siedziałem z dzieckiem Helen Cornbrook, a ona nie wróciła do domu.

Co też nie odwzajemniona miłość może zrobić z mężczyzną! Czy Helen wiedziała, że-Arthur ją kocha? Prawdopodobnie, choć nigdy nie przyznała tego głośno.

Twierdziła, że łączą ich interesy — zatrudniła Arthura, by-szukał Neli. Nie zmienia to faktu, że pracownik zakochany w pracodawczyni to skarb (pod warunkiem że nie jest jej adwokatem). Bierze mniej, pracuje ciężiej, choć zdarza się, że nagle wręcza jej rezygnację bez żadnego uzasadnionego powodu.

Arthur był zaskoczony, nie powiem. W ciągu tych lat, kiedy tylko on i Helen wierzyli w ocalenie Neli, Helen wypowiedziała niejedno ostre słowo o Cliffordzie. Kiedy kobieta traci miłość mężczyzny — nawet jeśli winę za to ponosi jej własna zdradziecka natura — uczy się na gwałt nim pogardzać i nienawidzić go. W ten sposób umniejsza poniesioną stratę, leczy rany i ratuje twarz. Właśnie pragnienie znalezienia ulgi w cierpieniu każe rozwodzącym się parom lżyć się wzajemnie, ku zaskoczeniu i oburzeniu przyjaciół. Helen nie była wyjątkiem, a Arthur, choć obeznany z naturą kryminalisty, ze sposobem myślenia człowieka, który oszukuje, kłamie i zabija dla własnej korzyści, o kobiecym sercu wiedział tyle co nic. Jak kobieta, która nienawidzi i obraża mężczyznę jednego dnia, może kochać go i podziwiać następnego? Zdumiewające!

Tego wieczora kiedy przyszedł do Helen, by zdać jej sprawozdanie z poszukiwań Neli, kiedy nie zastał męża Simona, za



to zadzwonił eks-mąż Clifford i zaprosił Helen na kolację, Arthur nie spodziewał się, że ona przyjmie zaproszenie. Nie spodziewał się, że poprosi go, by siedział z dzieckiem, a tym bardziej że on się na to zgodzi.

Nie spodziewał się, że ona nie wróci na noc. Nie spodziewał się, że będzie taki nieszczęśliwy, zły i zazdrosny. Nie spodziewał się tego bólu w piersiach, który najpierw nasunął mu myśl o chorobie, dopiero potem o złamanym sercu. Czuł się nie tylko bezgranicznie nieszczęśliwy, czuł się jak głupiec. Tak, to była najgorsza noc w jego życiu. A potem, kiedy stało się jasne, że Helen ponownie wyjdzie za Clifforda, naprawdę wyjdzie za człowieka, który zadał jej tyle bólu, Arthur przysiągł sobie, że odłoży akta Nell Wexford do teczki „Dzieci zaginione — nie odnalezione”.

A jednak. A jednak! Pomijając kwestię istnienia Helen, Clifforda i jego własnych uczuć, stanął w obliczu zagadki, a rozwiązywanie zagadek leżało w jego naturze. Pewnego dnia, pod wpływem impulsu, poszedł ponownie do pani Blotton. Upłynęły trzy lata od wypłacenia dwumilionowego odszkodowania, a cztery od katastrofy, w której rzekomo zginął Blotton i mała Neli. Arthur Hockney uznał, że jeżeli Erich Blotton chce wrócić ze świata umarłych, zrobi to teraz.

Pani Blotton mieszkała na tej samej małej podmiejskiej uliczce, w tym samym rzędzie identycznych domków jednorodzinnych. Arthur mógłby przysiąc, że ubrana była w tę samą starą tweedową spódnicę i cienki czerwony pulower. Była równie chuda, blada i zdenerwowana. Nie wiedział, czy to zdenerwowanie bierze się z poczucia winy czy z faktu, że on, Arthur, jest taki czarny.

— Znowu pan! — powiedziała, ale wpuściła go do czystego, nadzwyczaj skromnego saloniku. — Czego pan chce? Mój mąż umarł. A nawet gdyby żył, dlaczego przychodzi pan do mnie?

— Z powodu pieniędzy — powiedział Arthur. Zaśmiała się cicho.

— O, tak — powiedziała — jeżeli pieniądze potrafią sprowadzić kogoś z grobu, to tylko Ericha Blottona. Ale niewiele ich już zostało. Rozdaję je. Po troszku, żeby na dłużej starczyło. To mi dostarcza zajęcia. Pozwala wyjść z domu.

— Ma pani dobre serce — powiedział.

Sprawił jej tym przyjemność. Zrobiła mu filiżankę herbaty.

— Wy, czarni! — powiedziała. — Wszędzie was pełno! Nawet na tej ulicy. Cóż, człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego— To ładnie z pani strony — powiedział.

— Nie chciałam pana urazić.

— Skądże znowu!

Pomyślał, że przynosi wstyd swoim rodzicom. Zaciska zęby i przełyka obelgi, nie robiąc nic, by zmienić, ulepszyć świat. Prawda wyglądała tak, że on, odważny w działaniu, był moralnym tchórzem. Postawcie przed nim zboczeńca próbującego rozłupać mu głowę siekierą, a będzie funkcjonował jak maszyna. Wpakujcie go na mównicę przed tłum ludzi, a ręce zaczną mu drżeć, serce walić, język się plątać. Ośmieszy siebie i sprawę, której chciał być orędownikiem. Skonfrontowany z rasizmem pani Blotton, jej wrodzoną głupotą, nerwicą i ignorancją, nie zrobił nic, by ją oświecić. Było mu wstyd za samego siebie.

Tymczasem pani Blotton oznajmiła nie pytana, że rozdziela swoje pieniądze między domy dziecka. Zawsze ją frustrowała profesja męża, ale co mogła zrobić? Żona winna jest lojalność mężowi. Ale uprowadzanie dzieci! Głównie dla ojców, to oni mieli pieniądze, podczas gdy matki miały dzieci. Ale to już przeszłość. W gruncie rzeczy cieszyła się z wizyty gościa, nawet takiego jak Arthur. Nieczęsto miała okazję pogawędzić. Szczerze mówiąc, czuła się trochę samotna. Nie ma nikogo z wyjątkiem kota. Co to zresztą za kot! Zwyczajny dachowiec łachudra. Kupiła sobie persę, ale sąsiedzi ukradli go i sprzedali na skórki.

— Dlaczego pani stąd nie wyjedzie, choćby na południe Francji, użyć trochę życia? Jest pani milionerką.

— Ciii!

Nienawidziła tego słowa. Panicznie bała się złodziei. Zresztą jak dostanie się na południe Francji? Co będzie tam robiła? I z kim? Niełatwo zawiera przyjaźnie. Nie. Lepiej zostać tutaj i cichutko rozdawać pieniądze. Poza tym nie zostawi przecież pustego domu. Ktoś mógłby się włamać i przewrócić wszystko do góry nogami. Leżała nocami w łóżku, myśląc o swoim mężu. Nie żył, to oczywiste. Został ukarany za palenie papierosów — czym jest palenie jak nie samobójstwem? Na szczęście ubiegł go Pan

Bóg — i za porwanie małej Wexfordów. Jak ona miała na imię? Neli? To dopiero tragedia. Chciała zaadoptować dziewczynkę, ale kto by jej na to pozwolił? Wdowie w średnim wieku! Albo żeby chociaż dali jej dziecko pod opiekę. Chciała odkupienia grzechów.

W jednym z sierocińców znalazła dziewczynkę, która naprawdę przypadła jej do gustu. Ellen Root. Mniej więcej w tym samym wieku co dziecko Wexfordów. Niespecjalnie ładna; ciągle golili jej głowę. Zapytała, czy może zabrać ją do domu, ale powiedzieli: nie. Dziecko jest opóźnione w rozwoju, powiedzieli. Bzdura. Mała mówiła po francusku, a oni, ignoranci, myśleli, że bełkocze.

— Po francusku? — zapytał Arthur. — Mówiła po francusku? Gdzie ona jest teraz?  
— Zniknęła — odparła pani Blotton.

A Arthur pomyślał: „To ona!” Dziecko, które zaginęło raz, zaginęło dwa razy, zaginie i po raz trzeci. To taki zwyczaj losu, tendencja, jeżeli wolicie. Ale Ellen Root? Eleanor Wexford stała się Ellen Root? To nie do pomyślenia!

— Jak na czarnego, nie jest pan taki zły — powiedziała pani Blotton. — Zdaje się, że świat składa się z różnych ludzi.

— Na to wygląda, pani Blotton.

Ku jego zdumieniu podała mu rękę na pożegnanie, uśmiechnęła się i Arthur odkrył, że pani Blotton ma nawet pewien urok. Może rodzice nie potępiliby go mimo wszystko. Zrozumiał nagle, że przekonanie, iż powinien pójść w ich ślady, brało się z poczucia winy. W końcu on żył, a oni zginęli śmiercią tragiczną. Nigdy nie ukarze ich morderców, ale istotą jego pracy jest walka ze złem. To z pewnością wystarczy. Opuścił dom pani Blotton z lepszym sercem. Nagle spostrzegł, że nawet na tej nędznej podmiejskiej uliczce śpiewają ptaki, kwitną róże, a siedzące na parapetach koty patrzą przed siebie oczami, w których tym razem nie ma potępienia.

### *Poczucie winy*

Arthur Hockney pożegnał panią Blotton i pojechał do sierocińca Eastlake. Był to niski nowoczesny budynek z betonu i szkła. Beton pokrywały graffiti i liszaje wilgoci, okna były brudne i miejscami wybite. Ośrodek nie należał do starych, miał jednak dość czasu, by podupaść w ten szczególnie smutny sposób, w jaki podupadają opuszczone nowoczesne budynki — jakby nie mogły się już doczekać, kiedy obrócą się w surowiec, z którego tak pochopnie zostały wzniesione.

Arthur zapukał do liszajowatych drzwi. Nie słychać było ani krzyku, ani śmiechu dzieci. To go zdziwiło. Pani Blotton wspomniała, że Ellen Root miała ogoloną głowę. Kto w drugiej połowie dwudziestego wieku goli głowy małym dziewczynkom?

Drzwi otworzyła młoda kobieta, pół Chinka, pół Walijka, jak się później dowiedział. Arthur pomyślał, że jest uderzająco piękna. Spasiony doberman deptał jej po piętach. Z kieszeni zielonego fartucha — który pogłębiał zieleń jej skośnych oczu — dziewczyna wyjmowała co jakiś czas kostkę Pedigree Pal i niedbale karmiła bestię.

— Ośrodek został zamknięty — powiedziała Sara Dobey nie bez nuty podziwu dla urody czarnego gościa — w samą porę. Skąd pan jest? Ochrona zwierząt?

Maltretowane dzieci, defraudacja, zakład energetyczny? Wszyscy już byli.

Przy kolacji Arthur wyjaśnił powód swojej wizyty. (Zdarza się, że bardzo ładne, bardzo mądre, zbyt inteligentne dziewczęta nie mają narzeczonych — jaki młody człowiek mógłby im dorównać? Trzeba do tego starszego, bardziej doświadczonego mężczyzny, a ci są najczęściej żonaci lub z innego powodu niedostępni.) Doberman uczestniczył w posiłku, zwinięty pod stołem, obraz psiego przywiązania. Zadowalał się okruchami zapiekanki warzywnej Sary i kawałkami stęka Arthura. Sara była wegetarianką.

— Ellen Root?! — wykrzyknęła. — Ależ to właśnie ona wszystko rozpętała!

— Rozpętała co?

— Skandal! Oczywiście ukręcili łeb sprawie, żeby nie dostała się do gazet. Opowiedziała mu, co się stało. Ona, Sara Dobey, była urzędniczką w miejscowym Biurze Opieki Społecznej. (Nie powinna tam pracować ze swoim dyplomem z filozofii, ale kto zatrudniłby ją jako filozofa? No, niech Arthur na nią spojrzy! Kto zatrudni filozofa z jej wyglądem?) Annabel Lee, administratorka w Eastlake, zgłosiła ucieczkę dziecka. Poszukiwania przez policję nie dały rezultatu. Biuro Opieki Społecznej, zaniepokojone doniesieniami, które napływały od jakiegoś czasu z Eastlake, wysłało tam Sarę w charakterze pokojówki, by wyjaśniła sprawę.

— Łatwo ocenić charakter białej kobiety po sposobie, w jaki odnosi się do sprzątaczek — powiedziała Sara. — Zwłaszcza jeżeli ta sprzątaczką jest czarna, brązowa albo żółta. Mówię ci, Annabel Lee miała naprawdę zły charakter. Udawała jej się ukryć prawdę przed wizytatorami, ale ja szybko odkryłam, że tyranizuje dzieci i trzyma na łańcuchach głodne psy. Co się tyczy jej męża, był maniakiem kolejek elektrycznych. Albo nie wiedział, co się tu dzieje, albo go to nie obchodziło. Dopóki otrzymywał pensję i mógł uzupełniać kolekcję, było mu wszystko jedno. Ona, Sara Dobey, przygotowała raport, wysłała go i tego samego wieczora, nie znając się specjalnie na psach, ale poruszona ich wyciem, otworzyła furtkę na podwórko. Dobermany wyskoczyły. Zupełnie się tego nie spodziewała. Annabel Lee zeszła ze schodów, żeby zobaczyć, co się dzieje, i psy pobiegły w jej kierunku. Przestraszyła się nie wiedzieć czemu i zaczęła uciekać przez bagna, ścigana przez dwa zwierzaki (Chciały tylko, żeby wyprowadziła je na spacer, biedactwa!). Wpadła na autostradę, gdzie zginęła pod kołami ciężarówki.

— Próbuję wykrzesać z siebie trochę żalu — wyznała Sara. — W pewnym sensie to wszystko moja wina. Ale jakoś nie mogę. To pewnie przez tę filozofię. Daje mi perspektywę. Może powinnam się leczyć?

— Nie sądzę — powiedział Arthur.

Horace Lee zdawał się być bardziej poruszony koniecznością rozebrania swojej kolejki — ośrodek został zamknięty, a dzieci, ku ich radości, rozlokowane po rodzinach — niż śmiercią Annabel Lee i utratą pracy.

— Ludziska są rozmaite — westchnęła Sara (znajdowała w miejscowej gwarze wychnienie od literackiego angielskiego, którym posługiwała się na co dzień) i Arthur musiał się z nią zgodzić. Sara miała w sobie coś z Helen — wystające kości policzkowe, czyste spojrzenie — ale była optymistką, widziała rozwiązanie problemów w działaniu, nie w bierności.

Sara została w ośrodku, żeby nadzorować jego zamknięcie. Znalazła dobry dom dla jednego psa, Kettle'a, z Kim, spoczywającą obecnie pod stołem, miała kłopoty. Nie знаła się na psach i nie mogła trzymać jej w nieskończoność.

— Trochę ją chyba spasaś — powiedział Arthur ostrożnie i trącił zwierzę nogą. Kim podniosła na niego wzrok. — Choć z drugiej strony może lepiej, żeby była zadowolona.

Miał wrażenie, że psy Eastlake wzięły sprawiedliwość w swoje łapy. Takie rzeczy się zdarzają. Uniósł pytająco brwi i Kim odpowiedziała mu mrugnięciem, po czym położyła łeb na jego bucie.

— Wiesz co? — powiedział Arthur. — Ja się nią zaopiekuję. Trzeba ją przetresować j doprowadzić do formy. Na granicy z Walią mam przyjaciół, którzy hodują psy. Sara miała tam rodzinę i w ten sposób ich drogi krzyżowały się ze sobą nieustannie i z zadowalającą częstotliwością, aż zlały się w jedną. Moim zdaniem była to nagroda za upór i wytrwałość, jaką Arthur wykazał w sprawie Neli, oraz za to, że siedział z dzieckiem Helen przez całą noc. Inny mężczyzna w podobnych okolicznościach poszedłby sobie w cholerę. Dobre uczynki są wynagradzane prędzej czy później, choć często w dość zaskakujący sposób.

Sara ustaliła, że Ellen Root zniknęła w noc wielkiej kradzieży antyków. Złodzieje uciekli ciężarówką. Całe to zdarzenie było niezwykle. Ellen Root, dziecko bez przeszłości, mała Angielka błakająca się po francuskiej szosie zniknęła po raz kolejny. Kamień w wodę.

— Miała przynajmniej dość odwagi i rozumu, żeby stąd uciec — powiedziała Sara. — Nikt inny nawet nie próbował. I dlatego, że uciekła, Eastlake został zamknięty. Ani o dzień za wcześnie.

— Policja jej nie znalazła — powiedział Arthur — ponieważ zrobili to złodzieje!

Poznał już nici przeznaczenia Neli, miał smykałkę do tych spraw, a my wiemy, że instynkt go nie zawiódł. Neli została ukryta razem z kradzioną biblioteczką chippendale.

Kim przeciągnęła się i polizała Arthura po rękę, a on poczuł nagle, że Neli jest bezpieczna i szczęśliwa, że ten pies jest powiązany z jej losem, z jego losem, że musi tylko kochać Sarę i opiekować się psem, by pewnego dnia los sprowadził do niego Neli. Życie może zmienić się nagle na lepsze, Czytelniku. Jeżeli wybaczysz sobie to i owo i dasz szansę szczęściu.

### ***Podziwiając dzieła sztuki***

— A to co? — zapytała Angie, stając w drzwiach niedawno otwartej River Gallery. Była to długa wąska sala z widokiem na Tamizę. Na jej pięknych jasnych ścianach wisiała, zdaniem Angie, kolekcja bazgrołów.

— Sztuka dziecięca — powiedział Clifford zwięźle. Angie przyleciała z krótką wizytą, Clifford zaś lada dzień miał zostać ojcem bliźniaków. Helen snuła się po domu na Orme Square szczęśliwa, ocieęzała, spokojna, bosa i ogromna, i wszystko to było jego, Clifforda, dziełem. Bliźniacza ciąża potrafi obrzydzić człowiekowi życie, ale Helen znosiła ją lekko, tylko od czasu do czasu wzdychała i pojękiwała. Clifford pojedzie z nią do szpitala. Oczywiście, że pojedzie! Kiedy się straciło jedno dziecko, człowiek nie chce przegapić ani sekundy z życia drugiego\* nawet jeżeli to drugie zjawia się w towarzystwie trzeciego.

— Na litość boską! — powiedziała Angie. — Co tutaj robi sztuka dziecięca?!

— Wystawia się — powiedział Clifford.

Wsunęła mu rękę pod ramię. Na palcu miała brylant wielkości śliwki.

— Weetabix sponsoruje wystawę sztuki dziecięcej. Zapytali, czy mogą skorzystać z naszej nowej galerii. Powiedzieliśmy „tak”.

— Dobry Boże! Dlaczego?! Jaka z tego korzyść?

— Reklama.

Nie powiedział Helen o przyjeździe Angie. Po co ją denerwować. Marzył o tym, żeby Angie odleciała do Afryki. Z całą pewnością nie chciał zostać zaciągnięty do łóżka w „Claridges”. Angie była wyjątkowo chuda i spieczona na brąz.

— Straszne bazgrały — powiedziała. — Sztuka dziecięca wcale nie jest oryginalna, jak to sobie wyobrażają rodzice, tylko zwyczajnie zła.

Zatrzymali się przed jednym z obrazów, starannie wykonanym, który zdaniem Clifforda miał w sobie coś eterycznego. Zdobył pierwszą nagrodę w kategorii do dziesięciu lat. Przedstawiał dwoje ludzi-nieludzi w czymś w rodzaju wielkiej muszli, a może był to ogon samolotu lub niebiańska winda opuszczana na linach przez parę aniołów? Aniołowie spoglądali zza pierzastych chmur na spokojne morze.

— Jaki dziwny — powiedziała Angie. — Ktokolwiek go namalował, powinien zasięgnąć porady specjalisty.

— Uważam, że jest uroczy — Clifford pochylił się, by przeczytać nazwisko twórcy. Neli Beachey (9). Przypomnił sobie własną Neli i zwilżył wargi językiem. Czasem żalność dopadała go zniecka, ale zamiast gniewu wywoływała już tylko smutek. Ile lat miałyby teraz Neli? — W pewien sposób przypomina obrazy Lally'ego — powiedział. — Tylko nie wyraża nienawiści, lecz szczęście.

— Nie wiem, o czym mówisz — oznajmiła Angie. — Nadal mam ten apartament w „Claridges”. Może pójdziemy napić się szampana i uczcić bliźnięta?

Nie da się ukryć, że Clifford uległ, choć skrzyżował w myślach palce, by łatwiej mu było udawać, że to się nie stało. Ale się stało. Angie odleciała, zwycięska. Helen o niczym nie wiedziała. Nie powiedział jej. Nic złego się nie stało. Ach, drogi Czytelniku, powiedzmy po prostu, że przy rozliczeniu jego dobrych i złych uczynków wypad do „Claridges” wcale mu nie pomógł.



## *Sielanka*

Wyobraź sobie, drogi Czytelniku, cichą dolinę na pograniczu Walii w 1977 roku. Wyobraź sobie łagodne wzgórza, wartkie strumienie, wijącą się szosę A49 i małe miasteczko Ruellyn. Nic w nim nie ma nadzwyczajnego z wyjątkiem kościoła z saską wieżą, którą czasem odwiedza jakiś turysta. Wyobraź sobie Odległą Farmę na obrzeżach Ruellyn, zaciszną, uroczą i podupadłą, oraz dwunastoletnią uczennicę, schludną, śliczną i mądrą, która odjeżdża stąd co rano szkolnym autobusem. Jest to oczywiście Nell Wexford. Ucieszy cię zapewne wiadomość, że spędziła parę lat w spokoju, bezpieczna pośród kryminalistów, podobnie jak jej prawdziwi rodzice, Clifford i Helen, choć tylko John Lally (i może jeszcze ten czy ów) określiliby świat, w którym obracali się Wexfordowie, mianem „przestępczego”. Świat Sztuki. Dzisiaj, w czasach gdy przeszłość jest plądrowana przez terażniejszość, a wizja artystyczna została podporządkowana żądzy zysku specjalistów żerujących na twórczości, określenie „świat Sztuki” przestało być tak niestosowne, jak było wtedy. Ale wracając do spokoju, sielanki i dziecka. Moją życiową ambicją jest usunąć słowo „kara” z języka angielskiego. Nie znam nikogo, kto został „ukarany” i któremu to doświadczenie wyszło na dobre. Kara jest wymierzana słabym przez silnych: rodzi bunt, nienawiść, strach, nigdy skruchy i żalu. Pogarsza sprawy zamiast je polepszać. Zwiększa tylko rozmiar ludzkiego nieszczęścia, na pewno nie zmniejsza. Proszę bardzo, wymierzcie klapsa dziecku, które wsadza palec w kontakt albo przebiega nie rozglądając się przez ulicę — jest to naturalny odruch, spontaniczna reakcja bardziej niż kara i dziecko o tym wie. Jeżeli chcesz poskromić swoją latorośl, Czytelniku, pamiętaj, że sroga mina u matki, która zazwyczaj się uśmiecha, działa więcej niż klapsy i krzyki rodzicielki, która z reguły łoś skórę. Piszę o tym, żeby oddać sprawiedliwość tym dwojgu kryminalistom, Clive'owi i Polly, którzy nigdy nie ukarali Neli. Zawsze byli z niej dumni i dlatego mimo wszystko przetrwała pod ich problematyczną opieką. Świat uznał ich za złych, naprawdę złych, ale na skali ludzkiej nikczemności i okrucieństwa przy-

mowanie, składowanie i sprzedawanie kradzionych mebli nie jest w moim przekonaniu czymś bardzo występny. Zresztą Clive i Polly prowadzili interes tak nieudolnie! Pozostawiali francuskie stoły na deszczu, pozwalali, by draperie płowiały na słońcu, a drewniane krzesła pleśniały w wilgotnym kurniku. Często zapominali upomnieć się o zapłatę i nigdy nie liczyli otrzymanych pieniędzy — zyskawszy taką reputację złodziej może w zasadzie zwinąć interes! Neli robiła co w jej mocy, już jako dziecko wyczuwała, co ma wartość, i nie lubiła patrzeć, jak piękne przedmioty zmieniają się w rupiecie.

— Clive — mówiła — może wniesiemy ten stół do środka? Spójrz, bąble robią się na blacie. Znieśmy go z tego słońca. Pomogę ci, chwycę za jeden koniec, ty za drugi.

— Później, kochanie — mówił sennie i dodawał z pełnym przekonaniem: — Co byśmy bez ciebie zrobili, Neli?

Ale zamiast wstać, zaciągał się swoim „ziołowym” papierosem (ziołami tłumaczono dziwny zapach, jaki unosił się w domu), a kiedy przyjeżdżał Beano^amiast solidnego kradzionego stołu znajdował wypaczony, przegniły bąblasty kawałek drewna.

Nie staram się usprawiedliwić ich działalności, Czytelniku, nie zrozum mnie źle. Chcę tylko zaznaczyć, że Clive i Polly przysłużyli się dobrze małej Neli, za co zostaną wynagrodzeni jeszcze za życia.

— Hipisi! — mówili mieszkańcy wioski o dziwnych, z lekka nieprzytomnych, długowłosych mieszkańcach Odległej Farmy. Pojawiali się i znikali bez uzasadnionego powodu, przyjmowali nocnych gości i zostawiali wory puszek po fasolce dla śmieciarki objeżdżającej co tydzień okolicę. Szef ekipy oczyszczania był wujkiem kierowniczkii poczty, która była kuzynką panny Barton — ekspedientki. Mieszkańcy Ruellyn doskonale wiedzieli, co jest grane. Nic nie mówili, ponieważ dzierżawcy Odległej Farmy okazali się dobrymi sąsiadami, stawiali się gromadnie, by szukać zaginionej krowy, pozwalali wypasać bydło na swoich łąkach, a Polly grała na pianinie na sobotnich potańcówkach. Poza tym była przecież Neli. Nikt nie chciał denerwować Neli wzywaniem policji ani innym równie drastycznym posunięciem. Byli dumni ze swojej Neli, która zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie malarskim Weetabix w 1973 roku i która

choć nigdy już nie stanęła na najwyższym podium, ocierała się o nie bardzo blisko. Panna Barton ze sklepu zносиła jej rozmaite formularze, które dostawała od siostry bibliotekarki w Cardiff.

— Neli — mówiła — co powiesz na najlepsze wypracowanie w krajach wspólnoty? Do piętnastu lat.

Albo:

— Znów organizują konkurs na najlepszego młodego dziennikarza roku! Albo:

— Co powiesz na „Ratujmy naszą planetę!”? Do szesnastu lat.

Zdawała się nie pamiętać, że Neli ma ich zaledwie dwanaście. Neli przyjmowała kolejny formularz i dawała z siebie wszystko. Szybko zrozumiała, że wysokie mniemanie, jakie ludzie mają

o sobie, jest nie tylko źródłem przyjemności, ale i ciężarem. Nie wystarczy raz odnieść sukces, trzeba go odnosić bez przerwy. Więc Neli zostawała w szkole po lekcjach, obłożona książkami, albo wstawała o świcie i zziębniętymi dłońmi malowała, rysowała, szyła. Olejowe ogrzewanie zostało zainstalowane na Odległej Farmie jeszcze przed przybyciem Clive'a i Polly, ale dziwnym zbiegiem okoliczności Beacheyowie albo pamiętali o kupnie oleju, ale nie mieli na niego pieniędzy, albo odwrotnie. Zimy były więc bardzo, ale to bardzo zimne.

W opinii wioski Neli miała ciężkie życie. Od samego początku pracowała po szkole i w soboty. Już jako siedmiolatka potrafiła pielić i wyrywać marchew lepiej i szybciej niż niejeden dorosły. Załatwiała sprawunki, zanosila i odnosiła paczki, zbierała agrest — bolesne zajęcie — nie łamiąc gałązek i nie narzekając, że kłują. Kiedy podrosła, zatrudniała się wieczorami jako opiekunka do dzieci, brzdące uwielbiały ją i miały u niej jak u Pana Boga za piecem. Następnego dnia zjawiała się u panny Barton

i zamiast słodczy kupowała chleb, ser, jajka, pomarańcze albo proszek do prania. Targała zakupy na szczyt wzgórza, na Odległą Farmę. Raz w tygodniu Polly zachodziła do sklepu, cała w uśmiechach, z mnóstwem banknotów pięciofuntowych i praktycznie wykupywała półki, ale to mała Neli musiała przypominać jej o takich rzeczach, jak proszek do prania, pasta do czyszczenia i płyn do mycia naczyń. Wieś uważała, że to Neli, a nie jej

matka, utrzymuje porządek na farmie, i tak było rzeczywiście. Neli szybko zrozumiała, że jeżeli nie podoba jej się otoczenie, w jakim żyje, najlepiej zakasać rękawy i je zmienić, zamiast siedzieć i narzekać.

Nie pozwolono jej jednak zapraszać przyjaciół na farmę. Niektóre matki już takie są, nie znoszą bałaganu i hałasu, jaki robią cudze dzieci, uważając, że wystarczy im ten, jaki robią ich własne. Ale Polly jakoś nie podpadała pod tę kategorię, z jej obfitym biustem i tęgimi udami. Dziwne.

— Mogę do ciebie przyjść? — pytała często najlepsza przyjaciółka Neli, Brenda Kildare.

— Nie spodobałoby ci się — odpowiadała niezmiennie Neli.

— Dlaczego?

Neli wymyślała jakąś wymówkę, aż w końcu znalazła znakomitą odpowiedź.

— Tam straszy — wyznała i to zadowoliło wszystkich. Kto wie, czy nie była to, prawda.

Neli miała już dwanaście lat i wiedziała, że Clive i Polly nie są jej prawdziwymi rodzicami, z drugiej strony czuła, że ją kochają tak bardzo, jak tylko im na to pozwala własna natura. Im więcej była gotowa działać w dziedzinie organizowania życia, sprzątanania, zarabiania pieniędzy i gotowania, a nawet podejmowania zaprzyjaźnionych złodziei, tym oni stawiali się bardziej od niej uzależnieni.

— Neli, jesteś skarbem — mówili, kiedy stawiała przed nimi talerz ze smaczną rybą albo wieprzowiną w sosie kminkowym.

Neli czytywała przepisy kulinarne — „jak ugotować coś z niczego” — choć marzyła o przepisach niedzielnych, homary, jajka przepiórcze i brandy! (Obawiam się, że odziedziczyła po ojcu słabość do luksusu.) Ale była oszczędna — nigdy nie wydawała więcej, niż mogła.

— Cały obiad za półtora funta! — mówiła z dumą. Po czym pytała mimochodem: — Czy Rady i Beano wpadną dzisiaj?

— Może.

Polly i Clive próbowali, bez przekonania zresztą, trzymać Neli z dala od swoich przestępczych interesów. Trzeba im to oddać, chcieli, żeby nie zboczyła z uczciwej drogi.

— Na A49 policja łapie dzisiaj za przekroczenie prędkości. Może powinniśmy zawiadomić o tym Beano i Rady'ego? Lepiej, żeby ich nie zatrzymano za szybką jazdę.

— Zadzwoń do nich później — Clive zaciągał się swoim „ziołowym” papierosem i zapominał o całej sprawie. Do Rady'ego dzwoniła Neli.

— Jedź bardzo wolno — mówiła. — Na A49 stoi policja. Wiesz, w tym miejscu gdzie jest ograniczenie do czterdziestu, a wszyscy jadą siedemdziesiątką.

— Dzięki, Neli — odpowiadał Rady, błogosławiąc dzień, kiedy zbiegła sześciolatka wdrapała się do wozu meblowego i została uprowadzona na Odległą Farmę.

Policjanci z drogówki odkrywają najrozmaitsze dobra na tyłach ciężarówek, myśl więc o nich ciepło, Czytelniku, następnym razem, gdy wlepią ci mandat.

### *Na tropie przeszłości*

Neli również błogosławiła dzień, kiedy przybyła na Odległą Farmę, gdy ogolona, zmarznięta i przestraszona wyszła z wozu meblowego wprost w słońce i wiejską dziczą i dostała się pod czułą, choć dorywczą opiekę Polly. Nie zastanawiała się już, kim są jej prawdziwi rodzice. Kiedy skończyła osiem lat, uznała (jak wszystkie dziewczynki w tym wieku, nawet te z metryką urodzenia), że jest zaginioną księżniczką. W rok później stwierdziła, że to mało prawdopodobne. Jako dziesięciolatka doszła do wniosku, że kimkolwiek byliby jej rodzice, na pewno nie są nimi Clive i Polly. Była przekonana, że jej prawdziwi rodzice nie żyliby w dusznej chmurze niezdecydowania, pośród bałaganu, pełnych popielniczek, na pół opróżnionych kieliszków, nie karmionych kur zjadanych przez lisy, nie zrealizowanych obietnic i straconych szans. Neli bardzo prędko przejęła opiekę nad drobiem, czego rezultatem były doskonałe śniadania z jaj oraz biskopt do kawy zrobiony tak, jak biskopt zrobiony być powinien (olbrzymie gęsie jajo, mąka, cukier i zero tłuszczu).

Z przeszłości pozostały jej jedynie mgliste wspomnienia i blaszany niedźwiadek na srebrnym łańcuszku. Już dawno odkreśliła mu łebek i odkryła szmaragdowy wisiorek matki. Cichutko wsunęła go z powrotem w niedźwiadka i wcisnęła na samo dno szafy, gdzie nikt nie miał żadnego powodu zaglądać.

Mały zielony klejnot sprawił, że zebrało jej się na płacz. Przywołał niejasne wspomnienie jedwabnych sukien, cichego głosu i uśmiechów, nic realnego, czego można by się uchwycić. Ze szmaragdem wiązało się również dziwne poczucie winy — Neli podejrzewała, że w ogóle nie powinna mieć z nim do czynienia. (Czytelniku, przypominam, trzyletnia Neli wzięła go bez pozwolenia, by pokazać w przedszkolu w dniu, gdy rozpoczęły się jej przygody. Ucieszy cię zapewne wiadomość, że mimo bliskich stosunków z Clive'em i Polly Neli nadal jest zdolna do odczuwania winy i żalu, a tym samym nie zagraża jej kryminalizacja!)

Nocą leżała patrząc, jak gałąź jesionu ociera się o okno (powinna być przycięta dawno temu, oczywiście) w świetle werandowej latarni, której nikt nie zgasił, i słuchała odgłosów hulanki. Próbowała ułożyć zapamiętane zdarzenia w jakąś całość. Przypomniała sobie burzę i ogień, i straszny dźwięk gnieczonego metalu.

Czyż nie bała się ognia? Czyż nie przechodziła przez szosę A49

● wiele ostrożniej niż inne dzieci? I jeszcze jedno wspomnienie, bardzo niemiłe — psa z zaślinioną paszczą, odsłaniającego olbrzymie kły. Nie lubiła psów... Zasypiała świadoma, że wszystko to wydarzyło się w przeszłości, a teraz jest bezpieczna, otoczona serdecznością.

Ale, Czytelniku, nic nie trwa wiecznie. Odległa Farma nie może w nieskończoność istnieć w zawieszeniu między dobrem

i złem, a Neli nie może żyć tak, jakby jej przeszłość nie istniała, przeszłość w końcu powstanie i zmieni teraźniejszość. Clive i Polly będą musieli ponieść konsekwencje tego, co możemy uznać za moralne flejtuchostwo, a Neli będzie musiała ruszyć dalej swoją drogą. My i Arthur Hockney wiemy, że jest to jej przeznaczenie, jej los.

### ***Krzyżujące się drogi***

Podczas pobytu na Odległej Farmie Neli niemal otarła się o swoją przeszłość. Miała jedenaście lat, kiedy rodzice Clifforda, Otto i Cynthia, odwiedzili ruellyński kościół. Neli minęła ich na ulicy i zwróciła na siebie uwagę Cynthii.

— Jaka ładna dziewczynka — powiedziała do Ottona.

— Neli byłaby teraz w tym wieku — odparł Otto i westchnął, zaskakując Cynthię. Ostatnio rzadko wspominali zaginioną wnuczkę. Od czasu przyjścia na świat bliźniaków, Marcusa i Maxa (Max był o dziesięć minut młodszy), terazniejszość zupełnie przyćmiła przeszłość. Neli obejrzała się z zainteresowaniem, podziwiając dojrzałą urodę Cynthii i majestatyczną godność Ottona. Patrząc za nimi postanowiła, że nie zadowolili się Ruellyn, że pewnego dnia poszuka swojego miejsca w tym większym, czynniejszym świecie.

Ponieważ nie lubiła psów i chciała przezwyciężyć lęk przed nimi, przyjęła dorywczą pracę w psiarni prowadzonej przez rodziców jej najlepszej przyjaciółki, Brendy.

Wiesz, co sądzę

● zbiegach okoliczności, Czytelniku. Nie zdziwisz się więc usłyszawszy, że była to ta sama psiarnia, do której Arthur Hockney

i jego przyjaciółka Sara przywieźli Kim na tresurę i do której oddawali ją za każdym razem, gdy wyjeżdżali na wakacje, a Kim to ten sam pies, który zdziczały z głodu i złego traktowania ścigał swego czasu biedną małą Neli przez bagna! Teraz Neli zaciskała zęby i klepała go po głowie, a on się uśmiechał. Doberman uśmiechają się, kiedy chcą zdobyć sympatię człowieka. Poczynienie podobnej obserwacji jest równoznaczne ze ściągnięciem na siebie oskarżenia o antropomorfizm — zły zwyczaj przypisywania cech ludzkich zwierzętom — ale co ja na to poradzę?

Doberman uśmiechają się, kiedy mają na to ochotę. Widziałam to zbyt często, by wątpić.

### ***Przyczyna i skutek***

Pewnej nocy, kiedy Neli została w psiarni i spała twardo w obcym łóżku, policja zrobiła nalot na Odległą Farmę. Oto co się wydarzyło.

W miarę jak rozrastał się złodziejski interes, zwiększały się rozmiary zniszczenia i dewastacji. Deszcz padał na skórzane obicia przez szpary w dachu stodoły, kaczkę składały jajka w osiemnastowiecznych cedrowych skrzyniach, mole dostały się do wełnianego kubraka Henryka V. Zdenerwowani klienci zaczęli zgłaszać pretensje. Czego się spodziewali? Więc Clive i Polly zmienili branżę, przerzucili się ze sprzedaży kradzionych mebli na produkcję LSD w starej oborze i ściągnęli na siebie słuszny gniew policji, która najechała dom o świcie i położyła kres sielance na Odległej Farmie.

Neli po raz kolejny straciła dom.

Była wytracona z równowagi. Jak mogłoby być inaczej?

Znajomy świat w jednej chwili przestał istnieć. Clive i Polly zniknęli z jej życia — Clive, który odprowadzał ją do szkoły, kiedy była mała; Polly, która śpiewała jej przy kąpieli. Och, jakie to smutne, nie mówiąc o tym, że niespodziewane. A mimo to Neli odczuła pewną ulgę. Ostatnimi czasy zaczynała się w duchu buntować — nazywała to niewdzięcznością — przeciwko przybranym rodzicom. Widziała, że jest wykorzystywana, że jej praca pozwala im na lenistwo, że ich oczekiwania wobec niej są niedorzeczne. Przecież to ona była dzieckiem, a oni ludźmi dorosłymi, udawanie, że jest na odwrót, było z ich strony podłością. Kiedy Clive i Polly zniknęli w areszcie — jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika, paskudny kawał, znany jej aż nazbyt dobrze — trudne i skomplikowane uczucia zniknęły wraz z nimi. Poza tym spędzała coraz więcej czasu z Kildare'ami — zostawała na noc, oglądała telewizję (odbiór był lepszy po drugiej stronie wzgórza), pomagała w psiarniach, spała na dole piętrowego łóżka Brendy — Brenda zawsze spała na górze — jakby wiedziała, co zdarzy się na Odległej Farmie, i przygotowywała sobie drugi dom, na wszelki wypadek. Cóż, bardzo go teraz potrzebowała. Wypłakała się na pulchym ramieniu pani Kildare,



a pan Kildare pożyczył jej swoją lnianą chusteczkę — nie chciał używać papierowych, twierdząc, że obcierają mu nos.

— Musi zamieszkać z nami — powiedział pan Kildare.

— A co na to władze? — zapytała pani Kildare. — Jestem pewna, że trzeba załatwić jakieś formalności.

— Nie martwiłbym się formalnościami — odparł pan Kildare. — Neli sporo brakuje do pełnoletności, a pracuje cztery godziny dziennie, lepiej zostawić władze w spokoju i nie budzić licha. Nie budzić licha! — I roześmiał się. Była noc. Psy wyły, kręciły się, powarkiwały i popiskiwały. Neli i Brenda w wysokich wellingtonach robiły wieczorny obchód, przyświecając sobie latarką.

— Nigdy nie podobała mi się myśl, że dolne łóżko Brendy jest puste — powiedziała pani Kildare, która lubiła porządek.

W domu Kildare'ów zmywarka do naczyń pracowała dzień i noc. Jedzenie zjawiało się na stole o określonych porach. Brenda i Neli siadały do stołu z umytymi rękoma, a pani Kildare podawała na przemian zapiekanek z kurczaka i hamburgery, a na deser czekoladę albo bitą śmietanę. Dziewczęta odrabiały lekcje, mieszały karmę dla psów, czyściły budy i miały godzinę na oglądanie telewizji przed nocnym obchodem. Dla Neli była to zmiana na lepsze, mogła wytchnąć od odpowiedzialności, a także od wolności, która spadła na nią może ciut za wcześnie. Mieszkańcy Ruellyn nie powiadomili policji o istnieniu dziewczynki. Uznali, że powinna zostać w psiarni. Nie chcieli stracić Neli, źródła swej dumy i radości, zwyciężczyni konkursu malarskiego dla dzieci poniżej dziesięciu lat. Utworzyli wokół Neli kordon ochronny. (Coś takiego ma się po użyciu pasty pep-sodent, a może colgate, jeżeli wierzyć reklamom telewizyjnym.) Wiadomość o policyjnym nalocie przyniósł mleczarz. Dan wjechał swoją furgonetką w sam środek zasadzki, skąd miał wiedzieć, że za każdym krzakiem siedzi policjant? Został usunięty dość szybko, ale hałas, jakiego udało mu się narobić, ostrzegł mieszkańców Odległej Farmy. Przynajmniej jednego z nich. Dan odniósł wrażenie, że ktoś wydostał się z domu tylnymi drzwiami, prawdziwy złoczyńca, z pewnością nie Polly ani nie Clive. Ci ruszali się wolno, nawet jak na Ruellyn. Zostali aresztowani i przyznali się do wszystkiego, zanim zdołali się na dobre rozbudzić.

Dan zawiózł wieści pani Barton, sklepowej. Szybki telefon do Kildare'ów w psiarni i Neli była bezpieczna.

— Pokój dziecienny na Odległej Fannie? Zdaje się, że mieli u siebie siostrzenicę przez jakiś miesiąc — powiedziała panna Barton sympatycznemu inspektorowi. — Ale oni byli troszkę niepozbitani. Przypuszczam, że nie chciało im się go likwidować.

Troszkę niepozbitani! Tak właśnie Ruellyn podsumowało Clive'a i Polly, którzy spędzili Wigilię 1978 roku w dwóch różnych więzieniach. W więzieniu Clive'a uczczono święta Bożego Narodzenia wyświetlając *Most na rzece Kwai*. W więzieniu Polly pokazano przez przypadek *Mary Poppins*. Ale film wszystkim się podobał, a zwłaszcza Polly. Miała miły charakter i cieszę się, że dostała tylko dwa lata. Clive dostał osiem za handel narkotykami.

### ***Święta***

Co robiłeś w Wigilię 1978 roku, Czytelniku? Potrafisz sobie przypomnieć? My jedliśmy indyka... A może było to wtedy, gdy upiekłam wspaniałą gęś i wszystko świetnie się udało? Nie, chyba jednak nie... Wspomnienia; bolesne, ponieważ twarze wokół świątecznego stołu były o tyle młodsze, przyjemne, ponieważ każdy rok przynosi coś dobrego, narodziny, śluby, dwudzieste pierwsze urodziny, szczęśliwe wydarzenia, do których wraca się myślą.

Tego ranka Neli obchodziła psie budy pokazując świąteczne kartki, które oddani, choć nieobecni właściciele nadesłali swoim szczęśliwym (czy nieszczęśliwym) pupilom. Towarzyszyła jej Brenda.

— Proszę, Pip — mówiły, wręczając Pipowi albo innemu Burkowi Świąteczną Czekoladową Pastylkę „Dobry Pies”. — To od mamci i papcia. Wesołych Świąt, napisali, z pozdrowieniami! — Głaskały psa i szły dalej, dwie śliczne, żywe dziewczynki pełne świątecznej chęci czynienia dobra, rozweselone absurdalnością powierzonego im zadania. Klient pozostaje klientem jak

świat długi i szeroki, i jego życzenie jest rozkazem, zwłaszcza w świąteczny poranek.

— Proszę, Jax! Spójrz! To zdjęcie kości. K-O-Ś-C-I! Kości obwiązanej wstążeczką. Nie, Jax, nie jedz tego! Ach, Jax! To było od twojej mamci!

Dobermanka Kim nie otrzymała świątecznej kartki. Jej właściciele Arthur i Sara byli na to zbyt rozsądni. Ale zadzwonili do psiarni, żeby Kim mogła usłyszeć ich głos. Nastawiła uszy i machnęła ogonem, i Neli była pewna, że się uśmiechnęła. Kim zdawała się darzyć Neli wyjątkową sympatią, choć dziewczynka nie była pewna, czy jej ufa.

Clifford i Helen pojechali na Wigilię do rodziców Clifforda, Ottona i Cynthii. Zabrali ze sobą niankę, bliźniaki, Marcusa i Maxa, ośmioletniego Edwarda i jego ojca, Simona Cornbrooka. Został sam na święta i Helen się nad nim zlitowała. Sally St Cyr obsługiwała jakieś wydarzenie w Reykjavíku, a przynajmniej tak powiedziała wyjeżdżając. Wynajęte mieszkanie było puste i nieprzytulne.

— Helen, to absurd! — zaprotestował Clifford. — Dlaczego moi rodzice mieliby znosić twojego eks-męża?

— On nie jest prawdziwym eks-mężem — powiedziała Helen. — Przecież trudno go było uznać za męża.

Biedny Simon! Cały świat brał go śmiertelnie poważnie — był czołowym publicystą „The Economist” — lekceważyli go tylko bliscy mu ludzie!

— Żal mi go. Edward cieszyłby się bardzo...

I Clifford skapitulował, choć nie był uszczęśliwiony takim obrotem sprawy. Angie Wellbrook, obecnie handlarka sztuki w Johannesburgu, zadzwoniła do niego z życzeniami świątecznymi i gdyby Clifford nie został zmuszony do spędzenia Wigilii w towarzystwie człowieka, z którym sypiała kiedyś jego żona, odpowiedziałby zapewne bardziej obcesowo. A tak wdał się w przyjacielską pogawędkę i Angie postanowiła, że przyleci do Wielkiej Brytanii najprędzej, jak to możliwe. Pomyślała, że bliźniaki mogły stłumić entuzjazm Clifforda do rodzinnego życia, i nie była daleka od prawdy.

John Lally, ojciec Helen i malarz, wcale nie obchodził świąt Bożego Narodzenia. Nie chciał i już! Lubił udawać, że one

w ogóle nie istnieją. Jak już kiedyś wspomniałam, John Lally nie żałował swego postępowania wobec żony, natomiast czuł się bez niej samotny. Dlatego też szybko postarał się o następczynię. W rok po śmierci Evelyn poślubił Marjorie Field, bardzo miłą, zdolną, trochę bezbarwną studentkę Akademii Sztuk Pięknych, która uważała, że jest cudowny, obłaskawiała go, kiedy tylko sobie życzył, i bez mrugnięcia okiem pogodziła się z utratą świąt Bożego Narodzenia. W Wigilię odebrała telefon od Angie Wellbrook, która chciała wpaść porozmawiać o twórczości Johna Lally'ego. — Angie Wellbrook? — powiedział John Lally. — Coś mi to mówi... nie, nie wiem! Jeżeli chce tracić pieniądze na bilet, bo przecież trzymają mnie w garści ci kanciarze z Leonarda, to jej sprawa! Niech przyjedzie!

Tego popołudnia Neli i Brenda zakradły się na Odległą Farmę i wyciągnęły z ukrycia blaszanego niedźwiadka na srebrnym łańcuszku. Neli odkręciła mu łebek, wyjęła szmaragdowy wisiołek i przez chwilę trzymała go w zamkniętej dłoni.

— Pomyśl o mnie teraz — powiedziała na głos — kimkolwiek jesteś, gdziekolwiek jesteś, tak jak ja myślę o tobie.

Mniej więcej w tym samym czasie Otto wzniosł toast, a jego żona i goście wstali z krzeseł i ujęli kieliszki.

— Za naszą zaginioną małą Neli! — powiedział Otto, jej dziadek. — Gdziekolwiek jest, w niebie czy na ziemi. Niech wspomnienie małej Neli uczy nas cenić naszych bliskich, kiedy mamy ich przy sobie.

Ale działo się to w Wigilię, gdy wracamy myślą do zmarłych lub nieobecnych, więc może mimo wszystko nie był to taki nadzwyczajny zbieg okoliczności.

### ***Powrót Angie***

Słyszymy ciągle o zegarze biologicznym odmierzającym czas płodności — moim zdaniem słyszymy o wiele za często i niepotrzebnie się denerwujemy. Lekarze kiwają głowami nad

trzydziestoletnią pierwiastką, sam pomysł zajścia w ciążę po czterdziestce wydaje im się odrażający i nierozsądny. Mój lekarz twierdzi, że nauka, która nakazuje usunięcie płodu z powodu zaawansowanego wieku rodziców, jest głupią nauką. Muszę jednak zaznaczyć, że jego matka miała czterdzieści sześć lat, kiedy się urodził, on zaś jest szalenie zadowolony, że fakt ten nastąpił. Nie dalej jak wczoraj opowiedział mi o paryskiej lekarce, która po krótkiej kuracji hormonalnej w wieku lat sześćdziesięciu urodziła zdrowe dziecko — więc odwagi, siostrzyco! Nie śpieszcie się z podjęciem decyzji. Naprawdę żal mi Angie. Chciała dziecka Clifforda, a przekroczyła już czterdziestkę i nie miała żadnych widoków na zajście w ciążę. Była zdesperowana jak wszystkie kobiety, które czują, że czas ucieka (przypadku paryskiej lekarki nie można chyba brać pod uwagę), a wołałyby urodzić dziecko przed sześćdziesiątką.

Kiedy Clifford ponownie ożenił się z Helen, Angie wpadła w prawdziwą rozpacz. Porzuciła swojego wybrakowanego kochanka Sylvestra i wróciła do Johannesburga, gdzie założyła filię Leonarda. Była głównym udziałowcem i dyrektorzy nie mogli jej tego zabronić, choć obawiali się jej gustu i tego, co kobieta może uczynić z wizerunkiem Leonarda. Wraz z udziałami w Leonardzie odziedziczyła kopalnię złota swojego ojca i prowadziła je z niewielkim poszanowaniem dla praw człowieka. Była czynna, uznana, podziwiana, ale nie lubiana. Opływała w luksusy i nudziła się jak mops. Gdyby urodziła się odrobinę milsza i lepsza, mogłaby zająć się udostępnianiem Afrykanerom dzieł europejskich twórców i ożywić nudną scenę kulturową Białej Afryki, ale Angie nie była miła i dobra. Jeżeli obraz nie podobał się publiczności, pogardzała publicznością za zły smak, jeżeli obraz się podobał, pogardzała obrazem za to, że podoba się ludziom, którymi ona pogardza. Nie mogła wygrać sama ze sobą. Sypiała ze swoim czarnym kamerdynerem i to też było straszne: pogardzała nim za to, że lubi ją, kobietę antypatyczną. Im bardziej nim pogardzała, tym bardziej pogardzała sobą i na odwrót. Cóż, znamy już Angie od tej strony, jest to zresztą historia stara jak świat.

Tego nudnego świątecznego popołudnia rozmowy przy basenie toczyły się niemrawo, wódka z miętą przypawiła Angie o niestrawność i przypomniała o starości, osiemnastoletnia dziew-

czyna miała czelność puścić oko do jej kamerdynera, a drań najwyraźniej błysnął do niej zębami w uśmiechu. Gdyby Angie żyła w starożytnym Rzymie albo w południowych stanach Ameryki, ścięłaby parę głów, wychłostałaby paru niewolników i rozdzieliła rodzinę. Ponieważ żyła w dwudziestym wieku, zdecydowała, że najwyższy czas kogoś zdenerwować.

Zacznie od tego, że wprawi w osłupienie swoich ziomków, kupując kilku surrealistów. Pojedzie do Anglii i wyłuska Johna Lally'ego z lepkich paluchów Clifforda. A jeżeli będzie przy tym musiała zerwać parę kontraktów, tym lepiej. Clifford z radością podejmie rękawicę. Nie powinna mieć kłopotu ze zwabieniem go do łóżka. Czy kiedykolwiek miała? Wystarczyło obwiesić się złotem albo szlachetnymi kamieniami i kapitulował bez walki. Helen, razem z jej słodkimi minkami, powinna mu już obrzydnąć. Najwyższy czas!

— Nienawidzę cię, Helen — powiedziała Angie na głos. Helen była pasywna, niewierna, pomiatała miłością Clifforda, a jednak ją miała. Co więcej, miała dzieci Clifforda.

— Pani wołała? — zagadnął ze współczuciem kamerdyner Tom. Naprawdę lubił Angie. Było mu jej żal, takie biedne, zimne, nie należące do nikogo stworzenie.

— Nie — odparła ze złością. — Mam ciebie dość. Zwalniam cię!

I naprawdę to zrobiła. W Johannesburgu nie zdarzyło się jeszcze, by czarny oskarżył białego o bezpodstawne zwolnienie. Dobrze, że nie oskarżyli cię o gwałt, powiedziała mu matka. Tom miał dopiero dwadzieścia dwa lata.

Angie wylądowała na Heathrow.

### ***Własność***

Otto i Cynthia nie byli już tacy młodzi jak dawniej (kto jest? Ale wiecie, o co mi chodzi). Wexford Hall stał się trochę za duży, by mógł być wygodny. Młodzi pokonują kilometry parkietu i nie zwracają na to uwagi, starzy są zdania, że sto jardów między

drzwiami wejściowymi a schodami to stanowczo za dużo, a Cynthia nadał nie rezygnowała ze szpilek, chyba że na rzecz zielonych wellingtonów. (Jak już mówiłam, nigdy się nie przystosowała, nie zdiadziła wzorem angielskiej arystokracji.) Otto miał problemy z dyskiem i lekarz zakazał mu strzelać, jeździć konno i bić w dzwony w miejscowym kościele, co było jego ulubioną rozrywką i udręką mieszkańców. („Dzwoni pan i dzwoni, sir Ottonie! Jakby pan nigdy nie miał przestać” — żona wikarego.) Sir Ottonie! Cudzoziemskie imiona nie są stworzone dla angielskich tytułów, tak wygląda prawda. Niemniej Otto został lordem, choć nigdy się tego nie spodziewał, a przynajmniej tak twierdził. Kim jest ten, kto ocenia nasze postęпки i nagradza nas tak kapryśnie? Otto był szefem CBI swego czasu, prawda, i wycofał się szlachetnie ze swojego prezesostwa w gorzelni, by zrobić miejsce młodemu. Służył swojemu krajowi w czas pokoju i wojny, nieprawdaż? Cokolwiek uczynił, Cynthia została lady Cynthią. Dawało jej to pewność, że zawsze zostanie przyjęta przez fryzjerkę w West Endzie, poza tym nie przyniosło zauważalnej zmiany w jej życiu. Tytuł nie był dziedziczny. Cynthia trochę pokręciła na to swoim zgrabnym noskiem.

Nowy lord i milady siedzieli pewnego dnia w salonie gapiąc się w ogień na kominku, on skarżył się na ból w krzyżu, ona na ból w boku. Spadła z konia podczas polowania i złamała cztery żebra. W latach siedemdziesiątych nie bandażowało się klatki piersiowej w takich przypadkach, lekarze uważali, że żebra zrastają się wtedy zbyt ściśle i uszkodzony nie może swobodnie oddychać ani prowadzić aktywnego trybu życia. Przy każdym ruchu Cynthia słyszała, jak klekoczą. Zadzwonił telefon. Była to Angie Wellbrook, współpracowniczka Clifforda: czy ją pamiętają? Nie, ale byli zbyt uprzejmi, by jej o tym powiedzieć. Jest w sąsiedztwie, z przyjemnością wpadłaby na kolację. Westchnęli i wyartykułowali zaproszenie. — Uroczy dom — zachwycała się Angie. — Taki angielski, taki wyjątkowy! Ale czy nie jest trochę za dużo miejsca dla dwojga? — Tutaj żyliśmy i tu umrzemy — powiedział Otto ponuro. — Proszę cię! — zawołała błagalnie Cynthia, która nie znosiła rozmów o starości, cóż dopiero o śmierci. Cynthia była zdania, że śmierć pójdzie sobie, jeżeli się ją zignoruje.

— Rachunki za ogrzewanie! — rozpaczła Angie, która nigdy w życiu nie widziała rachunku za ogrzewanie. Wexfordowie zgodzili się z nią, że opłaty są astronomiczne.

Johnnie zrobił na kolację bardzo dobrą francuską zupę cebulową; służba miała akurat wychodne. Niektórych umiejętności nie zapomina się nigdy. Podczas wojny Otto i Johnnie prowadzili przez jakiś czas restaurację w Paryżu, punkt przerzutowy pilotów RAF-u, zestrzelonych nad Francją i uratowanych przez ruch oporu. Najlepsza zupa cebulowa w Paryżu stanowiła doskonałą przykrywkę.

— I po co trzymacie państwo konie, skoro nie możecie na nich jeździć?

— Ja mogę! — powiedziała Cynthia. — Będę jeździć, jak tylko zrosną mi się zębra — dokończyła słabnącym głosem.

Będzie albo i nie będzie. Konie są takie duże. Odległość między nią a ziemią z każdym rokiem wydawała się większa.

— Przebywanie na powietrzu tak źle wpływa na cerę — zauważyła Angie i Cynthia, gapiąc się bezceremonialnie na zniszczoną słońcem skórę młodej Jcobiety, musiała przyznać jej rację. Czy ona nie używa kremów nawilżających? (Gdyby wiedziała ile! Biedna Angie. Podła, podła Angie!)

— Tylko na Boże Narodzenie dom wypełnia się ludźmi — odezwał się Otto. — Kiedy przyjeżdża Clifford, Helen i trójka dzieci. To śmieszne utrzymywać ten wielki dom tylko na jeden tydzień w roku.

— Wcale nie — powiedziała Cynthia. — Po to właśnie są domy.

Clifford, Helen i trójka dzieci! To brzmiało tak poważnie, tak statecznie. Pusta jama, którą Angie miała w sercu, a która kazała mi mówić „biedna Angie”, wypełniła się nagle złością, żalem i nienawiścią. Powinno być Clifford, Angie i trójka dzieci! Przekląła w duchu matkę, ojca i swój los. Jeżeli nie potrafi budować, będzie niszczyć.

— Zresztą nie możemy go sprzedać, nawet gdybyśmy chcieli — powiedziała Cynthia. — Komu? Zmieniliby dom w centrum komputerowe albo zakład wodolecznicy, wycięli drzewa i zaorali mój piękny ogród, żeby wybudować basen.

— Ja go kupię — powiedziała Angie pogodnie. — Potrzebny mi tu dom. Zostawię wszystko tak, jak jest. Uwielbiam Wexford



Hall. Kawalek starej Anglii. A państwo mogliby nadal przyjeżdżać tu na święta, razem z Cliffordem, Helen i trójką dzieci.

— To niemożliwe — powiedział sir Otto, wstrząśnięty. — Musielibyśmy żądać co najmniej ćwierć miliona!

— Ćwierć miliona! — zawołała Angie ze zdumieniem.

— Nie ośmieliłabym się zapłacić mniej niż dwa razy tyle. Posiadłość jest warta co najmniej pół miliona na wolnym rynku. Wierzcie mi, znam się na tym.

Cynthia zwróciła się do Ottona:

— Kupilibyśmy mieszkanie w Knightsbridge — powiedziała. — Nigdy już nie musiałabym nosić zielonych wellingtonów.

— Myślałam, że je lubisz...

— Nosiałam je tylko dla ciebie, kochanie.

— Nie, to ja robiłam to tylko dla ciebie...

Kłamstwa, same kłamstwa, ale oni wiedzieli, jak się nawzajem uszczęśliwić. Robili dokładnie to, co chcieli, udając, że robią to wyłącznie dla drugiej osoby. Cynthia nawet romansowała dla dobra męża, by wiedział, że nadal jest godna pożądania.

— Z drugiej strony pół miliona to może trochę za dużo — powiedziała Angie.

— Myślę, że pół miliona to w sam raz — powiedział Otto.

— Skoro możemy załatwić to bez udziału pośredników nieruchomości i oszczędzić pani kosztów...

Tak więc Angie nabyła Wexford Hall. To powinno zaskoczyć Clifforda, Helen i trójkę dzieci. Należy im się niespodzianka, pomyślała Angie, w miarę możliwości paskudna.

### ***Zmiana na lepsze***

Angie odwiedziła Johna i Marjorie Lallych w Applecore Cottage. Małżeństwo malarza układało się po prostu świetnie. Zwyczajem Marjorie było uśmiechać się, tak jak Evelyn płakać.

„Nie bądź niemądry, John!”, mówiła, kiedy zachowywał się nierozsądnie. „Ho, ho! ale ty potrafisz się złościć!”, wykrzykiwa-

ła, najwyraźniej zupełnie niewzruszona, kiedy się pieklił. „John, mówisz chyba o sobie, nie o mnie?“, pytała, kiedy obrzucał ją wyzwiskami. Próbował na setki sposobów nauczyć ją rozumu, ale nie zdołał. Kiedy się do niej nie odzywał, zapraszała sąsiadki na kawę i zamiast z nim rozmawiała z nimi. Uwzględniała go w swoich planach, ale kiedy się nie pojawiał albo spóźniał, wychodziła bez niego. Mówiła o własnych uczuciach, nigdy o jego doznaniach. Wyrzuciła stare, zniszczone meble Evelyn i kupiła odrestaurowane antyki, które miały wszystkie uchwyty, nogi i klamki. Pozbyła się miedzianych garnków i wybiła w ścianie jeszcze jedno okno. Słońce zalało dom. Zamówiła szafki kuchenne za sumę, która wstrząsnęła miastem. Pod koniec każdego sezonu wysyłała całą garderobę ubogim i kupowała nową. Zrobiła inwentaryzację prac Johna. Rozumiała jego artystyczne męki i cały czas mu to powtarzała. Haftowała — specjalizowała się zwłaszcza w literze „V” i „A” — i wyrobiła sobie nazwisko na tym małym, jak podkreślała, polu. Pracowała tylko wtedy, gdy pracował John. Odkładała wszystko, gdy się pojawiał, by móc skoncentrować się na potrzebach męża. Och, była wspaniałą żoną. Zdaniem miasta nie zasługiwał na nią\* Nie zapominajmy jednak, że miała własne źródła dochodu. To ułatwiało sprawę. Nie musiała prosić go o pieniądze.

Rzadko pojawiał się w pubie. Lubił towarzystwo swojej zawsze uśmiechniętej żony. Wieczorem kładła się pierwsza i udawała, że śpi. Kiedy ją budził, była radosna i chętna, kiedy nie budził, zasypiała. Idealna metoda! John uważał, że ucierpiała na tym jego praca. Zaczął malować słońce nad roziskrzoną wodą i dynie na kuchennym stole. Stracił zainteresowanie śmiercią i rozkładem. Zastanawiał się, czy jest za stary na dziecko. Marjorie powiedziała, że nie jest. Więc spróbowali.

Doprowadziła do spotkania Johna z Helen w Londynie, na otwarciu nowej Haymarket Gallery. Lally stanowczo odmówił spotkania z Cliffordem. Helen przyszła. John nie mógł sobie nawet przypomnieć, dlaczego kiedyś jej nienawidził. Helen wzięła go za rękę, a on nie cofnął swojej, czując, jak zalewa go fala zapomnianego ciepła.

— Chyba byłem trochę szalony — powiedział.

Były to przeprosiny. Przyjęła je. Ale miała niewiele do powiedzenia Marjorie, choć uznała ją za miłą osobkę. Powinna być wdzięczna, ale nie była.

— Powinnaś dziękować za nią Bogu — powiedział Clifford. — Zdjęła ci z ramion nie byle ciężar. A zobaczysz, jak zmieniają się jego obrazy!

Clifford wysłał Johnniego, by sfotografował ostatnie dzieła Lally'ego. Stwierdził zmianę treści, lecz nie stylu. Obrazy nie były już tak dobre, ale bez porównania bardziej chodliwe. Cóż, nie można mieć wszystkiego, zresztą kto wie, czy nie był to przełom, na który Clifford czekał. Tate Gallery zastanawiała się, czy nie kupić płócien Lally'ego za osiem tysięcy funtów. Nieźle. Ale nie podpisano jeszcze umowy.

Na wieść o ciąży Marjorie Helen zalała się łzami.

— To straszne — powiedziała. — Edward, Max i Marcus będą starsi od swojej ciotki. To nienaturalne.

— Może to będzie chłopiec — zauważył Clifford. — Wujek. Helen pomyślała o tym i rozplakała się jeszcze bardziej. Ale tak naprawdę nie chodziło jej o wiek wuja czy ciotki. Płakała nad biedną Evelyn, która umarła w przekonaniu, że zdobycie tego, czego tak bardzo pragnie, jest niemożliwe. Helen płakała, ponieważ to, czego bezskutecznie pragnęła Evelyn, Marjorie zdobyła z taką łatwością.

### ***Knowania***

Rozkręciwszy sprawę kupna Wexford Hall, Angie pojechała pewnej niedzieli w odwiedziny do Johna i Marjorie. John był uprzejmy, spokojny, rzeczowy i ogolony. Marjorie wystąpiła w fartuchu. Oczekiwała dziecka. Jedli jagnię z galaretką porzeczkową (roboty Evelyn, ostatni słoik) i rozmawiali o Cliffor-dzie, choć Marjorie próbowała położyć temu kres.

— Pański kontrakt z Leonardem musi zostać unieważniony — powiedziała Angie.

— Prowadzi do ograniczeń w handlu. Możemy wnieść sprawę do Trybunału Sprawiedliwości. Zgodnie z umową może pan malować zaledwie trzy obrazy rocznie. Le-

onardo chce podbić cenę płócien, które już znajdują się na rynku, z tym że nie pan na tym zyska. Zyskają galerie. Ile wynosi pana zaliczka?

— Dwa tysiące rocznie. Angie roześmiała się.

— To straszne! — powiedziała. — Wyzysk.

— Oczywiście — zgodził się Lally. — Maluję o wiele więcej niż trzy obrazy w roku. Reszty nie wypuszczam na rynek.

— Trzyma je w szopie na rowery — wtrąciła Marjorie.

— Chciałabym je zobaczyć — wyznała Angie.

Może innym razem: stopień jest złamany, ścieżka błotnista, światło nieodpowiednie. Angie powiedziała, że chadzała na przyjęcia z Wexfordem. John Lally zrewanżował się opowieścią o tym, jak napadł na Clifforda i Helen przed wielu, wielu laty. Clifford go znokautował. Wexford jest zwyczajnie zazdrosny, powiedziała Angie. Należy do ludzi, którzy pragną tworzyć, a nie mogą. Ona, Angie, dziwi się, że John Lally nie powstrzymał córki przed poślubieniem go po raz drugi. Raz chyba wystarczy.

— To nie moja córka — powiedział John Lally. — Zabiła moją żonę.

— No, no, John! — powiedziała Marjorie ostrzegawczo.

— „John i John!” — odparł John Lally przedrzeźniając żonę. — Nie chce mi się tego słuchać! — Wypisz, wymaluj John Lally z dawnych lat.

— To już nie te czasy, John — powiedziała Marjorie i John Lally skapitulował.

Wracając jednak do Helen i Clifforda, ona, Angie, naprawdę się dziwi temu małżeństwu. Po tym, co stało się z Neli! Oczywiście Helen była wtedy jej przyjaciółką. To u niej widywała się z dzieckiem, kiedy Clifford był taki okropny.

Gdyby nie Clifford, Nell żyłaby teraz. Wexfordowi wszystko to uszło na sucho, tymczasem on, John Lally, siedzi i nic nie robi. A powinien, nie tylko dla dobra

Johna Lally'ego, ale dla dobra każdego żyjącego, cierpiącego, wyzyskiwanego artysty na świecie. Trzeba położyć temu kres! Czy ona, Angie, mogłaby zajrzeć do szopy na rowery? Ona, Angie, bierze tylko dziesięć procent jako właściciel galerii i organizuje aukcję, z której artysta otrzymuje dwadzieścia procent ceny.

John zaprowadził Angie do szopy na rowery.

— Uważaj mnie za swego przyjaciela — powiedziała. — Pociągamy Leonarda po sądach. Niech świat zobaczy, jaki z niego miłośnik sztuki!

— Zrobimy to! — zawołał John Lally. — Zrobimy! Marjorie powiedziała mu, że wątpi, by Angie była czymkolwiek przyjacielem, ale tym razem jej nie uwierzył.

### *Intrygi, jeszcze raz intrygi*

Angie zjadła lunch z Simonem Cornbrookiem w Dorchester i nadmieniła, że Clifford ma romans z koleżanką z pracy, Fanny. Sprawa ciągnie się od lat, od genewskich czasów Wexforda. Simon Cornbrook nie przekazał tej wiadomości Helen. Nie miał powodu, by lubić Clifford, ale nie chciał zadawać bólu byłej żonie. Są jeszcze przyzwoici ludzie na świecie, zapewniam was.

Angie zadzwoniła do Clifforda i umówiła się z nim na śniadanie w „Claridges”.

— Znowu! — jęknął Clifford.

— Jeszcze ten jeden raz — powiedziała Angie. — Nic ci nie zrobię. Obiecuję.

— Obiecanki cacanki.

Stawił się w „Claridges” i ujrzał Angie ubraną w kostium z białego jedwabiu, który jaśniał własnym blaskiem, czego nie można powiedzieć o Angie. Ktoś mniej obeznany z naturą Angie uznałby zapewne, że pasek, którym przewięzała się w talii, nabijany jest kryształem górskim, Clifford miał mocne podejrzenie, że są to brylanty, i to brylanty czystej wody. Trudno się oprzeć podobnemu paskowi i pokusie, by go rozwiązać, choćby po to, by zobaczyć jak migoce spadając. Clifford rozwiązał go.

— Nie rozumiem, dlaczego znosisz Simona Cornbrooka pod swoim dachem — powiedziała Angie, trąba powietrzna z Południowej Afryki przyczajona w mosiężnym łożu w „Claridges”.

— Helen twierdzi, że jesteśmy ludźmi cywilizowanymi.

— To dlaczego bliźniaki są tak do niego podobne? A był to dopiero początek.

### *Straszna awantura*

Angie zaszła w ciążę z Cliffordem Wexfordem. Chciała zająć z nim w ciążę i wyliczyła sobie dokładnie, kiedy ma na to największe szanse. Szczęście jej sprzyjało, często sprzyja niegodziwcom. Diabeł naprawdę troszczy się o swoje dzieci. Angie miała czterdzieści dwa lata. Nie jest to wiek, kiedy zająć w ciążę znaczy tyle, co splunąć albo rozwiązać brylantowy pasek w weselnym apartamencie „Claridges”. (Co za bezczelność z jej strony, zamówić apartament weselny! Cóż, trzeba przyznać, miała tupet.) Plan Angie zakładał, że urodzi dziecko Cliffordowi nie tylko po to, by je mieć — kochała Clifforda mocno i prawdziwie, nie tylko ludzie dobrzy mają zdolność kochania — ale żeby zniszczyć swoją ciążą jego małżeństwo. Chciała, żeby się z nią ożenił po rozwodzie z Helen.

Podczas pamiętnych godzin w „Claridges”, kiedy poczęta została Barbara, Angie posiadała, w umyśle Clifforda wątpliwość, czy synowie Helen są naprawdę jego dziećmi. Clifford od czterech lat borykał się z niesfornymi bliźniakami, wychowywanymi w nowoczesny, bezstresowy sposób w domu, w którym przyjmował również swoich grymaśnych bogatych klientów. Prawdę mówiąc gonił resztkami sił. Nigdy dotąd nie wątpił w swoje ojcostwo, ale kiedy myśl raz postąpiła mu w głowie, trudno ją było wykorzenić: bliźniaki, nie jego! Helen już wcześniej go zdradziła, mogła to zrobić ponownie. Mogła go zdradzić i zająć w ciążę z eks-mężem, ponieważ było jej żal Simona i czuła wyrzuty sumienia za to, jak go potraktowała. Wypisz, wymaluj Helen! A potem zwała mu dzieci na głowę. Tak, wszystko to trzymało się kupy!

Prosto z „Claridges” Clifford poszedł do domu. Poszedł z czystym sumieniem. Nie kochał Angie, nawet jej nie lubił, choć niewątpliwie coś go do niej ciągnęło, poza tym nie czuł się winny zdrady wobec Helen. Nie, wcale! Zastał żonę w towarzystwie jej byłego męża, popijającą wino na słonecznym ukwieconym patio. To przeważało szalę.

— Oto co się dzieje, kiedy ja jestem w pracy! — powiedział do nich obojga. — Co ze mnie za głupiec! Ty dziwko! (To do Helen.) Podrzuciłaś mi swoje bękarty!

Przez chwilę ciągnął w tym tonie, po czym zaczął wykrzykiwać piskliwe nonsensy o tym, jak to Helen nie tylko zaprosiła Simona na świąteczny obiad, ale na dodatek Simon pokroił indyka, za którego zapłacił on, Clifford. Na próżno Simon tłumaczył, że Helen wymogła na nim przyjazd na święta dla dobra małego Edwarda (syna jej i Simona, poczętego jak się należy, bogobojnie i zgodnie z prawem) i że Clifford praktycznie zmusił go do pokrojenia pieczystego! Nie! Oraz że celem ich spotkania była sprawa nauki Edwarda. Nie! Helen na próżno zaprzeczała i wy-szłochiwała prawdy o swojej niewinności i miłości do Clifforda Nie!

A potem Simon powiedział to, co usłyszał od Angie. Że Clifford ma romans z Fanny, więc do kogo ta mowa?! Faktycznie Clifford miał romans. Nie zakwalifikował tego wprawdzie jako romans, tym bardziej jako stały związek — Fanny była dziewczyną, z którą się kochał, kiedy zostawali dłużej w biurze i nie mogli się zdecydować, czy obraz jest falsyfikatem czy dziełem mistrza. Seks rozjaśniał im w głowie. Nawet jeżeli Fanny była beznadziejnie zakochana w Cliffordzie, miała dość rozumu, by mu o tym nie mówić. (A może nienawidziła go w ten zachłanny sposób, w jaki niektóre kobiety nienawidzą mężczyzn, których na pozór kochają. Niewątpliwie Fanny marzyła podczas miłosnych zbliżeń, by przejechać ostrymi paznokciami po szerokich plecach Clifforda, ale niestety nie mogła. Żonatych mężczyzn nie należy drapać.)

— Nawet jeśli — powiedział Clifford — to popchnęła mnie do tego moja żona. A teraz wydziera się jak przekupka.

W tym momencie Helen przejrzała na oczy. Natychmiast przestała płakać i powtarzać, że jest niewinna.

— Przemawia przez ciebie nieczyste sumienie — powiedziała. Miała oczywiście rację. — A co gorsza, twoje zachowanie jest niewybaczalne. Rozwodzę się z tobą, ponieważ zachowujesz się niedorzecznie.

— Więc wynoś się z mojego domu — powiedział Clifford zimno. Nienawidził jej, ponieważ teraz to ona zrobiła coś niewybaczalnego, powiedziała coś, co go naprawdę przeraziło. Rozwód! Na dodatek powiedziała to przy świadku, co czyniło groźbę realną, tym bardziej realną, że świadkiem był Simon.

I wiecie, co zrobiła Helen? Znalazła w sobie dość odwagi, by powiedzieć:  
— Nie! To ty się wynoś!

I taka była potęga jej słusznego gniewu, że Clifford usłuchał, absolutnie wbrew sobie. Skapitulował, Czytelniku. Wyszedł. On! Jakże często nieszczęśliwe żony tkwią w przeświadczeniu, że dom należy do mężczyzny i jedynym sposobem, by się rozstać z mężem, jest odejść i porzucić wszystko, kiedy w rzeczywistości dom należy do nich obojga! Jeżeli ktoś ma odejść, może powinien to być on, mąż? Jeżeli żona to powie, głośno i wyraźnie, a mąż będzie się czuł winny, na pewno sobie pójdzie.

Oczywiście Clifford miał zamiar opuścić Helen tylko na trochę, tydzień, dziesięć dni, żeby dać jej nauczkę. Niech zrozumie, jak bardzo go kocha. Wtedy będzie go błagać, żeby wrócił, przeproszać za wszystkie dawne zbrodnie. Będą znowu szczęśliwi, ich miłość zostanie oczyszczona i wzbogacona. I już nigdy nie będzie musiał spać z Fanny i składać wizyt w „Claridges”.

Czytelniku, nic podobnego się nie stało. Nie ma tak dobrze!

### ***Znowu sama***

Clifford przeprowadził się do luksusowego apartamentu w Mayfair, gdzie Leonardo lokował najważniejszych klientów — to znaczy takich, którzy stojąc przed nowo odkrytym Rembrandtem, mogli powiedzieć: „Podoba mi się. Biorę go!” Ale Clifford był przyzwyczajony do zbytku i luksus nie mógł stanowić rekompensaty za utratę rodzinnego domu. Tęsknił nie tylko za żoną, ale i za strasznymi bliźniakami. Co z tego, że rysują masłem smugi na ręcznie malowanej tapecie, co z tego, że nie może słuchać *Figara* w spokoju. Rozwiązanie było szalenie proste. Należało kupić zwykłe zmywalne tapety i słuchać opery (cicho!) po położeniu dzieci spać, jak wszyscy ludzie. Nigdy tak naprawdę nie wierzył, że bliźniaki są dziećmi Simona Cornbrooka. Chciał w to uwierzyć, na jakiś czas, ponieważ dręczyła go zazdrość i poczucie winy. Poza tym nie zamierzał zdenerwować Hellen aż



tak bardzo. Nagle zrozumiał, że jeżeli naprawdę ją kocha, będzie musiał porzucić zwyczaj uwodzenia kobiet po to, by je porzucić w możliwie najokrutniejszy sposób. Do tego właśnie sprowadzały się jego romanse, co stwierdził ku swemu zawstydzeniu.

Wszystko to uświadomił sobie podczas sześciu strasznych tygodni, kiedy czekał, by Helen zadzwoniła, wyraziła skruchę i sprowadziła go z powrotem do domu. Nie zrobiła tego, on nie zadzwonił również. Nie był przyzwyczajony, że kobieta go odtrąca. Doświadczenie było nowe i mocno nim wstrząsnęło. Nigdy dotąd nie miał czasu na myślenie, przez całe dorosłe życie był tak zajęty, nie znalazł ani odrobiny czasu na refleksję.

Nawet na wakacjach nie pozwalał sobie na beczynność; zawierał nowe znajomości, był widywany na właściwych stokach narciarskich, we właściwych willach, a kiedy wszystko inne zawiodło, pielęgnował najlepszą opaleniznę w mieście! Co za głupota! Próżność nad próżnościami! Teraz to rozumiał. Kochał Helen, kochał swój dom, swoje dzieci. Tylko to się liczyło. (Ludzie mogą się zmienić, Czytelniku, naprawdę mogą!)

— Nie — powiedziała Helen. — Nie! Mówię poważnie. Chcę rozwodu, Cliffordzie. Co za dużo, to niezdrowo.

Była nieugięta. Nie chciała go nawet widzieć. Ma dość, usłyszał przez znajomych. Nie będzie bierną, nadwrażliwą, mimo-zowatą kobietką — masochistką, żeby nazwać rzecz po imieniu. Co gorsza, rodzice Clifforda, Otto i Cynthia (którzy sprzedali pochopnie swój miły, uroczy dom, a teraz próbowali się przystosować do życia w małym mieszkaniu, rzekomo idealnym dla starszych ludzi, i w efekcie postarzeliby się o dziesięć lat), byli po stronie jego żony.

— Jesteś egoistyczny, uparty, egocentryczny i bezwzględny — powiedziała mu matka. Jego własna matka!

Trzeba jednak wziąć poprawkę na to, że była wtedy bardzo nieszczęśliwa. W mieszkaniu w Chelsea Cloisters nie mogła zrobić trzech kroków, żeby nie wejść na jakąś ścianę. Czuła się przez to stara. Chciała znaleźć się z powrotem w swoim wielkim uroczym domu, sprzedanym — co ich opętało?! — Angie Wellbrook. Jaki mieli pożytek z pieniędzy w banku? Choć sir Otto wydawał się zadowolony. Składał tajemnicze wizyty w Ministerstwie Obrony i zabierał Johnniego w krótkie podróże do Ameryki. Lecz

kiedy Cynthia zajrzała do jego paszportu — jedyne, o jakim wiedziała — nie znalazła pieczętek przekroczenia granicy.

Tymczasem Angie zmieniła rodzinny dom Clifforda w podmiejski dom aukcyjny. Nazwała go Ottoline i miała zamiar sprzedawać w nim rzadkie i znakomite dzieła sztuki. Wycięła drzewa, zaorała ogród, a w cieplarni zbudowała basen z podgrzewaną wodą. Ottoline był konkurencją dla Leonarda — co nie wyszło Leonardowi na dobre. Sotheby's, Christie's i Leonardo od dziesięcioleci kontrolowały handel dziełami sztuki, dzieląc się nim sprawiedliwie, teraz wpychał się między nich outsider. Co ta Angie sobie myśli? W końcu nadal jest dyrektorem Leonarda! Kala własne gniazdo! I gniazdo Clifforda. Jego dom rodzinny! Jaki ten Clifford zrobił się sentymentalny...

Czytelniku, my znamy plany Angie. Osaczała go, żeby móc go potem wyzwolić. Jednego tylko dnia, kiedy Clifford znalazł się w psychicznym dołku, powiedziała mu trzy rzeczy. Zabrała go do Oksfordu, na przejażdżkę łodzią. On wiosłował i ładnie przy tym wyglądał, taki muskularny i silny, a Angie siedziała tyłem do słońca ubrana w miękki kapelusz z wielkim rondem, w którym było jej nawet do twarzy. — Oczywiście twoja umowa z Johnem Lallym jest nieważna według prawa europejskiego — oznajmiła. — Prawem artysty jest malować, ile chce, kiedy chce. Ograniczasz go bezprawnie. Lally pozwie cię do Sądu Europejskiego. Tak, ja mu to doradziłam. Przejdzie pod moje skrzydła, kiedy wydobędzie się z łap Leonarda. Obrazy Lally'ego, Czytelniku, są teraz warte sporą część miliona, już nie dziesiątki tysięcy, lecz setki. (Oto ile profesjonalna manipulacja może uczynić dla malarza!) Jeżeli John Lally zacznie teraz malować, obojętnie jak dużo, dla Ottoline pieniądze zarobione w chudych latach przez Leonarda (chudych według kryteriów Leonarda), w latach tłustych dostaną się Ottoline i Angie. Nie wyobrażajcie sobie tylko, że John Lally coś z tego będzie miał, mimo obietnic Angie! „Aukcja”, powiedziała wtedy. Dotyczyło to tylko nowych płócien, nie tych, które zostały ukończone. Ale on o tym nie pomyślał, zgodnie z życzeniem Angie. Wypił sporo czerwonego wina pod jagnięcinę i galaretkę porzeczkową. Ona oczywiście nie piła prawie nic.

Oznajmiła również:

— Cliffordzie, jestem w ciąży. Będę miała twoje dziecko! Nie ośmielił się zasugerować aborcji. Nawet dawny Clifford byłby się zawahał, tak stalowe i lśniące były oczy Angie. Nowemu zaś Cliffordowi nie podobała się myśl o niszczeniu życia, czyjegokolwiek. Zrobił się dziwnie wrażliwy, a nawet dobry. Gdyby tylko nie był taki uparty, gdyby złoto i pieniądze nie miały dla niego takiego uroku, gdyby Cynthia kochała go bardziej i w swoim czasie zaspokoila jego potrzeby. Gdyby tylko! Jaki sens ma gdybanie? Żadnego, ale jakie to zajmujące! Angie powiedziała:

— Cliffordzie, gdybyśmy połączyli nasze imperia, rządilibyśmy światem.

(Chciała pewnie powiedzieć „światem Sztuki”. Przynajmniej mam taką nadzieję.)

— Co przez to rozumiesz, Angie? Połączyć nasze imperia?

— Ożeń się ze mną, Cliffordzie.

— Angie, jestem żonaty z Helen.

— Boś głupi — rzuciła Angie i poinformowała Clifforda o domniemanym romansie Helen z Arthurem Hockneyem, czarnym detektywem z Nowego Jorku, którego Helen zatrudniła, by szukał małej Neli po katastrofie lotniczej. My wiemy, że choć Arthur przez wiele lat kochał beznadziejnie Helen, nic między nimi nie zaszło, nic! Teraz był szczęśliwy z Sarą, a nawet stanął na mównicy i przemawiał podczas zbiórki pieniędzy na rzecz, czarnoskórych artystów w Winnipeg. Angie wiedziała o tym, ale Angie nie należała do osób, które pozwoliłyby, aby prawda stała się między nimi a przedmiotem ich pożądania.

— Nie wierzę ci! — krzyknął Clifford.

— Sama mi o tym opowiedziała. Po pijanemu — odparła Angie. — Niektóre kobiety takie już są. Robią się niedyskretne, kiedy sobie popijają. A Helen popija dość często. Przypuszczam więc, że wie o tym cały Londyn. Skoro powiedziała mnie, powie każdemu.

Helen faktycznie nadużywała czasem alkoholu. Clifforda to denerwowało, tym chętniej więc uwierzył w oskarżenia Angie. Helen należała do nieszczęśliwych (a może szczęśliwych) osób, na które łyżeczka wina ma taki sam wpływ, jaki na innych butla

dżinu. A wiecie, jak wyglądają przyjęcia artystyczne i otwarcia wystaw — gdziekolwiek spojrzeć, tace z kieliszkami, do tego podniecenie, gwar i przyjemność, jaką daje świadomość, że jest się oszałamiająco piękną (a Helen nadal była piękna. Z każdym dzieckiem przybywało jej uroku, nie kilogramów). Czasem sięgała przez pomyłkę po wino zamiast po sok pomarańczowy. Och, wiecie, jak to jest! Nie upłynęły trzy miesiące, a z pomocą Angie Clifford stłumił ból, a raczej obrócił go w gniew i nienawiść. Wystąpił o rozwód.

### ***Wielkie oczekiwania***

Angie dała Cliffordowi wyraźnie do zrozumienia, że powinien się z nią ożenić. Clifford nie miał zdania na ten temat. Teraz, kiedy stracił Helen, było mu wszystko jedno. Liczył się tylko Leonardo i praca — jedyna dziedzina, w której się sprawdzał. Nawet jego matka obróciła się przeciwko niemu. (Innymi słowy Clifford był bardzo, ale to bardzo przygnębiony.) Równie dobrze mógł ożenić się z Angie. Nie są to może warunki, na jakich ja i ty, Czytelniczko, zgodziłybyśmy się zawrzeć małżeństwo, ale Angie była inna. Bogacze są inni. Oczekują, że dostaną to, czego pragną, i zazwyczaj to dostają. Duma nie wchodzi im jakoś w paradę. Nie twierdzą, że są szczęśliwsi niż zwykli śmiertelnicy. Chcę tylko powiedzieć, że nie pozostawiają zbyt wiele przypadkowi.

Poza tym Angie oczekiwała dziecka, a odkąd stracił Neli, źrenicę swego oka, Clifford rozumiał lepiej od innych ludzi, jakim błogosławieństwem jest dziecko. — Pomyślę o tym — powiedział.

Takie małżeństwo przyniosłoby oczywiście Cliffordowi wiele korzyści materialnych, czego Angie nie omieszkła podkreślić. Ustalono, że z chwilą gdy Angie przestanie być panną Wellbrook i stanie się panią Wexford, Ottoline połączy się z Leonardem, Angie ponownie wyrzuci presję na Lally'ego, tym razem by

ograniczyć jego produktywność i opanować rynek na jego obrazy, ku zadowoleniu wszystkich (z wyjątkiem malarza rzecz jasna). Przystanie również mącić wodę w Koloniach (jak lubiła nazywać kraje Trzeciego Świata) i pozwoli, by galeria w Johannesburgu wystawiała starych mistrzów, którzy tracili w oczach wyrafinowanej społeczności europejskiej. W zamian będzie mogła otworzyć filię w Australii i nazwać ją Ottoline, nie Leonardo. A Clifford będzie mógł odwiedzać bliźniaki i zapraszać je do domu, pod warunkiem że nie będzie widywał Helen.

— Niech Simon je odwiedza — powiedział Clifford. — On jest ich ojcem.

Wszczał postępowanie rozwodowe i wygrał.

Helen płakała i płakała, i nikt nie mógł jej pocieszyć, choć wielu próbowało. Nie tego chciała, zupełnie nie tego!

W końcu przeprowadziła się do Applecore Cottage, żeby móc płakać dalej. Tym razem miała ze sobą trójkę dzieci.

— Mówiłem, że tak będzie — powiedział Lally, ale tylko raz.

— Zamknij się — syknęła Marjorie i Lally usłuchał.

Dom pełen był dzieci. Marjorie lada chwila miała urodzić własne. Lally schronił się do szopy na rowery.

— Robię ci kłopot — powiedziała Helen. — Tak mi przykro.

— Jesteś tu mile widziana. Wiem, że nigdy nie zastąpię ci matki, wiem, że musisz gniewać się o dziecko...

— Nie, nie! — zawołała Helen i naprawdę tak czuła. Było niemożliwością nie lubić Marjorie, która uszczęśliwiła jej ojca. W wolnych chwilach malował teraz meble. Zwykle kuchenne krzesła mieniły się kolorami tęczy.

— Co ja zrobię ze swoim życiem? — zapytała Helen. — Zmarnowałam je.

Kolejny rudzik — praprawnuk pierwszego — podskakiwał na gałęzi w ogrodzie, przywołując uśmiech na jej twarz. Nie mogła pogрузić się w rozpacz, musiała myśleć o dzieciach.

— To dlatego, że polegasz na innych — powiedziała Marjorie. — Naucz się polegać na sobie.

— Jestem za stara, by się zmienić — oznajmiła Helen, która wyglądała na osiemnaście lat.

Marjorie roześmiała się. Marcus, Max i Edward wpadli do kuchni domagając się jedzenia. Byli kosztownymi dziećmi, żądali soku pomarańczowego, podczas gdy poprzednie pokolenia zadowalały się wodą. Wiecie, jakie są dzisiejsze dzieci.

— Nienawidzę prosić Clifforda o pieniądze — powiedziała Helen. — To mi przypomina dawne czasy. Nie zniosę tego.

— Więc zarób je sama — powiedziała Marjorie dziarsko. — Masz do tego wszelkie predyspozycje.

I faktycznie miała, kiedy się nad tym zastanović.

### *Poślubiony Angie*

Kiedy rozwód stał się faktem i urodziła się Barbara, Angie powiedziała do Clifforda:

— Wiem, pobierzemy się w wigilię Bożego Narodzenia.

— Nie — powiedział Clifford.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ są to urodziny Neli.

— Kto to jest Neli? — zapytała Angie i Clifford o mały włos nie odwołał ślubu, mimo wszystko.

Angie próbowała poskromić swój charakter, rzecz jasna, ale i tak w ciągu trzech miesięcy zatrudniła i zwolniła trzech służących. Clifford zrozumiał, że to, co brał za przesadną żywotność i bezpośredniość, było w rzeczywistości samowolą i chamstwem, że Angie jest równie gwałtowna, jak Helen była spokojna. Z drugiej strony istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by Angie zdradzała go na prawo i lewo, prawda? No i z całą pewnością nie zaprosi byłego męża na świąteczny obiad. I nie jest niezdecydowana, zapominalska i wiecznie spóźniona. Nie! Małżeństwo Wełbrook/Wexford było ze wszech miar stosowne, poparte dziesięcioma kopalniami złota i kolekcją cennych obrazów. Clifford szybko przewyciężył swoje opory.

Jednak ślub nie odbył się w Wigilię. Odbył się w pierwszą sobotę stycznia. Był to bardzo dżdżysty dzień, loki Angie rozkręciły się na wietrze, jej duży nos zrobił się czerwony i bardzo widoczny,

a przecież wiemy, że Angie potrzebuje całej pomocy, jakiej salon piękności jest w stanie udzielić kobiecie. Wygląd a la zmokła kura po prostu do niej nie pasował, podobnie jak biała suknia, którą uparła się założyć. Była w odcieniu niebieskawej ostrej bieli, nie łagodnej kości słoniowej, i zbyt falbaniasta. Panny młode często tracą wycucie smaku, kiedy przychodzi do sukni ślubnej, i Angie nie stanowiła wyjątku. Dobry smak jest jedną z rzeczy, których nie kupi się za pieniądze. Stojący przy niej Clifford przypomniał sobie subtelną urodę Helen. Mało brakowało, by powiedział „nie”, ale Angie trąciła go łokciem. Klamka zapadła.

Clifford i Angie mieszkali czasem w Belgravii (w gigantycznych pokojach, które są doskonale dla obrazów, fatalne dla istot ludzkich), a czasem na Manhattanie (mieli tam *penthouse* z widokiem na Central Park, tak dobrze strzeżonym, że dostanie się do własnego domu zajmowało im dziesięć minut).

Barbara zostawała w Belgravii, kiedy jej rodzice przenosili się do Nowego Jorku. Angie twierdziła, że Nowy Jork nie jest bezpiecznym miejscem dla dzieci, ale Clifford wiedział, że ona po prostu nie chce być z córką. Cięża spełniła swoje zadanie, dziecko było kłopotliwym efektem ubocznym. Clifford robił dla Barbary, co w jego mocy, ale brakowało mu czasu. Barbara była cichą, potulną dziewczynką, zbyt cichą i zbyt potulną. Nowi przyjaciele Wexfordów okazali się mądrzy, nudni i stateczni. Angie nie miała czasu dla pisarzy, artystów i ekscentryków. Clifford był znudzony i nieszczęśliwy, i dobrze mu tak. Kto wie, czy właśnie ten brak zadowolenia z życia nie był powodem, że rozminął się z prawem w swoich transakcjach u Leonarda. Zdarzyło się to w czwartym roku małżeństwa z Angie.

### ***Dziecko i matka***

Tego roku Neli, bezpieczna u Kildare'ów w psiarniach, zdawała egzaminy do szkoły średniej. Sztuki piękne, historia, geografia, angielski, matematyka, biologia, religia, prace ręczne, francuski. Z wyjątkiem matematyki była dobra we wszystkim,

zwłaszcza we francuskim. „Mówisz jak urodzona Francuzka!”, zauważyła nauczycielka. Ja i ty, wierny Czytelniku, wiemy dlaczego, nawet jeśli Neli zapomniała. Ostatnio rzadko myśli o czasach przed przybyciem do Ruellyn. Jest w wieku, kiedy dzieci lubią żyć teraźniejszością, pozostawiając przeszłość i przyszłość własnemu losowi.

Neli interesuje się chłopcem o nazwisku Dai Evans, który jest zbyt przerażony okazywanymi względami, by podjąć jakiegokolwiek działanie. Właściwie nie można mu się dziwić, Neli jest uderzająco piękna ze swymi gęstymi blond włosami (golenie głowy w sierocińcu musiało jej jednak wyjść na dobre, przynajmniej tak twierdzi moja fryzjerka), prostym noskiem, pełnymi wargami i łagodnym, kobiecym uśmiechem.

A co z jej braćmi, Edwardem, Maxem i Marcusem? Czytelniku, kto to powiedział, że dzieci kochanków są sierotami? Helen, ograbiona ponownie — przez los i Angie — z miłości swego życia, zwróciła się ku dzieciom, które niemało na tym skorzystały. Edward miał dwanaście lał, bliźniaki Max i Marcus po osiem. Trzech chłopców! Neli miała również siostrzyczkę, córkę Clif-forda i Angie, Barbarę. W dzień narodzin Barbary Helen bała się, że umrze z bólu, rozpaczy i zazdrości. Nikomu na świecie nie wolno nienawidzić dziecka, w dodatku tak potulnego jak Barbara, i Helen wiedziała o tym, ale nie potrafiła zwalczyć tego uczucia. Dziecko skradło jej Clifforda, skazało na samotność ją i jej dzieci, Helen próbowała wyjaśnić to Marjorie.

— To wina tego dziecka — powiedziała. — To wszystko jego wina.

— To nierozsądne — odparła Marjorie, najrozsądniejsza z kobiet. Jej syn miał na imię Julian, braciszek Helen, wujek Neli. Coś podobnego!

— A ona urodziła dziewczynkę! — zawołała Helen. — To niesprawiedliwe. Diabeł jest po jej stronie!

— Ty też miałaś dziewczynkę — zauważyła Marjorie. — Miałaś Neli.

Przez chwilę Helen nienawidziła macochy za to, że ośmieliła się wspomnieć o jej dziecku, ale tylko przez chwilę.

— Mam w sobie tyle gniewu — powiedziała w końcu — że nie wiem, gdzie go pomieścić.



Zapisała się ponownie do Akademii Królewskiej, na kurs mody i wzornictwa, co podnosiło ją na duchu jednego dnia i przygnębiało następnego, jakby zmarnowała kawał życia. Ktoś musiał ponosić za to winę!

Tego wieczora wyjęła teczkę, w której przechowywała poźółkłe, wystrzępione zdjęcia Neli. Wpatrywała się w nie długo i znowu ogarnęła ją pewność, że Neli żyje. Żyje! Jest nie mniej rzeczywista niż Barbara. Helen przypomniła sobie Arthura Hockneya. Ciekawe, co on teraz porabia? Znalazła jego numer służbowy w starym kalendarzyku i zadzwoniła. Powiedzieli jej, że już u nich nie pracuje. Został czymś w rodzaju działacza społecznego, prowadzi ośrodek dla trudnych dzieci w Harlemie. Ale podali Helen jego nowy numer.

A propos, Czytelniku, Neli ścięła się z matematyki. Myślę, że zrobiła to specjalnie, w imię przyjaźni. Brenda oblała większość przedmiotów. W dzień egzaminu Neli celowo nie założyła niedźwiadka na srebrnym łańcuszku, starego miśka z klejnotem w brzuchu, którego nosiła na szczęście.

### ***Sam na sam z życiem***

Helen się zmieniła. Nie zapominajmy, że wyszła młodo za męża, miała bardzo mało czasu, by rozwinąć własną osobowość, wyrobić sobie poglądy i gusta. Wyrosła przy upartym, trudnym ojcu i matce masochistce, szybko opanowała bolesną sztukę pojednywania zwaśnionych stron. Wiedziała, że buforowe państwko może przetrwać między wojującymi mocarstwami, utrzymując pokój własnym kosztem. Potem podporządkował ją sobie Clifford, uczynił z niej chłodną, światową kobietę, która potrafiła odczytać listę win i odróżnić prawdziwą komodę z czasów Jakuba I od jej falsyfikatu, ale musiała lubić to, co lubił Clifford, i pogardzać tym, czym pogardzał on. Potem, kiedy miejsce Clifforda w małżeńskim łóżku zajął Simon, Helen przejęła jego poglądy polityczne, jego łagodny cynizm światowca.

Opanowała w znakomitym stopniu czysto kobiecą umiejętność utrzymywania

spokoju w domu poprzez wieczne potakiwanie. Na dłuższą metę nie wychodzi to kobiecie na dobre. Kładzie się spać zdezorientowana, wstaje rano sfrustrowana i w końcu wpada w depresję.

Teraz, kiedy trzech synowie zadawali jej pytania, Helen musiała udzielać odpowiedzi, które nie były odpowiedziami Johna Lally'ego, Clifforda Wexforda ani Simona Cornbrooka. Uznała, że to bardzo interesujące i niemal, choć nie w pełni, wynagradza rozpacz, samotność i poczucie utraty. Clifford rozmawiał z nią wyłącznie przez prawników i kazał jej wyklócać się i błagać o każdy skąpy czek na utrzymanie (robota Angie, jak sądzę). To było upokarzające. Ale Helen dostrzegała w tym własną winę. Została obdarzona talentem i zmarnowała go. Obarczyła innych ludzi odpowiedzialnością za siebie, a teraz wnosi zażalenia. Była żoną, kochanką, matką i myślała, że to wystarczy. Ale nawet matką nie była dobrą, czyż nie utraciła Neli? Nie była również dobrą żoną — czyż nie utraciła męża? Zdawała się stworzona tylko po to — i rozumiała to teraz, kiedy odejście Clifforda pozbawiło ją pozycji towarzyskiej, zaproszeń na modne przyjęcia i otoczenia modnych przyjaciół — by prosić o pieniądze, a nawet tego nie robiła dobrze.

Cóż, była zdecydowana definitywnie uwolnić się od Clifforda. Odświeżyła swój dyplom oraz stare znajomości i pożyczyła pieniądze zastawiając jedyny obraz Johna Lally'ego, jaki posiadała, rysunek utopionego kota, który ojciec sprezentował jej na osiemnaste urodziny.

— Wygląda jak twoja matka wracająca z zakupów w deszczowy dzień — powiedział. Był to żart (ha, ha!).

Helen schowała obrazek na dno szuflady. Nienawidziła go. Ale nienawiścią nie da się zapłacić czynszu ani założyć domu mody. Wyjęła obrazek, zaniosiła go do banku, oddała jako zabezpieczenie pożyczki i wyłoniła się na londyńskiej scenie jako nowy projektant mody. Założyła Dom Lally'ego. Jej ojciec był wściekły: okryła hańbą rodzinne nazwisko. Helen tylko się roześmiała. Czy zdarzyło się kiedyś, żeby ojciec nie był wściekły? Poza tym jego złość straciła ostatnio swój jad. Widziano go nawet karmiącego z butelki małego Juliana. Marjorie nie mogła karmić piersią, a przynajmniej tak twierdziła. Zdaniem Helen był to podstęp, by zbliżyć Johna Lally'ego z synem.

Oczywiście Simon chciał ponownie ożenić się z Helen. Roześmiała się i powiedziała, że na razie chyba wystarczy. Pewne związki wymagały natychmiastowego zerwania bez dalszych komplikacji. Co interesujące, Czytelniku, wraz ze zmianą stylu życia zmieniła się jej uroda. Nie wydawała się już krucha i żalosna — teraz promieniała energią. Clifford ujrawszy swoją byłą żonę w jakimś programie telewizyjnym doznał szoku. Co się z nią stało? Nie usychała z tęsknoty za nim, Cliffordem? Angie powiedziała, że zmiana jest powierzchowna, w środku Helen pozostała tą samą bezradną, beznadziejną, bezwolną, upierdliwą córką ramiarza, i wyłączyła telewizor.

Chętnie zgodził się z Angie, ale kiedy następny czek, który wysłał Helen (z trzytygodniowym opóźnieniem) został mu zwrócony, naprawdę się zdziwił. Zastanawiał się nawet, czy jej nie odwiedzić, ale doszedł do wniosku, że po tym, jak wyparł się ojcostwa, lepiej nie mieszać bliźniakom w głowach. Więc nie podjął żadnych działań. Tyle tylko że Helen ponownie wkradła się w jego sny, wraz z małą Neli. Tam gdzie nie miała dostępu Angie, podążała z nim jego prawdziwa żona i zaginiona córka.

### *Spotkanie z Arthurem*

Tak wyglądały sprawy, gdy Helen skontaktowała się po raz kolejny z Arthurem Hockneyem. Przyjechał w odwiedziny z Sarą, obecnie swoją żoną, i psem Kim, obecnie elegancką łagodną suką, którą można było bezpiecznie wpuścić do najwytwor-niejszego salonu w mieście. Arthur niechętnie usłuchał wezwania Helen. Dobrze pamiętał, jaki ból mu zadała tej nocy, kiedy siedział z Edwardem, a ona nie wróciła do domu. Po co wskrzeszać przeszłość? Ale ujrawszy ją zrozumiał dwie rzeczy. Po pierwsze, że ona się zmieniła, po drugie, że już jej nie kocha. Kocha Sarę. Sara wcale nie jest namiastką. Było to wspaniałe odkrycie.

— Nie mogę pogrzebać ducha Neli — powiedziała Helen. — Taka jest prawda. Jeżeli to naprawdę duch, a nie Neli z krwi i kości, proszę, spróbuj ją odnaleźć!

— Nie jestem już detektywem — zauważył. — Przyjechałem tu na konferencję na temat rasizmu. — On również wrócił na studia, ukończył prawo, które porzucił wiele lat temu.

Ale spróbował. Poszedł do małego podmiejskiego domku pani Blotton i stwierdził, że jej nie ma. Wywieszka w oknie informowała, że obecnie jest to rezydencja pani M. Haskins, wróżki. Pani Haskins miała pięćdziesiąt lat, obwisłe policzki, głęboki głos i wielkie, umęczone piękne oczy. Pani Blotton odeszła tam, powiedziała, gdzie Arthur nie może za nią podążyć.

— Gdzie mianowicie?

— Na drugą stronę — powiedziała pani Haskins. — W światło wieczności. — Biedna kobieta, sama niepaląca, zmarła na raka płuc, efekt wdychania dymu. — Jej mąż palił całymimi latami.

— Przykro mi — powiedział Arthur.

— Śmierć jest powodem do radości, nie smutku — odparła pani Haskins i zaproponowała, że mu powróży. Arthur wyraził zgodę. Nie miał stosunku do jasnowidztwa. Zdawał sobie sprawę, że czasem wie więcej, niż miałby prawo wiedzieć z racjonalnego punktu widzenia. A skoro wiedział on, mogli wiedzieć i inni. Trudno oprzeć się pokusie poznania przyszłości.

Pani Haskins ujęła jego czarne ciężkie dłonie, pogapiła się na nie przez chwilę i pozwoliła im opaść.

— Lepiej zrób to sobie sam — powiedziała i Arthur zrozumiał lub prawie zrozumiał. Twardy czarny prawnik, były detektyw z Nowego Jorku, wolałby wierzyć we własny profesjonalizm niż w jakąś ulotną zdolność przenikania wzrokiem murowanych ścian!

— Ona sama wróci do domu — rzuciła pani Haskins ni z tego, ni z owego, odprowadzając Arthura do drzwi. Jej grube pończochy rolowały się na kostkach, żyłki prześwitywały niby splątane liny, ale jej oczy płonęły.

— Kto? O kim pani mówi?

— O tej, której szukasz. O zaginionym dziecku. Ona jest silna, o tak! Stara dusza. Jedna z wielkich.

To wszystko, co Mary Haskins potrafiła mu powiedzieć. Wystarczy w zupełności, pomyślą zapewne przesądni spośród nas.

Arthur wrócił do Helen i powiedział jej, że ślad się urwał. Musi zacząć żyć teraźniejszością, pogrzebać przeszłość. Z ulgą zrzucił skórę detektywa. Ta praca była zbyt denerwująca. Zbliżała go zanadto do spraw, od których należało uciec, zamiast się ich czepiać. On również obawiał się o swoją duszę: chciał żyć teraźniejszością, nie trwać już dłużej w zawieszaniu między przeszłością a przyszłością, wyczuwając zbyt wiele, wiedząc za mało.

— Jak ty się zmieniłeś — powiedziała Helen.

Nie wiedziała jednak, na czym ta zmiana polega. Ale czuła się swobodniej w jego towarzystwie. Polubiła Sarę. Cieszyła się, że Arthur jest szczęśliwy.

— To zasługa dziecka — powiedziała Sara. — Ustatkował się.

I choć to prawda, że dzieci budzą w swych ojcach, nie tylko w matkach, pragnienie spokoju i bezpieczeństwa, osobiście uważam, że Arthur zmienił się po ostatniej wizycie u pani Blotton, kiedy zawarł rozejm z własnym sumieniem. Pani Blotton zrobiła wiele dobrego w swoim życiu i należy ją za to ciepło wspominać, nawet jeżeli zrobiła to niechcący. Niech spoczywa w spokoju.

### *Lato w psiarni*

Tego roku kiedy Neli zdawała egzaminy do szkoły średniej, państwo Kildare'owie wyjechali na cały sierpień. Wybrali się do Grecji. Neli i Brenda pozostały w domu, by pilnować interesu. Lato jest pracowitym okresem w takich miejscach jak psiarnie. Wiecie, jak to jest — ludzie chcą wyjechać za granicę i nie mogą zabrać ze sobą swoich psów albo zabierają... i nie mogą wwieźć ich z powrotem. Kildare'owie dostali właśnie pozwolenie na prowadzenie psiarni z kwarantanną i mogli trzymać tuzin psów w izolatkach przez osiem miesięcy. Oznaczało to mnóstwo dodatkowej pracy, nie wspominając o wydatkach. Zwierzęta trzeba było nie tylko karmić, ale utrzymywać w dobrej kondycji fizycznej, mówić do nich i podnosić je na duchu, inaczej wpadały w apatię i przystępowały do strajku głodowego albo stawały

się ospałe, grube i smutne. I jedno, i drugie oznaczało kłopoty. Z tych, jak również innych względów państwo Kildare'owie cieszyli się, że wyjeżdżają.

Neli i Brenda nie cieszyły się, że zostają. Brenda nigdy w życiu nie była za granicą, a bardzo chciała, i choć my wiemy, że Neli była, ona tego nie pamięta. Takiej pomocnicy w psiarni świat nie widział, to pewne! Brenda uchodziła za ładną — choć szpecił ją trądzik na brodzie — ale przy Neli wyglądała zdecydowanie bezbarwnie. Była przysadzista, ot co! Oczy miała małe, a policzki pyzate. Jakie niesprawiedliwe jest życie!

— Myślisz, że możemy im zaufać? — zapytała pani Kildare.

— Oczywiście — odparł pan Kildare, myśląc o gorących plażach, błękitnym niebie i świecie wolnym od psów.

Kildare'owie kochali psy bardziej niż ludzi i nie ukrywali tego. Z jakichś powodów przerastających ich zdolność pojmowania denerwowało to Brendę do tego stopnia, że dostawała pryszczki. Miłość do psów nie przeszkadzała im opuszczać czworożnych podopiecznych przy każdej nadarzającej się okazji. Wyjechali również na Wielkanoc, kiedy dziewczęta uczyły się do egzaminów. Być może dlatego Brenda połowę z nich oblała.

— Przypuśćmy, że zdarzy się coś złego — powiedziała pani Kildare.

Ale pan Kildare pomyślał, że owszem, zdarzy się coś złego, ale jeżeli zostaną w domu. Trudno mu było oderwać oczy od Neli, chciał jej dotknąć, chciał, żeby uśmiechała się do niego zupełnie inaczej niż do reszty świata. Może pobyt w Grecji go uleczy. Liczył na to. Nie był z siebie dumny. Cóż, miał czterdzieści dwa lata, a ona szesnaście. Dwadzieścia sześć lat różnicy. Słyszał już o większej dysproporcji wieku. Nie była maniaczką psów, jak jego żona i Brenda, ale radziła sobie nieźle. A gdyby tak zaczął z nią od nowa? Była przecież znajdą, sierotą. Byłaby mu wdzięczna...

— Grosz za twoje myśli — powiedziała pani Kildare i pan Kildare zawstydził się.

Ale czy mężczyzna może nie myśleć tego, co myśli?

Zdarzyło się coś złego, a jakże! Dwie szesnastolatki nie mogą zajmować się trzydziestoma psami, sobą, przyjmowaniem i wy-

dawaniem psów, i odpieraniem ataków Neda (lat osiemnaście) i Rusty'ego (lat szesnaście), braci z sąsiedniej farmy, którzy chcieli wpaść i pooglądać telewizję, ponieważ odbiór w psiarni jest o wiele lepszy niż u nich w domu.

— I co jeszcze? — zapytała Neli.

— To wszystko — obiecali. Skłamaczali oczywiście. Dziewczętom udało się w końcu wypchnąć ich za drzwi. Było to w środę wieczór.

— Nienawidzę chłopców — oświadczyła Brenda. — Wolę psy.

— Janie — odparła Neli.

Ale martwiła się swoimi piersiami. Uważała, że są ogromne. Oczywiście nie były. Niemniej Rusty uparł się, żeby je obmacać. Dlaczego jej piersi, a nie Brendy? Poza tym czuła, że śmierdzi karmą dla psów. Nie śmierdziała rzecz jasna. Ale miała szesnaście lat. Wiecie, jak to jest.

W czwartek rano dwa psy odmówiły zjedzenia śniadania. W czwartek wieczorem osiem ogłosiło strajk głodowy. Na oko nic im nie dolegało. Wąchały jedzenie, kładły się i spoglądały na swoje opiekunki z wyrzutem. Potem ten, który przestał jeść we wtorek, zaczął kichać.

W sobotę rano kichały wszystkie i dziewczęta wezwały weterynarza. Stwierdził bliżej nieokreśloną infekcję żołądkową, zbadał zmy warnię, w której przygotowywały jedzenie, uznał, że jest w porządku, i dał każdemu psu antybiotyk, tak na wszelki wypadek. Zostawił rachunek na dziewięćdziesiąt funtów i powiedział, że wróci we wtorek. Cokolwiek to jest, do tego czasu powinno minąć. Zdawał się zaskoczony faktem, że Brenda i Neli prowadzą psiarnię same.

— Radzimy sobie — odparły. — Nie po raz pierwszy.

— Hm! — powiedział weterynarz. — Ile masz lat? — zwrócił się do Neli.

— Szesnaście — odparła.

Oszacował ją wzrokiem od stóp do głów. Nie była do tego przyzwyczajona.

— Wyglądasz na starszą — powiedział.

Neli postanowiła przejść na dietę. Przez trzy dni nie jadła kompletnie nic. Psy również nie.

— To sprawa żarcia — powiedziała Neli w poniedziałek wieczorem. Psy przestały spoglądać na nią z wyrzutem i zaczęły wyć, jęczeć i kręcić się niespokojnie, pełne buntu i urazy. — Zachowują się po prostu jak głodne psy.

— To nie może być żarcie — powiedziała Brenda. — Bierzemy z tego samego worka co tydzień temu, a wtedy jadły.

(Psy karmiono czymś w rodzaju psich płatków owsianych zalewanych gorącą wodą. Papka miała ostry zapach.)

— Mówię ci, że to żarcie — powiedziała Neli i zmieszała trochę płatków z wodą, by sama spróbować.

— Nie rób tego! — krzyknęła Brenda.

— Wypluję — odparła Neli.

O tak, była odważna. Podniosła łyżkę mazi do ust, skrzywiła się, kichnęła. W tym momencie w drzwiach zmywalni ukazał się Ned z zapłakany Rustym pod pachą.

— Wiecie, co on zrobił? — powiedział Ned. — Dosypał proszku na kichanie do żarcia waszych psów. Przyprowadziłem go, żeby przeprosił. -

— Przepraszam — powiedział Rusty. — Tylko że wcale nie żałuję. Za kogo wy się uważacie?!...

Kopnął brata w łydkę i wziął nogi za pas. Brenda pomogła Nedowi wstać z ziemi, a Neli otworzyła nowy worek paszy i zmieszała ją z wodą. Psy jadły z wdzięcznością. Weterynarz przyszedł we wtorek i wręczył im drugi rachunek, na dwadzieścia pięć funtów, i nawet nie przeprosił. Kildare'owie byli wściekli. Żaden hodowca psów nie lubi wzywać weterynarza. I niestety, uczucia pana Kildare'a wobec Neli nie zmieniły się ani na jotę.

— Schudłaś — powiedział, szacując ją wzrokiem.

— Niedostatecznie — brzmiała cicha odpowiedź Neli.

Pani Kildare miała ogromne kłopoty, by namówić ją do zjedzenia czegokolwiek.

Wiecie, jakie są dziewczęta w tym wieku. Całe to wydarzenie miało tylko tę dobrą stronę, że Brenda i Ned zaczęli ze sobą chodzić. Choć Neli znalazła się trochę na uboczu (Rusty był stracony w jej oczach), była zadowolona ze względu na Brendę.

Zrobiła parę naprawdę dobrych psich portretów i Kildare'owie wykorzystali je w swoich broszurach reklamowych. Wydrukowali je również jako kartki świąteczne i sprzedali. Neli



nie otrzymała z tego ani grosza rzecz jasna. Przecież karmili ją, ubierali i kształcili. Czuli, że są uosobieniem hojności.

### ***Podszepty diabła***

Czytelniku, chciałabym móc napisać, że Angie była szczęśliwa teraz, kiedy zdobyła to, czego chciała, mianowicie Cliffor-da. Ale wiecie, jak to jest — podróżuje się milej, niż przybywa na miejsce. Angie wcale nie była szczęśliwa. Była znudzona i niespokojna, miała za dużo pieniędzy i za dużo wolnego czasu, i choć nie sądzę, żeby brak miłości ze strony Clifforda dokuczał jej szczególnie mocno, musiał przecież jakoś na nią oddziaływać. Oddziaływałby na mnie i na ciebie pewnie też. Irytowała ją córeczka Barbara — przy tych rzadkich okazjach, kiedy widywała dziecko — co przydarza się często matkom, które nie opiekują się swoimi pociechami dwadzieścia godzin na dobę. Wypełniała więc pustkę swego życia, najlepiej jak potrafiła. To znaczy wplątała się w aferę z grupą rockową o nazwie Przedsięwzięcie Szatana. Członkowie grupy, pomalowani kredą i obwieszeni czarnymi piórami, byli w rzeczywistości łagodnymi, z lekka znerwicowanymi facetami, którzy parali się czarną magią dla dobra *public relations*. Krążą pogłoski, że Marco, wokalista grupy, był kochankiem Angie, ale nie uważam, żeby to musiało być prawdą. Tego samego zdania był Clifford po przyjrzeniu się Marco.

Ale kiedy się rzuca uroki i przyzywa demony w opuszczonych kaplicach, choćby tylko dla zabawy, zysku czy na użytek kamer telewizyjnych, może się zdarzyć, że delikwent ugryzie więcej, niż jest w stanie połknąć, lub zrobi większy bałagan, niż jest w stanie uprzątnąć. Dzieją się wtedy nieprzystojne rzeczy, wybuchają skandale i w ogóle jest nieprzyjemnie.

A oto co się wydarzyło.

Clifford i Angie mieli przybyć na premierę *Egzorcysty*. Clifford zjawił się sam, bez Angie u boku. Dziennikarze zwęszyli sensację. Nieustannie chodzili za Cliffordem, w nadziei że przyłapią go z niewłaściwą osobą we właściwym miejscu albo na

odwrót, i czasami im się udawało. Wtedy oblegali Angie, w nadziei że przydybia ją zniecka, w rozpacz, co im się nie udało nigdy. Była niegrzeczna, zatrząskiwała im drzwi przed nosem. Raz z okna pokoju Barbary wylała im na głowy cały czajnik wrzątku.

— To nierozsądnie denerwować prasę, Angie — zauważył Clifford. — Zemszczą się.

— To powinien być wrzący olej — odparła. — Woda za szybko stygnie. Nie denerwuj mnie, to ja nie będę denerwowała ich.

To było niepodobne do Angie — przegapić premierę, cieszyła się na *Egzorcystę*. Słyszała o zielonych wymiotach i głowach okręcających się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Przed południem tego dnia wystąpiła w programie telewizyjnym na żywo „Jak dbam o swoją twarz” i powiedziała, że będzie na premierze. Powiedziała również, że myje twarz tylko wodą i mydłem i wklepuje odrobinę kremu nawilżającego. Kłamała, i to jak! Gorzej niż Helen w pierwszych latach małżeństwa. Teraz Helen nie kłamie. Kłamstwo jest poniżej jej godności. W moim przekonaniu mężatki kłamią o wiele częściej niż panny czy rozwódki. Zapytajcie mężatkę o cenę wołowiny, a odejmie jedną trzecią. Zapytajcie kobietę samotną, a powie wam prawdę. Ale nie zbaczajmy z tematu. Cynthia obejrzała Angie w telewizji i powiedziała do Ottona:

— No proszę! Wiem, że nie używa kremów nawilżających. Ależ głupia jest ta kobieta!

Spotykali się z Angie najrzadziej, jak to możliwe, wzburzeni losem Wexford Hall. Otto powiedział tylko:

— Cóż, zapłaciła dwa razy więcej, niż dom był wart. Skąd mogliśmy wiedzieć, że wejdzie do rodziny?

W każdym razie nieobecność Angie wywołała zamieszanie. Puste krzesło (takie drogie!) obok Clifforda świadczyło o kryzysie domowym. Clifford był błydy z wściekłości i zamiast zwykłego w takich wypadkach „Bez komentarza”, powiedział: „Moja żona ma prawo robić, co jej się podoba”.

Rozeszła się wieść, że Angie opuściła studio telewizyjne w towarzystwie Marco, wokalisty Przedsięwzięcia Szatana. Grupa reporterów dotarła do Kensington — gdzie koczowała grupa, wzniesając niepokoje w sąsiedztwie — akurat w chwili, gdy sani-

tariusze przynosili Angie, nagą i nafaszerowaną narkotykami, do karetki pogotowia. Sąsiedzi mówili o narkotykach i orgiach.

Angie została przewieziona do szpitala Świętego Jerzego (który wkrótce potem zamknięto, ten wspaniały budynek na jednym z wielu rogów Hyde Parku nadal stoi pusty —jakiś problem planistyczny, jak sędzę), gdzie zrobiono jej płukanie żołądka. Clifford, wyszedłszy z premiery *Egzorcysty*, powiedział tylko, że film był okropny i że nie odwiedzi żony w szpitalu. I nie odwiedził.

Wszystko to bardzo się podobało dziennikarzom. Clifford miał rację. Zemścili się. Poszli na całość. Najlepszą przyjaciółką Barbary była mała księżniczka, z którą Wexfordówna dzieliła szafkę w przedszkolu. Barbara była zapraszana do królewskiego domu na lunch, księżniczka wpadała do Barbary na podwieczorek i Angie, cała w macierzyńskich uśmiechach, pozowała fotoreporterom, podczas gdy dziewczynki ścisnęły się na schodach. Teraz w prasie pojawiły się inne nagłówki: *Księżniczka i afera narkotykowa. Księżniczka oko w oko z narkotykowym elementem. Królewskie dziecko wśród narkomanów.*

I choć afera w końcu przycichła, mała księżniczka nie przychodziła już na podwieczorek i nie pozowała do wspólnych fotografii, urwały się również wspólne lekcje tańca i królewskie zaproszenia dla Barbary.

Clifford roześmiał się i powiedział:

— Sama jesteś sobie winna.

Na co Angie tupnęła nogą i powiedziała:

— Ty mnie do tego doprowadziłeś.

Barbara cierpiała i zrobiła się cichsza niż kiedykolwiek. Straciła przyjaciółkę.

Po tym zdarzeniu Angie zupełnie oklapła. Nie chciało jej się nigdzie chodzić.

Clifford był przygnębiony (jasne, że był przygnębiony; jego talent i energia umierały przygniecione bogactwem Angie); stracił fantazję, wcale nie był wielką rybą, którą chciała złowić Angie. Wykrzyczała mu to w twarz i choć raz w życiu zapragnęła cofnąć to, co powiedziała.

W zemście Clifford przestał z nią sypiać. Mogła wsadzić sobie w pępek największy brylant świata, było mu wszystko jedno. Angie spędziła miesiąc w klinice zdrowia i urody w Kalifornii.

Zrobiła sobie facelift i peeling azjatycki, myśląc, że może cera jest powodem jej kłopotów małżeńskich. Coś poszło nie tak i jej twarz pokryła się pryszczami. Wyglądała gorzej niż kiedykolwiek.

— Dobrze ci tak — powiedział Clifford, kiedy wróciła. Nie pomogła żadna ilość pudru Max Factora (najtańszego, ale ciągle najlepszego). Angie miała na nosie ogromne okulary przeciwsłoneczne i kołnierz sięgający uszu, ale mała Barbara i tak wrzasnęła ze strachu na jej widok. — Zapomniała, kim jesteś — powiedział Clifford. — Szczęściara z niej. Mężczyźni nie lubią, kiedy żona wyjeżdża na miesiąc, nawet wtedy gdy nie lubią żony.

Biedna Angie, tym razem naprawdę mi jej żal. Trzeba jej współczucia i pomocy, a otrzymuje od Clifforda jedynie twarde spojrzenia, jakby była jakąś ostatnią pokraką. Rozważała przez chwilę możliwość rozdania swoich pieniędzy, ale przypomniała sobie słowa ojca: „Kłopot z tobą, Angie, polega na tym, że nie nadajesz się do kochania. Taka już się urodziłaś.” Cóż, w takim wypadku na pewno lepiej, jeżeli pozostanie bogata.

Zadzwoiła do Marco, z którym nie kontaktowała się od czasu idiotycznej afery z przedawkowaniem. On również do niej nie dzwonił, ale do tego przywykła. Było ich czworo, trzech mężczyzn i ona. Zazwyczaj nie robiła takich rzeczy. Basista, gitarzysta, Marco wokalista i ona jako anioł. Czarny Anioł. Wysmarowali ją od stóp do głów czarną pastą do butów. Ubabrała nią potem szpitalne prześcieradła. Pielęgniarki były tym tak zgorszone, że musiała się śmiać, w Kalifornii mówili coś o tym, że chemikalia z pasty wpłynęły ujemnie na efekt peelingu. Myśleli, że wykręcą się od procesu o odszkodowanie. Ha!

— Cześć! — powiedział Marco.

— Cześć! — odparła Angie, — Pamiętasz kapliczkę, w której kręciliśmy film wideo?

Pamiętał. Nagrali utwór *Cycki szatana*, który zajął dwudzieste czwarte miejsce na liście przebojów, głównie dzięki wideo. Nakręcili film w opuszczonej, niemniej poświęconej kaplicy na tyłach zrujnowanego pałacu. Właściciel przebywał w Monte Carlo i poproszony telefonicznie o zgodę na wykorzystanie kaplicy,

wybełkotał: „Róbcie, co chcecie. Tam i tak straszy”. Niejaki ojciec McCrombie, który mieszkał w niezniszczonej części domu, otworzył im kościół. Sfilmowali jego grube, starcze ręce na ciele dziewicy. Efekciarstwo!

— Co z nią? — zapytał Marco.

— Chcę ją kupić — powiedziała Angie. — Zajmę się filmem.

— Ach, filmem? — powiedział Marco. — Ciekawe, co zrobisz na bis.

— Zamknij się i powiedz mi nazwisko tego księdza, który się tam plątał.

Zapomniałam.

— Za dużo bierzesz — powiedział Marco. — Piekielnie szkodzi na pamięć. A skoro już o tym mowa, Angie, moglibyśmy się obyć bez tego królewskiego gówna. Dzięki twoim księżniczkom ludzie przestali nam ufać. To dlatego dotarliśmy tylko do dwudziestego czwartego miejsca. Nazywa się ojciec McCrombie i jest byłym księdzem, i odkąd zrobiliśmy to pieprzone wideo, spotykają nas same kłopoty. Więc uważaj. I nie dzwoń do nas, my zadzwonimy do ciebie.

I tak nie jesteście mi potrzebni, pomyślała Angie, odkładając słuchawkę. Chłoptasie z trądzikiem młodzieńczym. Trzeba było ich trzech, żeby dorównać jednemu Cliffordowi. Ale gdzie jest Clifford?

Tymczasem ojciec McCrombie wciągnął w nozdrza wilgotne powietrze kaplicy i wyczuł podniecające tchnienie. Coś się szykuje, miał nosa do tych spraw. Zatarł tłuste guzowate dłonie i czekał. Ojciec McCrombie był kiedyś dobrym człowiekiem, a dobry człowiek, który stał się zły, jest zepsuty do szpiku kości, zepsuty bardziej niż przeciętny grzesznik, który otarł się o zło.

Pozwólcie, że opowiem wam o ojcu McCrombiem. Pochodził z zacnego domu szkockich protestantów i był obiecującym uczniem o skłonnościach do pobożności. Wstąpił do RAF-u, uczestniczył jako pilot w bitwie o Anglię, zdobył order DFC, pomógł ocalić ojczyznę. Sam na wielkim cichym niebie, czekając na bitwę, rozmawiał z Bogiem. Rozmawiał również z młodym lordem Sebastianem Lamptonborough (w ekstremalnych warunkach kraj stał się niezwykle demokratyczny, odbyło się mnóstwo międzyklasowych pogawędek), który choć odważny, wcale nie

był dobry. Po demobilizacji Michael McCrombie przyjął święcenia i zaczął rozglądać się za żoną (pastor musi mieć żonę). Odkrył w sobie skłonność do celibatu, został przyjęty do Kościoła katolickiego i otrzymał parafię w Irlandii Północnej. W tamtych czasach nie pił i nie palił, czcił Boga z całego serca, przestrzegał nakazów papieskich i zachęcał swoich wiernych, by czynili to samo. Był stateczny i kochany. Ale ojciec McCrombie miał pewną skazę. Był, mówiąc otwarcie, snobem. Lubił tytuły, czcił bogactwo, pochlebiało mu towarzystwo wielkich i sławnych, zakładał, że człowiek wykształcony dostanie się do Królestwa Niebieskiego łatwiej niż prostak. Nie było to zgodne z nauką Jezusa. Snobizm w oczach wielu ludzi jest przywarą, dla mnie jest jednym z grzechów głównych. To jest zazdrość. Pracuje od wewnątrz, niszcząc dobro. Bez wątpienia zniszczyła ojca McCrombiego. Kiedy lord Sebastian Lamptonborough, potomek bogatej rodziny katolickiej, jednej z tych, które od wieków mają poparcie kardynałów i których nierozwiązywalne małżeństwa papież rozwiązuje od ręki, napisał do niego prosząc, by przyjechał i zajął się duszami Lamptonboroughów, słuchał ich spowiedzi i pośredniczył między nimi a Bogiem, zgodził się natychmiast. Porzucił swoją irlandzką trzódkę, tak jak stała, i wyruszył do Anglii. Czekano tu na niego doskonale czerwone wino, urocza kaplica, piękne damy i pijani lordowie o wypaczonych charakterach.

Christabel Lamptonborough, blada i urocza osiemnastolatka, klękała przed nim w konfesjonale i mówiła mu o pragnieniach swego serca i ciała. Ojciec McCrombie borykał się z jej duszą i nie słyszał chichotu dziewczęcia albo udawał, że nie słyszy. Zapalał białe świece w kaplicy i modlił się za jej nieśmiertelną duszę, a raz kiedy stał w świetle wpadającym przez gotyckie okna, wydało mu się, że jest Bogiem i jego chude, odziane w sutannę ciało unosi się ku niebu — a może to Christabel dołała czegoś do mszalnego wina? Christabel uważała, że Michael McCrombie jest przystojny i zakazany. Pomyślała, że go sobie weźmie. I wzięła. Wkrótce potem spadła z konia i złamała kręgosłup. Jej dusza ciążyła ojcu McCrombiemu na sumieniu, nie mówiąc o jego własnej. Ale przynajmniej cierpiał. Sebastian brał LSD. Chciał widzieć w ojcu McCrombiem wiernego przyjaciela, który potowarzyszy mu w jego wyprawach do nieba (czy piekła)

i dopilnuje, by wrócił cało do świata ziemskiej percepcji. Ale ojciec McCrombie nie był już, jak wiemy, dobry, a LSD jest dość zabawnym specyfikiem. Zazwyczaj zabija tylko masowo szare komórki, ale czasem zmienia człowieka w jego przeciwieństwo. Widziałam, jak zmieniał krytyków literackich w pisarzy, urzędników w petentów, inspektorów podatkowych w księgowych, policjantów w kryminalistów, dyrektorów banków w dłużników i na odwrót. Jedna nieudana narkotyczna podróż zmieniła Sebastiana z człowieka, który dbał o przeszłość i swoje dziedzictwo, w człowieka, który nimi pogardzał. Dachówki odpadały z dachu pałacu Lamptonboroughów, a on nie zwracał na to uwagi. Tynk odpadał w cieplarni, a on wzruszał ramionami. Schody spróchniały, a brama wypadła z zawiasów.  
— Niech nie zostanie kamień na kamieniu! — mówił.

Christabel umarła, kiedy Sebastian był w „odlocie” numer siedemnaście. Ojciec McCrombie — który zostałby ekskomunikowany już dawno temu, gdyby kardynał w podróży inspekcyjnej nie umarł na zawał serca — o władnięty rozpaczą i wyrzutami sumienia, wiedząc, że jego modlitwa na pewno nie skróci jej pobytu w czyścicu, sam wziął LSD. Sebastian stwierdził, że dom jest nawiedzony. Miał na myśli oczywiście zmarłą Christabel, ale ja uważam, że był to duch dawnego dobrego ojca McCrombiego. W czasach, o których mówimy, Sebastian mieszkał w Monte Carlo i przegrywał resztki swojego dziedzictwa, pałac obracał się w ruinę, a ojciec McCrombie pił i zapalał czarne świece w kaplicy, w tym samym miejscu, gdzie niegdyś zapalał białe. Wcale się nie zdziwił, kiedy zgłosiła się do niego grupa rockowa, by nakręcić wideo *Cycki szatana*.

Po prostu czekał, co będzie dalej.

A gdzie w tym czasie przebywał Clifford?

### *Nowy świat*

Pozwólmy ojcu McCrombiemu degenerować się w spokoju i czekać na diabła w upiornej kaplicy, pozwólmy Angie knuć

kolejny spiszek i rzućmy okiem na innych bohaterów naszej opowieści. Jak radzą sobie w nowym świecie lat osiemdziesiątych? Lśniący kalejdoskop, jakim jest świat Sztuki, obrócił się i stanął, rozświetlony i złudny, w punkcie, w którym przynajmniej John Lally zdaje się wygrany. Jest uznanym malarzem (dzięki Cliffordowi), sławnym pośrednio dzięki nazwisku na żurnalach mody, a jego obrazy cieszą się ogromnym wzięciem (Clifford miał rację, wystarczy zmienić *gestalt*, by zmienić styl malowania; małżeństwo z Marjorie zmieniło skalę wartości Lally'ego.) Ich treść odpowiada wymogom czasu, co nie jest, obawiam się, komplementem. Na wpół abstrakcyjne, na wpół surrealistyczne podobają się bogatemu, niedoinformowanemu klientowi. Pretensjonalne, a zarazem intrygujące dowodzą kulturowego obycia i dostarczają tematu do rozmowy przy obiedzie. A bogaty, niedoinformowany nabywca jest teraz wszędzie, błaga, by uwolnić go od pieniędzy, które w przeciwnym wypadku zabierze mu urząd podatkowy, i rozpaczliwie szuka kogoś godnego zaufania, kto go oświeci. ~,

Cliffordowi udało się zostać konsultantem całej czeredy nowych spektakularnych galerii, które rozmnożyły się pod prywatnym patronatem jak króliki. Wziął również pod swoje skrzydła z tuzin multimilionerów. Wszyscy oni prześcigali się w nabywaniu znakomitych płócien, by pokryć czymś akry ścian. Przez znakomite płótna rozumieli oczywiście obrazy, które z czasem nie tracą na wartości. I to właśnie Clifford miał decydować

o tej „znakomitości”, zonglując obowiązkami wobec samego siebie, wobec klientów, wobec Leonarda. Leonardo — podobnie jak wszystkie galerie narodowe w Europie — przeżywał ciężkie czasy. Getty, i nie on jeden, mógł przelicytować każdego, nawet rządy. A rządy wolą sponsorować zbrojenia niż sztukę. Zadowolony był tylko John Lally. Mógł ustanawiać tak wysokie ceny na płótna, które obecnie pokrywał farbami, że nic go nie obchodził los dawnych. Prawdę mówiąc, spoglądał na nie z pogardą. Tyle gniewu, mroku i rozpachy — skąd to się wzięło? Nie musiał już dłużej zrządzić nad niesprawiedliwością systemu sprzedaży, który lekceważył prawa i uczucia artysty. Teraz, kiedy cena wyjściowa była tak wysoka, przestał czuć się ograbiany i uznał, że jest po prostu rozchwytywany.



Ottoline i Leonardo okazały się jedną instytucją! No i co z tego? Jego obrazy były teraz ogromne, i tak nie mógłby malować więcej niż dwa rocznie; co tu mówić o trzech! Nie był chciwy, po prostu pragnął uwolnić się od trosk finansowych i kupić tyle śnieżnej bieli, ile dusza zapragnie. Teraz mógł malować, co chciał i kiedy chciał. Czyż nie był zamożny, ba, wręcz bogaty?

Nawet jeżeli John Lally nie wiedział już, co chce malować, starannie to przed sobą ukrywał. Malował to, co się sprzedawało. Cóż, może był to zbieg okoliczności, a może tego właśnie pragnął przez całe życie. Kto to może wiedzieć? Co też pieniądze, komfort, szczęśliwe małżeństwo i mały syn mogą zrobić z mężczyzny! No i zemścił się teraz na sąsiadach, budując na końcu ogrodu Applecore Cottage wielkie studio. Był to bardzo wysoki budynek, musiał być wysoki, żeby pomieścić nowe płótna. Lally miał pewne kłopoty z uzyskaniem pozwolenia na budowę tak blisko ogrodzenia, ale sprezentował Urzędowi Miasta jeden z wcześniejszych obrazów i trudności rozwiązały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

A Helen? Chciałabym móc napisać, że w końcu znalazła szczęście. Powinna znaleźć, należy jej się trochę szczęścia. W końcu pozbyła się męża kobieciarza, była niezależna, wolna i robiła karierę. W miarę jak upływały lata, a małżeństwo Clif-forda i Angie starzało się, otrząsnęła się w końcu z rozpacz, a przynajmniej tak jej się wydawało. Zresztą miała się czym pocieszać. Czyż wszyscy nie okrzyknęli Clifforda winnym rozpadu małżeństwa, niezależnie od orzeczenia sądu? I czyż bliźniaki nie były chodzącym obrazem ojca niezależnie od tego, co sądził na ten temat Clifford? Czyż nie miała trójki dzieci, które dostarczały jej zajęcia (jakby nie brakowało go jej i bez nich), a nocą wypełniały dom łagodnym, kojącym oddechem? Czyż nie miała zastępów przyjaciół i adoratorów? Świat się zmienił i samotna kobieta nie budziła już litości, lecz zazdrość (przynajmniej niektórych).

A jeżeli chodzi o Dom Lally'ego? Cóż za niewiarygodny sukces!

Młodzież z rodziny królewskiej — nie wspominając każdego, kto był kimś — po prostu uwielbiała jej projekty. Stroje Lally'ego

miały kolor, miękkość, styl i jakość, były zmysłowe raczej niż krzykliwe, eleganckie raczej niż wulgarne, co przytrafić się może najdroższej nawet konfekcji. Wszystko, co nosiło etykietkę Lally'ego, było rozchwytywane w mgnieniu oka. Nawet John Lally musiał przyznać, że materiały są w porządku, fasony do przyjęcia, choć potępiał ludzi, którzy je kupowali. Nadal nie miał serca dla bogatych, gnuśnych nierobów, i tu wykazywał sporo rozsądku. Weźmy choćby Angie. Choć z drugiej strony, może kłopoty Angie brały się stąd, że nie była dość gnuśna. Gdyby siedziała i cieszyła się swoim bogactwem zamiast węszyć, intrygować i mącić... Nikt nie mógł oskarżyć o lenistwo Helen i Clifforda. Kłopoty Leonarda dostarczały Wexfordowi zajęcia w tych rzadkich chwilach, gdy odrywał się od innych klientów i poświęcał galerii trochę uwagi.

### ***Wizyta Polly***

Zgadnijcie, kto odwiedził Neli pewnego dnia. Polly! Szczupła Polly w gustownej zielonej garsonce, ze zrobioną twarzą i włosami ostrzyżonymi na pazia. Wygląda na kobietę interesu, którą zresztą jest. Podczas pobytu w Holloway miała możliwość skorzystać z pomocy psychoterapeuty, który zmienił jej życie (jej własne słowa). Clive wkrótce wychodzi, ale ona nie będzie na niego czekać. Skończyła z narkotykami i prowadzi Klinikę Zdrowia i Urody w Londynie.

— Nie możesz tu zostać! — mówi Polly, rozglądając się po mrocznym bungalowie, rodzinnym gnieździe Kildare'ów. Za domem ciągną się odratowane wybiegi, dalej wzgórze Walii, ani na chwilę nie milknie skowyt, wycie, szczekanie psów, w powietrzu unosi się zapach zwierząt i środków dezynfekcyjnych.

— Podoba mi się tu — mówi Neli. — Zawsze byli dla mnie tacy dobrzy.

— Ha! — mruczy Polly, zasiewając w umyśle Neli ziarenko wątpliwości. Będzie rosło i rosło.

— A co z chłopcami? — pyta Polly.

Cóż, to ważne pytanie.

— Jest taki chłopak, Dai Evans — odpowiada Neli rumieniąc się. Jak wiemy, Dai Evans unika Neli jak może, jest miłym chłopcem i wie, kiedy cos' przerasta jego siły. Cóż, Neli nie zna jeszcze swoich możliwości. Kiedy się mieszka pośród walijskich wzgórz, chodzi do szkoły średniej i pomaga w psiarni, człowiek nie ma pojęcia o własnej atrakcyjności. Ale czasem Dai umawia się z nią na kawę w małej kafejce na tyłach ruellyńskiej smażalni ryb i Neli żyje tymi spotkaniami przez tydzień.

— To miło — mówi Polly. — Naprawdę miło.

Neli jest zakochana. Obraca to uczucie w swoim umyśle, bada je i smakuje, jest to dla niej problem niemal teoretyczny; ból i radość zlewają się w jedno, seks jeszcze się w to nie wmieszał. Instynktownie odtrąca innych chłopców.

— Nadal rysujesz? — pyta Polly.

— Bawię się trochę tkaninami. — Faktycznie zaniedbała malarstwo, ku rozpaczy nauczycielki plastyki. — Wiesz, jest taki specjalny rodzaj porostów, które dają śliczny żółty kolor.

— Nie sprawia ci chyba kłopotów? — pyta Polly, wskazując pana Kildare'a, którego nigdy nie lubiła.

— Kłopotów? Nie rozumiem? — pyta Neli.

Ma prawo nie rozumieć. Trzeba oddać sprawiedliwość panu Kildare'owi, że trzyma swoje uczucia na wodzy. A może po prostu czeka chwili, kiedy zyski z psiarni osiągną poziom stu tysięcy funtów, żeby kupić kawałek ziemi, którą ma na oku, i przetrzucić się z psów na konie. Konie przynoszą większe pieniądze. Nadal myśli o tym, by zacząć życie od nowa, z kimś odpowiedniejszym niż jego żona. Są ze sobą tylko ze względu na Brendę — przynajmniej on tak się na to zapatruje, choć nigdy nie wspomniał o tym pani Kildare. Ale to już inna historia, Czytelniku, w dodatku dość ponura.

— Nie szkodzi — mówi Polly, zadowolona z odpowiedzi. — Często o tobie myślę, Neli.

Polly ma naturę sentymentalną. Neli prosi, żeby jeszcze raz opowiedziała historię jej przybycia na Odległą Farmę, i słucha uważnie. Szuka wskazówki swojego pochodzenia, ale jej nie znajduje.

— Polly, mogę cię o coś prosić?

— Jasne.

— Nie mam metryki urodzenia ani ubezpieczenia, ani w ogóle nic — mówi Neli. — Chciałabym wyrobić sobie paszport. Na wypadek gdybym kiedyś planowała gdzieś pojechać. Nigdzie się oczywiście nie wybieram, ale nigdy nic nie wiadomo...

Czy mogłaby porzucić Dai Evansa, już nigdy nie ujrzeć tej kędzierzawej głowy, tych brązowych oczu?

— Najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

Idą razem do ruellyńskiego urzędu pocztowego. Neli robi sobie w automacie zdjęcia, które kierowniczką poczty podpisuje na odwrocie, i sześć tygodni później Neli otrzymuje paszport. Oto co znaczy mieć znajomych na właściwych, jeżeli nie wysokich, stanowiskach.

Bardzo się cieszę, drogi Czytelniku, że Dai Evans nie zainteresował się naszą Neli tak, jak ona tego pragnęła. (Lubił ją bardzo

— kto jej nie lubił? — ale z czasem okazało się, że o wiele bardziej interesują go mężczyźni niż kobiety.) Mnóstwo dziewcząt

— zazwyczaj te najładniejsze i najmądrzejsze — zakochuje się zbyt młodo, wychodzi za mąż zbyt młodo, a potem przez dziesięć lat próbuje nadrobić zaległości. Taka dziewczyna musi myśleć o dzieciach, rozwód jest czymś strasznym, a kiedy go w końcu uzyska, okazuje się, że szansa zdobycia wykształcenia przepadła, a wraz z nią szansa ułożenia sobie życia. Chłopcom też nie jest lekko, kiedy się nad tym zastanowić.

### ***Zły urok***

Angie, jak wiemy, była ogólnie znudzona i zła, a pewnego dnia zirytowała się bardziej niż zwykle. Na Harry'ego Blista, który najpierw zwabił ją do programu „Art Today” w BBC 2, a potem przedstawił jako bogatą dyletantkę, która bawi się sztuką, ku udęce artystów. Co gorsza, oświetlił ją tak fatalnie, że widać było każdy wyprysk i każdą plamę na jej twarzy.

— Bawi się! Ja im dam „bawi się”! — zawołała Angie.

Kazała ojcu McCrombiemu, swemu podopiecznemu, który opiekował się Kaplicą Szatana, zapalić czarną świecę i rzucić

urok na łysiejącą głowę Harry'ego Blasta, aktualnie osobowość telewizyjną. Angie prowadziła firmę Lolly Locations, która wynajmowała filmowcom obiekty i plany filmowe. Kaplica Szatana cieszyła się ogromnym powodzeniem. Położona na odludziu, w wyjątkowo upiornych lasach, w niewielkiej odległości od Elstree Studios, była poprzecinana mnóstwem kabli, co rozwiązywało problem światła. Angie wiedziała, jak zabrać się do rzeczy. Ojciec McCrombie trzymał w klatce nietoperze, które wypuszczał i chował na zamówienie. Trzymał również parę sokołów, które mogły uchodzić za orły. Jak widać, był człowiekiem wszechstronnym. On również miał ogromne wzięcie, ze swoją szeroką, pobrużdżoną dekadencją twarzą, która oświetlona właściwie, stawała się zdecydowanie czartowska. Za drobną opłatą zakładał czerwone kontaktówki, co zwiększało efekt — po prostu demon. Angie pozwoliła mu mieszkać w domku przylegającym do kaplicy i płaciła tyle, by starczyło mu na alkohol, młodych chłopców i długie klerykalne szaty, w których gustował. Był jej wdzięczny, ale podobnie jak Angie nudził się. Pił i nasyłał diabła nie na te osoby, o które Angie chodziło. Z całą pewnością nie powiodło mu się z Harrym Blastem. Prezentera nie spotkało nic złego. Program o dyletantach okazał się przebojem i „Art Today” przeniesiono na godzinę wysokiej oglądalności. Kłopoty spadły na kogoś innego, człowieka, który był prawdziwą przyczyną smutku Angie.

Nie mamy jednak na to żadnych dowodów. Czy rzeczywiście była to sprawka ojca McCrombiego, że Clifford zamiast wykazywać przebiegłość w interesach, jak robił to dotychczas, zaczął kłamać i oszukiwać? Może była to nieunikniona reakcja człowieka nieszczęśliwego, coś, co zdarzyłoby się prędzej czy później. Ludzie nieszczęśliwi tracą zdolność oceny sytuacji.

Kiedy Homer McLinsky, młody potentat prasowy, zapytał o obraz Seurata, jeden z gorszych, nawiasem mówiąc, który znajdował się w rękach Leonarda, Clifford odparł, że otrzymał już ofertę kupna za dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, choć oferta wynosiła dwadzieścia pięć tysięcy. „Jedno zero w tę, jedno w tamtą”, pomyślał Clifford. Homer McLinsky spojrział na niego dziwnie i dał Cliffordowi szansę wycofania się, ale Clifford

nie skorzystał. Dawny Wexford zauważyłby wzrok rozmówcy i podjął działanie stosownie do okoliczności. Nowy Clifford, dla którego płonąła czarna świeca w Kaplicy Szatana, nie zrobił nic.

Angie nigdy nie mówiła ojcu McCrombiemu, co dzieje się w zakamarkach jej duszy, ale on zaglądał w nią od czasu do czasu i wiedział o Angie więcej niż ona sama. Biedna Angie! Nikt dobry i miły nie pofatygował się nigdy, by zajrzeć do jej duszy, teraz dostała się w ręce człowieka o strasznej czerwonej twarzy, czerwonej brodzie i okazjonalnie czerwonych oczach, a ona, głupia, pozwoliła się usidlić.

Świat zawiódł Angie w równym stopniu, jak ona zawiódła świat.

Ojciec McCrombie zapalił czarną świecę dla Helen. Napisał jej nazwisko na pasku papieru, który przykleił do wosku śliną. To, a może co innego, spowodowało na Helen złe sny i złe, mordercze, obsesyjne myśli, pełne niepokoju i wątpliwości (Clifford wróciłby do niej, gdyby odnalazła Neli), myśli ponure, przygnębiające (utrata Clifforda jest karą za utratę Neli). „Utrata Clifforda” znów stała się czymś realnym. Myśli straszne, mordercza furia, nienawiść — skierowane przeciwko małej Barbarze. Na samą myśl o dziecku rywalce (Rywalce?! Co za bzdura!) żółć podchodziła jej do gardła. Budziła się rano z gorzkim posmakiem w ustach. A myśli kłębiły się dalej, również na jawie. Gdyby Barbara umarła, ona, Helen, odzyskałaby Clifforda. Tak, na pewno! Więc planowała śmierć dziecka. Widziała, jak ginie w płomieniach, w wypadku samochodowym, zagryzione przez złe psy. Wiedziała, że to potworne, ale nie mogła opanować tych myśli. (Wszyscy zdradzamy skłonność do tego, by przenosić nienawiść i gniew z prawdziwego źródła na kogoś zupełnie niewinnego, stojącego z boku. Jakby mogło nas to osłonić, ochronić przed własnymi klątwami. Klątwy mają bowiem to do siebie, że obracają się przeciwko wyklinającemu.)

### ***Recepta***

Helen spędzała weekend z dziećmi w Applecore Cottage. Ojciec wyzbył się już zwyczaju przeklinania jej z takiego czy inne-

go powodu. Teraz, kiedy ją kochał i aprobował (no, prawie), nie mogła pojąć, dlaczego brak ojcowskiego uczucia nie doskwierał jej w przeszłości. Applecore Cottage wzbogaciło się o pawilon gościnny, wycięto jabłonkę, żeby go zbudować. Zniknęła gałąź, na której rudzik wyśpiewywał swoją łatwą pocięchą. Czy to jej przepowiadał? Światowy sukces? To miała być ta pocięcha?!

Pawilon był wygodny, ogrzewany centralnie, łóżka nowe i miękkie, a poduszki wypchane gęsim puchem, co Helen stwierdziła klepiąc je doświadczoną dłonią. Czego nie oddałaby Evelyn, której ciało za życia i po śmierci spoczywało na twardym materacu, a głowa na kluskowatej poduszce, za taki luksus?! Z jaką łatwością Marjorie wydobywała z życia i męża to, co dobre, z jaką łatwością go zmieniła i przykuła do siebie! Helen dziwiła się temu czasem, już bez żalu czy zazdrości. Mały Julian, syn Marjorie a jej braciszek, wydawał się bierny i dość pospolity, jak przystało na dziecko dość pospolitych w końcu rodziców. Synowie Helen wydawali się przy nim wrażliwi, delikatni i nerwowi. Ale grali z Julianem w krykieta na trawniku, w miejscu gdzie kiedyś był ogródek warzywny Evelyn. Marjorie kazała go zaorać.

— Ojciec dobrze wygląda — powiedziała Helen do Marjorie.

Bolała ją głowa. Siedziały w nowej, przebudowanej kuchni. Ściany dzielące sien, spiżarnię i kuchnię zostały wyburzone. Nic dziwnego nie kryło się teraz w półmroku, nic nie poruszało się bezszelestnie na tle miedzianych garnków.

Wszystko było jasne, jednoznaczne i racjonalne.

— Sprawiałam, że przestał popijać domowe wino — powiedziała Marjorie. — To ono było przyczyną połowy jego kłopotów.

— Jak tego dokonałaś?

— Wszystko wylałam.

Biedna Evelyn! Rok po roku pielęła, zbierała, czyściła, przesiewała, ucierała, gotowała, odcedzała, przelewała, przechowywała w imię oszczędności i ekologii. A Marjorie wszystko wylała! Helen poczuła nagłą nienawiść do macochy; co z tego, że Marjorie sobie na to nie zasłużyła? Helen oparła obolałą głowę na rękach.

— Co się stało? Coś nie w porządku? Tak zbladłaś.

Jej macocha (nigdy dotąd nie myślała o Marjorie w tych kategoriach) była zatroskana. Helen zaczęła płakać.

— Takie okropne myśli przychodzą mi do głowy — powiedziała w końcu.

Marjorie miała na to receptę. Miała receptę na wszystko. Zakładała, że jeżeli istnieje problem; musi-istnieć również jego rozwiązanie, w tym wypadku rozwiązaniem był doktor Myling, którego odwiedzała sama od czasu do czasu. Był psychiatrą, tyle że ze szkoły holistycznej.

— Co proszę? — zapytała Helen.

— Nieważne, jak to się nazywa — odparła Marjorie. — Wszyscy ci uzdrowiacze są po prostu duchownymi, tylko nazywają się inaczej.

— Ale ja nie jestem religijna — powiedziała Helen. — W każdym razie nie bardzo. Był czas, kiedy się modliła instynktownie, choć w dzieciństwie nie chodziła przecież do kościoła. Potem wierzyła, że kosmos jest dobroczynną jilą, i pragnęła go czcić. Potem coś się wydarzyło, co położyło temu kres. Co to było? Oczywiście śmierć Neli. Śmierć Neli! A więc wypowiedziała te słowa. Przyznała to, nareszcie! I cień nad jej głową zamiast się rozproszyc, jak jej przepowiadano, pociemniał. Mrok zaczął ją przygniatać, niemal namacalny, jakby chciał ją wcisnąć w grzęzawisko, zmienić w szlam.

— Jeżeli człowiek wierzy — powiedziała z trudem — wiara może chyba uleczyć umysł tak, jak leczy ciało, ale ja nie wierzę. Chciałabym, ale nie wierzę.

Już samo wyrażenie tego życzenia pomogło o tyle, że zapisała sobie adres doktora Mylinga i pozwoliła Marjorie zamówić wizytę. Choć Marjorie powiedziała, że lepiej zrobić to samemu, pójść z potrzeby własnej, nie za namową lub z chęci przypodobania się komuś.

— Zdarza się — powiedziała Marjorie — że ratunku nie ma w tobie, wtedy potrzebujesz kogoś, kto cię poprowadzi. Zupełnie jak człowiek, który bierze LSD. Też potrzebuje przyjaciela do towarzystwa.

Dziwne, że zrobiła właśnie taką analogię, o narkotykach miała bardzo blade pojęcie. Nie wiedziała przecież, że podczas jed-



nego „odlotu” ojciec McCrombie towarzyszył lordowi Sebastianowi i zgubił siebie tak, jak inni gubią bagaż między Singapurem a Paryżem.

Doktor Myling przyjmował na Wimpole Street i dzielił brzydką wielką poczekalnię z innymi lekarzami, w większości ortopedami, sądząc po odgłosach, jakie wydawały kości pacjentów w poczekalni. Cisza, cisza — trzask, trzask. Helen zachciało się śmiać. Wprawdzie nie śmiała się od dawna, ale nie była to chyba odpowiednia po temu chwila? Przygniatała ją nawet własna radość.

Doktor Myling miał zaledwie trzydzieści lat, silne szczęki i spokojną urodę, tak lubianą przez tych, którzy przyjmują ludzi do szkół medycznych. Helen wymieniła symptomy — nieuzasadnione, brzydkie, mordercze myśli, śmiech z rzeczy, które wcale nie są śmieszne — i czekała, żeby zapytał ją o dzieciństwo, przepisał tabletki albo zasugerował, że wcześniej przechodzi me-nopauzę i powinna leczyć się hormonalnie. Zamiast tego doktor Myling zapytał, czy ktoś jej źle życzy.

— Nie sądzę — powiedziała zdumiona. — A nawet jeżeli, co mogę na to poradzić? Lekarz namyślał się przez chwilę, zadał parę pytań o przeszłość i Applecore Cottage, a potem zasugerował, by się pomodliła do matki. Helen zaśmiała się znowu, ku własnemu zdziwieniu, i powiedziała, że jej matka żywa czy umarła, nie zdziała kompletnie nic. Działanie nie leży w jej naturze.

— Zdziwi się pani — powiedział lekarz. — Ludzie się zmieniają. — (Co mógł mieć na myśli?) — Proszę przyjść za dwa tygodnie. Jeżeli modlitwa nie poskutkuje, spróbujemy tabletek. Ale dopiero wtedy.

Więc Helen spróbowała modlitwy i nie wiem, czy to duch Evelyn przegonił opary unoszące się z tanich, ohydnieznaczonych świec, czy silny umysł Helen samodzielnie przewyciężył urojenia, w każdym razie koszmary skończyły się jak ręką odjął. Helen spała mocno i spokojnie, zapłaciła doktorowi Mylingowi czterdzieści pięć funtów i zakończyła kurację.

Clifford nie miał się do kogo modlić, nie miał nikogo, kto by się za nim wstawił, był zresztą za dumny i praktyczny, by się do tego kogoś zwrócić, nawet gdyby go miał, wpadał więc w coraz większe tarapaty.

## **Zawirowania**

Nasza Neli w kłopotach! Nie do pomyślenia. Nawet najsympatyczniejsi spośród nas przechodzą we wczesnej młodości zły okres. Patrzą wilkiem, są pyskaci, niechlujni i ogólnie niewdzięczni, i robią co w ich mocy, by obrzydzić siebie innym. Rodzicom radzę zacisnąć zęby i przeczekać, aż dobry duch znów opanuje ich dziecko. Zły okres Neli przypadł między siedemnastym a dziewiętnastym rokiem życia.

Może uznała, że teraz, kiedy jej los zdawał się ustalony, najwyższy czas trochę narozrabiać? Przedtem życie targano ją na wszystkie strony, jakby obie wróżki, ta dobra i ta zła, wydzierały ją sobie z rąk. Clifford się wściekał, Helen szlochała, samolot spadł z nieba, markiz i markiza przywołali diabła. Potem było piekło na *route nationale*, nagły koniec sielanki na Odległej Farmie. I choć każda katastrofa była równoważona przez jakieś pomyślne zdarzenie, wszystkie te wsttżasy i nieszczęścia musiały kiedyś dać o sobie znać. Przeszłość upomniała się o swoje prawa.

Jako szesnastolatka była jeszcze miłą, mądrą, uroczą dziewczyną, która zdawała egzaminy, pomagała przybranym rodzicom Kildare'om (w gruncie rzeczy pracowała w psiarni jako nie opłacana pomoc i nigdy się nie skarżyła) i próbowała podchwycić spojrzenie Dai Evansa. Potem przyjechała w odwiedziny Polly. Kiedy Neli skończyła siedemnaście lat, ostrzygła swoje jasne loki niemal do skóry, a resztę włosów ufarbowała na czarno.

Poglądy nauczycielki plastyki na temat tego co dobre i złe w malarstwie wzburzyły ją do tego stopnia, że w ogóle przestała chodzić na zajęcia. Przyłapała nauczycielkę historii na błędzie rzeczowym i odmówiła uczęszczania również na jej lekcje.

Pozostał jeszcze francuski, ale ponieważ poróżniła się z nauczycielką na temat Racine'a, należało się spodziewać bojkotu i tego przedmiotu. Dai Evans wstąpił do marynarki wojennej, więc po co w ogóle chodzić do szkoły? Spostrzeżenie to uczyniła pani Kildare pewnego dnia, kiedy Neli powinna być w szkole, a jakoś nie była.

— Nie wiem, po co ty w ogóle chodzisz do szkoły — powiedziała pani Kildare, wysłuchawszy wynurzeń Neli na temat ogólnej głupoty i przewrotności jej nauczycieli.

Pani Kildare była przepracowana. Sekcja kwarantanny została poszerzona i interes szedł dobrze, ale płace były niskie, psiarnie położone na kompletnym pustkowiu, więc trudno było znaleźć pracowników. Pani Kildare gotowała żarcie dla psów w kuchni, piecyk elektryczny w zmywarni nie zdawał już egzaminu. W domu śmierdziało, ale wszyscy byli do tego przyzwyczajeni.

— Ja też nie — powiedziała Neli, wyjątkowo przyznając rację swojej opiekunce.

— W takim razie — oznajmiła pani Kildare — rzuć szkołę po ukończeniu semestru i zapracuj uczciwie na swoje utrzymanie.

Pani Kildare również przechodziła trudny okres, inaczej nie użyłaby słowa „uczciwie”. Szkoda, że to zrobiła.

Neli rzuciła szkołę jeszcze tego samego dnia ku wielkiemu żalowi nauczycieli i przyjaciół i podjęła pełnoetatową pracę w psiarni.

Tylko my wiemy, co ją pchnęło do tego kroku. Otóż pan Kildare, przestraszony perspektywą pięćdziesiątych urodzin oraz tym, że nie czeka go już nic z wyjątkiem zmian przepisów kwarantanny w najlepszym wypadku, zestarzenia się w najgorszym, przestał pożądać Neli i się w niej zakochał. Takie rzeczy się zdarzają.

Biedna pani Kildare! Pożądanie może wzbudzać pogardę, miłość nie. Drżące dłonie, pobladłe twarze, łamiący się głos. Pani Kildare miała swoje podejrzenia. To nie podziałało łagodząco na jej charakter i nie nauczyło cierpliwości wobec Neli.

Biedna Neli! Nie mogła się zwierzyć nikomu. Przecież nie pani Kildare? I nie Brendzie? I żadnej ze szkolnych koleżanek, w obawie że sprawa dojdzie do Brendy.

Więc ostrzygła włosy, żeby się oszpecić. Nie podziałało. Przestała chodzić do szkoły, żeby być głupia. To nie podziałało również. Rezultat był taki, że wszyscy wyrażali dezaprobatę z wyjątkiem pana Kildare'a. Przychodził do niej w porze karmienia psów — jej ręce śmierdziały, ale nawet to go nie odstręczało. Gapił się na nią wielkimi brązowymi oczami i błagał, żeby z nim uciekła.

— Dlaczego jesteś taka niedobra? — pytał.

— Nie chciałam być niedobra, panie Kildare.

— Mów do mnie Bob! Nie bądź taka oficjalna. Nie jesteś wdzięczna za to, co dla ciebie zrobiłem?

— Pani Kildare też jestem wdzięczna.

— Zrozumie, jeżeli odpowiednio jej to wyjaśnimy.

— Co wyjaśnimy, panie Kildare?

— Naszą miłość, Neli. Nigdy nie kochałem żony. Jesteśmy ze sobą tylko przez wzgląd na Brendę. A teraz zjawiłaś się ty. Myślę, że to Bóg mi cię zesłał.

— Nie „nasza” miłość, panie Kildare. Pańska. I proszę, proszę mi o tym nie mówić. To nie w porządku.

Ale on mówił, podchodził coraz bliżej, coraz trudniej było odepchnąć jego ręce.

Brenda rzucała jej dziwne spojrzenia. Nie, to było nie do zniesienia. Pewnej nocy Neli spakowała swoje rzeczy, zawiesiła na szyi blaszanego misia, wybrała na pocztę swoje oszczędności (sześćdziesiąt siedem funtów, siedemdziesiąt pensów) i wsiadła w pociąg do Londynu. Wiedziała, że jej ucieczka wzburzy panią Kildare, ale czy miała inne wyjście?

Dym z czarnych świec ojca McCrombiego zawisł nad domem Kildare'ów, oplatał konary4rzew, kłębił się wokół bud. Psy wyły i okazywały niepokój.

— Co się z nimi dzieje? — zapytała pani Kildare.

— Przypuszczam, że tęsknią za Neli — odparł pan Kildare.

Teraz, kiedy Neli zniknęła, czad wypełniający mu głowę zaczął się rozwiewać. Nie pamiętał już swojego zachowania, swoich natrętnych, obmacujących dłoni.

Oczywiście, że kocha swoją żonę. Zawsze ją kochał.

— To się zaczęło jeszcze przed jej odejściem — powiedziała pani Kildare. — Teraz psom jest jakby lepiej. Tylko mnie nie jest lepiej — dodała popłakując.

Tęskniła za Neli, nie tylko dlatego że bez niej miała dwa razy tyle pracy — wstawała o piątej rano i kładła się spać o dwunastej, kiedy ostatni rozżalony, wyjący pies został utulony i uciszony. Kochała Neli niemal tak samo jak Brendę, mimo że ostatnimi czasy dziewczyna przysporzyła jej tyle kłopotów.

Tylko Brenda nie mówiła o Neli. Widziała, jak ojciec patrzy na jej najlepszą przyjaciółkę. Teraz Neli odeszła, a ona nie wie, czy się cieszyć czy smucić. Zrobiła się ospała, przyszczata i otepiała. Diabeł nigdy nie odchodzi zupełnie, pozostawia osad, coś w rodzaju tłustej błony tłumiącej nadzieję i pogodę ducha.

— Najbardziej lubię zwierzęta — mawiała Brenda, powtarzając słowa zasłyszane od rodziców. — Są o wiele miłsze niż ludzie.

Ale zgodziła się na zaręczyny z Nedom. Woli być żoną farmera niż córką psiarza. Neli odeszła i było tak, jakby zabrała ze sobą słońce. Brenda ujrzała nagle dom rodzinny w rzeczywistym świetle — zabłocony, hałaśliwy, ponury, smutny bardzo. Zapra gnęła z niego uciec.

Oczywiście Angie nie miała pojęcia, że Neli żyje. Gdyby wiedziała, bez wątpienia kazałaby ojcu McCrombiemu zapalić czarną świecę również dla niej. Jednak zły urok rzucony na Helen padł również na dom, w którym przebywała jej córka, konkretnie na pana Kildare'a. W gruncie rzeczy cała ta historia dobrze przysłużyła się Neli. A może była to znowu zasługa Evelyn, patrzącej z nieba, zdmuchującej czarne świece tak prędko, jak ojciec McCrombie je zapalał?

Możemy spekulować w nieskończoność. Panowie w średnim wieku zakochują się w młodych dziewczynach bez pomocy diabła, założmy więc, że pan Kildare był starym zbereźnikiem. Z drugiej strony — powiedziec coś takiego o ojcu Brendy... Wydaje się to trochę nieuprzejme.

### *Spotkanie*

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Helen uwolniła się od nocnych koszmarów, a niebezpieczny Homer McLinsky spojrział dziwnie na Clifforda (który nie miał obrońcy, nie można żądać od Evelyn, żeby ratowała mężczyznę, który zadał jej córce tyle bólu), Neli zjawiła się w pracowni Domu Lally'ego na tyłach Broadcasting House. Była czarnowłosa, wystrzyżoną na jeża, wychudzoną walijską dziewczyną o zniszczonych rękach, bez matury, nie mówiąc o dyplomie ukończenia szkoły plastycznej.

— Szukam pracy — oznajmiła Hectorowi McLarenowi, kierownikowi produkcji.

Był wielkim mężczyzną, z ramionami boksera i sękatymi dłońmi, które przebiegały pewnie i delikatnie po zwojach materiału, wyczuwając zysk lub stratę. Na całe szczęście, ponieważ Helen dawała się ponieść pięknu i nie chciała być praktyczna. — Nie ty jedna — powiedział.

Był zajęty. Dziesiątki dziewcząt zjawiały się co tydzień w jego gabinecie. Czytały o Domu Lally'ego albo widziały jego stroje na grzbietach królewskiej młodzieży i zapragnęły wziąć udział w zabawie. Były odprawiane automatycznie, choć uprzejmie. Dom Lally'ego przyjmował dziesięć uczennic rocznie i dobrze je szkolił.

Zgłaszało się dwa tysiące chętnych.

— Nie jestem jak inne — powiedziała Neli, jakby to było oczywiste.

Uśmiechnęła się, a on uświadomił sobie, że jest nie tylko piękna, ale i inteligentna, oraz że to ona wyświadcza mu grzeczność, choć zdawało mu się, że jest na odwrót.

— Obejrzyjmy więc twoje portfolio — powiedział, nie do końca pewny, dlaczego to rpi.

Zadzwoił telefon i ktoś inny go odebrał. Rozmowa z Rio.

Wiedział, zanim jeszcze otworzył album i usunął białe ochronne kartki pergaminu, że czeka go duże przeżycie. Otwierał już tysiące takich albumów. Radość odkrycia nie chciała na siebie czekać, przychodziła o moment za wcześnie. Nie rozczarował się. Cóż to było za portfolio! Kawałki naturalnych tkanin, barwione porostami. Jak ona tego dokonała? Ostre w kolorach kwadraciki zawitych haftów. Lubiła kolor, nawet odrobinę przesadnie, barwy były zbyt odważne. Zazwyczaj zawartość albumów była taka stonowana i grzeczna. A potem kartka po kartce projekty sukien — kreślone ręką amatora, niewątpliwie, ale z jaką pewnością linii, z jakim bezwzględnym przekonaniem. Kilka z nich było do wykorzystania, kilka wręcz genialnych.

— Hm — powiedział ostrożnie. — Kiedy to wszystko zrobiłaś?

— Na lekcjach — odparła. — Szkoła jest taka nudna, rozumie pan?

(Zarwane noce, Czytelniku. Neli rysowała kosztem snu.) Była bardzo młoda. Zadał jej parę osobistych pytań i odniósł wrażenie, że raczy go stekiem kłamstw, więc zmienił taktykę.

— Dlaczego Dom Lally'ego? — zapytał. — Dlaczego nie Yves Saint Laurent? Albo Muir?

— Podobają mi się wasze stroje — powiedziała po prostu.

— Podobają mi się kolory.

Ubrana była w dżinsy i białą koszulę. Bardzo rozsądnie. Jeżeli nie możesz sobie pozwolić na stroje, Czytelniku, noś to, w czym jest ci do twarzy.

— To ciężka praca za niewielkie pieniądze — ostrzegł ją.

— Będiesz zamiatała podłogi.

— Jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy.

W myślach dodała, że ta praca nie staje się przynajmniej cięższa przy pełni księżyca. Przyszło jej do głowy, że ma spore doświadczenie życiowe jak na siedemnastolatkę. Myśl ucieszyła ją, a zarazem zasmuciła. Zapra gnęła z kimś porozmawiać, ale niko go takiego nie było. Potem przeszło ją uczucie triumfu. „Udało się! Dokonałam tego! Zdobyłam pracę, i to dobrą pracę, jestem dokładnie tam, gdzie chciałam być!”, ale o tym również nie miała komu powiedzieć. Więc po prostu uśmiechnęła się do Hectora McLarena, a on pomyślał: „Zaraz, zaraz, gdzieś już widziałem ten uśmiech, na wpół radosny, na wpół tragiczny”. Potem dziwił się samemu sobie. Dlaczego przyjął ją do pracy? Mają za dużo pracowników i bez tej dziewczyny. Helen wywierała na niego taki sam wpływ, czasami. W zadziwiający sposób zmuszała go, by porzucił własny, słuszny osąd i przyjął jej punkt widzenia. Uznał, że widocznie łatwo ulega wpływom kobiet (nieprawda, Czytelniku).

Tak więc Neli zaczęła pracować dla swojej matki. Nic w tym dziwnego, jeżeli przyjmiemy, że podobieństwa się przyciągają. W obu paniach płynęła przecież krew Johna Lally'ego, obie odziedziczyły część jego talentu.

### ***Ta kochana!***

Neli uciekła z domu w środę, została przyjęta przez Hectora McLarena w czwartek, a w poniedziałek rozpoczęła pracę

w Domu Lally'ego. Zatrzymała się w małym hotelu w Maida Vale, gdzie otrzymała pokój w zamian za dwie godziny sprzątanía dziennie, między szóstą a ósmą rano, sześć dni w tygodniu. Chodziła do pracy pieszo. W Domu Lally'ego zamiatała podłogi, pozwolono jej jednak trochę poszyć i obserwować krojczynię. Wieczorami zaglądała do dyskoteki i wpadła w złe towarzystwo. No, może nie do końca złe, po prostu ufarbowane na wieloko-lorowo, z agrałkami w uszach i nosach. Sympatyczne, ospale i dla Neli — niegroźne. Jej nowi przyjaciele nie nakładali na nią żadnych zobowiązań, intelektualnych ani uczuciowych. Kiwali się albo podrygiwali w tańcu i palili trawkę. Neli paliła również, pamiętała, jak kojąco i rozweselająco działała na Clive'a i Polly, zapomniała, że doprowadziła ich do upadku. Rano zjawiała się w pracy zmęczona, ale do zmęczenia była przyzwyczajona.

Pewnego piątkowego popołudnia do pracowni zajrzała sama Helen Lally. Głowy poderwały się znad roboty. Helen ubrana była w beżową garsonkę, a włosy spiętrzone miała na czubku głowy. Weszła do biura Hectora McLarena i rozmawiała z nim przez chwilę za szklaną ścianą. Potem podeszła prosto do miejsca, gdzie siedziała Neli, i wzięła do ręki płaszcz, nad którym pracowała jej córka. Obejrzała go dokładnie i zdawała się zadowolona z inspekcji, choć Neli wiedziała, że ścieg nie jest idealnie prosty. Prawdę mówiąc, przysnęła i nie chciało jej się wyprać krzywego kawałka.

— Więc masz na imię Neli — powiedziała Helen. — Pan McLaren bardzo cię chwali. Neli to takie ładne imię. Zawsze je lubiłam.

— Dziękuję pani — Neli zaczerwieniła się z zadowolenia. Robiła co w jej mocy, żeby wyglądać na osobę nieprzyjemną i twardą, ale mogła sobie oszczędzić fatygi. Helen pomyślała, że dziewczyna jest za młoda, za chuda, mieszka prawdopodobnie z dala od domu, a nie powinna. Potem rozmawiała o niej z Hec-torem, spoglądając przez szybę na ciemną głowę Neli pochyloną nad robotą.

— Jest za młoda — stwierdziła. — To do ciebie zupełnie niepodobne, Hector, nie mówiąc o tym, że jej ściegi chadzają własnymi drogami. Powinniśmy zredukować, a nie przyjmować nowych pracowników.



— Będziemy ich przyjmować, jeżeli otrzymamy zamówienie z Brazylii — powiedział.

W tym momencie zadzwonił telefon i potwierdzono zamówienie z Rio. Dom Lally'ego rzadko przyjmował takie zlecenia

— uszycie kompletnej garderoby dla nieprzyzwoicie bogatej i ekstrawaganckiej młodej damy, świeżo po ślubie, która miała słabość do czerwonych róż — podejrzewam o to raczej jej męża

— i kwiat ten miał zostać (dyskretnie lub ekspansywnie, według uznania Domu Lally'ego) wyhaftowany na każdej sztuce odzieży, od podwiązek po futra.

— Dlaczego się na to zgodziliśmy? — jęknęła Helen. — To zbyt wulgarne.

— Dla pieniędzy — powiedział Hector różnym głosem. — A czy to będzie wulgarne czy nie, zależy od wykonania.

— Ale będę musiała stać nad kimś przez cały czas... Cóż, czerwona róża czerwonej róży nierówna — dodała pogodniejąc.

I miała świętą rację! Hector przypomniał sobie portfolio Neli. Neli została wyłuskana z grona szarych pracowników i obarczona zadaniem wyhaftowania paru róż, od szkarłatnych pączków po purpurowe kwiaty. Bułka z masłem! Po tygodniu siedziała w studiu w domu Helen i haftowała róże, jakby od tego zależało jej życie, haftowała je na tkaninach o każdej grubości, fakturze i barwie, dopasowując barwę nici z nieomylnym instynktem.

— Wielkie nieba! — powiedziała Helen. — Co ja bym bez ciebie zrobiła! — A do Hectora: — Nawet nie muszę jej nic mówić, zdaje się wiedzieć, co myślę. To miło mieć znowu dziewczynę w domu, tak się przyzwyczaiłam do chłopców.

— Wszystko pięknie — powiedział Hector. — Tylko nie zacznij widzieć w niej córki! Ona jest pracownicą. Nie rozpieszczaj jej-

Zdaniem Hectora Helen rozpieszczała synów, pobłażała im, tolerowała samowolę, wydawała na nich za dużo pieniędzy. Może miał rację, ale byli szczęśliwą rodziną i Helen chciała się cieszyć dziećmi, dopóki może. Wiele samotnych matek myśli podobnie.

— Neli — powiedziała Helen po tygodniu robienia róż. — Gdzie ty mieszkasz?

— W schronisku młodzieżowym — powiedziała Neli. — To niezłe lokum — dodała wyczuwając niepokój rozmówczyni

i śpiesząc go rozwiać, jak to miała w zwyczaju. — Jest woda i urządzenia sanitarne. W hotelu płaciłam za pokój sprząaniem, ale schronisko wychodzi taniej.

I uśmiechnęła się. Helen pomyślała: „Gdzie ja widziałam ten uśmiech? (Na twarzy Clifforda oczywiście, ale Helen próbowała nie myśleć o Cliffordzie.) Gdybym miała córkę, chciałabym, żeby była właśnie taka. Bezpośrednia, dobra, otwarta na ludzi. Chciałabym, żeby nie mieszkała w schronisku. Chciałabym, żeby była mniej zabiedzona, nie taka chuda, otoczona opieką. Niech diabli wezmą Hectora”.

— Większość naszych dziewcząt mieszka u siebie w domu

— powiedziała.

— Nie mają innego wyjścia — odparła Neli. — Tak mało im płaciecie. — I uśmiechnęła się, żeby złagodzić ostrość słów.

— Ale ja nie mam domu. Nigdy nie miałam.

Może gdyby Helen słuchała uważniej, zainteresowałaby się historią życia Neli i doszła prawdy, ale ona zastanawiała się nad słowami, które w jej uszach brzmiały jak oskarżenie. Czy naprawdę za mało płaciła dziewczętom z pracowni krawieckiej? Płaciła tyle, ile wynosiła stawka krajowa, ale czy to nie za mało? W głębi serca wiedziała oczywiście, że za mało. Dom Lally'ego i w tym bazował na swojej reputacji — jeżeli ludzie ustawiają się w kolejce, by otrzymać przywilej pracy, można płacić im bardzo niewiele. I Helen została za to ukarana. Gdyby nie czuła się winna, nie byłaby rozdrażniona i odzyskała córkę wcześniej. A tak musiała poczekać.

Omówi tę sprawę z Hectorem.

— Masz chłopca? — zapytała i Neli zarumieniła się.

— I tak, i nie — odparła.

Tak, ponieważ Dai napisał do niej list, i nie, ponieważ kiedy się nad tym zastanović, nie czuła już do niego tego co dawniej. Odległość rozproszyła obsesję — nie bez kozery rodzice wywozili kiedyś córki za granicę, żeby wybić im z głowy niestosowne amory. Jednocześnie Neli rozumiała, że miłość do Dai uchroniła ją od najrozmaitszych kłopotów. „Nie, dzięki — mówiła molestującą ją chłopcom. — Nie bierz tego do siebie, po prostu mam swoją prawdziwą miłość.” I chłopcy ustępowali z żalem przed tą tajemniczą namiętnością i pozostawiali Neli

w spokoju, a jeżeli nie... To zadziwiające, ile działać może górny (albo dolny) hak wymierzony niekoniecznie w szczękę. Nasza Neli nauczyła się go w Ruellyn i wymierzała ze swym wspaniałym uśmiechem. Co za dziewczyna! Helen, która знаła tylko wycinek jej przeszłości, patrzyła na swoją córkę pełna zdumienia i podziwu.

— Neli — powiedziała Helen — jeżeli znajdę ci odpowiednie mieszkanie, przeprowadzisz się?

— Jak za nie zapłacę?

— Zapłaci Dom Lally'ego. Ja tego dopilnuję.

— Nie mogłabym tego zrobić — powiedziała Neli. — Innym dziewczętom to by się nie spodobało. Dlaczego mam mieć coś, czego one nie mają?

Oto dlaczego Helen wymogła na Hectorze podwyżkę płac dziewcząt z pracowni o całe dwadzieścia pięć procent, co pociągnęło za sobą pięcioprocentowy wzrost cen na wyroby Lally'ego. Rynek zniósł to tak dobrze, że Lally podniósł je o kolejne pięć procent. A Neli radośnie zgodziła się wyprowadzić ze schroniska dla dziewcząt. Jej przyjaciele zdawali się niktąć w oczach, dwójka z nich przerzuciła się z trawki na heroinę. Kłopot z narkotykami polega na tym, że nie sprzyjają zwierzeniom. Neli pamiętała to jeszcze z czasów Odległej Farmy. Wiedziała, że nie pogada sobie z przyjacielem ćpunem.

Neli zamieszkała z Hectorem i jego żoną. Jedzenie było dobre, gorącej wody w bród, pokój na facjacie dobrze ogrzany. Neli zaoszczędziła trochę pieniędzy, kupiła sztalugi i malowała w weekendy. Budziła się rano z radosnym uczuciem, jakiego doznają młodzi ludzie, kiedy wszystko idzie po ich myśli, życie się przed nimi otwiera, a świat leży u ich stóp.

— Wiesz co? — powiedziała Helen tego pamiętnego dnia, kiedy Neli przeszła do osiemdziesiątej róży. Użyła dwudziestu odcieni czerwieni do jednego kwiatka i osiągnęła efekt trójwymiarowości. Każdy płatek zdawał się wyłaniać ze środka róży. — Jeżeli obiecasz, że ci to nie uderzy do głowy, zatrudnimy cię jako modelkę.

— W porządku — zgodziła się Neli, próbując nie okazać zadowolenia.

— Kiedy skończysz osiemnaście lat?

— W czerwcu.

— Miałam córkę o imieniu Neli — powiedziała Helen.

— Nie wiedziałam.

— Zaginęła — stwierdziła Helen.

— Przykro mi — odparła Neli.

Cóż innego można powiedzieć w takiej sytuacji? Helen nie wnikała w szczegóły, a Neli o nic nie spytała.

— W te święta skończyłaby osiemnaście lat. W Wigilię.

— Zawsze żał mi ludzi, którzy urodzili się w Wigilię — powiedziała Neli. — Tylko raz dostają prezenty. Ja urodziłam się w samym środku lata. Naprawdę chce pani, żebym była modelką?

— Masz odpowiednią twarz i figurę.

— Być modelką to nic wielkiego — oznajmiła Neli. — Każdy może być ładny i nie jego w tym zasługa.

Helen pomyślała: „Kto jeszcze mógłby powiedzieć coś takiego?” Ojciec Neli, oczywiście, ale skąd ona mogła to wiedzieć?

— Wolałabym być projektantem mody — powiedziała Neli.

— To wymaga prawdziwego talentu.

— I czasu — odparła Helen. — I pieniędzy, i nauki. Neli zdawała się rozumieć, o co chodzi. Uśmiechnęła się.

— Zostanę modelką, jeżeli nie będę musiała zmienić uczesania. — Włosy miała krótkie, czarne i zaczesane wszystkie do góry.

— Trudno byłoby pogodzić je z wizerunkiem Lally ego

— powiedziała Helen.

Ale wiedziała, że łatwiej zmienić wizerunek Domu Lally'ego niż zapatrywania Nell i Neli wygrała. Potem zjawili się chłopcy

— Edward, Max i Marcus — zostali przedstawieni, ale Neli była dla nich tylko jedną z pracownic, więc nie zwrócili na nią większej uwagi. Chcieli, żeby matka zeszła do kuchni i zrobiła im kolację, a Helen, nieodrodna córka swej matki, zrobiła dokładnie to, czego od niej żądali. Kiedy wyszli, Neli poczuła się dziwnie samotna, jakby zgasła lampa nad jej głową i pozostawiono ją w ciemności. Skończyła różę, a wieczorem zadzwoniła do pani Kildare. Tak, ma się dobrze, pracuje, pani Kildare może być o nią spokojna, uściski dla Brendy i och, oczywiście, pozdrowienia dla pana Kildare'a. Następnego dnia zapisała się do szkoły

wieczorowej. Sztuki piękne, historia, francuski. Była znowu na właściwej drodze.

### ***Ta niekochana!***

Powróćmy jeszcze na chwilę do cery Angie. Przypominacie sobie, zrobiła coś, co dermatolodzy nazywają peelingiem, i nie wyszło jej to na dobre. Wypryski i zgrubienia były wyraźniejsze niż kiedykolwiek. Nie mogła zasądzić kliniki, reklama w tym wypadku oznaczała samobójstwo. Ale kiedy w jednym z listów lekarz zasugerował, że przyczyna jej kłopotów jest natury psychosomatycznej i klinika pokryje koszty leczenia psychiatrycznego, Angie wyraziła zgodę. Poszła do doktora Mylinga, z nowej szkoły holistycznej. Słyszała, że jest młody i przystojny.

Faktycznie był.

— Na czym polega pani problem, jak pani uważa? — zapytał.

— Jestem nieszczęśliwa — powiedziała Angie ku swemu zaskoczeniu.

— Dlaczego?

Miał przenikliwe niebieskie oczy. Patrzył w jej duszę zupełnie jak ojciec McCrombie, ale był dobry.

— Mój mąż mnie nie kocha.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie jestem sympatyczna. — Własne słowa były dla niej szokiem, ale sama je wypowiedziała.

— Więc niech pani idzie i spróbuje być sympatyczna — powiedział lekarz. — Jeżeli cera nie poprawi się przez dwa tygodnie, spróbujemy pigułek, ale dopiero wtedy. Więc Angie wyszła z gabinetu i spróbowała być sympatyczna. Próba polegała na tym, że zadzwoniła do ojca McCrombiego i powiedziała, że sprzedaje kaplicę i rezygnuje z jego usług. Czuła się już nieswojo w jego towarzystwie. Czasami w nocy, kiedy Clifforda nie było, czyli niemal zawsze, słyszała śmiech swojego ojca.

- Sprzedaż kaplicy może nie być mądrym posunięciem
- ostrzegł ojciec McCrombie, zapalając kolejną czarną świecę.
- *Begorra*, wcale niemądrym.

Ojciec McCrombie był edynburszykiem, jak wiemy, ale ludzie lubią irlandzką gwara, pielęgnował ją więc starannie. Czasami udawał, że nie jest wyznawcą diabła, lecz sympatycznym huncwotem, czasem wydawało mu się nawet, że wróciło jego dobre, ja", że odzyskał duszę.

— Nie przestraszysz mnie — powiedziała Angie.

Była porządnie wystraszona, więc zamiast zwyczajnie zadzwonić do swojego agenta, postanowiła udać się osobiście do jego biura. Chciała zrobić to sama, chciała wykazać odwagę, nie była przyzwyczajona do strachu. Chciała go lepiej poznać, dobrze go posmakować, zanim wypluje. Tak, myślę, że była bardzo odważna. (Znacie moją zasadę mówienia dobrze o żyjących, nie tylko o umarłych.)

Był deszczowy dzień. Angie stała na skrzyżowaniu Primrose Hill Road i Regents Park Road i zastanawiała się, w którą stronę pójść. Patrzyła, jak reflektory mkną ku niej razem z wyciem klaksonu. Nie rozumiała, co się dzieje; hałas i światła wyskoczyły razem w powietrze, na ułamek sekundy zapadła cisza, a potem coś spadło na nią z góry, coś, co wycisnęło z niej światło, życie i duszę. Może należałoby wyciągnąć stąd wniosek, że źli nie powinni próbować być dobrzy. Ta próba ich zabije.

„Milionerka zamieszana w narkotyki ginie w idiotycznym wypadku samochodowym”, doniósł jeden z dzienników, skrywając satysfakcję. Ciężarówka pędząca Primrose Hill zahaczyła o krawężnik, wyprysnęła w powietrze i wylądowała na Angie. „Biedna bogata dziewczynka zostaje zmiażdżona, podczas gdy mąż oczekuje na proces w Nowym Jorku”, napisał inny.

— Świat niewiele stracił — powiedział John Lally, mimo że Ottoline wyświadczył mu tyle przysług.

Z przykrością muszę przyznać, że na ogół podzielano jego zdanie. Tylko mała Barbara popłakała trochę.

Angie, droga Angie, nie wiem, co poszło nie tak, co uczyniło cię taką niemiłą i smutną, taką antypatyczną. Czy powinniśmy obarczyć winą twoją matkę? Matka Clifforda, Cynthia, też nie kochała swojego dziecka, z pewnością nie wyszło mu to na dobre,

ale nie uczyniło z niego człowieka nie nadającego się do kochania. (Spójrzcie tylko na Helen, spójrzcie na autorkę, która stara się go usprawiedliwić. On przynajmniej potrafi wejrzeć w siebie, zrobić rachunek sumienia, jest jakaś uczciwość w jego samolubstwie, przy czym posiada zdolność przemiany, może najważniejszą ze wszystkich cech.) Nie można obwiniać matek za całe zło na świecie. Wszystko byłoby dobrze, mówimy, gdyby tylko matka zrobiła to czy tamto — kochała bezgranicznie i bezwarunkowo. Ale matki są tylko ludźmi. Kochają, jak najlepiej potrafią, a dziecko i tak zawsze powie: „nawet nie próbowała”. Więc może obwinąć ojców? Ojciec Angie, jak wiemy, uważał, że jego córka nie nadaje się do kochania. Czy to uczyniło ją antypatyczną? Nie sędzę. Ojciec Helen, John Lally, był zupełnie niemożliwy, a jednak Helen, nieodpowiedzialna i nieudolna we wczesnej młodości, wyrosła na poważną, zaradną kobietę. Nigdy nie była zła. Czy Angie byłaby lepsza, gdyby urodziła się biedna i musiała zarabiać na swoje utrzymanie? Nie sędzę. Na ogół ubóstwo sprawia, że ludzie stają się gorsi, nie lepsi. (Choć bogacze są często niewiarygodnie podli. Ile razy wzdychamy nad naszą mizerną sześciopensówką: „Dlatego właśnie są tacy bogaci, że są tacy podli”.)

Angie, niewiele dobrego da się o tobie powiedzieć, choć bardzo się staram. To ty rozbiłaś małżeństwo Clifforda i Helen, byłaś obojętna na los Neli, doprowadzałaś manikiurzystki do płaczu, zwalniałaś służących z czystej złośliwości, używałaś swego bogactwa i władzy, by oszukiwać i intrygować, nawet nie próbowałaś ulepszyć świata...

Jedną chwileczkę! Gdyby nie Angie, Neli zginęłaby marnie! Zginęłaby marnie w metalowych szczękach instrumentów doktora Runcorna. Motywy Angie nie były szlachetne — ale lepiej postąpić dobrze ze złych pobudek, niż nie postąpić dobrze w ogóle. Skoro doszukaliśmy się już w przeszłości Angie jednego dobrego uczynku, pozwólmy jej spocząć w pokoju i zajmijmy się zbieraniem szczątków, które pozostawiła na drodze swojego życia.

Wszyscy tworzymy sobie mity, choćby mit szczęścia. Nie ma w tym nic złego. Ale posuwamy się za daleko. Bronimy naszych mitów — powiedzmy, mitu, że wszyscy ludzie żyją w szczęśliwej rodzinie: ojciec do pracy, matka w domu z dziećmi — choć nasze własne życie dowodzi, jak dalecy jesteśmy od prawdy. I jak trud-

no jest nam się zmierzyć z rzeczywistością. Spróbujmy, świat się nie zawali, słońce wszędzie jak co dnia. Jesteśmy jednym ciałem, jedną rodziną, jesteśmy jedną osobą o milionach, milionach twarzy. Mamy w sobie Angie i pana Blottona, a nawet ojca McCrom-biego. Musimy się nauczyć z nimi współżyć, wpleść ich w obraz nas samych. Nie wolno nam odganiać od siebie łotra, musimy powitać go z otwartymi ramionami. Dopiero wtedy staniemy się całością, Angie, kochanie, niech ci ziemia lekką będzie.

### ***Odmiana losu***

Wiecie, jak to jest, latami nie dzieje się nic, a potem wydarzenie następuje po wydarzeniu. Wraz ze śmiercią Angie wszystko się zmieniło, przemieściło, zwarło, jakby ktoś pociągnął za nitki i zacisnął węzeł. Nic nie mogło zatrzymać rozwoju zdarzeń, choć ich przebieg zależał oczywiście od tego, jaki był układ nici przed zaciśnięciem węzła.

Ojciec McCrombie, były duchowny, za łóżko (w tym wypadku piankowy materac w dyżurce), jedną (lub dwie) butelki brandy dziennie i parę groszy (Angie była tak skąpa, jak tylko urodzony bogacz potrafi) nie tylko zapalał czarne świece, ilekroć taki pomysł strzelił mu do głowy, ale odprawiał regularne czarne msze w Kaplicy Szatana (o których Angie nie wiedziała; gdyby wiedziała, roześmiałaby się tylko sceptycznie z takich głupot). Jeżeli mam być szczerą, ostatnio ojciec McCrombie również stał się sceptykiem, choć przyjmował pieniądze od tych, którzy zjawiali się na mszy i traktowali rzecz poważnie. Niemniej, kiedy Angie zadzwoniła i ni z tego, ni z owego oznajmiła, że sprzedaje kaplicę i pozbawia go dochodów, a ojciec McCrombie zapalił wielką czarną świecę, Angie została zmiażdżona jak komar. To wystarczyłoby, żeby przestraszyć świętego, co dopiero nikczemnego eks-księdza, ekskomunikowanego i otumanionego halucynogennymi narkotykami.

Ojciec McCrombie uznał, że co za dużo, to niezdrowo, zdmuchnął swoje świece, zmówił szybko i na wpół szczerze



„Zdrowaś Mario”, pożegnał się z duchem Christabel, zamknął kaplicę i ruszył w świat na poszukiwanie szczęścia.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę naturę jego powiązań z Angie, nie ma w tym nic dziwnego, że w swoim poszukiwaniu na wpół uczciwego zajęcia natknął się na Ericha Blottona, występującego obecnie pod niewinnym nazwiskiem Petera Pipera z Piper Art Security Limited, firmy, która nadzorowała przewóz dzieł sztuki, chroniła i ubezpieczała je przed kradzieżą, powodzią, pożarem, podmianą i wszelkim nieszczęściem.

Pamiętacie Ericha Blottona? Nałogowego palacza i porywacza dzieci, który uciekł z Neli po katastrofie ZOE 05? Erich Blotton po krótkim spotkaniu z Cliffordem, dawno temu, w czasach gdy był jeszcze porywaczem, zdecydował, że weźmie się za Sztukę. Najwyraźniej tam były pieniądze, władza i prestiż, nie mówiąc o bogatych zbiorach.

Firma Piper Art Security mieściła się w nędznym zadymionym biurze w Burlington Arcade, nad butikiem z dzianiną. Właścicielka sklepu narzekała, że odór dymu papierosowego przeniknął jej wyroby, ale co mogła zrobić? Peter Piper nie miał zamiaru rzucić palenia. Powiedział jej, zgodnie z prawdą zresztą, że jest to jego jedyna przyjemność w życiu.

Erich Blotton nie był szczęśliwy. Tęsknił za żoną, która rozdała sierocińcom dwa miliony funtów i umarła na tydzień przed podjęciem przez niego decyzji o powrocie do kraju.

— Wracaj szybko, Erich — powiedziała mu przez telefon. — Boja wydaję, wydaję i wydaję.

Powiedziała, że szukają go jacyś mężczyźni. Wielcy, niebezpieczni i czarni. Mogli to być jedynie nasłani mordercy. Za dużo osób go szukało. Rozwścieczeni rodzice stawali się groźnymi wrogami, o wiele groźniejszymi niż policjanci czy kryminaliści. Nie poszedł więc na pogrzeb żony, zmienił nazwisko, zawód i styl życia. Uznał, że jest bezpieczny. Ale była to trudna operacja i przeszczep przyjął się tylko częściowo. Erich Blotton tęsknił za przeszłością.

Ojciec McCrombie przyszedł do Petera Pipera i powiedział:

— *Begorra!* Co by to było, gdyby taki facet jak ja skumał się z takim facetem jak ty? Ja mam swoje talenty, ty masz swoje.

Peter Piper nigdy nie był silnym mężczyzną. Palił sto papierosów dziennie i w efekcie kaszlał, świszczwał i trząsł się jak

galareta. Miał kłopoty z krażeniem. Płótna są wielkie i ciężkie. Wielki i ciężki był również ojciec McCrombie, na dodatek dość przerażający ze swoimi czerwonymi włosami, czerwoną brodą i dziwnymi czerwonymi oczami. Użyteczny gość, tak przynajmniej wydawało się Peterowi Piperowi. Może ojciec McCrombie ma zdolności hipnotyczne?

— Dlaczego nie? — zapytał Peter Piper.

Omówili pokrótce śmierć Angie Wellbrook. Ottoline to najważniejszy klient firmy Piper Art Security.

— Cóż za tragedia — powiedział Peter Piper. — Biedna kobieta!

— Biedna kobieta — powtórzył ojciec McCrombie. — Niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Nie uderzył żaden piorun, a powinien.

— Oczywiście jej śmierć jest ogromną niedogodnością dla Piper Art Security — powiedział Peter Piper i ojciec McCrombie poczuł, że jego obowiązkiem jest pomóc nowej firmie w każdy dostępny mu sposób. Zostawmy na chwilę dwóch panów planujących kolejne szelmostwo, choć tym razem bez pomocy ciemnych sił kosmosu. Ojciec McCrombie wahał powietrze i wyczuwał napięcie, podniecenie i zło. Coś z atmosfery Kaplicy Szatana zdawało się przemieszczać razem z nim.

Niewiele mógł na to poradzić.

Peter Piper powiedział:

— Czujesz coś?

I zaczął również węszyć, ale palił tyle, że trudno mu było odróżnić woń hamburgera z cebulką od odoru diabła, więc zapalił kolejnego papierosa, a piętro niżej Pat Christie, właścicielka butik, ujęła słuchawkę telefonu i zgłosiła lokal do sprzedania. Nagle przestał się jej podobać.

### ***Zdrada tajemnicy***

W chwili gdy ojciec McCrombie zdmuchiwał swoje świece, Clifford stał przed nowojorskim sędzią. McLinsky zdecydował

się na działanie bez precedensu — zdał policji sprawę z przebiegu transakcji z Leonardem. Amerykanie uznali, zdaje się, że Anglik zanadto się rozpycha na artystycznej scenie i należy utrzyć mu nosa. A może odezwało się purytańskie wychowanie McLinsky'ego i potentat prasowy naprawdę się oburzył? W każdym razie Clifford stanął przed sądem oskarżony o oszustwo i próbę wyłudzenia. Przybyło również stu dziennikarzy prasowych i telewizyjnych w pogoni za pierwszorzędnym newsem. Leonardo, ta czcigodna instytucja, pod pręgierzem! Clifford, osobowość telewizyjna, oskarżony o oszustwo! Nie, sprawy nie wyglądały dobrze. Twarze prawników Leonarda poszarzały. Wysoki Sąd marszczył gniewnie brwi. Nie wolno szafować bezkarnie zerami, nawet w prywatnej rozmowie, w kołach, gdzie prywatne rozmowy prowadzą do zawarcia umów i są nagrywane! Nagrywane? — twarze prawników Leonarda z szarych zrobiły się białe. Puf! Puf! Puf! Gasły świece w Kaplicy Szatana. W tej samej chwili Cliffordowi przejaśniło się w głowie — a może był to tylko zbieg okoliczności? Co za dużo, to niezdrowo. Nie jest przestępcą. Wstał.

— Chwileczkę! — powiedział. — Proszę Wysoki Sąd o udzielenie mi głosu... — Jakież wymuskany był jego angielski! Wysoki Sąd zdecydował, że wysłucha oskarżonego.

— Jeżeli chce pan coś powiedzieć Sądowi, proszę — powiedział sędzia Tooley. I Clifford mówił. Mówił równo godzinę i nikt nie uronił ani słowa. Natchnieniem był dla niego John Lally, jego święte oburzenie, teraz należące do przeszłości, ale dobrze zapamiętane przez Clifforda. Przytoczył wszystko, co mówił swego czasu John Lally, tyle że bez paranoicznej otoczki. Było to bardzo przekonujące. Prawda jest przekonująca.

Odślonił przed tym szacownym gronem prawdziwe oblicze świata Sztuki. Opowiedział o udziale wielkich, średnio czystych pieniędzy, o ogromnych fortunach zbijanych i traconych za plecami biednego artysty. Cóż, zawsze tak było. Wystarczy wspomnieć van Gogha czy biednego Rembrandta. Ale pojawił się nowy element — megaforsa i wszystko, co za nią idzie. Clifford mówił o hierarchiach w świecie Sztuki, wątpliwych pocz-

naniach domów aukcyjnych, o kontrolowaniu cen, o wariackich prowizjach, ignorancji ekspertów, o bezwzględnym bogaczu, który stoi między artystą a tymi, którzy chcą tylko podziwiać jego pracę, o kupowaniu krytyków, o niszczeniu i tworzeniu reputacji — wszystko w imię zysku.

— Dodatkowe zero? — zapytał. — Musicie nagrywać moje rozmowy, by wiedzieć, czy dodałem zero? Oczywiście, że dodałem. W takiej atmosferze pracuję i szanowny pan McLinsky świetnie o tym wie albo jest głupcem, a z pewnością nie życzy sobie wyjść na takiego.

Świece zgasły i Clifford był znowu w formie; rozgniewany, namiętny, uroczy i na swój sposób uczciwy.

Wysoki Sąd uśmiechał się i bił brawo, flesze błyskały i Clifford opuścił budynek jako wolny człowiek, ba! jako bohater. Tej nocy wziął do łóżka twardą, inteligentną młodą kobietę o kędzierzawych włosach i imieniu Honesty i jak zwykle tęsknił za delikatnością Helen. A może już wcale nie była delikatna? Może sukces sprawił, że stwardniają? Skąd miał wiedzieć?

Zadzwonił telefon. Angie? Miała zwyczaj dzwonić w takich chwilach.

— Nie odbieraj — powiedziała Honesty.

Ale Clifford nie posłuchał. Wyciągnął swoje silne owłosione ramię i usłyszał wiadomość o śmierci Angie. Pierwszym samolotem wrócił do Anglii, Barbary i — przykro to mówić, jeżeli żal nam Angie choć trochę — do Helen. Nie doczekał nawet do pogrzebu.

### *Helen i Clifford*

— Cliffordzie — powiedziała Helen — to absurd.

Siedziała w swoim uroczym salonie, wszędzie bladozielony jedwab i beżowe meble, z białym telefonem w dłoni. Ubrana była w miękką beżową suknię haftowaną przy staniku w delikatne żółte kwiatki. Brązowe kręcone włosy opadały jej falą na twarz. Zbladła usłyszawszy Clifforda, ale nie pozwoliła, by zadrżał jej

głos. Neli patrzyła na nią z drugiego końca pokoju. Nie haftowała już róż — tamto zamówienie zostało ukończone dawno temu

— ale tak jakoś" wyszło, że stała się częścią tego domu. Krzyczała na chłopców, żeby się myli, sprząтали pokoje, odbierali telefon, a oni śmiali się tylko i wykonywali jej polecenia. Patrząc na nią, Helen śmiała się także. Ona jest moją córką, myślała. Córką, której nigdy nie miałam.

Patrząc na Helen rozmawiającą z Cliffordem przez telefon, Neli pomyślała, że nigdy nie widziała kobiety tak pięknej. W tak oczywisty sposób przeznaczonej do tego, by panować nad sercem i życiem mężczyzny. Gdybym mogła taka być — pomyślała Neli.

— Gdyby ona była moją matką. Nie, nigdy taka nie będę, jestem zbyt kolczasta i szczerza i cieszę się z tego. Nie chcę żyć poprzez mężczyzn. Obok nich, oczywiście, ale nie dzięki nim.

Sama Neli — teraz, kiedy miała Helen, która się o nią troszczyła, zmuszała do jedzenia i wypoczynku, która nadała sens jej życiu — była równie piękna, tyle że o tym nie wiedziała. Dziewczęta wychowywane bez ojca zazwyczaj nie zdają sobie sprawy z własnej urody. Jej włosy, nadal krótkie, czarne, wystrzyżone i szokujące, stały się znakiem firmowym najpopularniejszej modelki Domu Lally'ego. Dodały odrobinę frywolności do bogatej, choć trochę zbyt poważnej oferty. Helen zdawała sobie sprawę, że z biegiem lat konfekcja Lally'ego stanie się popularna wśród starszych dam i będzie trochę przyciężka. Neli odmładzała Lally'ego. Uważała, że jej sukces jest przypadkowy, nie mogła traktować samej siebie poważnie. To również jest przeznaczeniem dziewcząt wychowywanych bez ojców.

— Cliffordzie — powiedziała Helen zdawkowo — byliśmy małżeństwem już dwukrotnie. O raz za dużo. Poza tym bliźniakom by się to nie spodobało.

— Jeżeli powiesz, że są moje, przyjmę to do wiadomości

— powiedział Clifford tak bliski przeprosin, jak to w jego przypadku możliwe, ale nie dość bliski w opinii Helen. — Zresztą kogo to obchodzi?

— Bliźniaki.

— Porozmawiamy o tym później — powiedział. — Jesteś wolna, prawda?

Mówił głośno i stanowczo. Neli słyszała każde słowo.

— Jestem — odparła Helen. — I podoba mi się ten stan. Nie mam zamiaru nic zmieniać.

— Musimy poważnie porozmawiać — powiedział Clifford. — Zaraz u ciebie będę.

— Nie będziesz — odparła Helen. — Cliffordzie, dwa lata czekałam na ten telefon, a teraz jest już za późno. Poznałam kogoś innego.

Odłożyła słuchawkę.

— Nie poznałaś, prawda? — zapytała Neli z lękiem. — Przepraszam, to twoja osobista sprawa. Nie powinnam słuchać.

— Trudno było nie słyszeć. Zresztą jesteś członkiem rodziny. — (Serce Neli fiknęło koziołka.) — Jasne, że nie ma nikogo innego. Po prostu nie chcę, żeby on mnie znowu zranił — powiedziała Helen i zaczęła płakać.

To się bardzo nie spodobało Neli. Była przyzwyczajona do tego, że Helen jest spokojna, pogodna, zawsze opanowana. Helen tak właśnie próbowała zaprezentować się dzieciom, bardzo rozsądnie zresztą.

— Kiedy cierpisz, wiesz przynajmniej, że żyjesz — zauważyła Neli i poczuła się głupio, ale żadne inne słowa nie przyszły jej na myśl.

— Więc ja żyję — powiedziała Helen. — I to jak!

— Zadzwoń do niego. Ja bym to zrobiła. Ale Helen nie zadzwoniła.

Następne suknie, które zaprojektowała, były do niczego. (Niestety, miłość wywiera taki wpływ na niektóre kobiety. Niszczy ich kreatywność. Na inne oddziałuje wręcz przeciwnie. Sprawia, że rozkwitają i błyszczą.) Neli musiała przerobić szkice praktycznie od podstaw. Helen nawet tego nie zauważyła. Projekty były tylko przedmiotami. Oczy Neli rozbłysły. To była jej prawdziwa ambicja. Modelką mógł być każdy. To żadna filozofia włożyć ciuch, stanąć przed kamerami, przodem, tyłem, bokiem. Ale to! To było prawdziwe osiągnięcie!

Clifford dzwonił do Helen codziennie, a ona codziennie mówiła „nie”.

— Co mam robić? — zwróciła się do Neli, zupełnie zagubiona.

— Zdaje się, że on cię kocha — powiedziała Neli ostrożnie.

— Dopóki nie znajdzie kogoś innego—odparła Helen dumnie.

— Jest taki bogaty — zauważyła Neli, jak zwykle praktyczna.

— To jej miliony — powiedziała Helen. (Biedna, nie opłakiwana Angie!) — On jest doprawdy nikczemny. Jeżeli liczy na to, że zajmę się dzieckiem, to się pomylił.

Prawdopodobnie tylko dlatego mnie chce, potrzebna mu opiekunka dla córki i uznał, że się nadaję. Nie pamiętam nawet, jak to dziecko ma na imię.

— Barbara — odparła Neli stanowczo.

Helen wiedziała to z pewnością, podobnie jak reszta świata. Pisano o Barbarze bez przerwy, od czasu gdy otrzymała zakaz wstępu do królewskiego pokoju

dziecinnego. Teraz zakaz został cofnięty. Barbara odwiedzała pałac. „Pałac współczuje sierotce”, orzekły gazety, „Weekendy OK, zarządza Pałac”.

(Clifford został zrehabilitowany w najwyższych kręgach. Dziwne czasy, kiedy człowiek może zostać oskarżony o morderstwo albo o coś jeszcze gorszego i nie wpływa to na jego pozycję społeczną. Poza tym działa się to w innym kraju.)

— Nie mogłabym — powiedziała Helen. — Zrobiłabym coś strasznego dziecku.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem.

Helen ogarnia bezradność, poczucie beznadziei, pewność, że wszystko to przyszło za późno. Dym ze świec ojca McCrombiego nadal unosi się w powietrzu. Takie coś trudno wywietrzyć.

— Ale kochasz go? — dopytywała się Neli.

— Och, to nie takie proste — pożaliła się Helen. — Oczywiście, że go Kocham.

— Więc wyjdź za niego — doradziła Neli.

Chciała, żeby to nastąpiło, choć nie była pewna dlaczego. Ponowne małżeństwo z Cliffordem, którego Neli знаła tylko z fotografii w gazetach, wydawało się szaleństwem. A jednak Neli to powiedziała. Puf! Przez okno wyleciał dym, nie cały wprawdzie, ale spory kłęb.

— Pomyślę o tym — obiecała Helen.

Oczywiście Clifford nie miał zamiaru ustąpić. Ponieważ Helen, mimo obietnicy danej Neli, nadal odmawiała spotkania, Clifford znalazł sposób, żeby ją do tego zmusić.

## **Poprawa**

I stało się tak, że nowojorski Leonardo zorganizował wystawę „Projektant jako artysta”, angielski Dom Lally'ego został głównym wystawcą, a Clifford Wexford zawarł pokój z Johnem Lallym. Posunął się do tego, że zwrócił mu w końcu obrazy przechowywane tak długo w sejfach Leonarda. Stał przed Lallym i Marjorie w ogrodzie Applecore Cottage i powiedział:

— Mam pięć twoich płócien w bagażniku. Weź je, są twoje. I w ten sposób uczynił z Johna Lally'ego milionera. Jego

wczesne dzieła cieszyły się ogromną popularnością, choć nie stały się ani na jotę łatwiejsze w odbiorze. Nieważne, że Clifford mógł sobie pozwolić na taki gest, teraz kiedy dostał wszystkie pieniądze Angie, nieważne, że zrobił to po części dlatego, by ugłaskać Helen. Zrobił to, ponieważ czuł, że powinien, że wymaga tego sprawiedliwość. Może podczas przemowy w nowojorskim sądzie został nawrócony? Mam nadzieję.

John i Marjorie rozładowali samochód i zanieśli obrazy do pracowni. Clifford im pomagał.

— Ponure obrazy — orzekła Marjorie. — Musiałeś być w kiepskim nastroju, kiedy je malowałeś. Założę się, że Evelyn z ulgą pozbyła się ich z domu.

John i Clifford milczeli.

— Szkoda, że nie możecie się zejść z Helen — mruknął John Lally do Clifforda. Było to równoznaczne z przeprosinami. — Te twoje chłopaki to niezłe urwisy.

— Kiepski ze mnie ojciec — wyznał Clifford.

Ale próbował, naprawdę próbował być dobrym ojcem dla Barbary, która przyjęła wiadomość o śmierci matki z zadziwiającym spokojem. Przytuliła się tylko mocniej do swojej niani i powiedziała, że może teraz niania zostanie, a ona nie będzie musiała mieć nowej na Gwiazdkę.

— Wszyscy możemy się zmienić. — John Lally podniósł z ziemi piłkę do krykieta i rzucił ją Julianowi, który bawił się samotnie kijem i palikami. Julian spojrział na ojca ze zdziwieniem i wdzięcznością.

— Na to wygląda — zauważył Clifford.



## **Przebaczenie**

Usłyszawszy od ojca, co się wydarzyło, Helen zadzwoniła do Clifforda. Wiedział, że zadzwoni.

— Cliffordzie — powiedziała — dziękuję ci za to, co zrobiłeś dla ojca. Ale co zrobisz ze mną? Nie mogę spać, nie mogę pracować. Chcę być z tobą, ale wiem, że nie mogę.

— Barbara cię powstrzymuje, prawda? — powiedział z tą zaskakującą szczerością, która charakteryzowała nowego Clifforda. — W pewnym sensie masz rację. Jeżeli przyjmiesz mnie, będziesz musiała przyjąć i ją. Ona ma tylko mnie. Proszę cię o jedno, żebyś przyszła i ją poznała.

Ujrawszy Barbarę — bladą i smutną, w sztywnej, staromodnej nietwarzowej sukience, nawet najlepiej wyszkolone, najmilsze nianie tak ubierają dzieci — Helen poczuła taką litość, że cała złość i nienawiść wyparowały z niej raz na zawsze. Helen zrozumiała, że Barbara jest samoistnym człowiekiem, głównym aktorem w dramacie swojego życia, a nie reliktem po Angie. Z całą pewnością nie zastąpi w umyśle Clifforda córki, którą Clifford utracił tak dawno temu. Obawiała się, że przyjmując Barbarę, córkę innej kobiety, wyprze się ostatecznie Neli.

Do ludzi szczęśliwych los się uśmiecha. To nasze żale, nasze lęki, nienawiść i zazdrość, nie uświadomione czasem, ściągają na nas nieszczęście. Sami pielęgnujemy te brzydkie uczucia, choć możemy je przecież odrzucić, jeżeli taka nasza wola. Wybaczając Barbarze, Helen wybaczyła samej sobie.

— Tak, Cliffordzie. Oczywiście zostanę twoją żoną, na dobre i na złe.

— Biedna Angie — westchnął Clifford. — Ale ja również nie jestem bez winy. Zrobiłem wiele rzeczy, za które się wstydę.

Mógł to powiedzieć, ponieważ był szczęśliwy, a był szczęśliwy dlatego, że mógł to powiedzieć i naprawdę tak myślał. Jedno wiąże się z drugim.

### *Ostatni akt*

Tego wigilijnego popołudnia prywatny samolot stał na płycie Heathrow, a pilot czekał, aż pas startowy zostanie oczyszczony ze śniegu. Clifford i Helen siedzieli trzymając się za ręce. Barbara trzymała Helen za drugą rękę. Znalazła matkę, mogła zatrzymać nianię. Jej poważna twarzyczka rozpogodziła się. Neli Kildare siedziała za nimi, wiodąca modelka Domu Lally'ego, z wysoko uniesioną czarną główką. Lecieli do Nowego Jorku na święta i otwarcie wystawy „Moda jako sztuka” w nowej wielkiej galerii przy Central Parku. Neli nienawidziła samolotów. Na szyi miała łańcuszek z niedźwiadkiem, na szczęście.

Edwarda, Maxa i Marcusa wysłano do Ameryki wcześniej pod opieką dwóch nianiek o stoickim usposobieniu. Mieli spędzić cały tydzień w Disneylandzie, zanim dołączą do rodziców w Nowym Jorku. Był to pomysł Neli. Helen była przyzwyczajona do bliźniaków, niemniej należał jej się odpoczynek. Clifford nie był przyzwyczajony i należało mu podawać synów w małych dawkach. Clifford onieśmielał Neli, starała się schodzić mu z drogi. Cały czas powtarzała sobie, że jest tylko pracownicą, nie należy do rodziny. Nie może pokochać tych ludzi. Z doświadczenia wiedziała, że ludzie, których kocha, znikają jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, że dobre czasy kończą się w jednej chwili. Co więcej, była to jej własna wina. Kochając, siał zniszczenie. Tak, musiała zachować ogromną ostrożność!

Barbara, zapytana, czy chce jechać z chłopcami, zawołała:

— Nie, nie! — i ukryła twarz na brzuchu Neli. — Są tacy niedobrzy! Nie chcę! — Zaczynała dbać o własne interesy i całkiem nieźle jej szło.

John Lally znajdował się również w tym samolocie, razem z żoną Marjorie. Był przecież wiodącym malarzem Leonarda, a artysta powinien trzymać fason. (Koniec z bieganiem po polach i malowaniem słoneczników o głodzie i chłódzie). Marjorie miała na sobie chustę zszywaną ze skrawków. Część kwadracików pochodziła ze starej niebieskiej sukni, którą Evelyn nosiła tak często na specjalne okazje. Wiemy o tym tylko ja i ty, Czytelniku. Nikt inny nic nie zauważył, nawet Helen. Mały Julian

został u babci Cynthii. Wexfordowie przeprowadzili się do małego domu z ogrodem w Hampstead, gdzie wnukowie byli zawsze mile widziani. Och, Cynthia zmieniła się także! Była taka dumna z Clifforda w dniu nowojorskiej rozprawy. Rodzina odwiedzała ją gromadnie, nie miała jej już za złe tamtej historii sprzed lat. Jakże się wtedy pomylili. Otto, kiedyś skromny budowniczy z nieodpowiedniej strony kopenhaskich torów, był teraz zamożny, szanowany i utytułowany. Miło jest spojrzeć wstecz na swoje życie i stwierdzić, że miało się rację.

A skoro już mowa o strojach, Helen ubrana była w suknię z ciężkiego jedwabiu, którego wzór John Lally łaskawie zgodził się zaprojektować. Widniały na nim maleńkie białe baranki i odrobinę większe złote lewki, i lewki wcale nie pożerały baranków, tylko sobie wśród nich leżały. Samą suknię zaprojektowała Neli w czasach, gdy Helen zastanawiała się, czy wyjść czy nie wyjść za Clifforda i nie nadawała się do niczego. W luku bagażowym spoczywało osiem płócien Lally'ego. Wieziono je z myślą o wystawie nowojorskiego Leonarda. Były wśród nich cztery stare, gniewne i brutalne, i cztery nowe, o wiele łagodniejsze w tonie. Stare obrazy Lally'ego lądowały na ogół w muzeach, nowe na ścianach prywatnych domów. Clifford uśmiechnął się do Neli, kiedy weszła na pokład samolotu, uśmiechnął się zwyczajnie, po przyjacielsku, wcale nie lubieżnie. Wiedział, jak bardzo Helen lubi tę dziewczynę, i nie miał nic przeciwko temu. Neli była ładną, mądrą pogodną osobą, która nagle weszła do ich rodziny. Choć nie przepadał za jej fryzurą.

Czasem zastanawiam się, czy nie jestem wobec Angie zbyt łagodna. Może była o wiele bardziej nikczemna, niż mi się zdawało, może to przez nią Clifford padał tak często w ramiona kobiet, raniąc je i miażdżąc. Może próbował uciec w ten sposób od Angie? A jednak oznacza to tylko, że Angie była częścią Clifforda, bo przed kim najczęściej uciekamy, jak nie przed własnym „ja”? Dopiero kiedy umarła, Clifford mógł stać się naprawdę sobą, człowiekiem o wiele, wiele sympatyczniejszym, niż się komukolwiek śniło. Zdjęto z niego klątwę.

A dalej w samolocie siedział Arthur Hockney, Sara i ich córka Angela — skośnooka piękność o oliwkowej cerze. Zabra-

li się z Wexfordami do Stanów, by odwiedzić rodzinę Arthura i pochwalić się dzieckiem. Wexfordowie mieli wolne miejsca w samolocie i Clifford, na prośbę Helen, udostępnił je Hockney-yom. Przyjaciele Helen byli jego przyjaciółmi. Miał jakieś mgliście niemiłe wspomnienia ze spotkania z Arthurem, kiedyś przed laty, ale nie chciało mu się ich przywoływać. Kim została w walijskiej psiarni, prowadzonej już przez kogoś innego. Brenda poślubiła Neda, a jej pryszczki zniknęły bez śladu. Wyglądało na to, że pani Kildare zamieszka z nimi.

A w ostatnim rzędzie samolotu — na ulubionych miejscach Petera Pipera — siedzieli dwaj reprezentanci firmy Piper Art Security Limited: Peter Piper we własnej osobie i ojciec McCrombie. Obaj mocno zaniepokojeni obecnością na pokładzie Arthura Hockneya.

— Nie brałem go pod uwagę — powiedział Peter Piper. — Metr dziewięćdziesiąt wzrostu. — Palcami bardziej drżącymi niż zwykle zapalił kolejnego papierosa. Denerwował się. Nic dziwnego, wiele zależało od przebiegu lotu.

Wydarzenia potoczyły się wartko. Tuż po starcie ojciec McCrombie wszedł niedbałym krokiem do kokpitu (nikt nie widział powodu, by go zatrzymać) i wyszedł trzymając na muszce pilota. Upłynęła dobra chwila, nim pasażerowie przyjęli do wiadomości to, co widzą, obraz wydawał się taki nierealny. Tylko Barbara skoczyła ku Helen i ukryła głowę na jej kolanach. Peter Piper wstał ze swego siedzenia w ogonie samolotu i on również trzymał broń w ręku, paskudnie czarnego lugera.

— Siadać — powiedział do Arthura, który się podniósł. Arthur usiadł.

— Nikt nie prowadzi samolotu — poskarżyła się Marjorie.

— Ma autopilota — powiedział Arthur. — Wystarczy na jakiś czas. Zachowajmy spokój.

— Zamknij się! — krzyknął Peter Piper.

Arthur wzruszył ramionami i umilkł. Nie należy brać bandytów zbyt poważnie. Z drugiej strony nie należy ich lekceważyć, są nerwowi i mogą wyrządzić nam coś złego. Są na ogół głupi, trudno więc przewidzieć, co zrobią.

Pilot został posadzony w fotelu, który zwolniła Barbara. Żył, z czego należało wnioskować, że bandyci nie należą do najczar-

niejszego gatunku. Można z nimi negocjować. Arthur poklepał Sarę po kolanie.

— Nie martw się — powiedział, co nie poprawiło jej samopoczucia.

Peter Piper przejął kontrolę nad pasażerami, a ojciec McCrom-bie wrócił do kabiny pilota i wziął kurs na małe przybrzeżne miasteczko na południe od Nowego Jorku, gdzie czekali na niego użyteczni znajomi. Zdarzenie miało wszelkie pozory snu.

Nikt nie krzyczał (nawet Marjorie) i nikt nie pomstował (nawet John Lally).

Wydawało się, że zostali bez swojej wiedzy przeniesieni z rzeczywistego życia na plan filmowy. Arthur zachowywał spokój i czekał. Peter Piper mówił.

— Nie jest to porwanie — powiedział — ani nawet próba wymuszenia okupu. Jest to zwykły rabunek z bronią. — On, Peter Piper, chce mieć obrazy Lally'ego i dostanie je.

— Ha! — zaśmiał się Clifford. — Czyżby odkrył pan jakiś nowy rynek, o którym ja nic nie wiem? Nabywcy kradzionych obrazów chcą starych mistrzów, malarzy ze szkoły francuskiej, w ostateczności prerafaelitów. Postsurrealiści odpadają. Współczesne malarstwo angielskie? Pan chyba żartuje! Nawet złodzieje obrazów muszą wiedzieć co nieco o sztuce! Zaraz, zaraz, jak brzmi pana nazwisko?

Arthur miał nadzieję, że Clifford nie posunął się za daleko. Peter Piper z bladego zrobił się siny. Nikt nie lubi, gdy wytykają mu publicznie ignorancję, zwłaszcza gdy osoba wytykająca powinna być przerażoną ofiarą.

Nie powtórzę ci, Czytelniku, co powiedział Peter Piper. Obrzucał Clifforda wszystkimi znanymi mu wyzwiskami, a tymczasem samolot skakał po niebie jak pstrąg wyjęty z wody. Pistolet Pipera stał się nagle najmniejszą troską obecnych. Upłynęło trochę czasu, odkąd ojciec McCrombie siedział za sterami samolotu, poza tym musiał sporo wypić, żeby uspokoić nerwy. Pamiętał, jak w czasach młodości, podczas bitwy o Anglię, mówił do Boga, a Bóg mu odpowiadał. Teraz zwracał się do Stwórcy pijackim bełkotem i walczył z oporną maszyną, która drżała i podrygiwała, jakby sam diabeł potrząsał niebem. Peter Piper nie zwrócił na to uwagi, dalej oskarżał Clifforda o spiskowanie, kradzieże, uwodzenie, kidnaping i wszelkie zbrodnie.

— Erich Blotton! — przerwał mu Clifford. — Ty jesteś Erich Blotton! — Gapił się na drżące, pożółkłe od nikotyny palce Pipera.

„Skoro jesteś Erichem Blottonem i żyjesz, gdzie jest Neli?“, chcieli zakrzyknąć Helen i Arthur, ale nie mogli, ponieważ Erich dostał ataku szału i znowu mierzył z pistoletu. John Lally wrócił do swego pierwotnego „ja“ i protestował gromko przeciwko stwierdzeniu, że jego obrazów nie warto kraść. Marjorie próbowała go uciszyć, zupełnie jakby była Evelyn. Erich zerwał wisiołek z szyi Helen i podeptał go nogami ze złości, że jest plastikowy, zażądał, by wszyscy opróżnili portfele (musiał coś zrabować, żeby nie wyjść na kompletnego idiotę) i znalazł same karty kredytowe. Samolot leciał zygzakiem i Blotton zdzielił pilota kolbą rewolweru za to, że domagał się natychmiastowego powrotu za stery. Pilot upadł nieprzytomny, a może tylko udawał? Mała Angela płakała, Barbara i Clifford próbowali pocieszyć Helen, Arthur Hockney nadal czekał (a może go sparaliżowało, może zapomniał wszystko, co umiał, może stracił odwagę wraz z poczuciem winy?). Sara zwymiotowała na buty Ericha Blottona — wszystko to byłoby bardzo śmieszne, gdyby nie było takie przerażające. A Neli? Napatrzyła się dość na kryminalistów na Odległej Farmie, wiedziała, że Blotton jest zwykłym krzykaczem, że pilot udaje omdlenie i że największą groźbę stanowi ojciec McCrombie za sterami samolotu. — Chwileczkę — powiedziała spokojnie do Ericha Blottona. — Proszę się uspokoić. Mam coś wartościowego i mogę to panu dać. — Wyciągnęła spod swetra niedźwiadka i bardzo wolno odkręciła mu główkę. Jej ruchy były pewne i precyzyjne, wszyscy ucichli i patrzyli. Neli wyjęła klejnocik i podała go Erichowi. Sprawilo jej to ogromną przykrość, ale mus to mus.

— Prawdziwy szmaragd — powiedziała. — I talizman na dodatek. Może pan go sobie wziąć. Coś mi się zdaje, że pan go bardziej potrzebuje. Helen spojrzała na wisiołek w rękę Neli, potem na Neli. Clifford z Arthurem zrobili to samo. Objawienie spadło na nich w tej samej chwili.

— On jest mój — powiedziała Helen. — Tak dobrze go pamiętam. Clifford mi go dał. Ty jesteś Neli. Nasza Neli. Moja i Clifforda! Oczywiście, że tak! To jasne!

W tej sekundzie pilot mrugnął do Arthura, Arthur rzucił się na Ericha Blottona, który był nieudolnym bandytą, jak większość kryminalistów, obezwładnił go i przywiązał do fotela. Potem poszedł wraz z pilotem do kokpitu i wyciągnął nieszczęsnego kaznodzieję. McCrombie nie był niezadowolony z faktu, że odebrano mu stery — im dłużej rozmawiał z Bogiem, tym Bóg bardziej zaciął się w milczeniu i tym gorzej zachowywał się samolot, czemu ty i ja, Czytelniku, nie będziemy się dziwić.

— Och, *begorra!* — powiedział nagle. — Lepiej by mi było nie żyć!

Co nie wydaje mi się prawdą, zważywszy na okoliczności. Samolot wylądował bezpiecznie na lotnisku Kennedy'ego, spóźniony zaledwie o parę minut. Blotton i McCrombie zostali oddani w ręce policji. Clifford i Helen odnaleźli swoją małą Neli, ona odzyskała rodziców i żadnej ze stron nie spotkało rozczarowanie.

— Nasza siostra, tak? — powiedzieli Edward, Max i Marcus bez śladu zdziwienia.

— Co jest na kolację?

— Nasza wnuczka! — wykrzyknął Otto. — Będzie musiała coś zrobić z włosami! Ale widać było, że jest zadowolony. Cynthia chodziła po domu tanecznym krokiem, jakby ubył jej dwadzieścia lat. Omal nie umówiła się na randkę z mężem przyjaciółki. Pohamowała się w ostatniej chwili.

— Dlaczego ona nie przestanie bawić się ubraniami — huknął John Lally. — I nie namaluje porządnego obrazu?! — Oznaczało to, że Neli zyskała jego aprobatę. I Neli zaczęła podejrzewać, że kochanie ludzi nie jest dla nich tak niebezpieczne, jak jej się wydawało. Pozwoliła sobie zakochać się w niemożliwie młodym studencie sztuk pięknych, który jeździł na motocyklu i uważał, że wszyscy powinni nosić chińskie mundurki. Znajomość nie trwała długo, bo i z założenia nie miała trwać, ale był to niezły początek. Samo trzymanie się za ręce sprawiało, że Neli czuła się mniej twarda i kolczasta, bardziej kobieca i krucha, jak jej matka.

A jakie wspaniałe historie miała do opowiedzenia swoim rodzicom — o zamczysku, o państwie de Troite, o Eastlake (i strasznej Annabel), o pochmurnym rajku na Odległej Farmie i dziwnych

wydarzeniach w psiarniach. Clifford i Helen musieli być bardziej oględni w swoich opowieściach, co zapewne wyda ci się zrozumiałe, Czytelniku. Nie chcieli ranić siebie ani Neli. Im robimy się starsi, tym nasza przeszłość staje się mniej chwalebna. Otrzymali drugą szansę, choć naprawdę na to nie zasługują. Dzieci mamy po to, by je kochać i strzec, nie używać ich jako pionki w smutnych rozgrywkach małżeńskich. Pozostaje jeszcze kwestia, czy Helen powinna przyjąć Clifforda z powrotem. Cóż, zapewne wyrobiłeś już sobie pogląd na tę sprawę, Czytelniku. Ja nie jestem pewna. Zresztą Helen i tak nie posłuchałaby niczyjej rady. Kocha Clifforda, koniec, kropka. Możemy życzyć im tylko, by żyli długo i szczęśliwie. Myślę, że mają po temu nie mniejsze szanse niż każdy z nas.